



# MAGGIE STIEFVATER

WIEDŹMA  
Z LUSTRA



Maggie Stiefvater

# WIEDŹMA Z LUSTRA

przełożył Piotr Kucharski



*Dla Laury, jednej z białych rycerzy*

*Szukam twarzy, jaką miałam wówczas,  
Nim świat został stworzony.*

– William Butler Yeats, *Zanim świat został stworzony* [przeł. Ludmiła Marjańska]

*Bądźmy wdzięczni lustru, że ukazuje nam wyłącznie  
nasz wygląd.*

– Samuel Butler, *Erewhon*

# SPIS TREŚCI

Strona tytułowa

Dedykacja

Motto

Prolog

1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12  
13 14 15 16 17 18 19 20 21 22  
23 24 25 26 27 28 29 30 31 32  
33 34 35 36 37 38 39 40 41 42  
43 44 45 46 47 48 49 50 51

Epilog

# Prolog

## NA GÓRZE

Persefona stała na odsłoniętym szczycie. Plisowana suknia w kolorze kości słoniowej otulała jej nogi, a po plecach spływały bujne białe loki. Wydawała się nierealna, niematerialna, jak pyłek porwany przez wiatr między głązy i złożony na jednym z nich. Drzewa nie przeszkadzały tu podmuchom, wiało więc potężnie. Rozciągający się w dole świat znajdował się w pełni jesiennej krasy.

Adam Parrish stał obok, z dłońmi w kieszeniach bojówek poplamionych smarem. Wyglądał na zmęczonego, lecz miał bystre spojrzenie, jaśniejsze niż wtedy, gdy Persefona widziała go ostatnio. Interesowała się wyłącznie ważnymi rzeczami, więc od dłuższego czasu nie zastanawiała się nad własnym wiekiem, gdy jednak spoglądała na Adama, uznała, że był dość *młody*. Widać w nim było tę pierwotną ekspresję, młodzieńczo zgarbione ramiona i rozlewającą się w jego wnętrzu szaloną energię.

„Świetny dzień, by to zrobić” – pomyślała.

Było chłodno i pochmurno. Nie należało obawiać się zakłóceń z powodu słońca, cyklu miesięcznego czy pobliskich prac drogowych.

– To trupia droga – powiedziała, ustawiając się na niewidzialnej ścieżce.

Poczuła, że coś w jej wnętrzu zaczęło mrużyć z zadowoleniem. Miała uczucie podobne do satysfakcji płynącej z wyrównania grzbietów książek na regale.

– Linia mocy – sprostował Adam.

– Odszukaj ją – powiedziała, skinąwszy poważnie głową.

Wszedł natychmiast na linię, obracając twarz zgodnie z jej biegiem w sposób równie naturalny, jak kwiat kieruje się ku słońcu. Persefonie opanowanie tej umiejętności zajęło trochę więcej czasu, gdyż w przeciwieństwie do młodego ucznia nie zawarła paktu z ponadnaturalnym lasem. Pakty nie były w jej stylu. Mówiąc krótko, projekty grupowe nie były w jej stylu.

– Co widzisz? – spytała.

Zamrugała, a przykurzone rzęsy spoczęły na policzkach. Była

Persefoną i w ten idealny na coś takiego dzień dostrzegą to co Adam. Nie było to nic związanego z linią mocy – bo rozbite figurki rozrzucone na podłodze pięknej rezydencji. Oficjalny list wydrukowany w miejscowym sklepie z artykułami piśmiennymi. Przyjaciel wijący się u jego stóp.

– Poza tobą – przypomniała mu spokojnie.

Widziała na trupiej drodze tyle wydarzeń i możliwości, że żadne z nich się nie wyróżniało. Jej moce psychiczne były znacznie silniejsze, gdy miała przy sobie przyjaciółki: Callę i Maurę. Calla segregowała jej wrażenia, Maura zaś umieszczała je w kontekście.

Wyglądało na to, że Adam może mieć potencjał w tym kierunku, był jednak zbyt świeży, aby zastąpić Maurę... „Nie, takie określenie było niedorzeczne – skarciła się Persefona w duchu – przecież przyjaciół nie da się *zastąpić*”. Starła się znaleźć odpowiednie słowo. Nie *zastąpić*.

*Uratować*. Tak, oczywiście, właśnie to dotyczyło przyjaciół. Czy Maura potrzebowała ratunku?

Gdyby Maura znajdowała się na górze, Persefona mogłaby to stwierdzić. Gdyby jednak Maura znajdowała się tam, Persefona *nie musiałaby* tego stwierdzać.

Westchnęła głęboko. I kilkakrotnie.

– Widzę istoty. – Brwi Adama wyrażały albo skupienie, albo niepewność. – Więcej niż jedną istotę. To jak... jak zwierzęta w Stodółkach. Widzę istoty... śpiące.

– Śniące – zgodziła się Persefona.

Gdy tylko skierował jej uwagę na śpiących, wychynęli na pierwszy plan jej świadomości.

– Trzy – dodała.

– Co trzy?

– Zwłaszcza trzy – mruknęła. – Do przebudzenia. Oj, nie. Nie. Dwie. Jednej nie powinno się budzić.

Persefona nigdy nie była zbyt przywiązana do koncepcji dobra i zła, lecz trzecia śpiąca istota zdecydowanie była *zła*.

Przez kilka minut wraz z chłopcem – *Adamem*, musiała sobie przypomnieć, niełatwo bowiem przychodziło jej przydawanie znaczenia formalnym imionom – stali tak, wyczuwając pod stopami bieg linii mocy. Persefona delikatnie i bezskutecznie starała się odnaleźć w energetycznej gmatwaninie jaśniejące pasmo egzystencji Maury.

Obok niej Adam na powrót cofnął się w głąb siebie, jak zawsze najbardziej zainteresowany tym, co pozostawało dla niego niepoznane: własnym umysłem.



– Poza tobą – przypomniała mu Persefona.

Adam nie otwierał oczu. Mówił tak cicho, że jego słowa niemal zupełnie ginęły w szumie wiatru.

– Nie chcę być niegrzeczny, ale nie wiem, dlaczego nauka tego miałyby mieć jakąś wartość.

Persefona nie była pewna, dlaczego uważał tak rozsądne pytanie za niegrzeczne.

– Gdy byłeś mały, jaką dostrzegałeś wartość w nauce mowy?

– Z kim uczę się porozumiewać?

Ucieszyła się, że natychmiast zrozumiał ideę.

– Ze wszystkim.

## POMIĘDZY

Calla nie mogła pojąć, ile szpargałów Maura trzymała w swoim pokoju na Fox Way 300. Powiedziała to Blue.

Blue nie zareagowała. Przeglądała przy oknie papiery, pochylając w zadumie głowę. Pod tym kątem wyglądała zupełnie jak matka: dobrze zbudowana, wysportowana, niełatwa do powalenia. Miała w sobie dziwny urok, nawet jeśli chaotycznie upinała ciemne włosy na czubku głowy i nosiła koszulkę, którą zaatakowała glebogryzarką. A może właśnie z powodu tych rzeczy. Kiedy stała się tak ładna i dojrzała? Choć nie urosła? Zapewne tak działo się z dziewczynami, które żywiły się wyłącznie jogurtami.

– Widziałas je? – spytała Blue. – Są naprawdę dobre.

Calla nie była pewna, na co patrzyła Blue, ale wierzyła jej. Blue nie miała zwyczaju szastać fałszywymi komplementami, nawet wobec matki. Choć była uprzejma, nie była *mila*. I dobrze, bo mili ludzie irytowali Callę.

– Twoja matka jest kobietą o licznych talentach! – warknęła. Ten bałagan skracał jej życie o kolejne lata. Calla lubiła rzeczy, na których można było polegać: systemy archiwizacji, miesiące liczące trzydzieści jeden dni, śliwkową szminkę. Maura lubiła chaos. – Na przykład do irytowania mnie.

Calla podniosła poduszkę Maury. Zawirowały wokół niej wrażenia. W jednej chwili *poczula*, gdzie poduszka została kupiona, w jaki sposób Maura zwijała ją sobie pod karkiem, ile łez wsiąkło w poszewkę oraz jaką treść miały sny Maury w ciągu ostatnich pięciu lat.

W sąsiednim pokoju zadzwonił telefon mistycznej gorącej linii. Calla natychmiast straciła swoje skupienie.



– Niech to cholera – mruknęła.

Była psychometryczką – jej dotyk zwykle ujawniał zarówno pochodzenie przedmiotu, jak i uczucia właściciela. Tą poduszką posługiwano się jednak tak często, że zawierała zbyt wiele wspomnień, by dało się je posegregować. Gdyby znajdowała się tu Maura, Calla z łatwością zdołałaby oddzielić te pożyteczne.

Gdyby jednak była tu Maura, Calla nie musiałyby ich oddzielać.

– Blue, podejdź tutaj.

Blue teatralnym gestem położyła dłoń na ramieniu Calli. Jej naturalny talent do wzmacniania magii natychmiast wyostrzył zdolności kobiety. Psychometryczka dostrzegła, że to optymizm Maury nie pozwalał jej zasnąć. Wyczuła na poszewce odcisk lekko zarośniętej zuchwy pana Szarego. Ujrzała treść ostatniego snu Maury: zwierciadlane jezioro i postać jakiegoś mężczyzny.

Calla uśmiechnęła się ironicznie.

Artemus. Dawno niewidziany były kochanek Maury.

– Coś masz? – spytała Blue.

– Nic *przydatnego*.

Blue zabrała szybko dłoń, dobrze wiedząc, że Calla potrafi wychwycić wiele wrażeń nie tylko z poduszek, lecz także z głębi serc młodych dziewczyn. Calla nie potrzebowała teraz mocy psychicznych, by odgadnąć, że poważna, ale sympatyczna mina stanowiła kontrast z ogniem płonącym w jej wnętrzu. Zbliżała się szkoła, w powietrzu czuć było miłość. Matka Blue zniknęła ponad miesiąc temu w jakiejś tajemniczej, osobistej misji, pozostawiając swego świeżo zdobytego, pięknego zabójcę. Blue była niczym huragan czyhający niedaleko wybrzeża.

„Och, Mauro! – Calli aż się skręcał żołądek. – Mówiłam ci, żebyś nie szła”.

– Dotknij tego. – Blue wskazała dużą, czarną misę wróżebną.

Misa stała krzywo na dywaniku, nietknięta od chwili, gdy Maura z niej korzystała.

Calla nie miała zbyt dobrego zdania na temat wieszczenia, magii luster ani niczego powiązanego ze szperaniem w tajemniczej substancji czasu i przestrzeni, aby następnie wypełznąć po ich drugiej stronie. Prawdę mówiąc, wieszczenie nie było niebezpieczne, gdyż polegało na medytacji przed lustrzaną powierzchnią. W praktyce jednak często wiązało się z uwolnieniem duszy z ciała. Dusza zaś była wrażliwym podróżnikiem.

Gdy ostatnim razem Calla, Persefona i Maura babrały się w magii

luster, przypadkiem doprowadziły do zniknięcia Neeve, przyrodniej siostry Maury.

Calla nie lubiła Neeve.

Blue miała jednak rację. Misa wróżebna zapewne mieściła w sobie najwięcej odpowiedzi.

– Dobrze – zgodziła się Calla na propozycję Blue. – Ale nie dotykaj mnie. Nie chcę, abyś jeszcze bardziej wzmocniła wrażenia.

Blue uniosła dłonie, jakby pokazywała, że nie jest uzbrojona.

Calla z wahaniem dotknęła obrzeża misy i w jej polu widzenia natychmiast zakotłowała się ciemność. Spała, śniła. Opadała przez niekończącą się czarną wodę. Jej lustrzana wersja wznosiła się ku gwiazdom. Metal wbił się w policzek. Włosy przykleiły się do kącika ust.

Gdzie w tym wszystkim była Maura?

W głowie Calli zaśpiewał nieznany głos, melodyjny, lecz piskliwy i nieprzyjemny.

*Królowe i królowie*

*Królowie i królowe*

*Niebieska lilia, niebieska lilia*

*Korony i ptaki*

*Miecze i istoty*

*Niebieska lilia, niebieska lilia*

Nagle się skupiła.

Znów była Callą.

Teraz dostrzegła, kogo widziała Maura. Troje śpiących: jasnego, ciemnego oraz coś pomiędzy nimi. Poczwała jej świadomość, że Artemus znajdował się pod ziemią. Jej pewność, że nikt nie opuszczał tych jaskiń, jeśli nie został wyprowadzony. Jej przekonanie, że Blue i jej przyjaciele są częścią czegoś większego, potężnego, rozwijającego się i powoli budzącego...

– BLUE! – ryknęła Calla, ponieważ uświadomiła sobie, dlaczego jej wysiłki nagle stały się tak owocne.

Nie myliła się. Blue dotykała jej ramienia, wzmacniając wszystko.

– Cześć.

– *Mówiłam*, żebyś mnie nie dotykała.

Blue nie wyglądała na skruszoną.

– Co widziałaś?

Calla wciąż tkwiła w *tamtej* świadomości. Nie mogła otrząsnąć się z wrażenia, że szykowała się do walki, którą w jakiś sposób już stoczyła.

Nie pamiętała, czy poprzednim razem zwyciężyła.

## W DOLE

Maura Sargent miała nieprzyjemne poczucie, że czas przestał działać. Nie jakby nie płynął, ale już nie biegł naprzód w sposób, który zwykła uważać za „zwyyczajny”, kiedy to minuty składały się na godziny, a później na dni i tygodnie.

Zaczynała podejrzewać, że być może tkwi w tej samej minucie.

Mogłoby to być niepokojące dla innych. Niektórzy zaś mogliby w ogóle tego nie zauważyć. Maura nie była jednak *niektórymi*. Zaczęła śnić o przyszłości w wieku czternastu lat. Gdy miała szesnaście, przemówiła do swego pierwszego ducha. Jako dziewiętnastolatka skorzystała ze zdalnego postrzegania, by spojrzeć na drugą stronę świata. Czas i przestrzeń były basenami, w które wskakiwała.

Wiedziała więc, że na świecie istnieją niemożliwe rzeczy, nie wierzyła jednak, by jedną z nich była jaskinia, w której zatrzymał się czas. Czy przebywała tu od godziny? Dwóch? Od dnia? Czterech dni? Dwudziestu lat? Baterie latarki jeszcze się nie wyczerpały.

„Skoro jednak czas nie biegnie tu naprzód, nigdy się nie wyczerpią, prawda?”

Skradała się tunelem, omiatając go światłem od podłogi do stropu. Nie chciała rozbić sobie głowy lub też wpaść w bezdenną rozpadlinę. Weszła już w kilka głębokich kałuż i w mokrych butach było jej zimno.

Najgorsza była jednak nuda. Dzieciństwo w Wirginii Zachodniej, przeżyte w biedzie, dało Maurze silne poczucie niezależności, wysoką odporność na niewygody oraz skłonność do czarnego humoru.

Wszystko tylko nie *monotonia*.

Do tego nie można było opowiedzieć dowcipu samemu sobie.

Jedyną wskazówką, że czas może *dokądś* bieć, był fakt, że czasami zapominała, kogo tu szuka.

„Celem jest Artemus” – przypominała sobie.

Siedemnaście lat temu dała się przekonać Calli, że po prostu uciekł. Może chciała dać się przekonać? W głębi serca wiedziała, że był częścią czegoś większego. Wiedziała, że *ona* też była częścią czegoś większego.

Być może.

Jak dotąd trafiła w tym tunelu jedynie na wątpliwości. Uwielbiający słońce Artemus na pewno nie wybrałby z własnej woli takiego miejsca. Miała niejasne przeczucie, że ktoś taki jak on mógłby tu umrzeć. Zaczynała żałować wiadomości, jaką pozostawiła. Brzmiała ona następująco:

*Glendower jest pod ziemią. Ja również.*

Wówczas była z niej zadowolona. Wiadomość miała rozwścieczać i stanowić zachętę, w zależności od tego, kto by ją przeczytał. Pisząc ją, sądziła oczywiście, że wróci następnego dnia.

Teraz zredagowała ją w myślach:

*Idę do pozbawionych czasu jaskiń, by szukać dawnego chłopaka. Jeśli będzie wyglądała na to, że przegapię ukończenie szkoły przez Blue, przyslijcie pomoc.*

*PS Ciasto to nie posiłek.*

Szła dalej. Przed nią było czarno jak w kałamarzu i za nią czarno jak w kałamarzu. Promień latarki podkreślał detale: sterczące stalaktyty na nierównym stropie i wodę połyskującą na ścianach.

Nie zgubiła się jednak, bo przez cały czas miała do wyboru tylko jeden kierunek: w głąb i w głąb.

Nie bała się jeszcze. Trzeba było wiele, by wystraszyć kogoś, kto zabawiał się czasem i przestrzenią.

Wykorzystując śliski od błota stalagmit, by się podeprzeć, Maura precyzyjnie przeszła przez wąski otwór. Nie wiedziała, co myśleć o widoku rozpościerającym się po drugiej stronie. Strop i podłoga wyglądały jak naćwiekowane. I były nieskończone. Niemożliwe.

Nagle kropelka wody sprawiła, że obraz zafalował, w jednej chwili rozmywając iluzję. Miała przed sobą podziemne jezioro. Ciemna powierzchnia odbijała złote stalaktyty ze stropu, sprawiając wrażenie, że identyczna liczba stalagmitów wyrasta z podłoża.

Dno jeziora było niewidoczne. Woda mogła być na pięć centymetrów, pół metra lub bez dna.

Ach. Wreszcie dotarła. Śniła o tym. Wciąż nie do końca się bała, lecz serce biło jej niespokojnie.

„Mogłabym po prostu wrócić do domu. Znam drogę”.

Jeśli jednak pan Szary był gotów zaryzykować życiem dla tego, czego pragnął, na pewno mogła być równie odważna. Zastanawiała się, czy żył. Zaskoczyło ją, jak bardzo pragnęła, by tak było.

Ponownie zredagowała w myślach wiadomość:

*Idę do pozbawionych czasu jaskiń, by szukać dawnego chłopaka. Jeśli będzie wyglądało na to, że przegapię ukończenie szkoły przez Blue, przyslijcie pomoc.*

*PS Ciasto to nie posiłek.*

*PPS Nie zapomnijcie zabrać samochodu na wymianę oleju.*

*PPPS Szukajcie mnie na dnie lustrzanego jeziora.*

W jej uchu odezwał się głos. Ktoś z przyszłości lub przeszłości. Martwy, żywy lub śpiący. Maura uświadomiła sobie, że nie był to szept.

Głos brzmiał chrapliwie. Zupełnie jakby ktoś wołał od dawna i nie dostawał odpowiedzi.

Maura potrafiła słuchać.

– Co mówisz? – spytała.

– *Odszukaj mnie* – rozległo się.

Nie był to Artemus. To ktoś inny, kto się zgubił, właśnie się gubił albo też dopiero miał się zgubić. W tych jaskiniach czas nie biegł liniowo. Był lustrzanym jeziorem.

*PPPPS Nie budźcie trzeciego śpiącego.*

Myślisz, że to jest prawdziwe? – spytała Blue.

Znajdowali się między wielkimi dębami, pod niebem wyglądającym jak w lecie. Wokół nich z wilgotnej ziemi wyłaniały się korzenie i głązy. Mgliste powietrze w niczym nie przypominało wilgotnego jesiennego chłodu, jaki zostawili za sobą. Tęsknili za latem, tak więc Cabeswater dało im lato.

Richard Gansey III leżał na plecach, wpatrzony w zamglony ciepły błękit nad gałęziami. Rozciągnięty, w spodniach khaki i cytrynowożółtym swetrze w serek, z rozleniwieniem chłonał otaczający go las.

– Co jest prawdziwe?

Blue zastanowiła się.

– Może wszyscy tu przychodzimy, zasypiamy i śnimy ten sam sen – odrzekła.

Choć wiedziała, że nie jest to prawda, przyjemnie i ekscytująco było wyobrazić sobie, że łączy ich taka więź, iż Cabeswater odzwierciedla coś, o czym wszyscy myśleli, gdy zamykali oczy.

– Wiem, kiedy jestem przytomny, a kiedy śpię – powiedział Ronan Lynch.

Jeśli wszystko wokół Ganseya było miękkie i organiczne, spłowiące i harmonijne, Ronan był ostry, ciemny i pełen dysonansu, wyraźnie wyróżniał się na tle lasu.

– Naprawdę? – spytał Adam Parrish, zwinięty w kłębek w podniszczonym i brudnym od smaru kombinezonie roboczym.

Ronan wydał z siebie brzydki odgłos, który mógł oznaczać zarówno pogardę, jak i wesołość. Był niczym Cabeswater, urzeczywistniał sny. Jeśli nie znał różnicy pomiędzy jawą a snem, działało się tak dlatego, że ta różnica nie miała dla niego znaczenia.

– Może wyśniłem *ciebie* – oznajmił.

– Dzięki zatem za proste zęby – odparł Adam.

Wokół nich Cabeswater brzęczało i mruczało życiem. Ptaki, nieistniejące poza lasem, przelatowały im nad głowami. Gdzieś w pobliżu woda płynęła po głązach. Drzewa były wielkie i stare, otulone mchem i porostami. Być może wynikało to z wiedzy Blue, że las jest

świadomy, ale uważała, że *wyglądał* na mądry. Jeśli pozwalała myślom zawędrować wystarczająco daleko, miała wrażenie, jakby puszcza jej słuchała. Trudno to wyjaśnić, ale przypominało to uczucie, gdy ktoś trzyma dłoń tuż nad twoją skórą, nie dotykając jej.

– Musimy zyskać zaufanie Cableswater, zanim zejdziemy do tej jaskini – powiedział Adam.

Blue nie rozumiała, co oznacza dla Adama tak silna więź z lasem, złożona Cableswater obietnica, że będzie dla niego rękoma i oczyma. Podejrzewała, że Adam czasami również tego nie wiedział. Zgodnie z jego radą grupa wracała jednak raz za razem do puszczy, kłucząc pomiędzy drzewami, ostrożnie badając teren i nic nie zabierając. Chodzili wokół jaskini, w której mogli znajdować się Glendower... i Maura.

„Mama”.

Wiadomość zostawiona przez nią przed ponad miesiącem nie wskazywała, kiedy zamierzała wrócić. Nie wskazywała, czy w *ogóle* zamierzała wrócić. Nie można więc było stwierdzić, czy wciąż jej nie było, ponieważ wpadła w kłopoty, czy też po prostu nie chciała znaleźć się z powrotem w domu. Czy matki innych osób również znikwały w dziurach w ziemi, gdy miały kryzys wieku średniego?

– Ja nie śnię – oznajmił Noah Czerny. Był martwy, a więc zapewne również nie sypiał. – Sądzę więc, że to musi być prawdziwe.

Prawdziwe, ale ich, tylko ich.

Leniuchowali jeszcze przez parę minut, a może godzin lub dni. Czym właściwie był tutaj czas?

Niedaleko nich młodszy brat Ronana, Matthew, gawędził z ich matką, Aurorą, zadowoloną z wizyty. Oboje mieli złote włosy i wyglądali jak anioły, jak istoty powstałe w tym miejscu. Blue pragnęła nienawidzić Aurory z powodu jej pochodzenia – została dosłownie wyśniona przez swego męża – i dlatego że posiadała zdolność koncentracji i intelekt szczeniaka. W istocie była jednak niesłuchanie miła i radosna, o równie nieodpartym uroku co jej najmłodszy syn.

*Ona* nie porzuciłaby córki tuż przed ostatnim rokiem szkoły.

Najbardziej irytujące w zniknięciu Maury było to, że Blue nie wiedziała, czy powinno ją ogarniać zmartwienie, czy złość. Miotła się szaleńczo między jednym a drugim, co jakiś czas wypalając się zupełnie i nic nie odczuwając.

„Jak mogła mi to *teraz* zrobić?”.

Blue oparła policzek o głaz pokryty ciepłym mchem, starając się utrzymać spokój i zadowolenie. Jej zdolność, którą wzmacniała moce



psychiczne u innych, zwiększała również natężenie dziwnej magii Cabeswater, a nie chciała spowodować kolejnego trzęsienia ziemi ani wywołać paniki.

Zamiast tego rozpoczęła rozmowę z drzewami.

Myślała o śpiewających ptakach – *myślała, pragnęła ich, tęskniła za nimi lub o nich śniła*. Była to myśl skierowana pod nietypowym kątem, uchylone drzwi w jej umyśle. Coraz lepiej wychodziło jej stwierdzanie, czy robi to prawidłowo.

Dziwny ptak zaśpiewał wysoko i fałszywie nad jej głową.

Pomyślała-zapagnęła-zatęskniła-śniła o szeleście liści.

Nad nią drzewa zaszumiały liśćmi, tworząc niewyraźne, szeptane słowa. *Avide audimus*.

Pomyślała o wiosennym kwiecie. Lili, niebieskiej niczym jej imię.

Niebieski płatek opadł jej na włosy. Kolejny wylądował na grzbiecie dłoni, zsuwając się z nadgarstka niczym pocałunek.

Gansey otworzył oczy, gdy płatki zaczęły mu osiadać na policzkach. Gdy uchylił ze zdziwienia wargi, jeden wylądował mu prosto w ustach. Adam zadarł głowę, by obserwować, jak kwietny, wonny deszcz opada wokół nich niczym latające w zwolnionym tempie niebieskie motyle.

Serce Blue wybuchło ogromną radością.

„To jest prawdziwe, prawdziwe, prawdziwe...”.

Ronan spojrział na Blue spod zmrużonych powiek. Nie odwróciła wzroku.

Czasami grała z Ronanem Lynchem w to, kto pierwszy odwróci spojrzenie.

Zawsze był remis.

Ronan zmienił się przez lato i Blue czuła się mniej niedopasowana do grupy. Nie dlatego, że lepiej znała Ronana, lecz uważała, iż być może Gansey i Adam teraz znają go gorzej. Zmusił ich, by na nowo go poznali.

Gansey podparł się na łokciach i płatki zsunęły się z niego, zupełnie jakby przebudził się po długim śnie.

– No dobrze, chyba już czas. Lynch?

Ronan podniósł się i stanął w zdecydowanej pozycji obok matki oraz brata. Matthew, który jeszcze przed chwilą wymachiwał rękoma niczym cyrkowy niedźwiedź, znieruchomiał. Aurora pogładziła Ronana po dłoni, on zaś na to pozwolił.

– Wstawaj – powiedział do Matthew. – Pora iść.

Aurora uśmiechnęła się delikatnie do synów. Zostanie tutaj, w Cabeswater, robiąc to wszystko, co robią sny, gdy nikt ich nie widzi. Blue to nie dziwiło, bo gdyby matka chłopców opuściła las, natychmiast

usnęłyby, nie dawało się bowiem wyobrazić sobie Aurory istniejącej w rzeczywistym świecie. Jeszcze bardziej niemożliwa wydawała się perspektywa dorastania u boku takiej matki jak ona.

„Moja matka nie odeszłaby tak po prostu na zawsze. Prawda?”.

Ronan przyłożył dłonie do boków głowy Matthew, gniotąc jego blond loki i krzyżując z bratem wzrok.

– Idź zaczekać w samochodzie – rzekł. – Jeśli nie wrócimy do dziewiątej, zadzwoń do domu Blue.

Matthew był zadowolony i pozbawiony lęku. Miał oczy w tym samym odcieniu niebieskiego co Ronan, lecz zdecydowanie bardziej niewinne.

– Skąd wezmę numer?

Ronan wciąż ścisnął głowę brata.

– Matthew. Skup się. Rozmawialiśmy o tym. Chcę, żebyś pomyślał. Sam mi powiedz: skąd weźmiesz numer?

Młodszy z braci roześmiał się cicho i poklepał po kieszeni.

– No tak. Jest wpisany do twojego telefonu. Teraz pamiętam.

– Zostanę z nim – zaproponował Noah.

– Tchórz – skomentował to niewdzięcznie Ronan.

– Lynch... – zaczął Gansey. – To dobry pomysł, Noahu, jeśli czujesz się na siłach.

Noah jako duch potrzebował energii z zewnątrz, aby pozostawać widzialnym. Blue oraz linia mocy były potężnymi akumulatorami energii duchowej i powinno wystarczyć, jeśli zaczeka w zaparkowanym w pobliżu samochodzie. Czasami jednak Noaha zawodziła nie jego energia, lecz odwaga.

– Będzie dzielny – powiedziała Blue, lekko szturchając Noaha w ramię.

– Będę dzielny – zapewnił ją.

Las czekał, nasłuchując i szeleszcząc. Skraj nieba był bardziej szary niż rozciągający się bezpośrednio nad nimi błękit, zupełnie jakby Cableswater tak mocno się teraz na nich skupiało, że rzeczywisty świat mógł się doń wdrzeć.

– *De fumo in flammam* – wyrecytował Gansey u wejścia do jaskini.

– Z dymu w ogień – przetłumaczył Adam Blue.

Jaskinia. *Jaskinia*.

Wszystko w Cableswater było magiczne, lecz jaskinia była wyjątkowa, ponieważ nie istniała, gdy pierwszy raz trafili do lasu. A może istniała, tyle że w innym miejscu.

– Sprawdzenie ekwipunku – oznajmił Gansey.

Blue wysypała zawartość podniszczzonego plecaka. Ze środka wypadł kask (rowerowy, używany), ochraniacze na kolana (wrotkarskie, używane) i latarka (miniaturowa, używana), a także różowy nóż techniczny. Gdy zaczęła mocować to wszystko na sobie, stojący obok niej Gansey opróżnił swoją torbę kurierską. Mieściła w sobie kask (jaskiniowy, używany), ochraniacze na kolana (jaskiniowe, używane) oraz latarkę (typu Maglite, używaną), a także kilka kawałków nowej liny, uprząż oraz sporo kotew i metalowych karabińczyków.

Blue i Adam wpatrywali się w używany sprzęt. Wydawało się niemożliwe, że Richard Gansey III zdecydował się na zakup czegoś, co nie jest zupełnie nowe.

Nieświadom ich uwagi Gansey bez wysiłku zamocował karabińczyk na linie, używając starannego węzła.

Blue zrozumiała to tuż przed Adamem. Ekwipunek był używany, ponieważ *Gansey* już go używał.

Czasami trudno było pamiętać, że miał swoje życie, zanim go poznali.

Gansey zaczął rozplątywać dłuższą linę bezpieczeństwa.

– Rozmawialiśmy o tym. Wiążemy się ze sobą i ciągniemy trzy razy, jeśli coś nas *choć minimalnie* niepokoi. Synchronizacja czasu?

Adam zerknął na swój sfatygowany zegarek.

– Mój nie działa.

Ronan zerknął na swój, drogi i czarny, po czym pokręcił głową.

Choć nie było to niespodziewane, Blue zaniepokoiła się i poczuła jak latawiec zerwany z uwięzi.

Gansey zmarszczył brwi, jakby podzielał jej myśli.

– Mój telefon też nie. Zaczynaj, Ronanie.

Gdy Ronan wykrzykiwał jakieś łacińskie słowa, Adam szeptał Blue ich tłumaczenie:

– Czy możemy wejść bezpiecznie do środka?

„Czy moja matka wciąż tam jest?”.

Odpowiedź nadeszła w postaci syczenia liści i gardłowego skrobania, które wydawały się bardziej dzikie niż głosy słyszane przez Blue wcześniej.

– *Greywaren semper est incorruptus.*

– Zawsze bezpieczny – przełożył szybko Gansey, chcąc dowieść, że trochę jednak zna łacinę. – *Greywaren* jest zawsze bezpieczny.

*Greywarenem* był Ronan. Czymkolwiek byli dla tego lasu, Ronan był kimś więcej.

– *Incorruptus* – zadumał się Adam. – Nigdy bym nie pomyślał, że ktoś

określi tym słowem Lyncha.

Ronan wyglądał jak zadowolony grzechotnik.

„Czego od nas chcesz? – zastanawiała się Blue, gdy wchodzili do środka. – W jaki sposób nas postrzegasz? Jesteśmy zaledwie czwórką nastolatków wkradających się do pradawnego lasu”.

Tuż za wejściem do jaskini był dziwnie cichy przedsionek. Jego ściany stanowiły ziemia, kamienie, korzenie i kreda, a wszystko to koloru włosów i skóry Adama. Blue dotknęła nieśmiało zwiniętej paproci, ostatniej rośliny leżącej w zasięgu światła słonecznego. Adam obracał głowę, nasłuchując, lecz dochodził do nich jedynie stłumiony, zwykły odgłos ich kroków.

Gansey włączył lampę na kasku. Ledwo przenikała mrok zwężającego się tunelu.

Któryś z chłopców lekko drżał. Blue nie wiedziała, czy to Adam, czy Ronan, ale czuła, że przywiązana do jej paska lina podryguje.

– Szkoda, że jednak nie zabraliśmy Noaha – odezwał się nagle Gansey. – Wchodzimy. Ronanie, nie zapominaj zostawiać po drodze znaczników kierunku. Liczymy na ciebie. Nie patrz tak na mnie. Przytaknij, jeśli rozumiesz. Dobrze. Wiesz co? Daj je Jane.

– Co? – Ronan zadał to pytanie tak, jakby został zdradzony.

Blue przyjęła znaczniki – plastikowe dyski z narysowanymi strzałkami. Nie zdawała sobie sprawy, jak jest zdenerwowana, dopóki nie znalazły się w jej dłoniach. Dobrze było otrzymać jakieś konkretne zadanie.

– Ronanie, chcę, żebyś gwizdał, nucił albo śpiewał. I pilnował upływu czasu – polecił Gansey.

– Chyba sobie jaja robisz – odparł Ronan. – Ze mnie.

Gansey spojrzał w głąb tunelu.

– Wiem, że znasz na pamięć wiele piosenek. I że potrafisz je za każdym razem wykonać z tą samą szybkością oraz w tym samym czasie. Musiałeś zapamiętać wszystkie melodie na konkursy muzyki irlandzkiej.

Blue i Adam popatrzyli na siebie z radością. Przyjemniejsze niż widok Ronana wywołanego do tablicy było wyobrażenie Ronana wywołanego do tablicy *oraz* zmuszonego do zaśpiewania irlandzkiej piosenki.

– Spadaj na drzewo – fuknął Ronan.

Gansey czekał niezrażony.

Ronan pokręcił głową, ale nagle, uśmiechając się złośliwie, zaczął śpiewać.

– I raz, i plask, i dwa, i plask, i...

– *Nie ta*– zaprotestowali jednocześnie Adam i Gansey.

– Nie zamierzam słuchać tego przez trzy godziny – dodał Adam.

Gansey wskazywał Ronana palcem, dopóki ten nie zaczął gwizdać rytmicznej melodii.

I ruszyli w głąb tunelu.

*Głębiej.*

Światło słońca zniknęło. Korzenie ustąpiły stalaktytom. Powietrze było wilgotne i znajome. Ściany lśniły niczym coś żywego. Od czasu do czasu Blue i reszta musieli przechodzić przez kałuże i strumyki, ponieważ wąska, nierówna ścieżka została wyżłobiona przez wodę, która kontynuowała swe dzieło.

Gdy Ronan kończył każde dziesiąte wykonanie irlandzkiej melodii, Blue zostawiała znacznik. Zapas w jej dłoni kurczył się i zastanawiała się, jak daleko zajdą i skąd będą wiedzieć, że są blisko. Trudno jej było uwierzyć, że tu na dole mógłby być ukryty król. Jeszcze trudniej było sobie wyobrazić, że była tam jej matka. Nie wyglądało to na miejsce do zamieszkiwania.

Uspokoila myśli. Żadnych trzęsień ziemi. Nic na nich nie pędziło.

Próbowała nie tęsknić za Maurą ani o niej myśleć, nie żywić fałszywych nadziei ani jej wołać. Ostatnią rzeczą, jaką by chciała, byłoby stworzenie dla niej przez Cabeswater kopii matki. Pragnęła bowiem tylko jej rzeczywistej. Pragnęła prawdy.

Robiło się coraz bardziej stromo. Już sam mrok był męczący. Blue tęskniła za światłem, za przestrzenią i niebem. Czuła się jak pogrzebana żywcem.

Adam poślizgnął się i przytrzymał, wystawiając rękę.

– Hej! – zawołała Blue. – Nie dotykaj ścian.

– Jaskiniowe zarazki? – spytał Ronan, przerywając gwizdanie.

– W ten sposób przeszkadza się narastać stalaktytom.

– Och, *doprawdy*...

– Ronan! – krzyknął Gansey od czoła kolumny, nie odwracając się.

Jego kanarkowy sweter w świetle latarek wydawał się jasnoszary.

Ronan zaczął na powrót gwizdać, ale Gansey zniknął.

– Co? – odezwał się Adam.

I nagle został przewrócony. Uderzył o ziemię i zaczął sunąć na boku, wczepiając się palcami we wszystko, co było po drodze.

Blue nie miała czasu uświadomić sobie, co to oznacza, gdy poczuła, jak Ronan chwycił ją z tyłu. Nagle lina u jej pasa napięła się mocno, grożąc przewróceniem i jej. Lynch zaparł się. Wpił się tak mocno palcami w ramiona Blue, że aż bolało.

Adam wciąż leżał, lecz przestał się zsuwać.

– Gansey?! – zawołał, a jego krzyk rozbrzmiał smętnie w rozciągającej się przed nimi przestrzeni. – Nic ci się nie stało?

Gansey nie tylko *zniknął* – on wpadł w dziurę.

„Jak to dobrze, że jesteśmy ze sobą związani” – pomyślała Blue.

Ronan wciąż ją ścisnął i czuła, jak jego ręce dygoczą. Nie wiedziała, czy to z powodu napiętych mięśni, czy z troski. Nawet przez chwilę się nie zawahał, by ją złapać.

„Nie mogę o tym zapomnieć”.

– Gansey? – powtórzył Adam i do jego głosu zakradło się coś straszliwego.

Tak mocno przykrył niepokój pewnością siebie, że było to aż sztuczne.

Trzy pociągnięcia. Blue poczuła, że docierają do niej poprzez Adama.

Adam z widoczną ulgą zanurzył twarz w błocie.

– Co się dzieje? – zapytał Ronan. – Gdzie on jest?

– Na pewno wisi – odparł Adam. Niepewność sprawiła, że akcent z Henrietty zjadał mu końcówki wyrazów. – Lina ciągnie mnie tak mocno, że niemal przecina na pół. Nie mogę się zbliżyć, by pomóc. Jest ślisko i jego ciężar by przeważył.

Uwolnwszy się z rąk Ronana, Blue ostrożnie zbliżyła się do miejsca, w którym *zniknął* Gansey. Lina pomiędzy nią a Adamem zwiotczała, jednak chłopak nie zbliżył się do otworu.

– Adamie, sądzę, że jeśli nie będziesz się ruszał, możesz stanowić przeciwwagę – powiedziała. – Ronanie, zostań tutaj. Jeśli coś się stanie i zacznę się zsuwać, możesz się zaprzec?

Lampa na głowie Ronana oświetliła błotnistą kolumnę. Przytaknął.

– Dobrze – oznajmiła. – Teraz podejść i zerknąć.

Przecisnęła się powoli obok Adama. Palcami wbijał się bezużytecznie w miękką ziemię przy swoim policzku.

Blue niemal wpadła w otwór.

Nic dziwnego, że Gansey go nie zauważył. Zobaczyła półkę skalną, a za nią... nic. Poświeciła tam i z powrotem lampą na kasku, lecz otaczała ją jedynie atramentowa czerń. Rozpadlina była zbyt szeroka, by dostrzec drugą stronę. Zbyt głęboka, by zobaczyć dno.

Widziała jednak linę bezpieczeństwa, ciemną od błota, prowadzącą do jamy. Blue zaświeciła latarką w mrok.

– Gansey?

– Tu jestem. – Głos Ganseya rozbrzmiał bliżej, niż się spodziewała. I ciszej, niż się spodziewała. – Ja tylko... Wydaje mi się, że mam atak

paniki.

– Ty masz atak paniki? Nowa zasada: przed nagłym zniknięciem wszyscy powinni cztery razy ciągnąć za linę. Złamałeś sobie coś?

Długa przerwa.

– Nie.

Coś w brzmieniu tej jednej sylaby dało wszystkim do zrozumienia, że rzeczywiście się bał.

Blue nie była pewna, czy pocieszenie jest jej mocną stroną, zwłaszcza gdy to ona go potrzebowała, ale spróbowała.

– Będzie dobrze. Jesteśmy tu porządnie zaparci. Musisz się tylko wspiąć. Nie spadniesz.

– Nie o to chodzi – rzekł niemal niesłyszalnie. – Mam coś na skórze i to mi przypomina...

Ucichł.

– Woda – podsunęła Blue. – Albo błoto. Jest wszędzie. Powiedz coś, żebym mogła wycelować w ciebie latarką.

Nie było słycać nic poza jego oddechem, urywanym i pełnym strachu. Blue znów zamiotła przed sobą światłem.

– Albo komary. Komary są wszędzie – odezwała się pogodnie.

Brak odpowiedzi.

– Istnieją ponad dwa tuziny jaskiniowych żuków – dodała. – Czytałam o tym, zanim tu przyjechaliśmy.

– Szerszenie – wyszeptał Gansey.

Ścisnęło jej się serce.

W przypiływie adrenaliny zaczęła się uspokajać: „Owszem, szerszenie mogą zabić Ganseya zaledwie jednym ukąszeniem, ale nie, w tej jaskini ich nie ma. I Gansey nie umrze dziś, ponieważ *widziała* jego ducha w dzień jego śmierci. Był wówczas w mokrym swetrze Aglionby, a nie w bojówkach i wesołym, żółtym swetrze w serek.

Wreszcie odnalazła Ganseya promieniem latarki. Zwiślał bezładnie w uprząży z pochyloną głową i dłońmi na uszach. Oświetliła jego opadnięte ramiona. Były zabłocone, lecz nie widziała na nich owadów.

Mogła znowu odetchnąć.

– Popatrz na mnie – poleciała. – Nie ma tu żadnych szerszeni.

– Wiem – mruknął. – To dlatego powiedziałem, że *wydaje* mi się, że mam atak paniki. *Wiem*, że nie ma tu szerszeni.

Nie mówił natomiast tego, co oboje wiedzieli: że Cableswater było bardzo uważnym słuchaczem.

Co oznaczało, że musiał przestać myśleć o szerszeniach.

– No dobra, teraz już mnie wkurzasz – przyznała Blue. – Adam



specjalnie dla ciebie leży z twarzą w błocie. Ronan wraca do domu.

Gansey roześmiał się bez cienia wesołości.

– Mów dalej, Jane.

– *Nie chcę*. Chcę tylko, żebyś złapał linę i podciągnął się, bo wiem, że możesz to zrobić. Co przyjdzie z tego, że będę *mówić*?

Podniósł na nią wzrok. Jego twarz była brudna i obca.

– Po prostu coś pode mną szeleści, a twój głos to zagłusza.

Po plecach Blue przebiegł paskudny dreszcz.

Cabeswater było uważnym słuchaczem.

– Ronanie! – zawołała cicho przez ramię. – Mamy nowy plan: Adam i ja wyciągniemy Ganseya bardzo szybko.

– Co?! To kurewsko kiepski pomysł – odrzekł Ronan. – Dlaczego tak mamy zrobić?

Blue nie chciała wypowiadać tego na głos.

Adam musiał jednak ją słyszeć, ponieważ powiedział cicho i wyraźnie:

– *Est aliquid in foramen*. Sam nie wiem. *Apis? Apibus? Forsitan*.

Łacina nie mogła ukryć niczego przed Cabeswater. Chciał jedynie oszczędzić Ganseya.

– Nie – powiedział Ronan. – Nie, nie ma. To nie to jest w dole.

Gansey zamknął oczy.

„Widziałam go – pomyślała Blue. – Widziałam jego ducha, gdy umarł, i miał na sobie coś innego. To nie stanie się w taki sposób. Nie teraz, później, później...”

– Nie – ciągnął głośniejszym głosem Ronan. – Słyszysz mnie, Cabeswater? Miałem być bezpieczny. Czym dla ciebie jesteśmy? Niczym? Jeśli pozwolisz mu umrzeć, nie będzie to *zapewnianiem bezpieczeństwa*. Rozumiesz? Jeśli oni zginą, ja również zginę.

Blue słyszała dobiegające z jamy brzęczenie.

– Zawarłem z tobą pakt, Cabeswater – odezwał się Adam głosem stłumionym przez błoto. – Jestem twoimi rękoma i oczyma. Jak myślisz, co zobaczę, jeśli on umrze?

Szelest przybrał na sile. Pochodził z wielu źródeł.

„To nie szerszenie – pomyślała Blue, bo tego pragnęła. – Czym dla ciebie jesteśmy, Cabeswater? Czym ja dla ciebie jestem?”

– Wzmocniliśmy linię mocy – odezwała się. – Wzmocniliśmy *ciebie*. I będziemy ci dalej pomagać, ale ty musisz pomóc nam...

Mrok, wznosząc się z głębin, pożarł promień jej latarki. Rozbrzmiały dźwięki. Słyszeć było brzęczenie, słyszeć było łopot skrzydeł. Wypełniały jamę, zasłaniając Ganseya.

– *Gansey!* – zawołała Blue, a może był to Adam albo Ronan.

Nagle coś uderzyło ją w twarz, a później jeszcze raz. Jakieś ciało odbiło się od ściany i od stropu. Promienie latarek na kaskach były pocięte na setki migoczących fragmentów.

Dźwięk skrzydeł. *Dźwięk.*

To nie szerszenie.

Nietoperze?

Nie.

*Kruki.*

Nie było to miejsce, w którym zwykle żyły kruki. I nie było to zwyczajne zachowanie kruków. Wylatywały jednak z rozpadliny pod *Ganseyem*. Wydawało się, jakby to stado nie miało końca. Blue miała niepokojące wrażenie, że zawsze tak było, że kruki krążyły wokół nich, muskając piórami jej policzki, drapiąc szponami kask. Nagle ptaki zaczęły krzyczeć. Ich wołania stawały się coraz bardziej melodyjne i wreszcie przekształciły się w słowa.

*Rex Corvus, parate Regis Corvi.*

*Król Kruków, zróbcie drogę dla Króla Kruków.*

W deszczu spadających piór ptaki skierowały się ku wylotowi jaskini. Blue wezbrało serce, tak *wielka* była ta chwila, tak niepodobna do innych.

Zaległa cisza, a przynajmniej żaden dźwięk nie przebijał się przez dudnienie serca Blue. W błocie obok Adama drżały pióra.

– Zaprzyjcie się – powiedział *Gansey*. – Wychodzę.

Adam Parrish był osamotniony.

Nie istnieje dobre przeciwieństwo *osamotnienia*. Można zaproponować *wieź* albo *zadowolenie*, ale te dwa słowa da się również definiować tak, że zupełnie nie będą do siebie przystawać, widać więc, iż idealne odzwierciedlenie *osamotnienia* nie jest możliwe. Nie znaczy ono tego samego co *samotność*, *sam* lub *samotny*, choć *osamotnienie* może zawierać w sobie wszystkie te słowa.

*Osamotnienie* oznacza stan, w którym jest się oddzielnie. Jest się innym.

Adam nie zawsze był sam, lecz zawsze był osamotniony. Nawet w grupie powoli doskonalił umiejętność trzymania się na uboczu. Było to prostsze, niż można się spodziewać, ponieważ reszta mu na to pozwalała. Wiedział, że stał się inny, odkąd w lecie dostroił się bardziej do linii mocy. Był sobą, lecz potężniejszym. Sobą, lecz mniej człowiekiem.

Na ich miejscu również w milczeniu by obserwował, jak się od nich odsuwa.

Tak było lepiej. Od dawna z nikim się nie kłócił. Od tygodni nie czuł złości.

Teraz, dzień po wyprawie do jaskini kruków, Adam wyjeżdżał swym małym, gównianym samochodem z Henrietty, aby wykonać zadanie dla Cabeswater. Przez podeszwy butów czuł powolny puls linii mocy. Jeśli się na nim nie skupiał, rytm jego serca podświadomie się do niego dostrajał. Było coś uspokajającego i jednocześnie niepokojącego w sposobie, w jaki linia się teraz z nim spletała. Nie potrafił już stwierdzić, czy moc jest jedynie potężnym przyjacielem, czy też stała się teraz *nim*.

Adam zerknął ostrożnie na wskaźnik paliwa. Uznał, że samochód zdoła wrócić, jeśli nie będzie musiał zapuścić się zbyt daleko w jesienne góry. Nie był jeszcze pewien, co miał zrobić dla Cabeswater. Potrzeby lasu docierały do niego w niespokojne noce i bolesne dnie, wyłaniając się powoli niczym coś wypływającego na powierzchnię jeziora. Obecne wrażenie – dręczące poczucie niepełności – nie było jeszcze w pełni jasne, lecz niedługo zaczynała się szkoła i Adam miał nadzieję uporać się

z zadaniem przed pierwszym dniem zajęć. Tego ranka wyłożył umywalkę folią aluminiową, napełnił ją wodą i wieszczył w poszukiwaniu wyjaśnień. Zdołał jedynie dostrzec niewyraźne miejsce.

„Reszta pojawi się, gdy znajdę się bliżej. Być może”.

Gdy jednak dojechał bliżej, myślami wciąż wracał do brzmienia głosu Ganseya w jaskini podczas wczorajszej wyprawy. Do słyszanego w nim drżenia. Strachu tak silnego, że Gansey nie mógł się zmusić do wyjścia z jamy, choć nie przeszkadzała mu w tym żadna fizyczna przeszkoda.

Nie wiedział, że Richard Gansey III był zdolny do tchórzostwa.

Adam przypomniał sobie, jak klęczał na podłodze kuchni w przyczepie swoich rodziców i przekonywał się, że powinien skorzystać z często powtarzanej przez Ganseya porady, by uciekł. „Adamie, włóż po prostu do samochodu wszystko, co ci potrzebne”.

Został jednak. Wisiał w jamie gniewu swego ojca. Również był tchórzem.

Adam czuł, że w świetle tej nowo zdobytej wiedzy musiał na nowo przeanalizować każdą rozmowę, jaką kiedykolwiek odbył z Ganseyem.

Gdy w polu widzenia pojawił się wjazd na drogę Skyline Drive, myśli chłopaka przeskoczyły na Cableswater. Adam nie był dotąd w parku narodowym, ale spędził całe życie w Henriecie, wiedział zatem, że rozciągał się on wzdłuż Pasma Błękitnego, z niemal nienaturalną precyzją podążając wedle linii mocy. Przed nim trzy pasy prowadziły do przysadzistych brązowych budek. Czekająca przed nimi krótka kolejka samochodów.

Odnalazł wzrokiem tablicę z opłatami. Nie zdawał sobie sprawy, że aby wjechać, musi zapłacić. Piętnaście dolarów.

Choć nie potrafił wskazać precyzyjnego położenia zadania dla Cableswater, był pewien, że leżało po drugiej stronie tych budek. Nie dało się wjechać inaczej.

Znał również zawartość swych kieszeni i nie mieściły one piętnastu dolarów.

„Mogę wrócić innego dnia”.

Był już zmęczony wybieraniem innej, tańszej drogi, przekładaniem rzeczy na kolejny dzień. Na dzień, gdy Gansey będzie mógł po nim posprzątać. To miało być coś, co zrobi sam, posługując się *własną* energią maga wpiętego w linię mocy.

Jednak linia nie mogła go przeprowadzić przez punkt poboru opłat.

Gdyby Gansey tu był, beztrudno wysypałby banknoty z wnętrza camaro. Nawet by się nad nimi nie zastanawiał.

„Pewnego dnia – pomyślał Adam. – Pewnego dnia”.

Stanął w kolejce i wyciągnął portfel. Gdy nie znalazł dość pieniędzy, zaczął szukać drobnych pod siedzeniami. W takiej chwili byłoby jednocześnie łatwiej i trudniej, gdyby towarzyszyli mu Gansey, Ronan oraz Blue. Powstałyby bowiem wówczas zobowiązania: oni zapewnialiby, że *nie musi* im oddawać, on zaś nalegałby, że owszem, *musi*.

Ponieważ jednak był tam tylko Adam, osamotniony Adam, spojrzął jedynie w ciszy na mizerną sumę, jaką udało mu się uzbierać.

12 dolarów i 38 centów.

Nie rozżłościł się. Nie było na kogo się złościć. Oparł jedynie na chwilę skroń o szybę od strony kierowcy, po czym wyjechał z kolejki i cofnął na pobocze, by zawrócić.

W tym momencie jego uwagę zwróciły inne czekające samochody. Dwa z nich niczym go nie zaskoczyły, ich obecność w tym miejscu była wręcz oczywista: minivan z młodą rodziną oraz sedan z roześmianą parą w wieku studenckim. Z trzecim autem było jednak inaczej. Pochodziło z wypożyczalni – chłopak widział naklejkę z kodem kreskowym w rogu przedniej szyby. Nie musiało to być nic dziwnego i w środku mógł po prostu siedzieć turysta chcący odwiedzić park narodowy. Na desce rozdzielczej Adam dostrzegł jednak urządzenie, które dobrze znał: czytnik częstotliwości elektromagnetycznej. Obok niego leżał inny sprzęt, ale Parrish nie był pewien jego przeznaczenia. Mógł to być geofon.

Z takich urządzeń Gansey i reszta korzystali podczas poszukiwań linii mocy. Dzięki nim odnaleźli Cabeswater.

Nagle Adam zamrugał i deska rozdzielcza samochodu okazała się pusta. Wcześniej też była pusta. Był to po prostu wypożyczony samochód ze znużoną rodziną w środku. Miesiąc wcześniej Adam nie zrozumiałby, dlaczego widzi rzeczy, które nie są rzeczywiste. Teraz jednak znał lepiej Cabeswater i wiedział, że to, co właśnie ujrzał, *było* rzeczywiste – tyle że w innym miejscu lub innym czasie.

Ktoś inny przybył do Henrietty w poszukiwaniu linii mocy.

Noże niśmy ejść dliny – powiedziała Blue – by sprawdzić, jak daleko biegnie.

– Jak daleko c o biegnie? – spytał Gansey. Odtworzył sobie jej słowa, ale wciąż nie miały sensu. – Lynch, ścisz to.

Minęło kilka dni od wycieczki do jaskini kruków i teraz grupa znajdowała się w drodze na lotnisko, by odebrać doktora Rogera Malory’ego, międzynarodowego eksperta od linii mocy i mentora Ganseya. Ronan rozparł się w fotelu pasażera. Adam kołysał się przy szybie z tyłu z ustami rozchylnymi w głębokim śnie osoby wyczerpanej. Blue siedziała za Ganseyem, ściskając jego zagłówek i starając się, by ją słyszał.

– Ten *samochód* – rozpaczała.

Gansey wiedział, że jego niezawodny i wielki SUV byłby znacznie logiczniejszym wyborem na tę wyprawę, ale chciał, by profesor jako pierwsze zobaczył stare camaro, a nie drogie auto. Camaro było symbolem osoby, jaką się stał, i ponad wszystko pragnął, by Malory uznał tę osobę za wartą odbycia podróży. Profesor nie miał w zwyczaju latać samolotem, lecz dla niego przeleciał niemal pięć tysięcy kilometrów. Gansey nie miał pojęcia, jak zrewanżować się za taką uprzejmość, zważywszy na okoliczności, w jakich opuścił Anglię.

– Powiedziałam, że może powinniśmy zejść do rozpadliny, którą odkryłeś. – Głos Blue zmagął się z silnikiem i wciąż drażniącą elektroniczną muzyką Ronana.

Wydawało się niemożliwe, że Adam może w takich warunkach spać.

– Ja po prostu... *Ronanie*. Uszy mi krwawią!

Ronan ściszył muzykę.

– Po prostu nie mogę sobie wyobrazić – podjął Gansey – dlaczego ludzie Glendowera zadawaliby sobie tyle trudu, by opuścić go do tego otworu. Po prostu nie potrafię, Jane.

Sama myśl o jamie sprawiała, że dawny jad brzęczał i palił go w gardle. Bez trudu przywołał obraz ozdobionych ostrzegawczymi paskami owadów chodzących po cienkiej skórze między jego palcami. Niemal zapomniał, jak przerażające i dziwnie kuszące było ponowne przeżywanie tej chwili.

„Patrz na drogę, Gansey”.

– Może to świeży otwór – zaproponowała. – Zapadnięty strop leżącej niżej groty.

– Jeśli to prawda, to musimy przedostać się *przez* nią, nie *do* niej. Ronan i ja musielibyśmy pełzać po ścianach jak pająki. Chyba że ty i Adam macie doświadczenie wspinaczkowe, o którym nie wiem.

Samochód zbliżał się do Waszyngtonu. Granat nieba złągodniał. Droga międzystanowa stała się szersza i wyrosły na niej barierki na poboczach, sygnalizacja świetlna, liczne bmw oraz taksówki lotniskowe. W lusterku wstecznym Gansey widział twarz Blue. Jej szeroko otwarte oczy dostrzegły nagle coś i dziewczyna obróciła się, by spojrzeć przez okno, zupełnie jakby znalazła się w innym miejscu.

Poniekąd tak było. Gansey, jak zawsze, był niechętnie wracającym emigrantem. Poczuł kłujące pragnienie ucieczki i to go zaskoczyło. Minęło już wiele czasu.

– Ronan mógłby wyśnić dla nas most – rzekła Blue.

Ronan wydał z siebie dźwięk wyrażający pełną godności pogardę.

– Nie pryčaj na mnie! Powiedz mi, dlaczego nie. Jesteś magiczną istotą. Dlaczego nie możesz czynić magii?

– Przede wszystkim – zaczął Ronan z cierpką precyzją – musiałbym spać tuż przy jamie, ponieważ aby wyciągnąć coś ze snu, muszę tego dotykać. I musiałbym wiedzieć, co jest po drugiej stronie, żeby wykonać jakiś most. Nawet gdyby mi się to wszystko udało, wyciągnięcie czegoś tak dużego ze snu wyczerpałoby linię mocy, zapewne sprawiając, że Cabeswater znów by zniknęło, tym razem z nami w środku, wysyłając nas wszystkich za siedem gór, do jakiegoś czasoprzestrzennego pierdolstwa, z którego moglibyśmy nigdy nie uciec. Po wydarzeniach z lata uznałem to za oczywiste, dlatego też podsumowałem to wszystko w taki sposób...

Ronan powtórzył dźwięk wyrażający pełną godności pogardę.

– Dziękuję ci za bardzo pomocne alternatywne propozycje, Ronanie Lynchu. Gdy skończy się świat, twój wkład zostanie odpowiednio odnotowany – powiedziała Blue. Obróciła się z powrotem do Ganseya i zapytała z naciskiem: – Zatem co teraz? To musi być ważne, inaczej Cabeswater by nam tego nie pokazało.

„Przy założeniu – pomyślał Gansey – że priorytety Cabeswater są takie same jak nasze”.

– Znajdziemy inną drogę – powiedział na głos. – Taką, która zaprowadzi nas na drugą stronę tego otworu. Ponieważ nie jest to zwyczajna jaskinia i wszystko to jest powiązane z linią mocy, Malory



może nam pomóc.

Nie mógł uwierzyć, że Malory naprawdę tu był. Spędził kiedyś z profesorem niemal cały rok, przebywając w jednym miejscu dłużej niż kiedykolwiek, i zaczynał czuć się tak, jakby już od zawsze szukał. Teraz prowadził poszukiwania w zwięzającym się grobowcu i gdzieś w tym ogromnym mroku znajdowali się Glendower oraz koniec.

Gansey czuł się dziwnie. Jakby czas toczył się naprzód z nierówną prędkością.

W lusterku wstecznym dostrzegł niebieskie oczy Blue. Co dziwne, na jej twarzy odzwierciedlały się jego emocje: podniecenie i konsternacja. Od niechcienia, poza zasięgiem wzroku Ronana, i po upewnieniu się, że Adam wciąż śpi, Gansey poruszył dłonią pomiędzy fotelem kierowcy a drzwiami. Grzbietem do góry, z palcami w stronę dziewczyny.

To nie było dozwolone.

Wiedział o tym, ponieważ sam ustanowił te zasady. Nie pozwalał sobie na faworyzowanie Adama ani Ronana, zatem on i Blue również nie mogli faworyzować siebie. Sądził, że i tak nie zauważy tego gestu. A jeśli zauważy, to go zignoruje. Nagle jego serce zaśpiewało.

Blue dotknęła opuszek jego palców.

Tylko to...

Ścisnął leciutko jej palce, zaledwie na chwilę, po czym cofnął dłoń i położył ją z powrotem na kierownicy. W piersi czuł ciepło.

To nie było dozwolone.

Ronan nic nie widział, Adam wciąż spał. Jedynym świadkiem był jego puls.

– Nasz zjazd, durniu! – warknął Ronan.

Gansey szybko skręcił. Adam zamrugał, wybudzając się. Ronan zaklął. Ganseyowi zresetowało się serce.

„Patrz na drogę, Gansey”.

Na lotnisku profesor nie czekał zgodnie z ustaleniami w miejscu odbioru pasażerów, nie odbierał też telefonu. Znaleźli go siedzącego przy taśmie bagażowej, w pobliżu rozmawiających osób, sterty bagaży oraz służbowego psa, który wyglądał na zdenerwowanego. Malory wyglądał tak samo, jak Gansey go zapamiętał. Kojarzył się trochę z zółciem i miał drugi podbródek. Jego nos i uszy wydawały się niewprawnie odlane z gumy. Półokrągłe worki pod oczyma idealnie pasowały do zaokrąglonych brwi. Wyglądał na zdeorientowanego.

– Panie Malory – zaczął Gansey pogodnie.

– O Boże – mruknął Ronan pod nosem. – Jest taki *stary*.

Adam szturchnął Ronana, oszczędzając Ganseyowi fatygi.

– Gansey – ucieszył się Malory, ściskając mu dłoń. – Co za ulga.  
– Bardzo przepraszam, że musiał pan czekać. Dzwoniłem!  
– Mój cholerny telefon. Baterie w tych wynalazkach są do niczego. To jakiś spisek, by nam coś sprzedać. Zapewne lekarstwa na nadciśnienie. Samoloty zawsze są takie? Tak pełne *ludzi*?

– Obawiam się, że tak – przyznał Gansey. Kątem oka zauważył, że Adam przygląda się Malory’emu w nie do końca *Adamowy* sposób, czyli z przekrzywioną głową i w swoistym zadumanym skupieniu. – Dokonam prezentacji – pospieszył z lekkim zmieszaniem. – Oto moi przyjaciele: Ronan, Adam Parrish i Jane.

Na twarzy Adama pojawiła się Adamowa koncentracja. Chłopak zamrugał do Ganseya.

– Blue – sprostowała Blue.

– Och tak, twoje oczy są bardzo niebieskie – zgodził się Malory. – Jesteś niezwykle spostrzegawcza. Jak brzmiało twoje imię? Jane? To ty jesteś tą damą, z którą rozmawiałem przez telefon parę miesięcy temu, prawda? Ależ ona jest mała. Czy skończyłaś już rosnać?

– *Słucham?! –* wypaliła Blue.

Gansey uznał, że czas zabrać Malory’ego z terminalu.

– Która torba jest pańska?

– Wszystkie – odparł Malory z poczuciem winy w głosie.

Ronan starał się wymownie ściągnąć na siebie wzrok Ganseya, ten jednak mu na to nie pozwalał. Gdy nastolatki zebrali bagaże, podniósł się pies.

– Czekaaj, kolego – powiedziała uwielbiająca wszystkie psy Blue. – Ty zostajesz tutaj.

– Ależ nie – zaprotestował Malory. – Pies jest mój.

Przyjrzeni się Psu. Miał na sobie porządną niebieską kamizelkę, która wskazywała na jego użyteczność, nie zdradzając dalszych szczegółów.

– W porządku – rzekł Gansey.

Uniknął kolejnego znaczącego spojrzenia ze strony Ronana. Zatrzymali się przy krawężniku na zewnątrz, by Malory mógł zdjąć Psu kamizelkę, po czym obserwowali, jak Pies ulżył sobie pod znakiem przystanku busa podwożącego pasażerów do wypożyczalni samochodów.

– Do czego on jest? – spytał Ronan.

Żółwie usta Malory’ego bardzo się zwięziły.

– To pies służbowy.

– W jakim charakterze służy?

– Że co proszę? – zdziwił się Malory.

Gansey uniknął trzeciego wymownego spojrzenia ze strony Adama i Malory'ego.

Dotarli do samochodu, który nie stał się większy, odkąd weszli do terminalu. Gansey nie lubił tak bezpośrednich konfrontacji z konsekwencjami swych kaprysów.

„Panie i panowie, moja dzisiejsza sztuczka będzie polegała na wzięciu camaro z 1973...”.

Gansey wyciągnął koło zapasowe z bagażnika i zostawił je przy latarni. Oto cena wizyty Malory'ego.

„...i zmieszczeniu do niego pięciu osób, psa oraz cholernie wielu bagaży”.

Po wykonaniu magicznej sztuczki usiadł w fotelu kierowcy. Pies dyszał z niepokojem. Gansey mógł się z nim utożsamiać.

– Mogę go pogłaskać? – spytała Blue.

– Tak – odparł Malory – ale nie spodoba mu się to. Jest bardzo nerwowy.

Gdy wracali na szosę międzystanową, Gansey pozwolił, by Blue wymieniła z nim znaczące spojrzenie w lusterku wstecznym.

– Posiłek w samolocie był ohydny. To niezwykle, że personel nie zmarł jeszcze z powodu wrzodów żołądka – poskarżył się Malory. Tak gwałtownie walnął Ganseya w ramię, że chłopak i Pies podskoczyli z zaskoczenia. – Czy wiesz cokolwiek o draperii, która została utracona na rzecz Anglików pod Mawddwy?

– Draperii? Hmm. *Hmm*. Były na niej kobiety o czerwonych dłoniach? Wydawało mi się, że uznali, iż to flaga – rzekł Gansey.

– Tak, tak, o to chodzi. *Jesteś dobry!*

Gansey pomyślał, że wcale nie jest lepszy, niż można by się spodziewać po siedmiu latach dość monotematycznych studiów, ale docenił uznanie. Podniósł głos, by włączyć do rozmowy również pasażerów tylnego siedzenia.

– To zresztą jest bardzo interesujące. Anglicy ścigali część ludzi Glendowera i choć tamci uciekli, w ręce Anglików dostała się wiekowa draperia. Czy tam flaga, nieistotne. Czerwone dłonie są ciekawe, ponieważ są powiązane z mitycznym tytułem Mab Darogan. Otrzymywali go tacy ludzie, jak: król Artur, Llywelyn Wielki oraz oczywiście Owain Lawgoch.

– Oczywiście – powtórzył Ronan z sarkazmem. – Oczywiście Owain Lawgoch.

– Nie bądź takim dupkiem – mruknął Adam.

– Kończyc nam się pas – zauważyła Blue.

– Owszem – przyznał Gansey, zjeżdżając na sąsiedni. – A wracając do kwestii, Mab Darogan to swoisty walijski „Syn Przeznaczenia”.

– Można za to winić poetów – wtrącił Malory. – Łatwiej jest nakłonić ludzi do powstania, jeśli sądzą, że po ich stronie jest jakiś półbóg czy wybraniec. Nigdy nie ufajcie poetom. Oni...

– Flaga została zniszczona, prawda? – wszedł mu w słowo Gansey. – Och, przepraszam, nie chciałem panu przerywać.

– Nic się nie stało – odparł Malory, jakby rzeczywiście nic się nie stało. Właśnie to – wyciąganie nitki z ciasnego splotu historii – było ich płaszczyzną porozumienia. Gansey poczuł ulgę, uświadamiając sobie, że ich relacja nie ucierpiała. Po prostu była zbudowana na zupełnie innych fundamentach niż więź z ludźmi przebywającymi obecnie na tylnym siedzeniu. Przemknęła obok nich honda, której pasażerowie pokazywali Ganseyowi środkowy palec. Profesor kontynuował: – Istotnie była uważana za zniszczoną. A raczej powtórnie wykorzystaną. Skidmore napisał, że została przerobiona na koszule nocne dla Henryka IV, choć nie udało mi się znaleźć *tego* źródła.

– Koszule nocne! – powtórzyła Blue. – Dlaczego *koszule nocne*?

– Aby sromota okazała się jak największa – wyjaśnił Gansey.

– Gansey, nikt nie wie, co znaczy *sromota* – mruknął Adam.

– Hańba – podsunął Malory. – Pozbawienie godności. Czyli coś jak podróż lotnicza. Okazało się jednak, że draperia została na nowo odkryta w zeszłym tygodniu.

– Żartuje pan! – Gansey aż gwałtownie skrzywił.

– Jest w okropnym stanie. Jak doskonale wiecie, tekstylia nie zachowują się dobrze. I minęła wieczność, zanim domyślono się, co to jest. A teraz... A teraz pojedź tym zjazdem, Gansey, żebym mógł wam coś pokazać. Tak się ciekawie złożyło, że draperię odnaleziono pod stodołą w Kirtling. Powódź wyryła głębokie koryto w wierzchniej warstwie gleby, które odsłoniło skraj starszego fundamentu. Usunięto wiele metrów ziemi.

– I woda nie zniszczyła flagi? – spytał Adam.

Profesor obrócił się do tyłu.

– Doskonałe pytanie! Kaprysem fizyki woda nie wypełniła fundamentów, lecz zamiast tego skierowała się odrębnym biegiem lekko w górę wzgórza! Odpowiedź na wasze niezadane pytanie brzmi: tak! Stodoła znajdowała się na linii mocy.

– Właśnie o to zamierzałem zapytać – wyznał Ronan.

– Ronanie, nie bądź takim dupkiem – poleciła mu Blue.

Zajeżdżając na parking przy zapuszczonej stacji benzynowej, Gansey

w rogu lusterka wsteczny wychwyił śmiejącego się Adama. Malory wydobył skądś na sobie stary aparat cyfrowy i teraz przeglądał na nim zdjęcia.

– O powódź obwiniają teraz oberwanie chmury czy coś takiego. Ludzie, którzy tam *byli*, twierdzą jednak, że to się stało, ponieważ ściany stodoły płakały.

– Płakały! – wykrzyknęła Blue.

Trudno stwierdzić, czy była przerażona, czy zachwycona.

– A pan w co wierzy? – spytał Gansey.

W odpowiedzi Malory podał mu aparat. Gansey spojrzął na ekran.

– Och – westchnął.

Na fotografii widniała mocno zniszczona tkanina, na której namalowano trzy kobiety, każdą w prostym ubiorze na długo sprzed czasów Glendowera. Stały w identycznych pozach, z krwistoczerwonymi dłońmi, zwiastując nadejście Mab Darogan.

Wszystkie miały twarz Blue Sargent.

„Niemożliwe”.

Nie. Obecnie nic nie było niemożliwe. Powiększył zdjęcie, by detale stały się lepiej widoczne. Spoglądały na niego szeroko otwarte oczy Blue. Owszem, stylizowane, ale mimo to podobieństwo było niezaprzeczalne: widział powątpiewające brwi Blue i jej zaciekawione usta. Przycisnął zgięty palec do warg, a w uszach brzęczały mu szerszenie.

Już od dawna nie czuł się równie przytłoczony wrażeniami jak w tej chwili. W głowie słyszał wspomnienie głosu z chwili, gdy zostało mu uratowane życie. „Będiesz żył dzięki Glendowerowi. Ktoś inny na linii mocy umiera, choć nie powinien, a ty będziesz żył, choć nie powinieneś”. Był wypełniony pragnieniem ujrzenia Glendowera, dotknięcia jego dłoni, ukłęknięcia przed nim, podziękowania mu, stania się nim.

Z tyłu poczuł dłonie, nie wiedział czyje. Pozwolił im wziąć aparat.

Blue bąknęła coś, czego nie usłyszał.

– Ona wygląda jak ty – wymruczał Adam.

– Która?

– Wszystkie.

– O kurwa – wyrwało się Ronanowi słowo, które przyszło na myśl wszystkim.

– Fotografia jest taka wyraźna – rzekł w końcu Gansey. – Jakość jest niesamowita.

– Ależ oczywiście – zgodził się Malory. – Nie rozumiecie? To stodoła

koło mojej wakacyjnej chaty. To ja widziałem łyzy. To moja ekipa odnalazła draperię.

Gansey starał się połączyć wszystkie elementy.

– Skąd pan wiedział, żeby tam szukać?

– I właśnie w tym sęk, Gansey. Niczego nie szukałem. Byłem na zdecydowanie zasłużonych wakacjach. Po tym lecie, po zmaganiach z tym paskudnym Simmonsem z sąsiedztwa w kwestii ohydnych ścieków, desperacko pragnąłem wyjechać na jakiś czas. Zapewniam was, że moja obecność w Kirtling była zbiegiem okoliczności.

– Zbiegiem okoliczności –powtórzył z powątpiewaniem Adam.

O co w tym wszystkim chodziło? Gansey był pełen oczekiwania i strachu. Ta sytuacja była niczym czarna jama w jaskini – nie widział ani dna, ani przeciwległej krawędzi.

– Muszę przyznać, Gansey – rzekł pogodnie Malory – że z podekscytowaniem podchodzę do perspektywy poznania waszej linii mocy.

Tej nocy Blue nie mogła spać. Wciąż czekała na odgłos dzwonka przy drzwiach frontowych. Jakaś głęboko ukryta, niemądra część jej umysłu nie mogła uwierzyć, że matka nie wróci przed porannym rozpoczęciem szkoły. Maura zawsze miała na wszystko odpowiedź, nawet jeśli nie była prawdziwa, i Blue brała za pewnik to, że matka pozostanie stałym elementem rzeczywistości, nawet gdy wszystko inne wywróci się do góry nogami.

Tęskniła za nią.

Przeszła do przedpokoju i nasłuchiwała. Na zewnątrz Orla przeprowadzała nocne oczyszczanie czakry z kilkoma gorliwymi klientami. Na dole Calla gniewnie oglądała w samotności telewizję. Na swoim piętrze nic nie słyszała, zupełnie nic, gdy nagle z pokoju Persefony na końcu korytarza dobiegł szereg krótkich, zdecydowanych sapnięć.

– Skoro chcesz – odezwała się Persefona swoim cieniutkim głosem, gdy dziewczyna zapukała.

W środku światło lampy sięgało tylko do lichego małego biurka oraz krańca wysokiego, staroświeckiego, podwójnego łóżka. Persefona siedziała ze skrzyżowanymi nogami w wiktoriańskim fotelu, a samotna żarówka podświetlała na złoto obłok jej loków. Pracowała zawzięcie nad przeróbką starego swetra.

Gdy Blue wdrapała się na zdezelowany materac, kilka szpilek nici popędziło ku jej bosym stopom. Naciągnęła za dużą koszulkę na kolana i przez kilka minut obserwowała Persefonę. Wyglądało na to, że kobieta wydłużała rękawy, doszywając do nich niepasujące mankiety. Co jakiś czas wzdychała, jakby była zła na siebie lub na sweter.

– To twoje? – spytała Blue.

– Co jest moje? – Persefona podążyła za jej wzrokiem ku swetrowi. – Ach. Ach, nie. To znaczy, kiedyś był mój. Dawno. Widzisz jednak, że go przerabiam.

– Dla kogoś z wyjątkowo długimi rękoma?

Persefona podniosła sweter, by sprawdzić, czy rzeczywiście tak jest.

– Owszem.

Blue powoli ułożyła nici na łóżku obok siebie, według koloru.

– Sądziś, że mama poszła szukać Kabaczka?

– Twojego ojca, Artemusa – sprostowała Persefona. Czy też raczej wyjaśniła. Kabaczek nie był imieniem ojca Blue, a pseudonimem nadanym mu przez Maurę w Dawnych Czasach. – Sądzę, że to nadmierne uproszczenie. Ale tak, to jeden z powodów, dla których poszła.

– Myślałam, że leci na pana Szarego.

Persefona się zastanowiła.

– Problem z twoją matką polega na tym, że lubi dotykać rzeczy. Powiedziałyśmy jej, że Artemus należy do przeszłości. Podjął decyzję na długo przed tobą, mówiłam jej. Ale nie, musiała dalej tego dotykać! Jak można oczekiwać, że coś się wyleczy, jeśli ciągle się to *maca*?

– A więc... ona... poszła... po... niego?

– Och, nie! – zaprzeczyła Persefona z cichym śmiechem. – Nie sądę, nie. Jak sama to określiłaś, leci na pana Szarego. Czy młodzi naprawdę ciągle tak mówią?

– Właśnie tak powiedziałam. Jestem młoda.

– Poniekąd.

– Pytasz mnie czy nie? Albo akceptujesz mój autorytet w tej kwestii, albo przechodzimy dalej.

– Przechodzimy dalej. Ale chyba rozumiesz, że jeśli chce go szukać, decyzja należy do niej. Nigdy nie ma okazji być sama, a to jest jej szansa na parę chwil na osobności.

Maura nie wydawała się Blue osobą potrzebującą *chwil na osobności*, ale może właśnie w tym był problem.

– A więc mówisz, że nie powinniśmy jej szukać.

– Skąd mam to wiedzieć?

– Jesteś jasnowidzką! Bierzesz od ludzi pieniądze za odczytywanie przyszłości! Zaglądasz im w przyszłość!

Persefona krzyżowała z Blue spojrzenie swych zupełnie czarnych oczu, dopóki dziewczyna nie zaczęła lekko żałować swojego wybuchu. Po chwili kobieta powiedziała:

– Maura poszła do Cableswater. To nie jest przyszłość. Poza tym, gdyby potrzebowała pomocy, poprosiłaby o nią. Zapewne.

– Gdybym ci zapłaciła – rzekła Blue groźnie – w tym momencie domagałabym się zwrotu pieniędzy.

– Dobrze zatem, że mi nie zapłaciłaś. Jak oceniasz, są równe? – Persefona uniosła sweter.

Oba rękawy były do siebie zupełnie niepodobne.

Wydawszy z siebie dość gwałtowne fuknięcie, Blue zeskoczyła



z łóżka i wypadła z pokoju. Idąc korytarzem, słyszała wołanie Persefony:  
– Sen jest pożywką dla umysłu!

Blue była niepokieszona. Zupełnie nie czuła, jakby odbyła sensowną wymianę zdań z człowiekiem.

Zamiast udać się do swojej sypialni, zakradła się do ciemnego pokoju telefonicznego/krawieckiego/kocięgo i usiadła po turecku przy aparacie parapsychologicznej gorącej linii. Przez uchylone okno dostawało się chłodne powietrze. Przedzierające się przez listowie światło latarni rzucało znajome, żywe cienie na pojemniki z materiałami krawieckimi. Blue chwyciła poduszkę z krzesła, położyła ją na pokrytych gęsią skórą nogach i złapała słuchawkę. Przez chwilę słuchała, by upewnić się, że z drugiej strony dobiega odgłos oczekującej linii, a nie jakaś parapsychologiczna aktywność.

Następnie zadzwoniła do Ganseya.

Rozległy się dwa, trzy sygnały, a potem:

– Halo? – Jego głos brzmiał jak u zwyczajnego chłopca.

– Obudziłam cię? – spytała Blue.

Wyobraziła sobie, jak Gansey maca wokół siebie, a następnie zakłada swoje okulary w drucianych oprawkach.

– Nie – skłamał. – Nie spałem.

– I tak zresztą zadzwoniłam do ciebie przez pomyłkę. Zamierzałam telefonować do Kongresu, ale twój numer różni się jedną cyfrą.

– Naprawdę?

– Tak, bo w twoim jest 6-6-5. – Przerwała na chwilę. – Łapiesz?

– Co?

– 6-6-5. Różni się jedną cyfrą. *Łapiesz?*

– Taa, chyba łapię. – Milczał przez chwilę, po czym usłyszała jego oddech. – Nie wiedziałem, że potrafisz dzwonić do piekła.

– Można tam dzwonić – potwierdziła Blue. – Rzecz w tym, że nie można dzwonić *stamtąd*.

– Myślę jednak, że można wysyłać listy.

– Ale zawsze jest za mało znaczków.

– Są faksy – poprawił się Gansey. – Uznaj, że nie mówiłem o listach.

*Faksy są zabawniejsze.*

Blue zaśmiała się w poduszkę.

– No dobrze, to już wszystko.

– Co wszystko?

– Wszystko, co miałam do powiedzenia.

– Sporo się nauczyłem. Cieszę się, że pomyliłaś numer.

– Łatwo popełnić tę pomyłkę – rzekła. – Może zdarzy mi się to

ponownie.

Długie, długie milczenie. Otworzyła usta, by je przerwać, lecz zmieniła zdanie. Znow drżała, choć z poduszką na nogach nie było jej już zimno.

– Nie powinno – powiedział Gansey. – Ale mam nadzieję, że tak się stanie.

Następnego ranka Gansey i Malory pojechali zbadać linię mocy. Adam zgodził się do nich przyłączyć, co zdziwiło Ganseya. Nie chodziło o to, że się ze sobą kłócili, a raczej... że się *nie* kłócili. Nie rozmawiali. Nic nie robili ze sobą. Gansey wciąż podążał tą samą drogą co zwykle, Adam zaś zjechał na inną.

Przez chwilę kierowali się jednak w tę samą stronę. Mieli cel: odnaleźć inne wejście do jaskini kruków. Mieli metodę: odtworzyć posunięcia z poprzednich poszukiwań linii mocy. Mieli wreszcie zasoby: Rogera Malory'ego.

Pora roku była świetna na wyjazd za miasto. Henrietta i jej okolice były niczym paleta kolorów. Zielone łąki, złote pola kukurydzy, żółte platany, pomarańczowe dęby, barwinkowe góry, modre bezchmurne niebo. Świeżo utwardzona czarna droga wiła się niczym wąż i wydawała się pociągająca. Powietrze było rześkie, przyjemne i zachęcające do działania.

Przemieszczali się szybko, dopóki uwaga Malory'ego nie zatrzymała się na ich czwartym postoju tego ranka: na paśmie Massanutten. Nie była to zbyt mistyczna lokalizacja. Ze wszystkich stron pączkowały wioski, a szczyt wieńczył ośrodek narciarski. Według Ganseya było to miejsce prostackie, dla turystów i studentów, lecz gdyby wypowiedział to na głos, Adam natychmiast przegryzłby mu gardło za wywyższanie się.

Stali we trójkę tuż przy drodze, unikając spojrzeń zwalnających kierowców. Malory garbił się nad swoim trójnogiem, pouczając Adama lub siebie:

– Procedura polowania na linie jest zupełnie inna w Stanach! W Anglii prawdziwa linia musi mieć co dwie mile przynajmniej jeden odpowiednio ustawiony element: kościół, kurhan, obelisk. Inaczej jest uważana za przypadkową. Jednak oczywiście tutaj, w koloniach – obydwaj chłopcy uśmiechnęli się uprzejmie – wszystko jest znacznie bardziej oddalone. Co więcej, nigdy nie mieliście Rzymian, którzy budowaliby wam wszystko w cudownie prostych liniach. Szkoda. Można za nimi tęsknić.

– Ja *naprawdę* tęsknię za Rzymianami. – Gansey powiedział to tylko

dlatego, by ujrzeć uśmiech Adama.

Nie zawiódł się.

Malory ustawił teodolit na przerwę w drzewach, w kierunku rozciągającej się w dole rozwartej doliny.

– I choć wasza linia jest teraz przebudzona i pełna energii, druga linia, której szukamy dzisiaj, nie... Przekleństwo!

Potknął się o Psa.

Pies popatrzył na Malory'ego. Jego pysk mówił: *przekleństwo!*

– Podaj mi ołówek. – Malory wziął ołówek od Adama i zaznaczył coś na mapie. – Idź usiąść w samochodzie!

– Słucham? – Adam spytał grzecznie, lecz z osłupieniem.

– Nie ty! Pies!

Pies wycofał się z nadąsaną miną. Kierowca kolejnego samochodu zwolnił, by się im lepiej przyjrzeć. Malory pomrukiwał do siebie. Adam stukał palcem o nadgarstek gestem, który wydawał się niepokojący i obcy. Wokół nich brzęczały owady, jakieś skrzydełka otarły się nawet Ganseyowi o policzki.

„Może to pszczoła. Za minutę mogę leżeć martwy, na poboczu tej drogi, zanim Malory wyciągnie swoją komórkę z samochodu, zanim Adam uświadomi sobie, co się dzieje”.

Nie pacnął owada. Ten odleciał, lecz serce chłopaka wciąż dudniło.

– Proszę opowiedzieć mi, co pan robi – rzekł Gansey, po czym się poprawił: – *Nam*. Proszę nam opowiedzieć.

– Wasza jaskinia jest powiązana z linią mocy – Malory przybrał belferski ton – i nie posiada stałej lokalizacji. Skoro zatem szukamy łączącej się z nią jaskini, nie ma sensu szukać zwyczajnych wejść. Nadawać się będzie jedynie wejście leżące na linii mocy. A ponieważ wasza mapa sugeruje, że przemieszczaliście się prostopadle do linii zamiast wzdłuż niej, uważam, że cała sieć jaskiń leży na więcej niż jednej linii. Poszukujemy więc skrzyżowania! Powiedz mi, co to jest?

Wskazał coś na jednej z map, którą młodszy Gansey opatrzył licznymi notatkami. Starszy Gansey uniósł palec Malory'ego, by pod niego zajrzeć.

– Spruce Knob. Najwyższy szczyt w Wirginii Zachodniej. Ma chyba koło tysiąca pięciuset metrów.

– Najwyższy szczyt w Wirginii? – powtórzył Malory.

– Zachodniej – dopowiedzieli jednocześnie Gansey i Adam.

– Wirginii *Zachodniej* – powiedział jeszcze raz Gansey, starannie unikając kontaktu wzrokowego z kolejnym zwalnającym kierowcą. – Jakies sto kilometrów na zachód stąd. Może sto dziesięć.

Malory przejechał palcem wzdłuż jednej z licznych, krótkich, podkreślonych dróg.

– A to?

– Cooper Mountain.

– A ta notka? – Malory postukał w mapę. – Grobowiec Olbrzyma?

– To inna nazwa góry.

– Ciekawa nazwa jak na nowy świat – rzekł profesor, unosząc krzaczaste brwi.

Gansey przypomniał sobie, jaki był podekscytowany, gdy poznał dawne określenie Cooper Mountain. Czuł się jak wytrwale pracujący detektyw, gdy natknął się na nią w starym dokumencie sądowym, a jeszcze większego dreszczyku emocji doznał, gdy odkrył, że i sama góra jest dość dziwaczna, stoi bowiem samotnie na środku nachylonego pola, trzy kilometry od głównego pasma górskiego.

– Co w niej takiego interesującego? – spytał Adam.

– W brytyjskiej mitologii królowie byli często olbrzymami – wyjaśnił Gansey. – Wiele brytyjskich miejsc powiązanych z królami ma w sobie słowo *olbrzym* lub jest *olbrzymiego* rozmiaru. W Walii jest taka góra, jak się... Idris? Doktorze Malory, proszę o pomoc.

Malory cmoknął.

– Cadair Idris.

– Zgadza się. Można to przetłumaczyć jako krzesło Idrisa, który był królem i olbrzymem, a więc krzesło w górach również ma olbrzymi rozmiar. Otrzymałem zezwolenie, by wejść na Grobowiec Olbrzyma, bo słyszałem pogłoski, że są tam grobowce Indian, ale nie udało mi się ich znaleźć. Jaskini również nie.

– A tutaj? – Palec Malory’ego sunął dalej po podkreślonej linii.

– Krecie Wzgórze. Kiedyś było wulkanem. Leży w środku płaskiego pola. Tam również nie ma jaskini, za to roi się od studentów geologii.

Malory postukał w ostatnie miejsce na mapie.

– A to my, prawda? Mass-a-nut-ten. Ach, co za linia. Czekałem całe życie, by zobaczyć coś takiego. Niezwykła! Powiedz, pewnie inni też tu się kręcą i ją sondują?

– Tak – odparł natychmiast Adam.

Gansey popatrzył na niego. Jego *tak* nie pozostawiało miejsca na wątpliwości. Było nie oznaką paranoi, lecz efektem obserwacji.

– Z powodu pana Szarego – dodał Adam cichszym głosem dla Ganseya, nie dla Malory’ego.

Oczywiście. Pan Szary przyjechał w poszukiwaniu magicznej przesyłki, a gdy nie dostarczył jej swemu pracodawcy, Colinowi

Greenmantle'owi, ten zalał miasteczko ludźmi szukającymi Szarego. Niemądrze byłoby sądzić, że wszyscy odjechali.

Gansey wolał być niemądry.

– Nic zaskakującego! – stwierdził Malory. Poklepał Ganseya po ramieniu. – Na szczęście dla was ten młodzieniec ma lepszy słuch niż wielu innych. Usłyszy króla na długo przed tym, gdy ktokolwiek w ogóle pomyśli, by zacząć nasłuchiwać. A teraz zmykajmy jak najszybciej z tego prostackiego miejsca. Tutaj! Do Spruce Knob. Przez dwa inne pagórki.

Starym zwyczajem Malory wsiadł do SUV-a i czekał, aż Gansey zbierze teodolit, odbiornik GPS oraz niwelator laserowy. Adam wszedł trochę głębiej w las, by się wysikać. Gansey zawsze żałował, że ma zbyt duże zahamowania, by zrobić podobnie.

– Cieszę się, że się nie kłócimy – rzekł nagle Adam po powrocie. – To głupie, że zajęło nam to tyle czasu.

– Tak – zgodził się Gansey, starając się, by w jego głosie nie zabrzmiały ulga, wyczerpanie ani przyjemność.

Bał się powiedzieć zbyt wiele i zniszczyć tę chwilę, która już wydawała się nierzeczywista.

– I ta sprawa z Blue – ciągnął Adam. – Powinienem był się domyślić, że dziwnie będzie z nią chodzić, odkąd stała się jedną... No wiesz, jedną z nas. Nieważne.

Gansey pomyślał o zetknięciu się palcami z Blue i jak głupi był to gest. Tak trudno było osiągnąć tę równowagę.

Wolał zachowywać się niemądrze, lecz nie mógł tak dalej postępować.

Chłopcy popatrzyli przez prześwit w drzewach w kierunku doliny. Gdzieś zagrzmiało, choć na niebie nie było nawet jednej chmury. Zresztą grzmot i tak nie wydawał się dobiegać z góry. Brzmiał tak, jakby dochodził spod nich, z linii mocy.

Na twarzy Adama malowały się zaciekleść i zadowolenie. Gansey czuł dumę, że go zna, i jednocześnie niepewność, czy w ogóle go zna.

– Nie mogę uwierzyć, że to robimy – przyznał Gansey.

– Ja mogę – odrzekł Adam.

Nie było to prawdziwe życie Blue.

Gdy oparła się o ścianę przed gabinetem pedagog szkolnej, zastanawiała się, kiedy znów zacznie uważać szkołę za ważną. Po niezwykłym lecie wypełnionym pogonią za królami oraz znikającymi matkami trudno było sobie wyobrazić, że będzie po prostu codziennie siedziała w klasie. Czy za dwa lata będzie to miało jakiegokolwiek znaczenie? Nikt stąd nie będzie pamiętał jej – i odwrotnie. Blue zapamięta tylko, że tej jesieni zniknęła jej matka. I że działo się to w roku Glendowera.

Zerknęła na zegar wiszący po drugiej stronie wyłożonego linoleum korytarza. Za godzinę będzie mogła wrócić do domu, do swego prawdziwego życia.

„Wrócisz jutro – powtarzała sobie. – A potem kolejnego dnia”.

Wydawało się to jednak bardziej snem niż Cableswater.

Dotknęła wnętrza dłoni palcami drugiej ręki i pomyślała o odnalezionej przez Malory’ego fladze, na której namalowano trzy kobiety o czerwonych dłoniach i jej twarzy, twarzy Blue. Pomyślała, że chłopcy pojechali na poszukiwania bez niej.

Wyczuła obecność Noaha. Z początku jedynie wiedziała, że tam był, a gdy zastanowiła się, skąd to wie, uświadomiła sobie, że widzi, jak garbi się obok niej w pogniecionym mundurku Aglionby.

– *Tutaj?* – spytała gwałtownie Blue, choć tak naprawdę ucieszyła się. – *Tutaj, a nie w kruczej jaskini śmierci?*

Umorusany Noah wzruszył przepaszając ramionami. Jego bliskość sprawiała, że Blue było zimno, czerpał bowiem z niej energię, by pozostać widzialnym. Zamrugął do dwóch dziewczyn, które minęły ich, pchając wózek. Wyglądało na to, że go nie zauważyły, ale trudno było stwierdzić, czy to dlatego, że był dla nich niewidzialny, czy też po prostu dlatego, że był Noahem.

– Chyba mi tego brakuje – powiedział. – Początku. To *jest* początek, prawda?

– Pierwszy dzień – odparła Blue.

– *No tak.* – Noah odchylił się i wciągnął powietrze. – Nie, chwila, nie, chodzi o drugi. Zapomniałem. Tak naprawdę tego nienawidzę.

Blue nie nienawidziła tego, ponieważ musiałyby przyznać, że naprawdę się to działo.

– Co robisz? – spytał Noah.

Podawała mu ulotkę, choć poczuła się zażenowana, zupełnie jakby pokazywała mu list do Świętego Mikołaja.

– Chcę porozmawiać o tym ze szkolną pedagog.

Noah czytał słowa, jakby były w obcym języku.

– Poz-naj roz-ma-i-te ro-dza-je la-su w A-ma-zo-nii. Sz-ko-ła E-ko-lo-gii o-bej-mu-je stu-dia za-gra-ni-cą... O, możesz *dokądś pojechać*.

Była tego świadoma.

– Dzięki za to, że we mnie wierzysz.

– Ludzie zauważą, że rozmawiasz z nikim, i pomyślą, że jesteś dziwna – rzekł z rozbawieniem.

Blue ani to nie rozbawiło, ani nie zmartwiło. Przeżyła już osiemnaście lat jako córka miasteczkowej jasnowidzki i teraz, w ostatnim roku szkoły, odbyła już każdą możliwą rozmowę na ten temat. Unikano jej i obejmowano, znęcano się nad nią i przymilano do niej. Szła już do piekła i była na prostej drodze do duchowej nirwany. Jej matka była chałturzystką i wiedźmą. Blue ubierała się jak bezdomna i jak projektantka mody. Uznawano ją za niezrównanie zabawną lub za sukę bez przyjaciół. Wszystko to rozmywało się w monotonne odgłosy tła. W wyniku tego wszystkiego Blue Sargent była najdziwniejszą istotą chodzącą po korytarzach liceum Mountain View.

Może z wyjątkiem Noaha.

– Widzisz innych zmarłych? – spytała go Blue.

Co oznaczało: „Czy widzisz moją matkę?”.

Noah się wzdrygnął.

Zza uchylonych drzwi gabinetu dobiegł głos:

– Blue? Kochanie, możesz już wejść.

Noah wślizgnął się do środka przed nią. Choć w silnym świetle słonecznym wpadającym przez okno wyglądał na materialnego i żywego, pedagog patrzyła przez niego na Blue. Jego niewidzialność wydawała się zupełnie niezwykłą, gdy usiadł na podłodze przed metalowym biurkiem, by z uciechą podsłuchiwać.

Blue zmierzyła go miażdżącym spojrzeniem.

Istniały dwa rodzaje ludzi: ci, którzy widzieli Noaha, i ci, którzy go nie dostrzegali. Blue zwykle przestawała z tą drugą odmianą.

Pedagog, pani Shiftlet, była nowa w szkole, ale nie w Henriecie. Blue pamiętała ją z poczty. Była jedną z tych nienagannie ubranych starszych pań, które lubiły, jak coś jest prawidłowo zrobione już za



pierwszym razem. Siedziała idealnie prosto w fotelu przeznaczonym do garbienia się. Wydawała się nie na miejscu za tanim, dzielonym z kimś biurkiem, zawalonym osobistymi drobiazgami.

Pani Shiftlet z biegłością sprawdziła coś w komputerze.

– Widzę, że ktoś tu niedawno miał urodziny.

– Miałaś *urodziny*? – dopytywał się Noah.

Blue próbowała zwracać się do pedagoga, nie do Noaha.

– Co?... Och, tak.

To było dwa tygodnie temu. Zwykle Maura robiła błotniste brownies, ale tym razem jej nie było. Persefona w miarę możliwości starała się odtworzyć tę ich niedopieczoną chwałę, ale brownies przypadkiem wyszły całkiem ładne i foremne, z koronkowymi wzorami z cukru pudru na wierzchu. Calla wydawała się martwić, że Blue będzie zła, co zaskoczyło dziewczynę. Dlaczego miałyby być zła na *nie*? To Maurę chciała uderzyć. Albo przytulić.

– Nie mogę uwierzyć, że nam nie powiedziałaś – mruknął Noah. – Mogliśmy pójść na lody.

Noah nie mógł jeść, ale z powodów, które Blue nie do końca rozumiała, lubił lodziarnię w Henriecie.

Pani Shiftlet przekrzywiła głowę w stronę Blue, nie naruszając swej idealnej postawy.

– Widzę tutaj, że rozmawiałaś z panem Torresem, zanim odszedł. Zostawił tu notatkę o incydencie w...

– To już sprawa załatwiona i zamknięta – przerwała jej Blue, unikając wzroku Noaha. Przesunęła ulotkę po biurku. – Proszę udawać, że to się nigdy nie stało. Chciałabym tylko wiedzieć, czy mam szansę w jakiś sposób dostać się w to miejsce.

Pani Shiftlet wyraźnie była chętna do zmiany tematu z czegokolwiek, co można było uważać za *incydent*.

– Wygląda na to, że może być tam wesoło i mały skaczą niedościgle, że pozwolę sobie na dowcip! Ciekawi cię natura? Pozwól, że poszukam informacji na temat tej szkoły.

Noah się nachylił.

– Powinnaś zobaczyć jej buty. Z czubkami.

Blue zignorowała go.

– Chciałabym zajmować się systemami rzecznymi lub lasem...

– Och, w tej szkole panuje *ogromna* rywalizacja. – Pani Shiftlet szukała zbyt skutecznie, by Blue zdążyła skończyć zdanie. – Popatrz, tu są przeciętne oceny studentów, którzy zostali przyjęci.

– To niegrzeczne – skomentował Noah.

Pani Shiftlet obróciła monitor, aby Blue mogła zobaczyć dość zniechęcający wykres.

– Widzisz, jak niewielu studentów zostaje przyjętych. To oznacza, że rywalizacja będzie się toczyć również o stypendia finansowe. Będziesz ubiegać się o stypendium?

Bardziej stwierdziła to, niż zapytała, lecz nie myliła się. Były w liceum Mountain View. Nikogo stąd nie było stać na pełną opłatę za prywatną szkołę. Większość rówieśników Blue rozważała szkołę policealną lub uczelnię państwową, jeśli w ogóle myśleli o kontynuowaniu edukacji.

– Nie wiem, czy pan Torres omówił z tobą rodzaje szkół, których potrzebujesz. – W głosie pani Shiftlet słychać było podejrzenie, że nie. – Musisz rozważyć trzy różne grupy: szkoły w twoim zasięgu, szkoły na twoim poziomie i szkoły bezpieczne. To wspaniałe przykłady szkół w twoim zasięgu. Pora jednak uzupełnić twoją listę o kilka innych. Takie, do których z łatwością się dostaniesz i na które będzie cię stać. Tego po prostu wymaga zdrowy rozsądek.

Pani Shiftlet napisała *zasięg*, *poziom* i *bezpieczna* na fiszce. Podkreśliła *bezpieczna* i przesunęła kartkę po biurku. Blue nie była pewna, czy powinna ją zatrzymać.

– Czy wypełniłaś już formularz o odstąpieniu od czesnego?

– Cztery. Czytałam w sieci, że mogę się ubiegać o odstąpienie maksymalnie w czterech?

Ten pokaz sprawności wyraźnie ucieszył panią Shiftlet.

– A więc może już wiesz, że to szkoła w *zasięgu*! Teraz czas sformułować rozsądny plan awaryjny.

Blue była zmęczona kompromisami. Zmęczona byciem *rozsądną*.

Noah podrapał paznokciem nogę biurka. Odgłos ten – zdecydowanie nieprzyjemny – sprawił, że pani Shiftlet zmarszczyła brwi.

– Gdybym był pedagogiem, byłbym znacznie pogodniejszy – powiedział.

– Jeśli *udałoby* mi się dostać – zaczęła Blue – czy mogłabym liczyć na kredyt i stypendium, które pokryłyby wszystkie koszty?

– Zdobędę dla ciebie dokumenty – obiecała pani Shiftlet. – Studencki program stypendialny pokrywa pewien *procent* kosztów w zależności od twoich *potrzeb*. Kwota może być różna.

Blue nie mogła spodziewać się pomocy ze strony skromnego budżetu z Fox Way 300. Pomyślała o koncie bankowym, które powoli zapełniała.

– Ile zostanie? Może pani oszacować?

Pani Shiftlet westchnęła. *Szacowanie* wyraźnie znajdowało się poza

obszarem jej zainteresowań. Obróciła z powrotem monitor, by pokazać wielkość chesnego w szkole.

– Gdybyś mieszkała w akademiku, najprawdopodobniej musiałabyś płacić dziesięć tysięcy rocznie. Twoi rodzice mogliby oczywiście wziąć pożyczkę. Mam odpowiedni formularz, jeśli chcesz.

Blue odchyliła się, by serce nie wyskoczyło jej z klatki piersiowej. Oczywiście, że było to niemożliwe. Niemożliwe wcześniej i niemożliwe już zawsze. Czas spędzony z Ganseyem i resztą pozwolił jej sądzić, że niemożliwe może być bardziej możliwe, niż uważała dotąd.

Maura zawsze powtarzała: „Popatrz na ten cały potencjał, jaki masz w sobie!”.

Potencjał dla innych, owszem. Nie dla Blue.

Nie było warto ronić łez nad czymś, o czym wiedziała od dawna. Po prostu jeszcze to, przy całej *reszcie*...

Zebrała się w sobie. „Nie będę płakać przy tej kobiecie”.

Nagle Noah wypełził spod biurka. Zerwał się na nogi. Było w jego ruchach coś niewłaściwego, wydawały się zbyt szybkie i gwałtowne, by mógł je wykonać żywy chłopiec. I nawet gdy już stanął, przemieszczał się dalej w górę. Kiedy sięgnął sufitu, kartka, na której napisano *zasięg, poziom i bezpieczna*, została porwana w powietrze.

– Hmm? – zdziwiła się pani Shiftlet.

W jej głosie nie było jeszcze słyhać zaskoczenia.

Ze skóry Blue uciekło ciepło. Woda w szklance pani Shiftlet zaskrzypiała, zamarzając.

Stojak na wizytówki się przewrócił. Znajdujące się w nim kartoniki posypały się na biurko. Głośnik komputera upadł na przednią ściankę. Ryza papieru zawirowała w górę. Czyjeś zdjęcie rodzinne wystrzeliło w powietrze.

Blue podniosła się gwałtownie. Nie miała pomysłu, jak powstrzymać Noaha, ale gdy rozrzuciła ręce, zorientowała się, że chłopaka obok niej nie ma.

Został jedynie wir chusteczek, firmowych kopert i wizytówek, papierowe tornado powoli tracące pęd.

Rzeczy spadły z powrotem na biurko.

Blue i pani Shiftlet popatrzyły na siebie. Osiadające papiery szeleściły. Przewrócony głośnik szumiał, bo jeden z kabelków został z niego wyrwany.

W gabinecie powoli wzrastała temperatura.

– Co się właśnie stało? – spytała pani Shiftlet.

Blue czuła, jak galopuje jej tętno.

– Nie mam pojęcia – odparła.

Blue przybyła do Monmouth Manufacturing przed innymi. Zapukała, by mieć pewność, że nikogo nie ma, po czym otworzyła sobie drzwi. Otoczył ją przyjemny zapach: biblioteczna woń starych książek, orzeźwiająca nuta mięty, pleśniowo-rdzawy aromat starych cegieł i rur oraz lekki smrodek z kupki brudnych ubrań pod ścianą.

– Noah? – W ogromnej przestrzeni ledwo było słycać jej głos. Położyła plecak na krześle przy biurku. – Jesteś tu? W porządku, nie jestem zła. Możesz skorzystać z mojej energii, jeśli potrzebujesz.

Nie było odpowiedzi. Zaczęło się robić szaroniebiesko, gdyż jedna z tych dziwnych nagłych burz przetaczała się nad górami, wypełniając chmurami sięgające od podłogi do stropu okna starej fabryki. Ostre popołudniowe cienie za stertami książek przepoczwarzwały się i rozmywały. Atmosfera w pomieszczeniu zrobiła się ciężka i senna.

Blue spojrzała na ciemny kłęb w przeciwległym załomie dachu.

– Noah? Chcę tylko porozmawiać o tym, co się stało.

Wsunęła głowę przez drzwi do pokoju Noaha. Teraz znajdowały się tam rzeczy Malory’ego, pachniało jodłową męską wodą toaletową. Jedna z toreb była otwarta i Blue widziała, że wypełniały ją książki. Uznała to za bardzo niepraktyczne i Ganseyowe. Poczowała odrobinę sympatii do profesora.

Nie było tam Noaha.

Zajrzała do łazienki, która była w części również pralnią i kuchnią. Mała pralkosuszarka miała uchylone drzwiczki, przez krawędź umywalki przewieszane były skarpetki, choć nie wiadomo, czy suszyły się, czy po prostu je tam zarzucono. Mała lodówka czaiła się niebezpiecznie blisko toalety. Słuchawka prysznicowa dyndała na kawałku plastikowej rurki nad brudnym brodzikiem, a zasłonka prysznicowa zwisała z sufitu na żyłce wędkarskiej. Blue była zaniepokojona liczbą torebek z chipsami, dostępnych z sedesu. Ciemnoczerwony krawat łamaną linią wskazywał na podłodze wyjście.

Jakiś dziwny odruch kazał Blue posprzątać ten bałagan do ostatniego elementu, by naprawić tę katastrofę.

Nie zrobiła tego.

Wycofała się.

Pokój Ronana był strefą zakazaną, ale i tak zajrzała do środka. Klatka kruka miała uchylone drzwiczki, lecz była nienagannie i dziwnie czysta. W pomieszczeniu nie tyle było brudno, ile panował bałagan: w rogach stały łopaty i miecze, pod ścianą piętrzyły się głośniki i drukarki. Pomędzy tym wszystkim walały się dziwne obiekty: stara walizka, z której wystawały pnącza, drzewko w doniczce, które wydawało się nucić do siebie, pojedynczy but kowbojski na środku podłogi. Wysoko na ścianie wisiała maska o dużych oczach i rozwartych ustach. Była przyczerniona, jakby od ognia, zaś krawędzie były wyszczerbione jak od zębów piły. Przez jedno z oczu biegło coś, co podejrzenie przypominało odcisk opony. Na widok maski Blue przyszły na myśl słowa: *ocalały i niszczyciel*.

Nie podobało jej się to.

Trzask za plecami sprawił, że podskoczyła, ale były to tylko otwierające się drzwi mieszkania. Miała poczucie winy, przez które dźwięk wydał jej się głośniejszy.

Blue wypadła z pokoju Ronana. Gansey i Malory wchodzili powoli, pochłonięci rozmową. Pies snuł się za nimi nadąsany, gdyż brak umiejętności mowy wykluczał go z konwersacji.

– Oczywiście Iolo Goch byłby logicznym towarzyszem – mówił Gansey, zsuwając kurtkę. – On albo może Gruffudd Llwyd. Nie, to niemożliwe. Zmarł w Walii.

– Czy mamy pewność? – spytał Malory. – Czy wiemy, gdzie został pogrzebany? I że w ogóle *został* pogrzebany?

– Chodzi panu o to, że równie dobrze mógł zostać przerobiony na koszule nocne? – Gansey zauważył Blue i nagroził ją swoim najlepszym uśmiechem, nie tym dopieszczonym, lecz mniej mądrym, oznaczającym, że jest podeksytowany. – Hej, Jane. Powiedz mi, co oznacza dla ciebie Iolo Goch.

Blue odciągnęła myśli od maski Ronana, Noaha oraz szkoły.

– Zapalenie oskrzeli?

– Najbliższy poeta Glendowera – sprostował Gansey. – Zresztą bardzo zabawny.

– Coś znaleźliście? – spytała.

– Absolutnie nic – odrzekł, choć wydawał się podchodzić do tego z wesołością.

Malory osunął się na skórzaną kanapę. Pies położył się na nim niczym narzuta na fotelu. Nie wyglądało to na zbyt wygodne, jednak profesor jedynie zamknął oczy i pogłaskał zwierzaka w nietypowym dla siebie, pełnym uczucia geście.

– Gansey, zabiłbym za filiżankę herbaty. Czy można otrzymać coś takiego w tym miejscu? Nie sądzę, abym zdołał przetrwać ten jet lag bez herbaty.

– Mam herbatę specjalnie dla pana – oświadczył Gansey. – Zaraz zaparzę.

– Tylko proszę, nie wodą z ustępu! – zawołał za nim Malory, nie otwierając oczu.

Pies wciąż na nim leżał.

Przez jedną przytłaczającą chwilę Blue obawiała się, że nie zdoła powstrzymać się przed pytaniem, do czego służy Pies. Poszła jednak za Ganseyem do kuchni/łazienki/pralni.

– Właśnie rozmawialiśmy o technicznych aspektach przywiezienia tu Glendowera – powiedział, przetrząsając zabałaganione półki. – Według ksiąg podróżował z magami. Czy to oni złożyli go do snu? Czy tego *chciał*? Czy zasnął, zanim odpłynął, czy też stało się to dopiero tutaj?

Perspektywa złożenia w grobie tak daleko od domu wydała się mu nagle bardzo przygnębiająca, zupełnie jakby wystrzeliwano kogoś w przestrzeń kosmiczną.

– Iolo Goch był jednym z magów?

– Nie, był tylko poetą. Słyszałaś Malory’ego w samochodzie. Byli bardzo poelityczni... Poetyczni... Polityczni. – Gansey roześmiał się z własnego przejęzyczenia. – *Poeci* byli *polityczni*. Wiem, że nie jest to szczególnie łamaniec językowy. Cały dzień słuchałem Malory’ego. P-p-polityczni. Poeci. Iolo napisał te naprawdę pochlebne wiersze o dawnym męstwie Glendowera, jego domu i ziemiach. O rodzinie. I tak dalej. Czego ja tu właściwie szukam?

Zatrzymał się, by zlokalizować małą mikrofalówkę. Przyjrzał się wnętrzu kubka, zanim go napełnił. Wyciągnąwszy z kieszeni listek mięty, czekał na zagotowanie się wody i mówił dalej:

– Tak naprawdę, gdyby Glendower był Robinem Hoodem, Iolo Goch byłby... tą drugą osobą.

– Lady Marion – podsunęła Blue. – Małym Johnem.

Gansey wskazał na nią.

– Batman i Robin. Ale zmarł w Walii. Czy mamy sądzić, że wrócił do Walii po tym, jak zostawił tu Glendowera? Nie, odrzucam tę teorię.

Blue uwielbiała tego nudnego, mentorskiego Ganseya, zbyt pochłoniętego faktami, by zastanawiać się, jak wygląda.

– Glendower miał żonę, prawda? – zapytała.

– Zmarła w londyńskim Tower.

– Rodzeństwo?

– Skrócone o głowę.  
– Dzieci?  
– Około miliona, ale większość uwiecznionych i zmarłych albo po prostu zmarłych. Stracił całą rodzinę w powstaniu.

– A więc to poeta!  
– Słyszałaś kiedyś plotkę, że jeśli zagotujesz wodę w mikrofalówce, wybuchnie, gdy ją dotkniesz?

– Musi być czysta – odparła. – Destylowana. Zwykła woda nie wybuchnie z powodu zawartości minerałów. Nie powinieneś wierzyć we wszystko, co czytasz w internecie.

Nagle przerwał im głośny brzęk. Blue wystraszyła się, lecz Gansey jedynie zerknął w stronę sufitu.

–To deszcz na dachu. Musi nieźle lać.

Obrócił się z kubkiem w dłoni i nagle znaleźli się ledwie parę centymetrów od siebie. Blue czuła miętę w jego oddechu. Widziała, jak porusza mu się grdyka, gdy przełykał.

Była wściekła na swe ciało za to, że ją zdradza, że pragnie go w inny sposób niż któregośkolwiek z chłopców, że nie słucha jej zapewnień, iż są tylko przyjaciółmi.

– Jak było pierwszego dnia w szkole? – spytał głosem innym niż wcześniej.

„Mama zniknęła. Noah wybuchł. Nie idę na studia. Nie chcę wracać do domu, gdzie wszystko jest dziwne, i nie chcę wracać do szkoły, gdzie wszystko jest zwyczajne”.

– No wiesz, jak to w państwowej szkole – odparła, nie patrząc na Ganseya. Skoncentrowała się zamiast tego na jego szyi, która znajdowała się akurat na poziomie jej wzroku, i na tym, że kołnierzyk nie przylegał mu do skóry na całym obwodzie z powodu wystającej grdyki. – Po prostu cały dzień oglądaliśmy kreskówki.

Chciała powiedzieć to ironicznie, ale uznała, że nie do końca jej wyszło.

– Znajdziemy ją – rzekł i Blue znów zadrżała pierś.

– Nie wiem, czy chce zostać znaleziona.

– Prawda. Jane, jeśli... – przerwał i zamieszał herbatę. – Mam nadzieję, że Malory nie chce mleka. Zupełnie zapomniałem kupić.

Żałowała, że nie potrafi już przywołać tej Blue, która nim gardziła. Żałowała, że nie wie, czy Adam czułby się z tym wszystkim źle. Żałowała, że nie wie, czy zwalczanie tego uczucia sprawi, iż przepowiedziana śmierć Ganseya zniszczy ją w mniejszym stopniu.

Zamknęła mikrofalówkę. Gansey opuścił pomieszczenie.



Siedzący na kanapie Malory przyglądał się herbacie w podobny sposób jak skazaniec wyrokowi śmierci.

– Co jeszcze? – spytał uprzejmie Gansey.

Malory zepchnął z siebie Psa.

– Chciałbym nowe biodro. I lepszą pogodę. Ech, nieważne. To twój dom i wiem, że jestem obcy, więc na pewno nie zamierzam cię ganić ani przekraczać granic przyzwoitości. Ale skoro mamy to już za sobą, to czy jesteś świadom, że ktoś tam jest?

Wskazał pod stół bilardowy, wokół którego z powodu burzy panowała ciemność. Gdy Blue zmrużyła oczy, dostrzegła w mroku sylwetkę.

– *Noahu* – powiedział Gansey. – Wyjdź zaraz.

– Nie – odparł Noah.

– No proszę! Widzę, że się znacie i wszystko jest w porządku – rzekł Malory tonem kogoś, kto wyczuwał nadciągający deszcz, a nie zabrał parasolki. – Będę w swoim pokoju, pielęgnując jet lag.

Gdy wyszedł, Blue powiedziała z rozdrażnieniem:

– Noahu! Wołałam cię i wołałam.

Noah został tam, gdzie był, otulając ciało rękoma. Wyglądał na zdecydowanie mniej żywego niż wcześniej. Jego oczy były niczym ciemne plamy, a kontury jakby mniej wyraźne. Nie było łatwo spoglądać na miejsce, w którym Noah się kończył, a zaczynał cień. Coś dziwnego pojawiło się w gardle Blue, gdy próbowała określić, co jest nie tak z jego twarzą.

– Jestem już tym zmęczony – rzekł Noah.

– Czym? – spytał Gansey uprzejmym głosem.

– Rozkładaniem się.

Płakał.

„To działo się z jego twarzą – uświadomiła sobie Blue. – Nic nadnaturalnego”.

– Och, Noahu – odezwała się, przyklękając.

– Co mogę zrobić? – spytał Gansey. – A my? Co my możemy zrobić?

Noah wzruszył ramionami. Wyglądało to tak, jakby zafalowała woda.

Blue nagle wystraszyła się, że Noah mógłby zechcieć naprawdę umrzeć. Wydawało się, że większość duchów tego pragnęła: zostać złożonymi na spoczynek. Była to przerażająca wizja, jak ostateczne pożegnanie. Egoizm zmagął się w niej z każdą drobiną empatii, jakiej kiedykolwiek nauczyła się od kobiet ze swej rodziny.

B u m. Musiała.

– Czy chcesz, abyśmy znaleźli sposób na, hmm, odpowiednie

złożenie...

Zanim skończyła, Noah kręcił już głową. Przyciągnął do siebie nogi.

– Nie. Nienienie.

– Nie musisz się wstydzić – powiedziała Blue, ponieważ tak zapewne odezwałaby się jej matka. Była pewna, że matka dodałaby coś pocieszającego o życiu pozagrobowym, ale tym razem nie była zdolna do pocieszania, sama bowiem potrzebowała otuchy. – Nie musisz się lękać – skończyła nieprzekonująco.

– Nic nie wiesz! – Noah był na granicy hysterii. – Nic nie wiesz!

Wyciągnęła dłoń.

– Posłuchaj, hej...

– Nic nie wiesz! – powtórzył Noah.

– Możemy to przegadać – zaproponował Gansey, zupełnie jakby rozpad duszy był czymś, co można naprawić poprzez rozmowę.

– Nic nie wiecie! Nic nie wiecie!

Noah wstał. Było to niemożliwe, ponieważ pod stołem bilardowym brakowało miejsca, by mógł się wyprostować. W jakiś sposób wymykał się jednak po obu stronach, otaczając Ganseya i Blue. Mapy zatrzepotały szaleńczo na zielonym suknie. Kłębki kurzu wyturlały się spod stołu i popędziły ulicami Ganseyowej makiety Henrietty. Lampa na biurku zamigotała.

Spadła temperatura.

Blue ujrzała, jak Gansey wytrzeszcza oczy za obłokiem swego oddechu.

– Noahu – ostrzegła Blue. Czowała zawroty głowy, gdy Noah ograbiał ją z energii. Poczwała dziwną woń starego dywanu z gabinetu szkolnej pedagoga, a następnie żywy, zielony zapach Cabeswater. – To nie ty!

Powietrzny wir wciąż się wznosił, roztrącając papiery i przewracając stosy książek. Pies czekał zza zamkniętych drzwi dawnego pokoju Noaha. Blue poczuła dreszcze na skórze, a jej kończyny wydawały się cięższe niż zwykle.

– Noahu, *przestań* – zażądał Gansey.

Nie przestał jednak. Coś zakołatało do drzwi mieszkania.

– Noahu, teraz już cię proszę – odezwała się Blue.

Nie słuchał, a może nie zostało już wystarczająco wiele z prawdziwego Noaha, by mógł słuchać.

Stojąc na chwiejnych nogach, Blue zaczęła używać wszystkich ochronnych wizualizacji, jakich nauczyła ją matka. Wyobraziła sobie, że znajduje się w nietłukącej szklanej kuli. Widziała, co dzieje się na zewnątrz, ale nikt nie mógł jej dotknąć. Wyobraziła sobie białe światło

przenikające burzowe chmury, dach i mrok Noaha, odnajdujące Blue, chroniące ją.

Następnie wyciągnęła wtyczkę z baterii, jaką była.

Pokój znieruchomiał. Papiery opadły. Światło zamigotało raz jeszcze, po czym się wzmocniło. Usłyszała ciche łkanie, a potem zupełną ciszę.

Gansey wyglądał na zszokowanego.

Noah siedział na środku pomieszczenia, otoczony papierami. Obok jego dłoni z doniczki z miętą wysypywała się ziemia. Garbił się i nie miał cienia. Jego sylwetka była wydłużona, w smugach, ledwo widoczna. Znów płakał.

– Powiedziałaś, że mogę skorzystać z twojej energii – rzekł bardzo cicho do Blue.

Przyklęknęła przed nim. Chciała go przytulić, ale tak naprawdę go tam nie było. Bez jej energii był niczym kontur wycięty z papieru, był powietrzem w kształcie Noaha.

– Ale nie w taki sposób.

– Przepraszam – wyszeptał.

– Ja również.

Zasłonił twarz, po czym zniknął.

– To było efektowne, Jane – powiedział z uznaniem Gansey.

Tego wieczoru Blue usiadła pod rozłożystym bukiem z tyłu domu, podniosła oczy ku gwiazdom i gładziła palcami chłodną, gładką korę jednego z korzeni. Światło z kuchni, przedzierające się przez rozsuwane drzwi, wydawało się bardzo odległe.

„To było efektowne, Jane”.

Choć Blue była w pełni świadoma pozytywnych efektów swoich zdolności, nigdy się nie zastanawiała nad ich drugą stroną. A jednak Noah zniszczyłby Monmouth Manufacturing, gdyby się od niego nie odcięła.

Gwiazdy migotały między liśćmi buku. Czytała kiedyś, że nowe gwiazdy zwykły formować się parami. Tak powstałe gwiazdy podwójne, orbitujące blisko siebie, stawały się pojedyncze, gdy ich partnerki zostawały od nich odciągnięte przez inną parę wirujących dziko nowych gwiazd. Gdy wpatrywała się wystarczająco mocno, widziała mnogość par trzymających się siebie w destrukcyjnej i twórczej grawitacji swych konstelacji.

„Efektowne”.

Sama chyba też uważała to za efektowne. Nie dlatego, że wyciągnęła wtyczkę martwemu chłopcu – to wydawało się smutne, nie było powodu się tym chełpić – lecz dlatego, że nauczyła się dziś czegoś o sobie, a już sądziła, że nie ma w niej nic więcej do odkrycia.

Gwiazdy poruszały się powoli w nieskończonej mnogości możliwości i po raz pierwszy od dłuższego czasu Blue poczuła ich odzwierciedlenie w sercu.

Calla otworzyła rozsuwane drzwi.

– Blue?

– Co?

– Jeśli skończyłaś się już dzisiaj włóczyć, przydałabyś mi się – oznajmiła. – Mam odczytanie.

Blue uniosła brwi. Maura prosiła ją o pomoc tylko w przypadku ważnych odczytań, Calla zaś nie prosiła nigdy. Zupełnie nigdy. Dziewczyna podniosła się, lecz bardziej z ciekawości niż posłuszeństwa.

– Tak późno? Teraz?

– Przecież proszę właśnie teraz, prawda?

Gdy znalazły się w środku, Calla zaczęła krzątać się po czytelniku i wołać Persefonę tyle razy, że Orla wrzasnęła, iż niektórzy próbują prowadzić rozmowy telefoniczne, zaś Jimi spytała, czy może w czymś pomóc.

Cały ten rozgardiasz sprawił, że Blue zrobiła się dziwnie podenerwowana. Na Fox Way 300 odczytania odbywały się tak często, że zwykle wydawały się pobieżne i niemagiczne. Teraz w powietrzu wyczuwało się chaos. Jakby coś miało się stać.

Rozbrzmiał dzwonek przy drzwiach.

– PERSEFONO, MÓWIŁAM CI! – zagrzmiała Calla. – Blue, otwórz. Będę w czytelniku. Zaprowadź go tam.

Gdy Blue otworzyła drzwi, dostrzegła ucznia Aglionby stojącego w świetle lampy z ganku. Wokół jego głowy latały ćmy. Miał nienagannie gładką skórę i rozczochrane włosy, ubrany był w łososiowe spodnie i białe buty jachtowe.

Gdy dostroił jej się wzrok, uświadomiła sobie, że jest zbyt stary na kruczego chłopca. Zdecydowanie za stary. Jak mogła tak sądzić choćby przez chwilę.

Blue popatrzyła krzywo na jego buty, a następnie na twarz. Choć wszystko w nim było dopracowane tak, by robić wrażenie, na niej robił je znacznie słabiej niż jeszcze kilka miesięcy temu.

– Cześć.

– Hej – odparł z wesołym uśmiechem, oczywiście odsłaniając idealnie proste zęby. – Przyszedłem na przewidywanie przyszłości. Spodziewam się, że to wciąż odpowiednia pora?

– Dobrze się pan spodziewa, żeglarzu. Proszę.

W czytelniku do Calli dołączyła Persefona. Siedziały po jednej stronie stołu niczym komisja. Mężczyzna stanął naprzeciwko nich, stukając palcami o oparcie fotela.

– Proszę usiąść – odezwała się Calla.

– W dowolnym starym fotelu – dodała łagodnie Persefona.

– Nie w dowolnym – zareagowała Calla. – W tym – wskazała.

Usiadł przed nimi, rozglądając się jednocześnie bystrzymi oczyma po pokoju i wykonując dynamiczne ruchy. Wyglądał jak osoba, która coś *załatwia*. Blue nie mogła się zdecydować, czy był przystojny, czy też jego zachowanie kazało tak sądzić.

– A zatem jak to działa? – zapytał. – Czy płacę z góry, czy też dopiero po sprawdzeniu, jak skomplikowana będzie moja przyszłość, ustalą panie cenę?

– W dowolnej chwili – odpowiedziała Persefona.

– Nie – zaprotestowała Calla. – Teraz. Pięćdziesiąt.

Bez wahania rozstał się z banknotami.

– Czy mógłbym otrzymać rachunek? Wydatki służbowe. A tak w ogóle, ten portret Steve’a Martina jest świetny. To niezwykle, jak jego oczy podążają za obserwowanym po pokoju.

– Blue, przyniesiesz rachunek? – spytała Persefona.

Stojąca przy drzwiach Blue poszła po wizytówkę, by zapisać na niej kwotę. Gdy wróciła, Persefona mówiła do Calli:

– Och, będziemy musiały użyć tylko twoich. Nie mam swoich.

– Nie masz swoich! – nie dowierzała Calla. – Co się z nimi stało?

– Ma je Koszulka Coca-Coli.

Prychnąwszy potężnie, Calla wzięła swe karty tarota i poinstruowała mężczyznę, jak ma je potasować.

– Następnie proszę mi je podać koszulkami do góry, żebym mogła rozłożyć.

Mężczyzna zaczął tasować.

– Podczas tasowania proszę myśleć o tym, czego chce się pan dowiedzieć – dodała swoim cichym głosem Persefona. – Dzięki temu poszukiwania trochę się ukierunkują.

– Dobrze, dobrze – odparł, energiczniej tasując karty.

Zerknął na Blue. Nagle, bez ostrzeżenia, obrócił talię tak, że karty znalazły się koszulkami do dołu. Rozłożył je w wachlarz, przemykając po nich wzrokiem.

Calla *nie* to mu poleciła.

Gdzieś w głębi Blue rozległ się alarm.

– Jeśli więc pytanie brzmi: „Jak mogę sprawić, by to się stało?” – wyciągnął jedną kartę i położył ją na stole – to chyba dobry początek, prawda?

Zaległa martwa cisza.

Kartą była trójka mieczy. Przedstawiała krwawiące serce przebite trzema mieczami. Po ich ostrzach spływała krew. Maura nazywała ją „kartą złamanego serca”.

Blue nie potrzebowała nadnaturalnej percepcji, by wyczuwać, że sący się z niej zagrożenie.

Jasnowidzki wpatrywały się w mężczyznę. Blue poczuła w żołądku zimny węzeł i uświadomiła sobie, że tego nie przewidziały.

– W co pan pogrywa?! – warknęła Calla.

– Oto pytanie: czy istnieje jeszcze jedna z was? – odezwał się, wciąż uśmiechając z sympatią. – Taka, która wygląda podobnie do niej? – Wskazał na Blue, której żołądek jeszcze raz nieprzyjemnie się przekręcił.

„Mama”.

– Idź do diabła! – wypaliła Calla.

Skinął głową.

– Tak sądziłem. Spodziewacie się, że niedługo wróci? Bardzo chciałbym pogawędzić właśnie z nią.

– Do diabła – zaklęła Persefona. – Całkowicie zgadzam się w tej kwestii. Przynajmniej jeśli chodzi o udanie się tam.

„Czego ten człowiek chce od mamy?”.

Blue zapamiętywała wszystko na jego temat, aby móc go później opisać.

Mężczyzna wstał, podnosząc trójkę mieczy.

– Wiecie co? Zatrzymam to. Dzięki za informacje.

Gdy odwrócił się do wyjścia. Calla chciała wstać za nim, lecz Persefona dotknęła ją palcem, zatrzymując.

– Nie – rzekła cicho. Drzwi się zamknęły. – Nie wolno go tknąć.

Adam ponownie czytał rozkład zajęć na pierwszy kwartał, gdy Ronan wskoczył na ławkę obok niego.

Byli sami w klasie z granatową wykładziną. Adam pojawił się wcześniej w Borden House. Wydawało się niewłaściwe, by pierwszy dzień w szkole miał taki sam emocjonalny ciężar jak niespokojne popołudnie w jaskini kruków, lecz nie można było zaprzeczyć, że radosne i wyczekujące drzenie, jakie czuł w żyłach, było równie silne jak podczas tych oszałamiających chwil, gdy ptaki śpiewały wokół nich.

Jeszcze jeden rok i będzie miał to za sobą.

Pierwszy dzień był oczywiście najprostszy. Dopiero później wszystko się tak naprawdę zacznie: prace domowe, zajęcia sportowe, obiady w stołówce i doradztwo w sprawie wyboru uczelni, egzaminy i dodatkowe punkty. Aż nocna praca i nauka do trzeciej nad ranem wspólnie zniszczą Adama.

Znów przeczytał rozkład zajęć. Był pełen obowiązkowych i ponadprogramowych przedmiotów. Wydawał się nie do zaliczenia. Aglionby było trudną szkołą. Dla Adama jeszcze trudniejszą, ponieważ musiał być najlepszy.

W zeszłym roku Barrington Whelk stał przed nimi w tej sali i uczył ich łaciny. Teraz nie żył. Adam pamiętał, że widział śmierć Whelka, lecz nie potrafił sobie przypomnieć przebiegu tego zdarzenia – choć jeśli naprawdę się postarał, umiał sobie wyobrazić, jak *mogło* wyglądać.

Adam zamknął na chwilę oczy. W ciszy pustej sali słyszał szelest liści.

– Mam tego dość – powiedział Ronan.

Adam otworzył oczy.

– Czego?

Najwyraźniej siedzenia. Ronan podszedł do tablicy suchościeralnej i zaczął bardzo gwałtownie pisać.

– Malory’ego. Ciągle narzeka na swoje biodra, oczy, rząd albo... No tak, i jeszcze ten *pies*. Przecież nie jest ślepy, niepełnosprawny czy coś.

– Dlaczego nie mógłby mieć czegoś normalnego, na przykład kruka?

Ronan zignorował to.

– I w nocy wstaje trzy razy na sikanie. Myślę, że ma guza.



– I tak nie śpisz – rzekł Adam.

– *Już* nie. – Flamaster Ronana zaskrzybiał w proteście, gdy chłopak gniewnie kreślił łacińskie słowa.

Choć Ronan nie uśmiechał się, a Adam nie znał części słów, był pewien, że Lynch zapisuje sprośny dowcip. Przez chwilę obserwował Ronana i próbował wyobrazić go sobie jako nauczyciela. Było to niemożliwe. Adam nie potrafił stwierdzić, czy to z powodu tego, jak podwijał rękawy, czy też z powodu sposobu zawiązywania krawata.

– On wszystko wie – rzucił od niechcienia Ronan.

Adam nie odpowiedział od razu, choć wiedział, o co chodziło Lynchowi, on bowiem również źle się czuł z wszechwiedzą profesora. Gdy zastanowił się bardziej nad źródłem niechęci – ideą Malory’ego spędzającego rok z piętnastoletnim Ganseyem – musiał przyznać, że nie była to paranoja, lecz zazdrość.

– Jest starszy, niż się spodziewałem – rzekł Adam.

– Rany, stary jak świat – potwierdził natychmiast Ronan, jakby czekał, aż Adam o tym wspomni. – Nigdy nie żuje z zamkniętymi ustami.

Zaskrzybiała klepka podłogowa. Ronan natychmiast odłożył flamaster. Nie można było otworzyć głównych drzwi do Borden House, aby dwa pomieszczenia dalej nie zaskrzybiała podłoga. Obydwaj chłopcy wiedzieli zatem, co to oznaczało: zaczęła się szkoła.

– No dobra – odezwał się nieprzyjemnym głosem nieszczęśliwy Ronan. – Jedziemy, kowboju.

Wrócił do swojej ławki i położył na niej nogi. Było to oczywiście zabronione. Skrzyżował ręce, odchylił brodę i zamknął oczy. Absolutna bezczelność. Właśnie taką wersję siebie przygotowywał dla Aglionby, swego starszego brata Declana, a czasami i dla Ganseya.

Ronan zawsze mawiał, że nigdy nie kłamie, choć miał twarz kłamcy.

Weszli uczniowie. Odgłosy ich nadejścia były niezwykle znajome: nogi ławek szurające o podłogę, marynarki szeleszczące po zarzuceniu na oparcia krzeseł, notatniki opadające na blaty. Adam mógłby zamknąć oczy, a i tak widziałby wszystko z niezwykłą wyrazistością. Rozmawiali ze sobą, pełni nienawiści i nieświadomi tego, co ich czekało.

„Gdzie byłeś podczas wakacji, stary? Na przylądku, jak zawsze, a gdzie indziej? Ale nuda, Vail. Mama złamała kostkę. No wiesz, byliśmy w Europie, włóczyliśmy się. Dziadek powiedział, że muszę nabrać trochę mięśni, bo wyglądam gełowato. Nie, nie powiedział tego naprawdę. A skoro już o tym mowa, oto Parrish”.

Ktoś szturchnął Adama w tył głowy. Zamrugał. Najpierw z jednej,

później z drugiej strony. Napastnik podszedł do niego od głuchej strony.

– Och – powiedział tylko Adam.

Był to Tad Carruthers, którego największą winą było to, że Adam go nie lubił, a Tad tego nie wiedział.

– Och – powtórzył bez złośliwości Tad, jakby Adam swą beznamietnością rzucił na niego urok.

Adam desperacko i wręcz masochistycznie pragnął, by Tad spytał go, gdzie spędził lato. Zamiast tego Carruthers obrócił się do Ronana, który wciąż wylegiwał się z zamkniętymi oczyma. Uniósł dłoń, by szturchnąć go w głowę, lecz nie odważył się i zatrzymał się w odległości paru centymetrów. Stuknął jedynie palcami w ławkę Ronana i odszedł.

Adam czuł, jak linia mocy pulsuje mu w żyłach.

Uczniowie wciąż nadchodzili. Adam ich obserwował. Był w tym dobry. Siebie nie potrafił zbadać ani zrozumieć. Jakże nimi gardził, a jednocześnie pragnął być taki jak oni. Jakże bezcelowe było lato w Maine, ale chciał je tam spędzić. W jakże afektowany sposób mówili według niego, ale zazdrościł im tej leniwej monotonii. Nie potrafił stwierdzić, jak wszystko to jednocześnie może być prawdą.

W drzwiach pojawił się Gansey. Rozmawiał z nauczycielem w korytarzu, opierając kciuk na dolnej wardze i marszcząc brwi. Mimo mundurka wyglądał na pewnego siebie. Wszedł do klasy z wyprostowanymi ramionami i przez chwilę wydawało się, jakby znowu był obcym, wyniosłym, niepoznawalnym książątkiem Wirginii.

Adama zaskoczyło, ile w tym było prawdy. Zupełnie jakby nagle przestał przyjaźnić się z Ganseyem i zapomniał o tym aż do tej chwili. Jakby Gansey miał usiąść po drugiej stronie Ronana zamiast przy Adamie. Jakby ostatni rok się nie zdarzył i Adam znów miał być sam przeciwko reszcie tych przekarmionych drapiezców.

Gansey z westchnieniem usiadł przed Adamem. Obrócił się.

– Jezu Chryste, nie spałem nawet sekundy. – Przypomniał sobie o dobrych manierach i wyciągnął pięść. Gdy Adam zrobił z nim żółwika, poczuł niezwykle przyływy ulgi i czułości. – Ronan, nogi w dół.

Ronan opuścił nogi.

Gansey odwrócił się z powrotem do Adama.

– A więc Ronan mówił ci wszystko o Świni.

– Ronan nic mi nie mówił.

– Mówiłem ci o sikaniu – przypomniał Ronan.

Adam go zignorował.

– Co się dzieje z samochodem? – spytał.

Gansey rozejrzał się po Borden House, jakby spodziewając się

zobaczyć, że budynek zmienił się przez lato. Oczywiście się nie zmienił: pozostała tu granatowa wykładzina, ogrzewanie w listwach przypodłogowych włączone zbyt wcześnie, regały wypełnione elegancko podniszczonymi książkami po łacinie, grecku i francusku. Razem przypominało to zapach ulubionej ciotki, gdy się ją przytulało.

– Zeszłego wieczoru pojechaliśmy Swinią po chleb, dżem oraz herbatę i wysiadło wspomaganie kierownicy. Później radio i światła. Jezu. Ronan cały czas śpiewał tę okropną piosenkę o morderczym plaskaniu i dotarł jedynie do połowy zwrotki, gdy straciłem wszystko. Musiałem zepchnąć ją z drogi.

– Znów alternator – zauważył Adam.

– Prawda, tak, tak – potwierdził Gansey. – Podniosłem maskę i zobaczyłem, że pasek klinowy po prostu wisi w strzępach. Musieliśmy pójść po inny i z jakiegoś powodu odnalezienie go w magazynie było absolutnym *cyrkiem*, zupełnie jakby wszyscy rzucili się na ten konkretny rozmiar. Oczywiście zakładanie nowego paska na poboczu było już łatwizną.

Powiedział to bezceremonialnie, zupełnie jakby zakładanie nowego paska klinowego nie było dla niego niczym specjalnym, ale przecież jeszcze niedawno Richard Gansey III dysponował tylko jedną techniczną umiejętnością: potrafił wzywać samochód holowniczy.

– To dobrze, że udało ci się domyślić – rzekł Adam.

– No sam nie wiem – odparł Gansey, ale wyraźnie był z siebie dumny.

Adam czuł się tak, jakby pomógł pisklęciu wykluć się z jajka.

„Dzięki Bogu że się nie kłócimy dzięki Bogu że się nie kłócimy dzięki Bogu że się nie kłócimy jak mogę sprawić by tak już zostało...”

– Tak trzymaj, a po skończeniu szkoły możesz zostać mechanikiem. O *tym* na pewno napisaliby w czasopiśmie dla absolwentów.

– Ha. A... – Gansey obrócił się na krześle, by obserwować, jak nowy nauczyciel łaciny przechodzi na przód sali.

Patrzyli na niego wszyscy uczniowie.

W schowku na rękawiczki Adam trzymał wycięte ogłoszenie, które miało go inspirować. Na zdjęciu widniał smukły szary samochód wykonany przez szczęśliwych Niemców. O auto opierał się młodzieniec w długim płaszczu z czarnej wełny, z kołnierzem postawionym dla osłony przed wiatrem. Był pewny siebie i miał dumnie zadarty nos jak silne dziecko, a także mnóstwo ciemnych włosów i białe zęby. Ręce skrzyżował na piersi jak zawodowy bokser.

Właśnie tak wyglądał ich nowy nauczyciel łaciny.

Adam był pod niewłaściwym wrażeniem.

Nowy łacinnik zsunął ciemny płaszcz, przyglądając się dziełu Ronana na tablicy. Następnie z pewnością siebie podobną jak u mężczyzny z reklamy samochodu, przeniósł wzrok na siedzących uczniów.

– No proszę, popatrzcie na siebie – odezwał się. – Jego wzrok spoczął na Ganseyu, Adamie i Ronanie. – Amerykańska młodzież. Nie mogę się zdecydować, czy jesteście najlepsi, czy najgorsi, jakich widziałem w tym tygodniu. Czyja to robota?

Wszyscy wiedzieli, ale nikt nie zamierzał zdradzić.

Założył dłonie na plecach i przyjrzał się bliżej.

– Słownictwo robi wrażenie. – Postukał knykciem w kilka słów. Był dotykowcem. – Ale co tu się dzieje z gramatyką? I tu? W tym zdaniu podrzędnym ze strachem potrzebny jest tryb warunkowy. „Obawiam się, że *mogą* w to uwierzyć” – tu powinien znaleźć się *wołacz*. J a wiem, o co tu chodzi, ponieważ znam już ten dowcip, ale dawny Rzymianin by na was tylko patrzył z niezrozumieniem. Nie jest to praktyczna łacina.

Adam nie musiał obracać głowy, by *czuć*, że Ronan się gotuje.

Nowy nauczyciel łaciny obrócił się szybkim i zwinnym ruchem, a Adam znów poczuł przyływ strachu i podziwu.

– Dobrze, inaczej zostałbym bez pracy. No dobrze, maluchy. Panowie. W tym roku będę was uczył łaciny. Nie jestem tak naprawdę miłośnikiem języków dla samych języków. Interesuje mnie wyłącznie to, jak możemy z nich korzystać. I nie jestem tak naprawdę łacinnikiem. Jestem historykiem. To znaczy, że język jest mi potrzebny jedynie jako narzędzie do... do... przeglądania papierów martwych ludzi. Jakies pytania?

Uczniowie przyglądali mu się. Była to pierwsza lekcja pierwszego dnia szkoły i nic nie zdołałoby jej uatrakcyjnić. Żarliwa energia tego mężczyzny tonęła bezużytecznie w omszałych głazach.

Adam podniósł rękę.

Mężczyzna wskazał na niego.

– *Miserere nobis* – powiedział Adam. – *Timeo nos horrendi esse*. Panie profesorze.

„Proszę mieć nad nami litość. Obawiam się, że jesteśmy straszni”.

Mężczyzna uśmiechnął się szerzej przy formie „panie profesorze”. Na pewno wiedział, że uczniowie musieli zwracać się do nauczycieli „panie profesorze” lub „pani profesor”, by okazać szacunek.

– *Nihil timeo* – odparł. – *Solvitur ambulando*.

Niuanse jego pierwszego stwierdzenia – „niczego się nie obawiam!” – umknęły większości klasy, zaś drugie – idiom podkreślający zalety

praktyki – przeleciały przez resztę.

Ronan uśmiechnął się leniwie. Nie podnosząc ręki, powiedział:

– He, he. *Noli probicere maccharitas ad porcos.*

„Nie rzucaj pereł przed wieprze”.

Nie dodał „panie profesorze”.

– Jesteście zatem świniami? – zapytał mężczyzna. – Czy ludźmi?

Adam nie miał ochoty patrzeć, jak Ronan albo ich nowy nauczyciel przeciągają swój odcinek liny.

– *Quod nomen est tibi*, panie profesorze?

– Nazywam się – mężczyzna gąbką oczyścił szerokie pole w błędnej pod względem gramatycznym pisaninie Ronana i zapisał tam czytelne litery – Colin Greenmantle.

I oto zamieszkaliśmy wśród prowincjuszy! – Colin Greenmantle wychylił się przez okno. Z dołu spozjrzało na niego stado krów. – Piper, chodź popatrzeć na te krowy. Ta jedna cholera na mnie patrzy. „Colinie – mówi – naprawdę mieszkasz teraz wśród prowincjuszy”.

– Jestem w łazience – odparła Piper.

Jej głos dobiegał jednak z kuchni. Żona (choć nie lubił używać słowa *żona*, ponieważ myślał wtedy, że jest już po trzydziestce – i był – lecz mimo to nie lubił, by mu o tym przypominano, zresztą wciąż miał chłopięcy wygląd, kasjerka ze sklepu spożywczego wręcz z nim flirtowała zeszłego wieczora, a choć mogło chodzić o to, że był ubrany zdecydowanie zbyt atrakcyjnie jak na szybkie wyjście po ser i krakersy, sądził, że mogło chodzić o jego akwamarynowe oczy, ponieważ praktycznie w nich pływała) przyjmowała przeprowadzkę do Henrietty lepiej, niż się spodziewał. Jak na razie jedynym aktem buntu ze strony Piper było zniszczenie wypożyczonego samochodu poprzez przejechanie nim agresywnie przez reklamę centrum handlowego, aby pokazać, jak bardzo nie nadawała się do życia w miejscu, w którym nie mogła chodzić na piechotę do sklepów. Możliwe, że nie stało się to celowo, lecz Piper bardzo niewiele rzeczy robiła przypadkiem.

– To praktycznie *bestie* – powiedział Greenmantle, choć teraz mniej miał na myśli krowy, a bardziej swych nowych uczniów. – Cały dzień odbierają konspekty, ale pożarliby cię w sekundę, gdyby tylko mieli odpowiednie zęby.

Dopiero co wprowadzili się do swojego „historycznego” domu na farmie bydła. Greenmantle, którego niemało łączyło z historią, wątpił w *historyczne* korzenie budynku, ale ten i tak był całkiem czarujący. Podobała mu się idea pracy na roli. W najbardziej lingwistycznym sensie był teraz rolnikiem.

– W piątek zjawią się tu po twoją krew! – zawołała Piper.

Krowy zamuczały z ciekawością. Greenmantle pokazał im środkowy palec, lecz nie zmieniły min.

– Już są tutaj.

– Nie krowy. Załatwiam ci dodatkowe ubezpieczenie na życie i potrzebna będzie twoja krew. Piątek. Bądź tu.

Cofnął się do wnętrza i po skrzypiącej podłodze przeszedł do kuchni. Piper stała przy blacie w różowym biustonoszu i majtkach, krojąc mango. Blond włosy otaczały jej głowę. Nie podniosła wzroku.

– W piątek mam lekcje – powiedział. – Pomyśl o *dzieciach*. Ile ubezpieczeń na życie potrzebujemy?

– Mam pewien standard życia, który chcę utrzymać, jeśli coś złego przytrafi ci się w środku nocy. – Dźgnęła go nożem, gdy ukradł kawałek mango. Uniknął zranienia tylko dzięki swej szybkości, a nie jej niechęci do wcielenia zamiaru w życie. – Wróc zaraz po zajęciach. Nie szwendaj się bez sensu, jak masz w zwyczaju.

– Nie szwendam się – odrzekł Greenmantle. – To, co robię, jest w pełni celowe.

– Wiem, wiem, pragnienie zemsty, posiadanie jaj i tak dalej.

– Możesz mi pomóc, jeśli chcesz. Masz znacznie lepsze wyczucie kierunku.

Nie zdołała do końca ukryć, że odwołanie do jej ego sprawiło jej przyjemność.

– Do niedzieli nie mogę – odparła i zaczęła wyliczać: – W środę robię brwi. W czwartek okolice bikini. W sobotę nie wracam do domu. Szwendaj się. Przyjdą okadzić dom.

Greenmantle zwędził kolejny kawałek mango. Tym razem nóż znalazł się trochę bliżej.

– Co to znaczy?

– Widziałam ulotkę. Chodzi o pozbycie się złej energii z miejsca. W tym domu jest jej pełno.

– Bo idzie od ciebie.

Cisnęła nóż do zlewu, w którym miał pozostać, póki się nie rozłoży. Piper nie nadawała się do prac domowych. Miała bardzo wąski zakres umiejętności. Ruszyła w stronę sypialni, by wziąć kąpiel, zdrzemnąć się lub wypowiedzieć wojnę.

– Nie doprowadź do naszej śmierci.

– Nikt nas nie zabije – oznajmił pewnie Greenmantle. – Szary Mężczyzna zna zasady. A pozostali... – Wytarł nóż i odłożył go na stojak.

– A pozostali co?

Nie zdawał sobie sprawy, że wciąż była w kuchni.

– Właśnie myślałem o tym, że dziś widziałem jednego z synów Nialla Lyncha.

– Też był gnojkiem? – spytała Piper.

Niall Lynch był odpowiedzialny za siedem średnio nieprzyjemnych i cztery niezwykle nieprzyjemne miesiące ich życia.

– Możliwe. Boże, on wygląda zupełnie jak ten skurwysyn. Nie mogę się doczekać, by go oblać. Zastanawiam się, czy wie, kim jestem. Zastanawiam się, czy powinienem mu powiedzieć.

– Jesteś sadystą – powiedziała niedbale.

Zastukał kostkami palców o blat.

– Idę sprawdzić, gdzie te krowy mają zęby.

– W szczęce. Widziałam na Animal Planet.

– I tak do nich idę.

Gdy próbował sobie przypomnieć, które drzwi prowadzą do sieni, usłyszał, że coś do niego mówiła, ale nie dosłyszał co. Wybierał już numer do kontaktu z Belgią, który miał szukać piętnastowiecznej sprzączki do pasa, z której powodu noszący ją miał złe sny. Facet szukał jej od wieków. Szkoda, że nie można było zaprząć do tego Szarego Mężczyzny, byłby najlepszy. Oczywiście do chwili, aż zdradził Greenmantle'a.

Zastanawiał się, ile czasu minie, zanim Szary Mężczyzna do niego przyjdzie.



Gdy Gansey i Ronan przyjechali po lekcjach na Fox Way 300, Calla była atakowana w salonie przez mężczyznę ubranego całkowicie na szaro. Blue, Persefona i meble czały się pod ścianami. Mężczyzna stał w postawie do walki, z nogami rozstawionymi trochę szerzej niż barki i wysuniętą stopą. Mocno ścisnął jedną z dłoni Calli. W drugiej kobieta trzymała szklaneczkę manhattana, którego próbowała nie rozlać.

Szary Mężczyzna miał na twarzy wąski uśmiech. Widać było jego niezwykle zęby.

Chłopcy weszli bez pukania, jak do siebie. Gansey położył swą kurierską torbę na starych, wypaczonych klepkach parkietu i stanął w drzwiach do salonu. Nie był pewien, czy sytuacja wymagała interwencji. Szary Mężczyzna był płatnym mordercą (być może teraz w stanie spoczynku). Lepiej było z nim nie zadzierać.

Gdyby Calla potrzebowała pomocy, zapewne odłożyłaby drinka. Blue zaś nie jadłaby sobie tak po prostu jogurtu.

– Pokaż mi to jeszcze raz – powiedziała Calla. – Chyba nie widziałam dość dobrze.

– Zrobię to trochę mocniej – odrzekł pan Szary – ale nie chcę ci złamać ręki.

– Byłeś daleki od tego – zapewniła go. – Postaraj się.

Upiła łyk manhattana. Złapał ją za dłoń i nadgarstek i szybko wykręcił całą rękę. Bark Calli pochylił się gwałtownie w dół. Utrzymała drinka i zarechotała.

– Tym razem poczułam.

– A teraz ty mnie – rzekł Szary Mężczyzna. – Potrzymam ci drinka.

Włożywszy dłonie do kieszeni, Gansey oparł się o framugę i obserwował tę scenę. Instynkt mu podpowiadał, że przerażające wieści, z którymi przyszedł, po ujawnieniu staną się jeszcze gorsze. Pozwolił sobie na chwilę ciszy przed burzą, pozwolił, by atmosfera domu podziałała na niego w zwyczajowy sposób. W przeciwieństwie do Monmouth Manufacturing na Fox Way 300 było pełno obcych ludzi i dziwacznych przedmiotów. Powietrze wirowało od rozmów, muzyki, telefonów i starych urządzeń. Nie dawało się zapomnieć, że wszystkie te kobiety były połączone z przeszłością i sięgały do przyszłości, były

powiązane ze wszystkim na tym świecie i ze sobą nawzajem.

Gansey nie tyle odwiedzał to miejsce, ile dawał mu się wchłonać.

Uwielbiał to. Chciał stanowić część tego świata, choć rozumiał, że istnieją niezliczone powody, dla których nigdy tak się nie stanie. Blue była naturalnym owocem takiego domu: pewna siebie, dziwna, ufna i ciekawa. No i był o n: neurotyczny i elitarny produkt zupełnie innego środowiska.

– Co jeszcze? – spytała Calla.

– Mogę ci pokazać, jak zwichnąć mi żuchwę – zaproponował uprzejmie pan Szary.

– O, tak, to... Proszę, oto Richard Gansey III – rzekła Calla, zauważając go. – I wąż. Gdzie Coca-Cola?

– Pracuje – wytłumaczył Gansey. – Nie mógł się urwać.

Persefona zamachała niejasno zza wysokiego, jasnoróżowego drinka. Blue nie zamachała. Widziała minę Ganseya.

– Czy nazwisko Colin Greenmantle coś panu mówi? – spytał Gansey pana Szarego, choć znał już odpowiedź.

Szary Mężczyzna podał Calli jej drinka i wytarł dłonie w spodnie. Jego idealny uśmiech zniknął.

– Colin Greenmantle był moim pracodawcą.

– Jest naszym nowym nauczycielem łaciny.

– O rany – jęknęła Persefona. – Masz ochotę na drinka?

Gansey uświadomił sobie, że mówiła do niego.

– Och, nie, dziękuję.

– Mnie przyda się kolejny – rzekła. – Zrobię też panu, panie Szary.

Szary Mężczyzna podszedł do okna. Jego samochód, zdecydowanie rzucające się w oczy białe mitsubishi z ogromnym spojlerem, był zaparkowany na zewnątrz i we trzech, z Ronanem, przyglądali mu się w zadumie. Po kilku chwilach Szary Mężczyzna powiedział:

– To on poprosił mnie o zabicie ojca Ronana.

Gansey wiedział, że nie powinien czuć się źle, gdy zostało to stwierdzone tak obojętnie. Pan Szary był płatnym zabójcą, a Niall Lynch – jego celem. Nie znał wtedy Ronana, a poza tym pod względem etycznym profesja pana Szarego nie była gorsza od zawodowego najemnika. Wszystko to nie zmieniało jednak faktu, że ojciec Ronana nie żył. Przypomniawszy sobie, że Szary Mężczyzna był jedynie bronią. To Greenmantle okazał się dłonią, która ją dzierżyła.

– Zamierzam go zabić – rzekł milczący do tej pory Ronan.

Gansey ujrzał nagle straszliwą wizję: zakrwawione dłonie Ronana, jego puste i nieświadome oczy, zwłoki u stóp. Był to brutalny i niedający

się odepchnąć obraz, jeszcze gorszy dlatego, że Gansey widział już oddzielnie wystarczająco wiele elementów, by dobrze wiedzieć, jak będą wyglądały razem.

Szary Mężczyzna obrócił się szybko.

– Nie zrobisz tego – rzekł z siłą, jakiej Gansey jeszcze u niego nie słyszał. – Słyszysz mnie? Nie wolno ci.

– O, naprawdę? – spytał Ronan.

Miał niski i groźny głos, zdecydowanie groźniejszy, niż gdyby wywarczał ripostę.

– Colin Greenmantle jest nietykalny – oznajmił Szary Mężczyzna. Rozłożył szeroko palce, zawieszając dłonie w powietrzu. – Jest pajakiem siedzącym w sieci. Każda noga dotyka nici i jeśli cokolwiek stanie się pajakowi, rozpęta się piekło.

– Przeszedłem już przez piekło – powiedział Ronan.

– Nie masz pojęcia, czym jest piekło – stwierdził Szary Mężczyzna, mimo wszystko z sympatią. – Sądysz, że jesteś pierwszym synem, który pragnie zemsty? Sądysz, że twój ojciec był pierwszym, którego zabił? Greenmantle wciąż żyje i jest nietknięty, bo wszyscy wiemy, jak to działa. Zanim przyjechał tu z Bostonu, przyczepił szesnaście cienkich nici do takich osób jak ja, do programów komputerowych, do kont bankowych. Pajak umrze, sieć zadrży i nagle twoje konta zostaną oczyszczone do zera, twój młodszy brat straci kończynę, a starszy zginie za kierownicą samochodu w Waszyngtonie. Kampania pani Gansey zostanie zniszczona przez fałszywe skandaliczne fotografie. Adam straci stypendium. Blue straci oko...

– Dość – odezwał się Gansey. Miał ochotę wymiotować. – Jezu, już dość.

– Chcę tylko, by Ronan zrozumiał, że nie może zrobić nic głupiego – dopowiedział Szary Mężczyzna. – Zabicie Greenmantle'a oznaczałoby koniec znanego wam życia. Poza tym co przyjdzie ci z zemsty?

– I to mówi zabójca – zakpił Ronan.

Znów zawarczał, zamiast mówić, co oznaczało, że czuł ból.

– Owszem, to mówi zabójca, ale ja jestem w tym dobry – odparł pan Szary. – Nawet gdyby Greenmantle nie był pajakiem w straszliwej sieci, czy satysfakcja płynąca z jego zabicia byłaby warta więzienia?

Ronan bez słowa wyszedł przez drzwi frontowe i nimi trzasnął. Gansey nie ruszył za nim. Był rozdarty pomiędzy chęcią złagodzenia bólu Ronana i pozostawienia go w cierpieniu, lecz jednocześnie pozostawał na baczności. Gansey uważał, że przemoc jest chorobą, którą nie ma szans się zarazić, lecz dookoła niego przyjaciele zdradzali

syndromy infekcji.

Persefona przyniosła Szaremu Mężczyźnie drinka. Miała też kolejnego dla siebie. Stuknęli się szklankami.

– Chcesz? – spytała Blue Ganseya.

Przechyliła pojemniczek z jogurtem w jego stronę, by zobaczyć, że zostały tylko owoce na dnie. Nie skinął głową, ale i tak podała mu kubeczek oraz swoją łyżeczkę. Poszło jak po piorunochronie: okropna jagodowa maź, cukier wpadający do żołądka pustego po zajęciach, wiedza, że jej usta jako ostatnie dotykały łyżeczki.

Blue patrzyła, jak Gansey bierze pierwszy kęs, po czym obróciła się szybko do pana Szarego.

– To on przyszedł wczoraj wieczorem na odczytanie, prawda?

– Zgadza się – przyznał Szary Mężczyzna. – Tak sądziłem. A teraz będzie uczył chłopców łaciny.

– Dlaczego? – spytał Gansey. – Dlaczego nas?

– Nie was – odrzekł pan Szary. – Mnie. Najwyraźniej nie uwierzył w moją opowieść, że uciekłem z Greywarenem. Przyszedł do tego domu w poszukiwaniu Maury, ponieważ sądzi, że jest dla mnie ważna. Przeniknął do szkoły, ponieważ dowiedział się, że was znam. Chce, bym wiedział, że on wie, iż wciąż tu jestem. I chce, bym wiedział, ile wie o moim życiu tutaj.

– Co mamy robić? – zapytał Gansey. Zaczynał czuć, jakby ten dzień był pomyłką, jakby nie był naprawdę pierwszym dniem szkoły. Może powinien być zostać do jutra w łóżku i spróbować ponownie.

– On nie jest twoim problemem, tylko moim – przypomniał mu pan Szary.

– Jest w mojej szkole, i to codziennie. Ronan musi *codziennie* patrzeć mu w *twarz*. I to ma nie być mój problem?

– Ale to nie ciebie chce dopaść. Zajmę się tym. Twoim zadaniem jest pozwolić mi się tym zająć.

Gansey opadł na kanapę. Wierzył w intencje pana Szarego, lecz nie w jego oświadczenie. Jeśli dowiedział się czegoś przez ostatni rok, to była świadomość, że wszystko w tym miasteczku było ze sobą splątane.

Calla chwyciła pana Szarego za nadgarstek i powoli udawała, że łamie mu rękę. Kręcąc lekko głową, zamienił się z nią, chwytając jej śródrezcze jedną dłonią, a nadgarstek drugą. Obrócił go z powolną precyzją. I to kilka razy, by zobaczyć, jak to robił. Odczuwało się dziwną satysfakcją, obserwując go, gdy biegle demonstrował ten akt udawanej przemocy. Była w tym kontrola i piękno, jak w tańcu. Wszystko w jego smukłej, muskularnej postawie i czystych, celowych

ruchach mówiło: „mam to pod kontrolą”. Przy czym *to* oznaczało *wszystko*.

Jakże bardzo Gansey chciał pozwolić, by Greenmantle pozostał problemem Szarego Mężczyzny. Znów jednak ujrzał ten zwięzający się czarny tunel i jamę, na dnie zaś – grób.

Calla zakłęta i złapała się za bark.

– Przepraszam – powiedział do niej pan Szary, po czym dodał do Ganseya: – Dowiem się, czego chce.

– Proszę nie dać się zabić – odezwała się natychmiast Blue.

– Nie zamierzam. – Myślę, że to dobrze, iż niemal znalazłeś tego króla – rzekła wreszcie swym cichym głosem Persefona.

Gansey uświadomił sobie, że mówiła do niego.

– Znalazłem?

– Pewnie – odpowiedziała Calla. – Długo ci to zajęło.

Tej nocy, niedługo po powrocie z pracy, Adam usłyszał pukanie do drzwi przykościelnego mieszkania. Gdy otworzył, z początku był zdumiony, że po drugiej stronie drzwi stoi prawdziwa osoba, a później, że był nią Gansey, a nie Ronan.

– O – powiedział. – Już późno.

– Wiem. – Gansey był w płaszczu i okularach. Wyraźnie próbował spać i nie udało mu się. – Przepraszam. Policzyłeś już rachunek różniczkowy? Nie mogę sobie poradzić z czwartym zadaniem.

Nie wypowiedział słowa Greenmantle. Nie było nic do dodania, dopóki nie dowiedzą się więcej od pana Szarego.

– Policzyłem, możesz zerknąć.

Adam wpuścił Ganseya i wsunął list – *list* – za małą półkę przy drzwiach. W przeciwieństwie do Ronana, Gansey wydawał się nie na miejscu w tym mieszkaniu. Skośny dach pogłębiał ciasnotę, pęknięcia na gipsowej ścianie rysowały się wyraźniej, a praktyczne plastikowe pojemniki z rzeczami Adama wydawały się jeszcze bardziej pozbawione estetycznego uroku. Do Ganseya pasowały stare rzeczy, a to miejsce nie było stare, było tanie.

List był ukryty, prawda? Był. Adam czuł, jak jego krawędź świeci się za półką. Gansey litowałby się nad nim i wynająłby prawnika, a Adam poczułby się jak śmieć i kłóciliby się...

„Nie będziemy się kłócić”.

Gansey zdjął płaszcz. Pod nim miał T-shirt i spodnie od piżamy, co było chyba najbardziej metaforycznym strojem, jaki Adam mógł sobie wyobrazić u przyjaciela. Chyba że zdołałby włożyć kolejny płaszcz pod T-shirt i kolejną spodnie od piżamy pod ten drugi płaszcz, i tak dalej, i tak dalej, tworząc niekończącą się Ganseyową matrioszkę. Usiadł na brzegu łóżka.

– Dzwoniła mama – oznajmił Gansey. – Czy chciałbym spotkać się z gubernatorem w następny weekend, bo gdybym chciał, to byłoby świetnie, i czy chciałbym zabrać znajomych? Nie, mam, szczerze mówiąc, nie chciałbym. Będzie tam Helen? Tak, mam, tak zakładałem, ale nie do końca uważam to za zachętę, a poza tym obawiam się, że porwałaby Adama. Dobrze, dobrze, nie musisz. Wiem, że jesteś zajęta,

ale och kropka kropka kropka et cetera et cetera. No i bym zapomniał. Przyniosłem odszkodowanie za najście.

Przyciągnął płaszcz bliżej ręki i wyjął z kieszeni dwa batoniki. Rzucił jeden Adamowi na kolana i zaczął dla siebie otwierać drugi.

Adam bardzo chciał go zjeść, ale odłożył na bok, by pokrzepić się podczas przerwy w pracy jutro wieczorem.

– Nie zasnąłbym, gdybym teraz zjadł. – Podobała mu się myśl, że elegancka starsza siostra Ganseya uważała go za przystojnego. Fakt, że było to niemożliwe, sprowadzał sytuację do przyjemnego połaskotania ego. – Jedziesz?

– Nie wiem. A jeśli tak, to pojedziesz ze mną?

Adam poczuł instynktowne drżenie nerwów. Odezwała się pamięć mięśniowa z ostatniego razu, gdy pojechał z Ganseyem na imprezę polityczną.

– Lepiej zabierz też Blue. Ochrzaniała mnie, że poprzednio nie została zaproszona.

Gansey zamrugał, a w jego ukrytych za okularami oczach pojawiło się zaskoczenie.

– Bo ja jej nie zaprosiłem?

– Nie, ja. Ale chciałyby pojechać. Zaufaj mi. Trochę się bała.

– Wierzę ci. O Jezus. Właśnie wyobraziłem sobie jej spotkanie z gubernatorem. W głowie odtwarza mi się prezentacja z jej pytaniami.

Adam wyszczerzył zęby.

– Zasługuje na każde z nich.

Gansey przebiegł ołówkiem po swojej pracy domowej, porównując ją z pracą Adama, choć Parrish widział, że zadanie numer cztery było już wykonane prawidłowo. Adam zerknął na batonik i potarł grzbiety dłoni. Każdej zimy pomimo wszelkich wysiłków bardzo mu pierzchły i już zaczynały wysychać. Uświadomił sobie, że stukanie ucichło, a gdy podniósł wzrok, ujrzał, że Gansey wpatruje się w przestrzeń.

– Wszyscy mówią: „znajdź tylko Glendowera” – rzekł nagle Gansey – ale wokół mnie zawałają się ściany jaskini.

To nie ściany jaskini się zawałowały. Adam już kiedyś słyszał w głosie Ganseya strach i był wyczulony na jego ponowne pojawienie się. Odwrócił wzrok, by pozwolić przyjacielowi zebrać się w sobie, po czym spytał:

– Co według Malory’ego powinniśmy teraz zrobić?

– Z zupełnie niejasnych dla mnie powodów wydaje się podekscytowany Grobem Olbrzyma. – Gansey rzeczywiście potrzebował otrzymanej od Adama chwili, by starannie uspokoić głos,

wypracowanym rytuałem przekształcić strach w ironiczną dezaprobatę. – Mówi o wskazówkach wizualnych, odczytach energii i o tym, że wszystko wskazuje właśnie na to miejsce. Jakże on uwielbia naszą linię mocy. Aż błyszcza mu się oczy.

– Ty też tak kiedyś miałeś – przypomniał mu Adam.

Obydwaj tak mieli. Jakże niewdzięczni się stali, jak chciwie pragnęli nowych wspaniałości.

Gansey postukał ołówkiem w bezgłośniej aprobacie.

W ciszy Adam usłyszał szepty dobiegające ze strony łazienki. Z doświadczenia wiedział, że pochodziły z wody kapiącej z kranu i że ten język był dla niego jak bełkot. Ronan mógłby zidentyfikować jedno czy dwa słowa. Miał w końcu pudełko-łamiągłówkę, tłumaczące ten dziwny stary język. Adam wciąż jednak nasłuchiwał, chcąc dosłyszeć, czy głosy będą się wznosić, czy gasnąć, czy linia nabierała mocy, a może Cabeswater próbowało się z nim skontaktować.

Zdał sobie sprawę, że Gansey na niego patrzy i marszczy brwi. Adam nie był pewien, jaką miał minę ani jak długo skupiał się na czymś, czego Gansey nie słyszał. Z jego twarzy wynikało jednak, że długo.

– Czy Malory cały dzień tkwi w Monmouth? – spytał szybko Adam.

Twarz Ganseya się rozpozodziła.

– Dałem mu SUV-a, by sobie pojeździł. Boże litościwy, on jeździ tak samo, jak chodzi. Mogę ci jednak powiedzieć, że nie lubi Monmouth.

– Zdrada – rzekł Adam, ponieważ wiedział, że spodoba się to Ganseyowi, i zobaczył, że miał rację. – Gdzie jest Ronan?

– Mówił, że jedzie do Stodółek.

– Wierzysz mu?

– Zapewne. Zabrał Piłę – oznajmił Gansey. – Nie sądzę, żeby zamierzał zadzierać z Greenmantle'em, pan Szary był bardzo przekonujący w tej kwestii. A w co innego mógłby wpaść? Kavinsky nie żyje, więc... Jezu *Chryste*, posłuchaj mnie. Jezu *Chryste*.

Ściany jaskini znów zaczęły się osypywać, wcześniejszy rytuał nie był doskonały. Gansey usiadł pod ścianą i zamknął oczy. Adam obserwował, jak przełyka ślinę.

Znów usłyszał głos Ganseya w jaskini.

– W porządku – powiedział Adam. Nie obchodziło go, że Joseph Kavinsky nie żył, lecz podobało mu się, że Gansey się tym przejmował. – Wiem, co masz na myśli.

– Nie, nie wiesz. To okropne z mojej strony. – Gansey nie otwierał oczu. – Wszystko zrobiło się takie paskudne. Nie tak miało być.

Dla Adama wszystko *zaczęło* się paskudnie, ale wiedział, o co



chodziło Ganseyowi. Jego szlachetny, nieświadomy i optymistyczny przyjaciel powoli otwierał oczy i zaczynał dostrzegać prawdziwy obraz świata, który był brudny, gwałtowny, bluźnierczy i niesprawiedliwy. Adam zawsze uważał, że właśnie tego pragnął: by Gansey to *wiedział*. Teraz nie był już jednak o tym przekonany. Gansey był inni niż wszyscy i Adam nie miał już pewności, że wciąż tego chce.

– Trzymaj – rzekł, wstając i przynosząc ich wypracowanie z historii.  
– Czytaj na głos, a ja będę robił notatki.

Minęła im na tym godzina. Gansey czytał na głos swoim wspaniałym, dojrzałym głosem, Adam zaś pisał swą doskonałą dłonią. Gdy Gansey dotarł do końca wypracowania, starannie złożył kartki i położył je na odwróconym plastikowym wiaderku, którego Adam używał jako stolika nocnego.

Wstał i włożył płaszcz.

– Tak myślę – odezwał się – że jeśli... gdy... znajdziemy Glendowera, poproszę go o życie Noaha. Sądysz, że to by zadziałało?

Było to tak nagłe odejście od poprzedniego tematu rozmowy, że Adam nie od razu odpowiedział. Spojrzał jedynie na Ganseya. Było w nim coś innego, zmienił się, gdy Adam był do niego odwrócony. Zmarszczka pomiędzy jego brwiami? Sposób, w jaki pochylał podbródek? Być może mocniejsze zaciśnięcie szczęk i kąciki ust opuszczone w poczuciu odpowiedzialności.

Adam nie mógł sobie przypomnieć, jak udało im się tak nieustannie kłócić przez lato. Z Ganseyem, najlepszym przyjacielem, głupim, uprzejmym i wspaniałym najlepszym przyjacielem.

– Nie – odparł. – Ale sądzę, że warto spytać.

Gansey przytaknął. I drugi raz.

– Przepraszam, że tak długo cię trzymam na nogach. Widzimy się jutro?

– Z samego rana.

Po wyjściu Ganseya Adam wyciągnął schowany list. Podano w nim datę przesuniętej rozprawy jego ojca. Głęboko ukryta część Adama zdumiała się, że na sam widok słów „Robert Parrish” skreśliło go w żołądku.

„Patrz do przodu, Adamie”. Wkrótce będzie to za nim. Wkrótce ten rok szkolny też już będzie za nim. Wkrótce odnajdą Glendowera i wszyscy będą królami. Wkrótce, wkrótce.

Następnego dnia po lekcjach Blue siedziała przy stole z łyżeczką w jednej dłoni i Lizystratą, sztuką, którą wybrała do analizy na angielskim, w drugiej. („Wiecie, kobietom nie jest łatwo odejść. Ciągłe trzeba się krzątać koło męża, szturchać służącego, by się obudził, układać dziecko do snu, kąpać bachora lub go karmić”). Szara mżawka napierała na okna zagraconej kuchni.

Blue nie myślała o Lizystracie. Myślała o Ganseyu, Szarym Mężczyźnie, Maurze oraz jaskini kruków.

Nagle na stół padł cień o wielkości i kształcie jej kuzynki Orli.

– Rozumiem, że Maury nie ma, ale nie ma też powodu, by zachowywać się jak społeczny niedorozwój – powiedziała Orla w charakterze przywitania. – A poza tym kiedy ostatnio jadłaś coś, co nie było jogurtem?

Czasami Blue nie mogła znieść Orli. To była właśnie jedna z takich chwil. Nie podniosła wzroku.

– Nie bądź nieprzyjemna.

– Charity mi mówiła, że T.J. chciał się dziś z tobą umówić, a ty się tylko na niego gapiłaś.

– Co?

– T.J. chciał się z tobą umówić. Ty się na niego tylko gapiłaś. Coś ci dzwoni? – Orla już dawno skończyła Mountain View, ale wciąż wiedziała, co dzieje się u przyjaciółek lub byłych chłopaków całej klasy, natomiast potęgą młodsze rodzeństwa tej gromady zapewniała Orli prawie kompletny ogląd szkolnego życia Blue.

Blue przez dłuższą chwilę podnosiła wzrok na swą wysoką kuzynkę.

– Podczas lunchu T.J. podszedł do mojego stolika i dorysował penisa jednorożcowi na moim segregatorze. Charity odnosiła się do tego incydentu?

– Nie mów do mnie jak Richard Gansey III – odparła Orla.

– Jeśli o to chodziło Charity, to owszem, tylko się na niego gapiłam. Nie zdawałam sobie sprawy, że trwa rozmowa, z powodu *penisa*.

Orla rozdeła nozdrza.

– Oto drobna rada. Czasami ludzie po prostu próbują być przyjaźni. Nie możesz się spodziewać, że cały czas będą wyrafinowani. Istnieje po

prostu pogawędka.

– Ja *gawędzę* – zripostowała Blue. Incydent z T.J. nie obraził jej, choć wołała jednorożce bez drugorzędnych cech płciowych. Po prostu sprawił, że poczuła się starsza niż wszyscy w szkole, i było to męczące. – Czy to wszystko? Próbuję coś skończyć, zanim zjawi się tu Gansey. – „O Zeusie, cóż za ćmiące cierpienie”.

– Może nie wiesz, ale można się po prostu przyjaźnić z ludźmi – przypomniała Orla. – Uważam za szalone to, że jesteś zakochana we wszystkich tych kruczych chłopcach.

Orla nie myliła się, oczywiście. Nie zdawała sobie jednak sprawy z tego, że Blue oraz wszyscy jej chłopcy byli w sobie zakochani. Miała nie mniejszą obsesję na ich punkcie niż oni na jej lub na swoich wzajemnie. Analizowali każdą rozmowę i gest, przeciągali każdy dowcip w coraz dłuższy i dłuższy skecz, spędzali każdą chwilę w swoim towarzystwie albo też myśląc o tym, kiedy znów będą w swoim towarzystwie. Blue była świadoma, że można znaleźć przyjaźń, która nie byłaby tak wszechogarniająca, oślepiająca, ogłuszająca, ogłupiająca i ożywiająca. Po prostu skoro miała już to wszystko, nie potrzebowała nic innego.

Orla strzeliła palcami pomiędzy Blue a jej książką.

– Blue. Właśnie o tym mówiłam.

Blue zgięła palec na stronie, by jej nie zgubić.

– Nie prosiłam o żadną poradę.

– Nie, choć powinnaś – oznajmiła Orla. – Jak myślisz, co się stanie za rok? Wszyscy twoi chłopcy pójdą do wymyślnych szkół, a ty gdzie będziesz? Tu, w Henriecie, z ludźmi, z którymi nie chcesz *gawędzić*.

Blue otworzyła usta i zamknęła je, a w oczach Orli błysnęło zwycięstwo. Wiedziała, że dogrzebała się do szpiku.

Z zewnątrz dobiegł znajomy pomruk starego camaro i Blue zerwała się na nogi. Wrzuciła łyżeczkę do zlewu.

– Jest moja bryka.

– *Tymczasowa* bryka.

Blue wybuchła, wrzucając kubeczek po jogurcie do wiadra na odpady selektywne.

– O co chodzi, Orlo? Zazdrość? Czy co? Po prostu nie chcesz, bym ich tak bardzo lubiła, bo... próbujesz mnie ocalić przed zranieniem? Wiesz, co jeszcze jest *tymczasowe*? *Życie*.

– Och, przestań. Nie sądzisz, że bierzesz to trochę zbyt...

– Więc może powinnam też była rozdzielić swą miłość na kilka innych matek?! – Blue porwała kurtkę i popędziła korytarzem w stronę

drzwi. – Gdybym jej tak bardzo nie kochała, może nie czułabym się tak paskudnie, gdy zniknęła?! Mogłabym mieć paru rodziców w odwodzie, każdego z *malutką* częścią mojego uczucia, abym nawet nie zauważyła, gdy jedno z nich odejdzie?! A może powinnam po prostu nie kochać nikogo ani niczego?! Tak rzeczywiście byłoby najprościej, bo wówczas nigdy bym się nie zawiodła! Zamknę swoje serce w wieży!

– Rany, uspokój się – prosiła Orla, wlokąc się za Blue w swoich chodakach na koturnach. – Nie o to mi chodziło.

– Wiesz, co sobie myślę, Orlo? Myślę, że jesteś wielką, tłustą *tyranką*... – Blue wpadła prosto na Ganseya, który zatrzymał się w korytarzu.

Przez chwilę czuła miętę i krzepkość jego piersi, po czym się odwróciła.

Gansey wyplątał zegarek z szydełkowej kurtki Blue.

– Cześć. Och, Orlo.

– Och, *Orlo* – powtórzyła nieprzyjemnym głosem Orla.

Nie było to skierowane do niego, choć o tym nie wiedział. Wzdrygnął się.

– ZAMKNIJCIE SIĘ! – ryknęła z góry Calla.

– Później przypomnisz sobie tę rozmowę i przeprosisz mnie – rzuciła Orla do Blue. – Zapominasz, kim jesteś. – Obróciła się z całą gracją, na jaką pozwalały jej długie nogi i masywne buty.

Gansey był zbyt uprzejmy, by spytać o powód kłótni.

– Zabierz mnie stąd – powiedziała Blue.

Na zewnątrz było paskudnie, wilgotno i chłodno. Późna jesień nadeszła zbyt wcześnie. Malory siedział już na przednim fotelu Świni. Blue jednocześnie żałowała i cieszyła się, że jechał z nimi. Powstrzyma ją przed zrobieniem czegoś głupiego.

Siedziała teraz obok Psa, wyglądając przez tylne szyby, gdy mijali Krecie Wzgórze w drodze do Cooper Mountain, i czuła, jak jej paskudny nastrój rozplywa się w szarość. Była to zupełnie inna część świata niż Henrietta. Wiejska, lecz mniej dzika. Więcej tu krów, a mniej lasów. I bardzo biednie. Domy stojące wzdłuż szosy były mniejsze niż pojedyncze przyczepy.

– Nie mam zbyt wielkich nadziei – powiedział Gansey do Malory’ego. Pociągnął się za lewy rękaw. Deszcz wpadał mu przez okno, choć było podniesione. Woda kapiała również na deskę rozdzielczą za lusterkiem wstecznym. Malory strząsnął krople z trzymanej w dłoniach mapy. – Rok temu obszedłem dookoła tę górę i nie widziałem żadnej jaskini. Jeśli gdzieś jakaś jest, pozostaje czyjaś tajemnicą.

Blue wychyliła się do przodu, Pies również.

– Istnieje bardzo sprytny sposób, w jaki ludzie ze wsi poznają czyjeś tajemnice. *Pytamy* o nie.

Gansey napotkał w lusterku wstecznym wzrok Blue, a następnie Psa.

– Adam dość mocno pilnuje swoich tajemnic.

– Och, zdecydowanie inni ludzie ze wsi niż *Adam*.

Blue odkryła, że istniały dwa stereotypy dotyczące wiejskiej populacji Wirginii: sąsiedzi, którzy pożyczali sobie szklanek cukru i wiedzieli o sobie wszystko, oraz buraki stojące na gankach ze strzelbami i wykrzykujące rasistowskie obelgi, gdy były pijane. Ponieważ dorastała otoczona pierwszą grupą, nie wierzyła w istnienie drugiej, dopóki nie weszła w lata nastoletnie. Szkoła nauczyła ją, że te dwie odmiany ludzi niemal nigdy nie rodzą się w tej samej rodzinie.

– Słuchaj – powiedziała. – Gdy dojedziemy, pokażę ci, przy których domach się zatrzymywać.

Cooper Mountain okazała się raczej górką niż górą, lecz robiła wrażenie tym, że pojawiła się nagle pomiędzy rzadko zasiedlonymi polami. Po jednej stronie leżała mała osada, a reszta okolicy upstrzona była rozrzuconymi gospodarstwami. Blue poleciła Ganseyowi podjechać w kierunku tych drugich.

– Ludzie z wiosek wiedzą tylko o swoich sąsiadach – rzekła. – W wiosce nie ma jaskiń. O, ten jest dobry. Lepiej zaczekaj w samochodzie z tą swoją wymuskaną twarzą.

Gansey, zbyt świadom wymuskania swojej twarzy, nie protestował. Wjechał camaro na długą zwirową drogę, kończącą się pod białym domem. Skołatuniony pies bez rasy bądź też mieszaniec wszystkich ras wyskoczył, by obszczać Blue wychodzącą na deszcz.

– No cześć – przywitała go dziewczyna, a pies natychmiast wycofał się pod ganek.

Gdy zapukała do drzwi, otworzyła jej starsza kobieta z gazetą. Wyglądała przyjaźnie. Doświadczenie podpowiadało Blue, że mieszkańcy odległych i podniszczonych gospodarstw zwykle wyglądali przyjaźnie, chyba że akurat nie wyglądali.

– Co mogę dla ciebie zrobić?

– Niczego nie sprzedaję, przyrzekam. – Blue starała się jak najbardziej dopasować swój akcent do okolicy. – Nazywam się Blue Sargent, mieszkam w Henriecie i wykonuję zadanie z geologii. Słyszałam, że gdzieś tu jest jaskinia. Czy mogłaby mnie pani skierować w odpowiednią stronę?

Następnie uśmiechnęła się, jakby kobieta już jej pomogła. Jeśli Blue

nauczyła się czegoś jako kelnerka, wyprowadzaczka psów i córka Maury Sargent, na pewno była to wiedza, że ludzie zazwyczaj stawali się takimi osobami, jakich od nich oczekiwano.

Kobieta się zastanowiła.

– Coś mi świta, ale nie przypominam sobie... Pytałaś Wayne'a Bauera? Dobrze zna tę okolicę.

– Który to?

Kobieta wskazała na przeciwległą stronę szosy.

Blue pokazała jej uniesiony kciuk. Kobieta życzyła jej szczęścia.

Okazało się, że Wayne'a Bauera nie było w domu, była jednak jego żona, która nie wiedziała nic o żadnej jaskini, lecz radziła spytać mieszkającego kawalek dalej Jimmy'ego, bo on zawsze kopał rowy, a przecież wiadomo, że w rowach można znaleźć różne rzeczy. Jimmy również nie wiedział, ale wydawało mu się, że Gloria Mitchell w zeszłym roku coś mówiła o jaskini. Odkryli, że Glorii nie było w domu, ale była jej starsza siostra, która spytała:

– Ale że co, chodzi wam o jaskinię Jessego Dittleya?

– Nie musisz być taka zadowolona z siebie – powiedział Gansey do Blue, gdy zapinała pas.

– Oczywiście, że muszę – odparła Blue.

Farma Dittleya znajdowała się bezpośrednio u podstawy Cooper Mountain. Zapadnięta drewniana chata była otoczona zdekompletowanymi samochodami i kompletnymi sofami, a wszystko to zastali solidnie zarośnięte. Porzucone opony i zepsute okienne klimatyzatory wzbudzały w Blue podobne uczucia jak zabałaganiona kuchnia/łazienka/pralnia w Monmouth Manufacturing: chciałyby to ogarnąć i zaprowadzić porządek.

Gdy wysiadła, zaczęła raz za razem obracać nazwisko „Jesse Dittley” w głowie. Coś jej przypominało, ale nie mogła określić co. Dawny przyjaciel rodziny? Przestępca seksualny z artykułu w gazecie? Postać z książki z obrazkami?

Na wypadek, gdyby chodziło o środkową ewentualność, upewniła się, że ma w kieszeni swój różowy nóż techniczny. Nie sądziła, że będzie musiała kogoś dźgnąć, ale lubiła być przygotowana.

Stanęła na nachylonym ganku, na którym znajdowało się czternaście pustych dzbanków na mleko oraz dziesięć kotów, i zapukała. Minęło sporo czasu, zanim drzwi się otworzyły, a wówczas ze środka wyleciał obłok papierosowego dymu.

– KIM TY, DO DIABŁA, JESTEŚ?

Podniosła wzrok na mężczyźnę. On opuścił wzrok na nią. Musiał

mieć ponad dwa metry wzrostu i nosił największą białą żonobijkę, jaką kiedykolwiek widziała (a było ich sporo). Na jego twarzy widniało zaskoczenie, choć wydawała się raczej łagodna, dudnienie zaś, jak uznała Blue, było spowodowane objętością klatki piersiowej, a nie złą wolą. Popatrzył na koszulkę, którą zrobiła sobie ze wstążek oraz zawleczek od puszek z napojami, a później na jej twarz.

– Jestem osobą bardzo cieszącą się z tego, że może pana poznać. – Zerknęła obok niego do wnętrza domu. Ujrzała więcej leżanek, niż kiedykolwiek wcześniej widziała (a było ich sporo). Nic nie sugerowało, gdzie mogła wcześniej słyszeć jego nazwisko.

– Czy pan nazywa się Jesse Dittley?

– JESTEM JESSE DITTLEY. NIGDY NIE JADAŁAŚ WARZYW?

Owszem, Blue miała niecały metr pięćdziesiąt wzrostu i nie jadała warzyw, ale sporo na ten temat czytała i nie sądziła, by jedno było powiązane z drugim.

– Przegrałam w genetycznym rzucie kośćmi.

– JAK CHOLERA.

– Jestem tu, bo ludzie powiadają, że ma pan jaskinię.

Zastanowił się nad tym. Podrapał po piersi. Wreszcie popatrzył na camaro stojące na dziurawym podjeździe.

– A TO KTO?

– Moi przyjaciele – odparła Blue – którzy też są zainteresowani jaskinią. Jeśli istnieje.

– JASNE, ŻE ISTNIEJE. – Wydał z siebie westchnienie o mocy huraganu. – MOŻESZ IM RÓWNIE DOBRZE POWIEDZIEĆ, ŻEBY PRZYSZLI TU I NIE MOKLI.

Teoretycznie na camaro już nie padało – może z wyjątkiem lewego ramienia Ganseya – ale Blue nie spierała się. Gestem pokazała, by do niej dołączyli.

W chacie było dość podobnie jak na zewnątrz. Na wpół wybebeszone urządzenia, martwe rośliny w wyschniętych doniczkach, zakurzone narzuty na łóżka zwinięte w kątach, koty wyglądające ze zlewów. Deszcz sprawiał, że było szaro i ciemno. Wydawało się, jakby wszystko było *przesunięte*, jakby korytarze były trochę za wąskie i lekko nachylone albo po prostu w jakiś nieznacznym sposób nieprawidłowe.

Jesse Dittley. Doprowadzało ją do obłędu, że wciąż nie wiedziała, skąd zna to nazwisko.

W salonie Malory bez mrugnięcia okiem usiadł na brązowej leżance. Gansey wciąż stał. Wyglądał trochę niewyraźnie.

Blue przysiadła na otomanie bez siedziska. Jesse Dittley stał obok

stolika karcianego zastawionego pustymi szklankami. Nie zaproponował nic do picia.

– CO CHCECIE WIEDZIEĆ O JASKINI? – Zanim zdążyli odpowiedzieć, dodał ponuro: – JEST PRZEKLĘTA.

– O rany – jęknął Malory.

– Nie przejmuję się zbyt kłótniami – oznajmił Gansey. Jego akcent starych wirginijskich pieniędzy zabrzmiał przy Jessem elegancko i afektownie. – Czy jaskinia jest blisko stąd?

– ZARAZ TAM – poinformował Jesse.

– Och! Czy wie pan, jak jest długa? – zapytał Gansey.

Jednocześnie Blue zagadnęła przyjaznym głosem:

– Co to za klątwa?

– ZGINAŁ TAM MÓJ TATA, TATA MOJEGO TATY I TATA TATY MOJEGO TATY – wytłumaczył Jesse, być może błędnie. – PEWNIE NIE MA KOŃCA. A WIĘC JESTEŚ JEDNYM Z TYCH CHŁOPAKÓW Z AGLIONBY?

– Owszem – odrzekł starannie Gansey.

– CZY TEN PIES CHCE WODY?

Wszyscy popatrzyli na Psa. Wyglądał trochę niewyraźnie.

– Jeśli to nie będzie zbyt dużym problemem – odrzekł Malory.

Jesse poszedł po wodę. Gansey wymienił spojrzenia z Blue.

– Zrobiło się trochę złowieszczo.

– Myślisz, że tam rzeczywiście działa klątwa? – spytała.

– Oczywiście, że tak – odparł Malory. – Jaskinia leży na linii mocy. Zjawy, burze z piorunami, czarne bestie i zakłócenia czasu.

– Dla nas to po prostu linia mocy. Dla wszystkich innych klątwa – dokończył Gansey w zadumie. – Oczywiście.

Jesse wrócił z wyszczerbioną szklaną miską pełną wody. Pies zaczął łapczywie chleptać. Camaro miało nieszczelny wydech, co miało odwadniający wpływ na pasażerów.

– CZEGO SZUKACIE W JASKINI? PEWNIE JEST TU MNÓSTWO INNYCH JASKIŃ BEZ KLĄTW.

– Badamy odrębny system jaskiń i dotarliśmy do zablokowanej części. Próbuje znaleźć inną drogę wejścia i być może uda się przez pańską jaskinię.

Prawda potrafiła czynić cuda.

Jesse wyprowadził ich prosto we mgłę przez tylne drzwi i kolejny ganek.

Na zewnątrz mężczyzna wydawał się Blue jeszcze większy, a może po prostu teraz było łatwiej porównać jego rozmiary z domem. Gdy



proceedził ich przez rozległe pastwisko dla krów, nie chylił głowy przed deszczem. Blue uznała taki brak obaw za szlachetny, choć nie potrafiła się zmusić do pójścia za jego przykładem, gdy deszcz spływał jej z uszu.

– Ta pogoda przypomina mi o okropnej wspinaczce, na którą wybrałem się z osobnikiem o nazwisku Pelham – mruknął Malory, wyciągając skądś parasol i dzieląc się nim z Blue. – Czternaście kilometrów w każdą stronę, a wszystko dla obelisku, który przy pewnym świetle wyglądał jak pies. Ten człowiek cały czas gadał o piłce nożnej i swojej dziewczynie. Był to paskudnie spędzony czas.

Wielkimi krokami pod górę Jesse doprowadził ich do ogrodzenia z drutu kolczastego. Po drugiej stronie ze skalistego zbocza wyrastała zniszczona kamienna budowla o nieokreślonym wieku. Nie miała dachu, a jej kwadratowe boki wznosiły się na około siedem metrów. Choć składała się tylko z jednej osypującej się kondygnacji, było w niej coś, co dawało wrażenie wysokości, jakby kiedyś była wyższa. Blue starała się wyobrazić sobie jej pierwotny cel. Małe okna wykluczały raczej przeznaczenie mieszkalne. Gdyby to nie była Wirginia, gdyby budowla znajdowała się w jakimś starszym miejscu, pomyślałaby, że wygląda jak ruiny kamiennej wieży.

– TO TUTAJ.

Blue i Gansey wymienili spojrzenia. Wzrok Ganseya głosił: „Mówiliśmy mu o *jaskini*, prawda?”. Mina Blue natomiast: „Zdecydowanie mówiliśmy”.

Jesse za pomocą kija przycisnął górny odcinek drutu kolczastego, by mogli nad nim przejść – wszyscy poza Psem, który wkurzony został po drugiej stronie. Następnie, ślizgając się na mokrych liściach, wspięli się po zboczu. Z tylnej strony budynku w starą framugę wprawiono wyraźnie nowsze drzwi. Zamykała je kłódka. Jesse wyciągnął klucz, który podał Blue.

– Ja? – spytała.

– NIE WCHODZĘ DO ŚRODKA.

– Szarmancko – zauważyła Blue.

Nie była zdenerwowana, po prostu nie opuściła rankiem domu z zamiarem naruszania klątwy.

– ZABIJA TYLKO DITTLEYÓW – zapewnił ją Jesse. – MASZ W SOBIE KREW DITTLEYÓW?

– Nic o tym nie wiem – odparła Blue.

Włożyła klucz do zamka i otworzyła drzwi.

Wewnątrz znajdowały się sadzonki, osypane kamienie oraz, pośród gruzu, otwór. Zupełnie nie przypominał zapraszającego wejścia, jakie

przygotowało dla nich Gabeswater. Był mniejszy, ciemniejszy, bardziej poszarpany, a tuż za nim od razu robiło się stromo. Wyglądał na miejsce pełne tajemnic.

– Popatrz na tę jaskinię, Gansey – rzekł Malory. – Zastanawiam się, kto powiedział, że tu jest jaskinia.

– Samozadowolenie proszę zostawić dla Jane – zripostował Gansey.

– Nie wchodź tutaj – ostrzegła go Blue, wybierając drogę przez gruz – w razie gdyby tu były gniazda czy coś.

– WYGLĄDA KIEPSKO, JEŚLI DO NIEJ ZAJRZEĆ – odezwał się Jesse, gdy Blue zaglądała do dziury. Wewnątrz było zupełnie czarno, bo nie docierało tu słońce. – ALE NIE JEST STROMA, TYLKO PRZEKŁĘTA.

– Skąd pan wie, że nie jest stroma? – spytała.

– BYŁEM TAM PO KOŚCI TATUSIA. KLĄTWA CIĘ NIE BIERZE, PÓKI NIE JEST GOTOWA.

Trudno było spierać się z takim rozumowaniem.

– Sądzi pan, że moglibyśmy tam wejść? – zapytał Gansey. – Nie teraz, ale gdy wrócimy z odpowiednim sprzętem.

Jesse spojrział najpierw na niego, później na Malory'ego i wreszcie na Blue.

– PODOBACIE MI SIĘ, WIĘC...

Pokręcił głową.

– NIE.

– Bardzo przepraszam, ale czy pan powiedział, że nie? – upewniał się Gansey.

– SUMIENIE BY MI NIE POZWOLIŁO. NO JUŻ, WYCHODZICIE STAMTĄD. ZAMKNIJMY TO Z POWROTEM.

Przyjął klucz od zszokowanej Blue.

– Ale będziemy ostrożni – próbowała go przekonywać.

Jesse zamknął drzwi, jakby w ogóle nic nie słyszał.

– Moglibyśmy zapłacić panu za wydatki – zasugerował ostrożnie Gansey, a Blue kopnęła go na tyle mocno, by zostawić na spodniach błotnistą smugę. – Jezu, Jane!

– NIE WZYWAJ IMIENIA PANA TWEGO NADAREMNO! – zagrział Jesse. – DZIECI, BAWCIE SIĘ DOBRZE, BADAJĄC JAKĄŚ INNĄ JASKINIĘ.

– Ale...

– PRZEZ POLE JEST BLIŻEJ. POWODZENIA.

Zostali odprawieni, jakkolwiek wydawało się to niemożliwe.

– Może to i dobrze – oznajmił Malory, gdy wracali z oklapniętymi żałośnie ramionami przez namoknięte pole. – Jaskinie to straszliwe

miejsca na śmierć.

– Co teraz? – zapytała Blue.

– Najwyraźniej powinniśmy się spieszyć. Szybko, szybko – poganiał ich Gansey. – Znajdziemy sposób, by go przekonać. Albo wejdziemy bez zezwolenia.

Gdy dotarli do samochodu, Blue zdała sobie sprawę, że miał na sobie mundurek z Aglionby z rękawami mokrymi od deszczu. Podobnie wyglądał jego duch, gdy ujrzała go na linii mocy. Mógł zginąć na tym polu, a ona powinna być tego świadoma, jednak wcześniej nie poświęciła temu nawet chwili namysłu.

Jakże niemożliwe było przeżywanie życia wstecz.

Tutaj jest napisane „organiczny cheddar z Nowej Zelandii z mleka krów karmionych trawą” – przeczytał Greenmantle, zamykając za sobą drzwi. W pustym korytarzu natychmiast zrobiło się ciemno, nie dobiegało do niego nawet wieczorne światło z zewnątrz. Trzymając opakowanie blisko twarzy, by widzieć etykietkę, i mówiąc głośno, by być słyszonym w całym domu, kontynuował: – „Łagodny ser cheddar wykonany z organicznego mleka pochodzącego od krów karmionych trawą. Składniki: mleko krowie, sól, kultury bakterii”... Ciekawe, czy znają Dave’a Brubecka i Warhola... „Enzym koagulujący”. Och, to już brzmi jak z mainstreamowych mediów.

Położył płaszcz na krześle przy drzwiach wejściowych, a następnie, po chwili zastanowienia, dołożył do niego spodnie. Żądza Piper była niczym samotna pułapka na niedźwiedzia w lesie. Niemal niemożliwe było odnalezienie jej, jeśli się jej szukało, ale dobrze było być na nią przygotowanym, jeśli przypadkiem się w nią wdepnęło.

– Mam nadzieję, że to milczenie oznacza, iż wyciągasz krakersy. – Greenmantle wszedł do kuchni.

To nie wyciąganie krakersów było przyczyną milczenia Piper. Stała wkurzona w części jadalnianej w różowych spodniach do jogi i z bronią wymierzoną w swoją głowę.

Broń trzymał Szary Mężczyzna, były pracownik Greenmantle’a. Stał wraz z Piper na tle okna wychodzącego na krowie pastwisko. Szary Mężczyzna wyglądał dobrze i miał zdrową opaleniznę, jakby Henrietta i bunt mu służyły. Piper wyglądała na złą, ale nie na Szarego Mężczyznę, lecz na Greenmantle’a.

Szary Mężczyzna pojawił się później, niż Greenmantle się spodziewał.

Teraz jednak już był.

– A więc chyba sam wyciągnę krakersy – powiedział Greenmantle, kładąc kostkę sera na blacie kuchennej wysepki. – Przepraszam, że nie jestem stosownie ubrany na przyjęcie gości.

– Nie ruszaj się – oznajmił Szary Mężczyzna, wskazując podbródkiem pistolet w dłoni. Był czarny i wyglądał paskudnie, choć Greenmantle nie miał pojęcia, co to za model. Srebrne wydawały mu się mniej

niebezpieczne, choć podejrzewał, że takie fałszywe rozumowanie może wpędzić go w kłopoty. – Nie ruszaj się.

– Ależ *przestań* – rzekł z przesadą Greenmantle, obracając się, by wziąć deskę do krojenia. – Przecież nie zastrzelisz Piper.

– Jesteś pewien?

– Tak sędzę. – Greenmantle wyjął krakersy, wziął talerz i nóż, po czym ułożył wszystko starannie. Zmrużywszy jedno oko, podniósł kawałek sera. – Uważasz, że to odpowiedni rozmiar? Powinienem pokroić go cieniej? Muszą nam wystarczyć takie krakersy.

– Ten kawałek jest wielkości całego wymienia – zauważyła Piper.

– Przepraszam, ten nóż nie jest zbyt ostry, panie Szary. Doprawdy. Pistolet? Czy to nie nazbyt teatralne?

Szary Mężczyzna nie opuścił broni. Wciąż wyglądała groźnie, podobnie jak jej właściciel. Bardzo dobrze wychodził mu przerażający wygląd, bo w opisie stanowiska miał wymóg pozostawiania najbardziej przerażającą istotą przebywającą w dowolnej chwili w pomieszczeniu.

– Dlaczego tu jesteś? – spytał pan Szary.

Ach, zatem rozpoczął się taniec.

– Dlaczego *ja* tu jestem? – odparł Greenmantle. – Bardziej frapujące jest to, dlaczego *ty* tu jesteś, zwłaszcza że wyraźnie mi zakomunikowałeś, iż ukradłeś moje rzeczy i uciekasz do Palm Springs.

Cóż to był za dzień. Laumonier zachowywał się jak Laumonier, te cholerne peruwiańskie tkaniny zostały zatrzymane na cle, zanim w ogóle zdążył je zobaczyć, a teraz jeszcze ten Szary Mężczyzna.

– Najpierw mówiłem ci prawdę. I to nie wystarczyło.

Greenmantle odciął kawałek sera.

– No jasne, „prawdę”. Jak ona brzmiała? Oczywiście. *Prawda* w twoich ustach polegała na tym, że artefakt, który zgodnie z pogłoskami znajdował się w tej okolicy od ponad dekady i został wysłędzony u tego pechowca Nialla Lyncha, w *ogóle nie istniał*. Odrzuciłem taką prawdę, z tego co pamiętam. Próbuję sobie przypomnieć, dlaczego miałbym tak uczynić. Czy pamiętasz, skarbie, dlaczego uznałem, że to kłamstwo?

Piper mlasnęła językiem.

– Bo nie jesteś zupełnym idiotą? – podpowiedziała.

Greenmantle potrząsnął nożem w kierunku żony. Drugiej połowy. Partnerki. Kochanki.

– Tak, właśnie tak. Teraz już pamiętam..

– Powiedziałem ci, że to nie jest artefakt, i przy tym obstaję – zripostował Szary Mężczyzna. – To zjawisko, nie rzecz.

– Nie wciskaj mi pan głupot, panie Szary – rzekł z sympatią Greenmantle. Wsunął sobie między wargi krakersa z serem i mówił z pełnymi ustami: – Jak myślisz, skąd wiedziałem, jak się nazywa? Niall Lynch mi powiedział. Pieprzony samochwał. Myślał, że jest niepokonany. Mogę ci nalać kapkę wina? Przywiozłem ze sobą skandalicznie dobre czerwone. Jest niezwykle.

Szary Mężczyzna zmierzył go chłodnym wzrokiem. Swoim wzrokiem płatnego zabójcy. Greenmantle'owi zawsze podobała się koncepcja bycia tajemniczym płatnym zabójcą, ale ta ścieżka kariery nieodmiennie bladła w porównaniu z uciechą płynącą z wyjeżdżania za miasto, podziwiania przez innych twojej reputacji, jeżdżenia audi z indywidualną tablicą rejestracyjną (GRNMNTL) i wyjeżdżania na serowe wakacje do krajów, które nakładają swoim samogłoskom małe daszki, na przykład takie: ê.

– Czego ode mnie chcesz? – spytał pan Szary.

– Gdybyśmy mieli wehikuł czasu – zaczął Greenmantle – powiedziałbym, że możesz śmignąć wstecz i zrobić to, o co prosiłem za pierwszym razem, ale obawiam się, że ten statek pożegłował już na morze absolutnego zjebania. Czy chcesz otworzyć wino? Zawsze je z powrotem korkuję. Nie. Dobrze zatem. Chyba rozumiesz, że będę musiał zrobić z ciebie przykład.

Przeszedł przez kuchnię i położył krakersa z serem na języku Piper. Zaproponował przekąskę również Szaremu Mężczyźnie, który ani jej nie przyjął, ani nie opuścił broni.

– Co pomyśleliby sobie inni – kontynuował – gdybym pozwolił, by uszło ci to na sucho? Nie byłoby dobrze. Choć więc świetnie się bawiłem podczas chwil, które ze sobą spędziliśmy, to chyba oznacza, że najprawdopodobniej będziesz musiał zostać zniszczony.

– No to mnie zastrzel – oznajmił bez strachu Szary Mężczyzna.

Szary Mężczyzna był jak dzieło sztuki. Jak zabawkowa figurka płatnego zabójcy. Cała jego szlachetność dowiodła jedynie tego, co Greenmantle już wiedział: w tym miasteczku istniały rzeczy, które Szary Mężczyzna uważał za ważniejsze niż własne życie.

– Och, panie Szary. Deanie. Wiesz przecież. Nikt nie pamięta trupa. Na pewno jesteś świadom, jak to działa. – Greenmantle odkroił kolejny plasterk sera. – Najpierw zamierzam się tu trochę pokreć, *poobserwować*. Popodziwiać widoki. Znaleźć miejsca, gdzie dają najlepsze śniadania, pojeździć tam, gdzie jeżdżą turyści, patrzeć, jak śpisz, ustalić, co jest dla ciebie ważne, odszukać kobietę, w której się zakochałeś, zaplanować najlepszy sposób, by zniszczenie wszystkiego

powyższego zadało ci jak najwięcej cierpienia. Et cetera.

– Daj mi jeszcze jeden, ale żeby było mniej sera – poprosiła Piper.

Tak zrobił.

– Jeśli i tak zamierzasz zniszczyć moje życie, nic nie skłania mnie do tego, żebym tu i teraz nie zabił ciebie i Piper.

– Mów do mnie brzydko – rzekł Greenmantle. – Istnieje tak naprawdę inna możliwość, panie Szary. Możesz mi dać Greywarena, jak prosiłem, wówczas nakręcimy krótki film o tym, jak odcinasz sobie palec, którym naciskasz spust, po czym się pożegnamy. – Podniósł dłonie niczym posąg Temidy, ważąc ser w jednej dłoni i nóż w drugiej. – Albo-albo.

– A jeśli Greywaren nie istnieje?

– Wtedy zawsze pozostaje opcja publicznego zniszczenia wszystkiego, co kochasz. Po prostu amerykański sen w praktyce.

Szary Mężczyzna wydawał się zastanawiać. Zwykle na tym etapie rozmowy wszyscy wyglądali na przerażonych, ale możliwe, że Szary Mężczyzna nie miał emocji.

– Będę musiał to przemyśleć.

– Oczywiście – zgodził się Greenmantle. – Mam ci dać tydzień? Nie, dziewięć dni. Dziewięć to zupełnie jak trzy plus trzy plus trzy. Będę się po prostu rozglądał, gdy ty będziesz decydował. Dzięki, że wpadłeś.

Szary Mężczyzna odsunął się od Piper, wciąż mierząc w nią z broni, po czym zniknął w znajdujących się za nią drzwiach. W pomieszczeniu zapadła cisza.

– Czy to nie schowek? – spytał Greenmantle.

– To drzwi do garażu, ty gnoju – powiedziała Piper z typowym dla siebie uczuciem. – No i przegapiłam jogę. Co im teraz powiem? Och, celowano mi w głowę z pistoletu. A poza tym już przed paroma miesiącami mówiłam ci, żebyś wyrzucił te bokserki. Gumka się zupełnie rozciągnęła.

– To ja sam – oznajmił. – Ja ją rozciągnąłem. Rozumiesz?

– Męczą mnie twoje hobby. – Głos Piper pozostał, gdy reszta niej wyszła. – To najgorsze wakacje, na jakich byłem.

Adam był sam w warsztacie.

Wieczorem wciąż padało, w środku zrobiło się ciemniej niż zwykle o tej porze i w rogach warsztatu panował mrok, do którego nie sięgało światło sufitowych jarzeńówek. Przepracował tam jednak niezliczone godziny, więc nawet jeśli nie wszystko widział, jego dłonie wiedziały, gdzie szukać odpowiednich rzeczy.

Teraz leżał na silniku starego pontiaca, a stojące na regale, brudne od smaru radio dotrzymywało mu towarzystwa. Boyd zlecił mu wymianę uszczelki pod głowicą i zamknięcie warsztatu. Kolacja, jak powiedział, była dla starych ludzi, takich jak on. Długa monotonia wymiany uszczelki pod głowicą była dla młodych ludzi, takich jak Adam.

Nie była to trudna praca, co okazało się poniekąd złe, ponieważ niezajęty umysł szalał. Nawet jeśli Adam zrobił sobie w głowie sprawdzian z głównych wydarzeń lat 20. XX wieku w Stanach Zjednoczonych, pozostało mu w mózgu wystarczająco dużo mocy obliczeniowej, by mógł się zastanawiać, jak bardzo bolą go plecy od leżenia na silniku, jak bardzo przeszkadza mu smar tkwiący w uchu, jak frustrują go zardzewiałe pręty gwintowane, zbliżająca się data rozprawy oraz obecność innych tu, na linii mocy.

Zastanawiał się, czy Gansey i reszta rzeczywiście pojechali w deszczu, by zbadać Cooper Mountain. Część niego miała nadzieję, że nie, choć starał się, jak mógł, by zdusić nieprzyjemne emocje dotyczące przyjaciół – gdyby pozwolił im szaleć, byłby zazdrosny o Ronana, o Blue, o Ganseya względem dowolnych dwóch pozostałych osób. Każda kombinacja, w której nie było Adama, wzbudziłaby pewien dyskomfort, gdyby na to pozwolił.

Nie pozwoli.

„Nie kłóć się z Ganseyem. Nie kłóć się z Blue. Nie kłóć się z Ganseyem. Nie kłóć się z Blue”.

Nie było sensu powtarzać sobie, by nie kłócił się z Ronanem. Będą się kłócić, dopóki Ronan oddychał.

Na zewnątrz wiał wiatr, ciskając kroplami deszczu o małe, poplamione szybki w drzwiach warsztatu. Suche liście szeleściły pod



ścianami i odlatywały. O tej porze roku z dnia na dzień pogoda mogła się zmieniać z ciepłej w zimną, nie było to ani lato, ani jesień. Coś pomiędzy, granica.

Gdy przesunął się, by uzyskać lepszy dostęp do bloku silnika, poczuł chłodny podmuch na kostkach, tuż za mankietami spodni. Bolały go dłonie, były bardzo spierzchnięte. Gdy był dzieckiem, lizał ich grzbiety, nie zdając sobie sprawy, że tylko pogarsza to sytuację. Niełatwo było zrezygnować z tego zwyczaju. Nawet gdy teraz go piekły, musiał powstrzymać ochotę, by choć na chwilę złagodzić dyskomfort.

Na zewnątrz znów zawiął wiatr i kolejne liście uderzyły o szyby. W środku coś przesunęło się i stuknęło. Może ułożyło się w śmietniku.

Adam potarł policzek, w tym samym momencie uświadamiając sobie, że ręka jest poplamiona smarem. Nie było jednak sensu wycierać twarzy, dopóki nie skończy dzisiaj pracy.

Z wnętrza warsztatu dobiegło kolejne stuknięcie. Przerwał pracę, trzymając klucz nad silnikiem i czubkiem głowy dotykając od środka otwartej maski. Coś wydawało się inne niż zwykle, lecz nie potrafił określić co.

Radio już nie grało.

Adam ze znużeniem spojrział na stary odbiornik. Ledwo go widział, bo znajdował się dwa stanowiska dalej, za pontikiem, pick-upem i małą toyotą. Dioda się nie świeciła, być może radio w końcu zupełnie wysiadło.

Mimo to Adam odezwał się do pustego garażu:

– Noah?

Noah nie miał zwyczaju celowo nikogo straszyć, ale ostatnio był mniej sobą niż dotąd. Był mniej Noahem, a bardziej martwy.

Coś trzasnęło.

Adam potrzebował sekundy, by zdać sobie sprawę, że to przenośna lampa, która wisiała na skraju maski. Zgasła.

– Noah? To ty?

Do Adama nagle dotarło straszliwe i nieuchwytnie *wrażenie*, że coś jest za nim, że go z tyłu obserwuje. Coś będące na tyle blisko, by znów dmuchnąć mu chłodem w nogi. Coś na tyle dużego, by odciąć część światła od żarówki jarzącej się przy bocznych drzwiach.

To nie był Noah.

Na zewnątrz nagle uderzył piorun. Adam struchlał. Wygrzebał się szaleńczo spod maski i obrócił, przyciskając plecy do samochodu.

Nie widział nic poza betonowymi ścianami, kalendarzem, narzędziami na ścianach i plakatami. Jeden z kluczy się kołysał. Adam

nie pamiętał, by przeciwległa strona warsztatu kiedykolwiek wydawała mu się tak ciemna.

„Odejdź, odejdź...”.

Coś musnęło mu kark.

Zamknął oczy.

Nagle zrozumiał. To Cabeswater próbowało coś przekazać. Persefona pracowała z nim nad poprawą komunikacji. Zwykle każdego ranka pytał las, czego potrzebuje, odwracając karty tarota lub wieszcząc w umywalce. Zaprzeszał tego jednak, odkąd zaczęła się szkoła.

Zatem teraz Cabeswater zmusiło go, by słuchał.

„Cabeswater – powiedziała kiedyś cichym i surowym tonem Persefona – nie jest twoim szefem”.

Coś brzęknęło na stole pod przeciwległą ścianą.

– Zaczekaj! – polecił Adam.

Rzucił się po swą kurierską torbę, w pomieszczeniu zaś robiło się jeszcze ciemniej. Na ślepo wymacał notatki, podręczniki, koperty, długopisy i zapomniany baton. Znów coś spadło, tym razem bliżej. Przez pozbawioną tchu minutę myślał, że zostawił karty tarota w mieszkaniu.

„To mnie nie skrzywdzi. Będzie strasznie, ale mnie nie skrzywdzi...”.

Jednak strach również bolał.

„Samo to, że histeryzuje – dodała Persefona – nie sprawia, że ma więcej racji od ciebie”.

Karty. Klęcząc przy torbie, Adam wyciągnął atlasową sakiewkę i wysunął talię na dłoń. Persefona uczyła go rozmaitych technik medytacyjnych, ale teraz nie zamierzał medytować. Drżąc, tasował karty, a olej w misce pod pontakiem zaczął się przechylać, stając się niczym wzburzony ocean.

Szybko wyłożył trzy karty na betonową podłogę. *Śmierć, Cesarzowa, Diabeł*.

„Myśl, Adamie, myśl, wczuj się w nie...”.

Najbliższa jarzeniówka nagle zabrzęczała, rozbłysła i równie gwałtownie zgasła.

Podświadomość Adama płynęła przez świadomość Cabeswater, obie splecione w dziwnym pakcie, jaki zawarł.

*Śmierć, Cesarzowa, Diabeł*. Troje śpiących, tak, tak, to już wiedział, ale potrzebował tylko jednego, a zresztą co Cabeswater obchodziło, kto spał na linii mocy, czego *chciało* od Adama?

Skupił umysł na odgałęzionej myśli, podążył wzdłuż konaru aż do pnia, w dół do korzeni i do gleby. W mroku, ziemi i kamieniach ujrzął linię mocy. Wreszcie dostrzegł połączenie i miejsce, w którym zostało

zerwane. Zrozumiał, co miał naprawić dla Cabeswater. Poczul ulgę.

– Rozumiem – powiedział głośno, odchylając się i łapiąc chłodnego betonu. – Zrobię to w tym tygodniu.

Warsztat natychmiast wrócił do normalnego stanu. Radio znów zaczęło grać. Adam nie słyszał, kiedy na nowo się odezwało. Choć metody komunikacji Cabeswater mogły być przerażające – zjawy, dmące wichry, twarze w lustrach – nigdy nie chciało straszyć. Wiedział to. Trudno jednak było o tym pamiętać, gdy ściany się przesuwaly, woda zbierała się po wewnętrznej stronie okien, a nieistniejące kobiety łkały mu do ucha.

Wszystko to się zatrzymywało, gdy Adam pojmował, o co chodzi. Las chciał jedynie, by zrozumiał.

Odetchnął mocno nad kartami tarota. Pora wracać do pracy.

Ale...

Coś usłyszał. Nie powinno już niczego być, już nie.

Coś jednak skrobało w drzwi warsztatu. Był to suchy, cichy odgłos, przypominający darcie papieru. Pazur. Paznokieć.

Przecież *zrozumiał*. Obiecał, że wykona zadanie.

Chciał się przekonać, że to tylko liść albo gałązka. Coś zwykłego.

Henrietta nie była już jednak zwykłym miejscem. *On* nie był już kimś zwykłym.

– Powiedziałem, że rozumiem – rzekł. – *Pojmuję*. W tym tygodniu. Czy to musi być wcześniej?

W warsztacie nie doczekał się żadnej odpowiedzi, lecz na zewnątrz coś jasnego i niespokojnego przemknęło za jednym z okien, wysoko nad ziemią. Światła wystarczyło akurat na to, by dojrzeć łuski.

Łuski. Adamowi przyspieszył puls. Serce biło mu tak mocno, że aż sprawiało to ból.

Cabeswater musiało mu uwierzyć, nigdy dotąd go nie zawiódł. Nie ustalili zasad, lecz mieli do siebie zaufanie.

Zza drzwi dobiegł odgłos: cyk, cyk, cyk, cyk.

Drzwi warsztatu otworzyły się gwałtownie. Gdy pędziły po prowadnicach na suficie, brzmiało to jak dudniący pociąg towarowy.

W ponurym, granatowo-czarnym, deszczowym świetle na zewnątrz widniał blady potwór. Miał pazury jak igły oraz paskudne dzioby, poszarpane skrzydła i tłuste łuski. Tak bardzo odbiegał od wszystkiego, co rzeczywiste, że umysł odmawiał ogarnięcia go.

Adama przejęła groza. Dawna groza, składająca się nie tylko ze strachu, lecz także ze dezorientowania oraz poczucia zdrady.

Wszystko zrobił dobrze. Dlaczego to wciąż się działo, skoro wszystko

zrobił dobrze?

Przerażający stwór wykonał chwiejny, skrzypiący krok w kierunku Adama.

– Sio, ty paskudny gnojku – powiedział Ronan Lynch.

Wszedł z deszczu do warsztatu, wcześniej niewidoczny w mroku dzięki kurtce i ciemnym džinsom. Piła wczepiała mu się w ramię. Ronan uniósł dłoń w stronę białej bestii, jakby machaniem żegnał odpływający statek. Stwór cofnął głowę, a umieszczone obok siebie dzioby rozchyliły się.

– No, szybciej – rzekł bez strachu Ronan.

Bestia umknęła.

Nie był to bowiem zwykły potwór, a potwór Ronana Lyncha. Nocny koszmar powołany do paskudnego życia. Wzleciał w mrok, poruszając się z dziwną gracją, gdy jego pysk nie był już widoczny.

– A niech cię cholera, Ronanie – wydyszał Adam, pochylając głowę.

– O Boże. Prawie zesrałem się ze strachu.

Ronan uśmiechnął się paskudnie. Nie rozumiał, że serce Adama było bliskie eksplozji. Parrish założył sobie dłonie na kark, zwijając się w kłębek na betonie i czekając, aż przestanie się czuć tak, jakby miał umrzeć.

Usłyszał, że drzwi warsztatu znów zamykają się z trzaskiem. Gdy do środka przestał dostawać się wiatr, temperatura natychmiast wzrosła.

But Ronana stuknął Adama w kolano.

– Wstawaj.

– Ty dupku – mruknął Adam, wciąż nie podnosząc głowy.

– Wstawaj. Nic by ci nie zrobił. Nie wiem, dlaczego się żołądkujesz.

Adam się rozprostował. Powoli wracało mu wystarczająco wiele funkcji życiowych, by czuł się bardziej zirytowany niż wystraszony. Wstał.

– W świecie chodzi o więcej niż tylko o ciebie, Lynch.

Ronan przekrzywił głowę, by przyjrzeć się kartom.

– Co to?

– Cableswater.

– Co ci się, kurwa, stało z twarzą?

Adam nie zareagował na to.

– Dlaczego to coś było z tobą? – spytał.

– Byłem w Stodólkach. Leciało za samochodem. – Ronan krążył wokół pontiaka, spoglądając pod maskę i nie starając się nawet okazać zainteresowania wykonywaną tam przez Adama pracą. Piła sfrunęła na blok silnika i pochyliła głowę.

– Nie – ostrzegł Ronan. – To trujące.

Adam chciał spytać, co takiego Ronan robił ostatnio w Stodółkach dniami i wieczorami, lecz nie naciskał. Stodółki były rodzinną sprawą Ronana, a rodzina była sprawą osobistą.

– Gdy wracałem, zobaczyłem na parkingu twój złom – powiedział Ronan – i uznałem, że wszystko jest warte tego, by jeszcze przez parę minut uniknąć Malory’ego.

– Wzruszające.

– Co myślisz o koncepcji sprawdzenia sieci Greenmantle’a? Możliwe? Niemożliwe?

– Wszystko jest możliwe.

– A więc zrób to dla mnie – poprosił Ronan.

Adam roześmiał się z niedowierzaniem.

– Sam to dla siebie zrób! Może nie wiesz, ale niektórzy mają pracę domową.

– Praca domowa! Jaki w tym sens?

– Pozytywne oceny? Ukończenie szkoły?

Ronan zaklął w sposób wskazujący na brak zainteresowania kontynuacją tematu.

– Próbujesz mnie zezłościć? – spytał Adam.

Ze stołu po drugiej stronie pontiaka Ronan wziął panewkę. Przyglądał jej się, jakby rozważał użycie jej jako broni.

– Aglionby jest dość bezsensowne dla takich jak my.

– Kim są „tacy jak my”?

– Nie wykorzystam szkoły – odparł Ronan – do zdobycia jakiejś krawaciarskiej pracy... – Wykonał nad karkiem gest, jakby trzymał linę, i przekrzywił głowę. – A ty mógłbyś znaleźć sposób, by skłonić linę mocy, aby dla ciebie pracowała, skoro już masz z nią pakt.

– Co według ciebie właściwie teraz robię? Gdzie w ogóle jesteśmy?

– *Ja* jestem ubliżająco blisko tej toyoty.

– Jestem w pracy. Za dwie godziny jadę do kolejnej pracy na następne cztery godziny. Jeśli próbujesz mnie przekonać, że nie potrzebuję Aglionby, skoro przez rok *zabijałem* się dla tej szkoły, to tracisz energię. Bądź sobie ofiarą, jeśli chcesz, ale nie wciągaj mnie w to, by sobie poprawić nastrój.

Widoczna nad dachem pontiaka twarz Ronana była spokojna.

– No dobrze – powiedział. – Pierdol się, Parrish.

Adam jedynie spojrział na niego ze znużeniem.

– Odrób pracę domową.

– Gadaj sobie, spadam stąd.

Gdy Adam nachylił się, by podnieść szmatkę i zetrzeć sobie smar z ucha, Ronan już zniknął. Wydawało się, jakby zabrał z warsztatu wszystkie hałasy: wiatr osłabł, liście już nie szeleściły, a radio przestroilo się trochę, tak że muzyka brzmiała lekko niewyraźnie. Adam czuł się bezpieczniejszy, lecz bardziej samotny.

Później wyszedł w chłodną, wilgotną noc i ruszył do swego małego, gównianego samochodu. Gdy siadał na fotelu kierowcy, zauważył, że coś już na nim leży.

Podniósł przedmiot i przytrzymał go pod słabą lampką podsufitową. Był to mały, biały, plastikowy pojemnik. Adam odkręcił wieczko. We wnętrzu znajdował się bezbarwny płyn pachnący mgłą i mchem. Marszcząc brwi, zakręcił wieczko i odwrócił pojemnik, szukając cech charakterystycznych. Na dnie widniał zdawkowy napis wykonany ręką Ronana: manibus.

„Do twoich rąk”.

Mówię to z jak największą sympatią – powiedział Malory, rozparty w stojącym przy biurku fotelu Ganseya – ale nie mógłbyś robić herbaty z miłości lub dla pieniędzy.

Noc panująca za ścianą okien była czarna i wilgotna. Światła Henrietty wydawały się poruszać, gdy ciemne drzewa miały się przed nimi tam i z powrotem. Gansey siedział na podłodze obok swej miniaturowej miasteczki, powoli nad nią pracując. Nie miał czasu dodać nic nowego, lecz gdy tylko zyskał wolną chwilę, naprawiał szkody wyrządzone makiecie latem. Przywrócenie dawnego stanu dawało zdecydowanie mniejszą satysfakcję niż tworzenie od zera.

– Nie jestem pewien, co robię źle – przyznał Gansey. – Procedura wydaje się dość oczywista.

– Gdyby nie przerażała mnie perspektywa spędzenia czasu w łazience nazywanej przez ciebie kuchnią, wytłumaczyłbym ci – rzekł Malory. – Obawiam się jednak, że pewnego dnia wejdziesz tam i już nie wyjdziesz.

Gansey przykleił małe kartonowe schody i podniósł wzrok na Psa przyglądającego mu się zmrużonymi oczyma. Pies miał rację, schody były przymocowane trochę krzywo. Gansey je poprawił.

– Lepiej? – spytał.

– Nie przejmuj się nim – odparł Malory. – Jest bardzo nerwowy. Oszałamia mnie, Gansey, że nie poświęciłeś uwagi kwestii wysłania Glendowera do snu na sześćset lat.

– Poświęciłem jej uwagę – sprostował Gansey. – No dobrze, poświęciłem ją *domysłowi*. Nie mam jak potwierdzać albo obalać teorii. I choć to interesujące, na dłuższą metę jest pozbawione znaczenia.

– Sprzeciwiam się z akademickiego punktu widzenia, co i ty powinieneś zrobić.

– Doprawdy powinienem?

– Zgodnie z twoim założeniem Glendower dotarł tu poprzez linię mocy. Idealnie prostą linię przez ocean, co jest nie lada osiągnięciem. Podjęto niemały wysiłek, by ukryć księcia. Dlaczego nie uczyniono tego na walijskiej ziemi?

– Anglicy nie spoczęliby, dopóki by go nie znaleźli – rzekł Gansey. –

Walia jest za mała na taką tajemnicę.

– Czyżby? Razem chodziliśmy po Walii. Powiedz mi, czy w tamtych górach nie ma odpowiednich kryjówek?

Gansey nie potrafił zaprzeczyć.

– Po co więc żeglować pięć tysięcy kilometrów w jedną stronę do nowego świata, w którym nikt nie potrafi porządnie zaparzyć herbaty? – Malory podreptał do map rozłożonych na stole bilardowym. Gdy Gansey do niego dołączył, profesor przejechał palcem przez wodę, od Walii do malutkiej Henrietty. – Po co ktoś decydowałby się na niemal niewykonalne zadanie, polegające na przepłynięciu idealnie prostym kursem przez ocean?

Gansey nie odpowiedział. Na mapie nic nie zaznaczono, lecz nie potrafił wymazać z pamięci wszystkich miejsc, w których był. Na zewnątrz nagle wzmógł się wiatr, ciskając wilgotnymi liśćmi w szyby.

– Linie mocy, trupie drogi, drogi śmierci, *doodwegen*, jeśli wierzyć Holendrom (a któż im wierzy), to sposób, w jaki niegdyś przewoziliśmy zmarłych – przypomniał Malory. – Trumny były transportowane po pogrzebowych drogach, by dusze nie doznały uszczerbku. Jeśli ktoś pojechał krętą drogą, wyrwał duszę z jej miejsca i tworzył zjawę lub coś jeszcze gorszego. Skoro więc podróżowali z Glendowerem w linii prostej, działo się tak dlatego, że był traktowany jak zmarły.

– A więc spał już, gdy odpływali – powiedział Gansey, choć słowo *spał* wydawało się zbyt słabe. Przypomniał sobie coś nagle, choć nie było to prawdziwe wspomnienie, ale wizja, jaką miał w Cableswater. Glendower leżący na wznak w trumnie, z rękoma skrzyżowanymi na piersi, z mieczem w jednej dłoni i kielichem w drugiej. Gansey trzymał dłoń nad hełmem i odczuwał jednocześnie strach i ekstazę, mogąc spojrzeć królowi w twarz po sześciuset latach. – Nie pozwalali, by jego dusza opuściła ciało.

– Właśnie. Skoro już tu jestem, skoro widziałem waszą linię... Uważam, że przepłynęli tak daleką drogę, ponieważ szukali konkretnie tego miejsca. – Malory postukał w mapę.

– Wirginii?

– Cableswater.

Słowo zawisło w powietrzu.

– Jeśli nie samego Cableswater, to podobnego miejsca – ciągnął Malory. – Być może po prostu podążali za odczytami energii, dopóki nie trafili do punktu o wystarczającej mocy, by utrzymać duszę w zastoju przez setki lat. A przynajmniej dłużej, niż sądzili, iż sami będą żyć.

Gansey zastanowił się nad tym wszystkim.



– Jasnovidzki mówią, że istnieje troje śpiących. Nie tylko Glendower, lecz także dwójka innych. Podejrzewam, że to, co pan mówi, wyjaśnia również obecność tu reszty. Nie musi chodzić o to, że nikt nie próbował składać nikogo innego w odmiennym miejscu, tylko że wszędzie indziej się to nie udawało.

Wywołało to mrozącą krew w żyłach, nieprzyjemną wizję: ktoś sobie wyobraża, że jest składany do snu, a zamiast tego czeka go pewna i przypadkowa śmierć.

Obydwaj wpatrywali się przez kilka minut w mapę.

– Idę spać – powiedział wreszcie Malory. – Prowadzimy jutro poszukiwania, czy mogę pojechać do tej innej Wirginii po parę map?

– Innej?... Zachodniej. Do Wirginii Zachodniej. Myślę, że będziemy mogli z panem pojechać po zajęciach.

– Wspaniale.

Malory zostawił niespełniający standardów kubek z herbatą na stole bilardowym i odszedł wraz z Psem.

Gansey stał nieruchomo. Drzwi się zamknęły, a on stał tak długo, że stracił poczucie czasu: równie dobrze mogła minąć minuta, jak godzina. Mogło być teraz i mogło być rok temu. W równym stopniu stanowił część pomieszczenia jak jego teleskop czy stosy książek. Był niezmienny. Był niezdolny do zmiany.

Nie mógł się zdecydować, czy był zmęczony działaniem, czy czekaniem.

Zastanawiał się, gdzie się podział Ronan.

Nie dzwonił do Blue.

– Spójrz, co znalazłem.

Gansey podskoczył w tym samym momencie, w którym rozpoznał głos Noaha. Martwy chłopiec siedział po turecku na końcu materaca Ganseya, na środku pokoju. Gansey z ulgą stwierdził, że Noah wyglądał stabilniej niż wtedy, gdy widział go ostatnio. W dłoniach trzymał bryłkę ciemnoszarej gliny, którą uformował w kształt małego, negatywowego bałwana.

– Gliniany bałwan – powiedział wesoło Noah. – Wziąłem go z pokoju Ronana. Zobacz, topi się.

Gansey przyjrzał mu się lepiej, również siadając po turecku niczym lustrzane odbicie Noaha.

– Wziął go ze snu?

– Chyba ze stacji benzynowej. Glina ma w sobie opiłki metalu czy coś takiego – przypomniał Noah. – Zobacz, stoi na magnesie. Spływa i po jakimś czasie pochłania magnes.

Obserwowali bardzo długo. Bałwan zmieniał się tak powoli, że Gansey potrzebował minuty, by w ogóle uwierzyć, iż metaliczna glinka zapewne kiedyś otoczy cały magnes.

– To ma być zabawka? – spytał Gansey.

– Od szóstego roku życia.

– To najgorsza zabawka, jaką w życiu widziałem.

Noah wyszczerzył zęby.

– Spadaj na drzewo – powiedział.

Obydwaj roześmiali się na słowa Ronana dobiegające z ust Noaha.

Dolna część glinianej figurki zdołała zasłonić magnes, ale Gansey nie dostrzegł żadnego ruchu.

– Jak to się mówi? Że co *powoli*? – spytał Noah. – Powoli, powoli...

– ...bo ci się motorek spoli – dokończył Gansey. – Noahu, nie odchodź. Chcę ci zadać pytanie i wolę, żebyś nie zniknął, jak zawsze to robisz.

Martwy chłopiec podniósł wzrok, by popatrzeć Ganseyowi w oczy. Choć nie był przezroczysty i wyglądał jak trzeba, w tym świetle mimowolnie wydawał się niepokojący. Miało to coś wspólnego z jego niemrugającymi oczyma.

„To mogłem być ja. To powinienem być być ja”.

– Słyszałeś go? Gdy... gdy umarłeś? – Gansey żałował, że zadał to pytanie, lecz naciskał dalej. – Czy również słyszałeś głos?

Palce Noaha dotknęły zabrudzonego policzka, choć nie zdawał sobie z tego sprawy. Pokręcił głową.

Jeśli Gansey oraz Noah umierali na linii mocy w tym samym czasie, to dlaczego Gansey został wybrany, by żyć, a Noah, by umrzeć? Śmierć Noaha była bardziej niewłaściwa: został zamordowany bez powodu. Ganseya uządliła śmierć, która szła jego śladem przez ponad dekadę.

– Myślę, że... Cabeswater chciało się obudzić – rzekł Noah. – Wiedziało, że nie zrobiłbym tego, co trzeba, a ty owszem.

– Nie mogło tego wiedzieć.

Noah znów pokręcił głową.

– Łatwo jest wiedzieć wiele rzeczy, gdy czas biegnie w kółko, a nie do przodu.

– Ale... – zaczął Gansey, lecz nie wiedział, przeciwko czemu chciał zaprotestować. Chodziło po prostu o fakt powolnej śmierci Noaha i wyglądało na to, że nie miał wobec kogo skierować swojego sprzeciwu. Dotknął jednego ucha. Czuł chodzące po nim szerszenie. – Gdy znajdziemy Glendowera, poproszę go, by cię naprawił. W ramach przysługi.

Nie podobało mu się, że mówił to na głos. Nie dlatego, że nie był szczery, lecz nie mieli jasności, w jaki sposób działa przysługa, ani czy w ogóle działa, a nie chciał składać fałszywych obietnic.

Noah szturchnął swego glinianego bałwana. Nie miał już ludzkich kształtów, ale dlatego, że Gansey widział je wcześniej, mógł dostrzec zarys sylwetki w bezkształtnej bryłce.

– Wiem. To... miłe z twojej strony.

– Ale?...

– Nie obawiaj się – powiedział nagle Noah. Wyciągnął rękę i odsunął dłoń Ganseya od jego ucha. Gansey nie zdawał sobie sprawy, że wciąż go lekko dotyka. Nachyliwszy się, Noah chuchnął Ganseyowi do ucha swym chłodnym, trupim oddechem. – Nic tam nie ma. Jesteś po prostu zmęczony.

Gansey wzdrygnął się lekko.

Ponieważ był to Noah, a nie nikt inny, Gansey mógł przyznać:

– Nie wiem, co zrobię, gdy go znajdę, Noahu. Nie wiem, czym się stanę, jeśli nie będą go szukał. Nie mam pojęcia, jak znów być tą osobą.

Noah wsunął Ganseyowi glinę w dłoń.

– Tak właśnie się czuję, jeśli chodzi o ideę powrotu do życia.

Przepowiedz mi przyszłość – poprosiła Blue wieczorem, siadając przed Callą, która zasnęła stół w czytelni rachunkami. W całej posesji na Fox Way 300 było przeraźliwie głośno. Orla zaprosiła do domu całą grupę ludzi, podobnie jak jej matka, Jimi. Do tego Trinity – siostra, kuzynka lub przyjaciółka Jimi – sprowadziła około tysiąca małych kuzynów, by robić mydło. Czytelnia była najcichszym miejscem. – Zdradź mi, czy jestem sierotą.

– Spadaj – odrzekła Calla, wciskając klawisze na kalkulatorze. Zwykle zajmowała się domowymi finansami razem z Maurą i obsługiwała wówczas kalkulator, a matka Blue siedziała obok po turecku na środku stołu. Teraz jednak nie było Maury. – Jestem zajęta.

– Chyba tak naprawdę tego nie wiesz – ciągnęła Blue. – Chyba właśnie o to chodzi. Ty i Persefona udajecie wszechwiedzące i w ogóle, „ona musi znaleźć swoje miejsce w świecie”, bla bla bla, ale w istocie mówicie tak tylko dlatego, że nie macie pojęcia, co się z nią dzieje.

– Mam papierkową robotę – odparła Calla. – A ty jesteś upierdliwa. Idź sobie.

Blue podniosła kilka rachunków i rzuciła je Calli w twarz.

Calla patrzyła na nią przez opadające arkusiki, nie ruszając się.

Papierki wylądowały na stole.

Blue i Calla mierzyły się wzrokiem.

– Bardzo przepraszam – powiedziała Blue, kurcząc się w sobie. – Szczerze.

Chciała podnieść jeden z rachunków, lecz Calla złapała ją za nadgarstek.

– Nie – rzekła.

Blue jeszcze bardziej opadły ramiona.

– Posłuchaj – zaczęła Calla. – Dla żadnej z nas nie jest to łatwe. Masz rację. Nigdy nie potrafiłyśmy zajrzeć do Cableswater, a teraz, gdy zostałyśmy we dwie, jeszcze trudniej nam patrzeć na wszystko inne. Trudniej zgodzić się, gdy nie ma rozjemcy, zwłaszcza gdy pojawia się patowa sytuacja... – Jej twarz zmieniła wyraz. – Powiem ci jedno: istnieje troje śpiących.

– Już mi to mówiłaś. Wszyscy mi to mówili.

– A zatem uważam, że twoim zadaniem jest obudzić jednego z nich, zadaniem Maury zaś jest *nie* obudzić innego.

– To tylko dwa zadania na troje śpiących.

– Persefona i ja pozostajemy w pewnej niezgodzie, czy trzecie zadanie istnieje, czy też nie.

– A o jakim zadaniu rozmawiamy? – spytała Blue. – O umowie o dzieło, za którą dostajemy wynagrodzenie, a później wieszają nasze zdjęcia na ścianie w magicznym lesie z tytułem „Najcenniejszego Pracownika Epoki”?

– O zadaniu, po którego wykonaniu wszystko osiąga równowagę i wszyscy żyjemy długo i cholernie szczęśliwie.

– Brzmi to świetnie, tylko że po pierwsze, co ze środkowym śpiącym, po drugie, nie da się tak naprawdę wykonać negatywnego zadania, czyli że mama nie będzie wiedziała, czy udało jej się kogoś *nie* obudzić, po trzecie zaś, czy w grę wciąż wchodzi śmierć Ganseya? Bo po siódme, to nie jest moje wyobrażenie szczęśliwego zakończenia.

– Żałuję, że zgodziłam się na tę rozmowę – stwierdziła Calla i zaczęła na powrót układać rachunki.

– No i po ósme, nie chcę już chodzić do szkoły.

– Na pewno z niej nie odejdziesz, więc bardzo mi przykro z powodu twojej straty.

– Wcale nie powiedziałam, że z niej odchodzę, po prostu mam obecnie bardzo niski poziom zadowolenia z wykonywanej pracy. Niskie morale. Wojsko nie chce pomaszerować do szkoły policealnej.

Calla wcisnęła kolejny przycisk na kalkulatorze. Jej usta ułożyły się w bardzo obojętny wyraz.

– Wojsko nie powinno zalić się komuś, kto zaharowywał się na śmierć, żeby móc chodzić do szkoły policealnej.

– Czy to będzie jedna z historii typu: „W obydwie strony miałam do szkoły pod górkę”? Bo jeśli tak...

– To historia typu: „Powinnaś zastanowić się, co ci się należy, Blue Sargent”.

Zawstydzona Blue prychnęła i wstała.

– Nieważne. Gdzie jest lista z czuwania w kościele?

– Nie uczyni Ganseya mniej martwym.

– Callo.

– Jest chyba w pudełku na lodówce.

Blue wypadła z pokoju, zdecydowanie nieusatisfakcjonowana, i przyciągnęła krzesło do lodówki, przedzierając się przez hordy produkujących mydło dzieci. Rzeczywiście, w pudełku znalazła notatniki

z czuwań w kościele. Wzięła je, przepchnęła się z powrotem przez przedsiębiorcze dzieci i wyszła na tylne podwórko.

Natychmiast zrobiło się ciszej. Podwórko było puste, nie licząc chryzantem czekających na zasadzenie, wielkiego buku tworzącego rozłożysty żółty baldachim oraz Szarego Mężczyzny.

Siedział tak cicho w jednym z foteli ogrodowych, że Blue nie zauważyła go, dopóki nie odwróciła się, by usiąść w sąsiednim.

– Och, przepraszam! Chce pan być sam? Mogę wrócić do środka.

Miał zadumaną minę. Niemal pełnym piwem wskazał drugi fotel.

– Nie, to ja jestem intruzem. Powinienem cię spytać, czy chcesz być tu sama.

Blue, siadając, machnęła nieśmiało ręką w jego kierunku. Noc pachniała piżmem i wilgocią, deszczem i ogniskami z opadłych liści. Przez chwilę siedzieli w ciszy, Blue przeglądała papiery, a Szary Mężczyzna w zadumie tulił piwo. Wiało chłodem i Szary Mężczyzna bez szczególnych ceregieli zdjął marynarkę, po czym podał ją Blue.

– I co tam masz? – spytał, gdy narzuciła ją sobie na ramiona. – Mam nadzieję, że sonety.

Blue postukała palcami po stronach, zastanawiając się, jak to podsumować.

– Każdego maja przeprowadzamy czuwanie i obserwujemy duchy osób, które umrą w ciągu roku. Prosimy ich o nazwiska, a jeśli są naszymi klientami, informujemy żywych, iż widzieliśmy ich duchy, aby mogli uporządkować swoje sprawy. To lista nazwisk.

– Dobrze się czujesz?

– Tak, po prostu w oko wpadła mi rzęsa czy coś – odpowiedziała Blue, wycierając prawe oko. – Co to za mina?

– Konsekwencje etyczne i duchowe tej działalności oszałamiają.

– Prawda? – Blue podniosła najświeższą listę nad głową, by padający z kuchni blask podświetlił jej pismo. – No jasne.

– Co?

Właśnie znalazła to, czego szukała: JESSIE DITTLE.

Nieprawidłowo napisane, ale jednak tam było.

Blue oparła się.

– Poznaliśmy kogoś z Ganseyem i wydawało mi się, że pamiętam nazwisko.

– Jest tam.

– Tak. Rzecz w tym, że nie wiem, czy umrze dlatego, że znaleźliśmy się w jego życiu, czy też umarłby tak czy inaczej.

Szary Mężczyzna oparł kark o fotel i wpatrywał się w niskie chmury

odbijające światła Henrietty.

– Los kontra prognostyka? Zapewne wiesz lepiej, jak działa biznes paranormalny.

Blue bardziej otuliła się jego marynarką, gdy wiatr zaszeleścił liśćmi na buku.

– Wiem tylko to, co mi mówią.

– A co ci mówią?

Podobał jej się sposób, w jaki zadawał pytania. Nie tyle potrzebował informacji, co cieszył się jej towarzystwem. Wydawało się dziwne, że czuje się mniej samotna i niespokojna, siedząc tu z nim niż z Callą lub Persefoną.

Poczuła, że kolejne rzęsy drażnią jej oko.

– Mama mówi, że z tym jest jak ze wspomnieniem – rzekła. – Zamiast spoglądać wstecz, patrzy się naprzód. Przypomina się przyszłość. Bo czas nie jest taki... – Narysowała w powietrzu linię. – Jest taki... – Nakreśliła koło. – Myślę więc, że jeśli rozpatrywać to w taki sposób, nie jest tak, że nie możemy zmienić przyszłości. Jest tak, że jeśli patrzy się w przyszłość, odzwierciedla już ona zmiany dokonane na podstawie tego, że się ją widzi. Zresztą sama nie wiem. Nie wiem! No bo mama zawsze mówi ludziom, że jej odczytania są obietnicą, a nie gwarancją. Można więc złamać obietnicę.

– Niektóre gwarancje również można – zauważył drwiąco Szary Mężczyzna, po czym spytał: – Czy Maura jest na liście?

Blue pokręciła głową.

– Urodziła się w Wirginii Zachodniej. Czuwanie w kościele pokazuje nam tylko osoby, które urodziły się w okolicy.

Albo jak w przypadku Richarda Ganseya III, narodziły się ponownie.

– Mogę zobaczyć? – zapytał Szary Mężczyzna.

Podawała mu listę i gdy ją przeglądał, obserwowała wiszące nad głową, powoli poruszające się liście. Uwielbiała ten buk. Jako mała dziewczynka często przychodziła tu, by położyć dłonie na chłodnej gładkiej korze, lub siadała między powykręcanyimi, odsłoniętymi korzeniami. Pamiętała, że kiedyś napisała do niego list i włożyła do piórnik, który wsunęła między korzenie. Dawno już obrosły piórnik, zupełnie go zakrywając. Teraz zapragnęła przeczytać ten list, bo pamiętała tylko o jego istnieniu, a nie jego treść.

Pan Szary znieruchomiał.

– Gansey? – spytał ostrożnie.

Ostatnie nazwisko na ostatniej stronie.

Przygryzła dolną wargę.

– Wie?

Pokręciła leciutko głową.

– Wiesz kiedy?

Znów pokręciła głową.

Zmierzył ją ciężkim spojrzeniem, po czym jedynie westchnął i skinął głową we wspólnocie tych, którzy pozostawali, którzy nie znajdowali się na liście.

– Wiele obietnic zostaje złamanych, Blue – rzekł w końcu.

Sączył piwo. Złożyła kartkę, by ukryć nazwisko JESSIE DITTLEY, po czym odsłoniła je z powrotem.

– Kocha pan moją matkę? – spytała w ciemności.

Podniósł wzrok ku ciemnej koronce liści i przytaknął.

– Ja również.

Uroczystym gestem wyprostował palec wskazujący.

– Nie zamierzałem narażać twojej rodziny na niebezpieczeństwo – powiedział, marszcząc brwi.

– Wiem, że pan nie zamierzał. Nie sądzę, by ktokolwiek tak sądził.

– Muszę podjąć decyzję – rzekł. – Albo sformułować plan. Przepuszczam, że zrobię to do niedzieli.

– Co jest takiego magicznego w niedzieli?

– To data, która kiedyś była dla mnie bardzo ważna – oznajmił Szary Mężczyzna. – I wydaje się odpowiednia, abym właśnie tego dnia zaczął być osobą, którą według twojej matki mogę być.

– Mam nadzieję, że osoba, którą według mojej matki może pan być, potrafi odnajdywać matki – odparła Blue.

Wstał i przeciągnął się.

– *Helm sceal cenum, ond a þæs heanan hyge hord unginnost.*

– Czy to oznacza: „zamierzam zostać bohaterem”?

Uśmiechnął się.

– „Serce tchórze nie jest żadną nagrodą, lecz dzielny człowiek zasługuje na swój lśniący hełm”.

– A więc to, co powiedziałam – odparła.

– Mniej więcej.



Gansey nie spał.

Ponieważ Blue nie miała telefonu komórkowego, nie mógł złamać zasad i do niej zadzwonić. Zamiast tego zaczął wieczorami kłaść się w łóżku z zamkniętymi oczyma i dłońmi na telefonie, czekając, czy sama do niego zadzwoni z pokoju telefonicznego/krawieckiego/kociego w swym domu.

„Przestań – mówił sobie. – Przestań tego pragnąć...”.

Zabrzączał telefon.

Przyłożył go do ucha.

– Widzę, że wciąż nie jesteś Kongresem.

Rozbudził się zupełnie.

Zerknąwszy w stronę zamkniętych drzwi do sypialni Ronana, Gansey nałożył okulary i wstał z łóżka. Zamknął się w kuchni/łazience/pralni i usiadł przed lodówką.

– Gansey?

– Jestem – powiedział cicho. – Co wiesz o cyrance modroskrzydłej?

Chwila milczenia.

– O tym dyskutujecie w Kongresie za zamkniętymi drzwiami?

– Tak.

– To kaczka?

– Ding. Punkt dla Fox Way. Świąteczny tłum szaleje! Czy wiedziałaś, że w lecie na miesiąc stają się nietotami, gdy zrzucają naraz wszystkie lotki?

– Nie jest tak ze wszystkimi kaczkami? – spytała Blue.

– A jest?

– I na tym właśnie polega problem z Kongresem.

– Nie dworuj sobie ze mnie, Sargent – rzekł Gansey. – Jane. Czy wiedziałaś, że cyranka modroskrzydła musi zjeść sto gramów protein, by zastąpić zrzucone wówczas sześćdziesiąt gramów piór z ciała i ogona?

– Nie wiedziałam.

– Czyli musi zjeść około trzydziestu jeden tysięcy bezkręgowców.

– Czytasz z notatek?

– Nie. – Gansey zamknął swój dziennik.

– Cóż, to było bardzo pouczające.

– Jak zawsze.

– To na razie.

Zaległo kolejne milczenie i Gansey uświadomił sobie, że się rozłączyła. Oparł się plecami o lodówkę i zamknął oczy, czując się jednocześnie winny, pocieszony, rozszalały i opanowany. Za dwadzieścia cztery godziny znów będzie na to czekał.

„Wiesz, że to bez sensu, wiesz, że to bez sensu”.

– Co się dzieje, do cholery, człowieku? – odezwał się Ronan.

Gansey otworzył oczy akurat, gdy Ronan włączył światło. Stał w drzwiach ze słuchawkami zawieszonymi na szyi. Piła trzymała mu się ramienia niczym czuły barbarzyńca. Ronan odnalazł oczyma telefon przy nodze Ganseya, lecz o nic nie spytał, a Gansey nic nie powiedział. Ronan od razu rozpoznałby kłamstwo, a prawda nie wchodziła w grę. Zazdrość niszczyła Ronana przez pierwszych kilka miesięcy po wprowadzeniu Adama do ich grupy, a to zraniłoby go jeszcze bardziej.

– Nie mogłem spać – rzekł zgodnie z prawdą Gansey. – Nie zamierzasz zabić Greenmantle’a, prawda?

Ronan uniósł podbródek. Jego uśmiech był zjadliwy i pozbawiony wesołości.

– Nie. Myślałem o lepszym wariancie.

– Czy chcę wiedzieć, co to jest? Czy akceptujesz, że zemsta nie ma sensu?

Uśmiech poszerzył się i stał jeszcze bardziej zjadliwy.

– To nie twój problem, Gansey.

Był znacznie bardziej niebezpieczny, gdy nie był zły.

I miał rację: Gansey nie chciał wiedzieć.

Ronan otworzył drzwi lodówki, przesuwając Ganseya kilkanaście centymetrów po podłodze. Wyciągnął napój i podał Piłę zimną parówkę. Następnie znów przyjrzał się Ganseyowi.

– Wiesz, słyszałem taką świetną piosenkę – powiedział. Gansey próbował odfiltrować odgłosy kruka wymiotującego parówką. – Chcesz posłuchać?

Gansey i Ronan rzadko zgadzali się na gruncie muzyki, lecz Gansey wzruszył ramionami, zgadzając się.

Ronan zdjął słuchawki z szyi i nałożył je Ganseyowi na uszy. Pachniały lekko kurzem i ptakiem z powodu bliskości Piły.

– I raz, i plask, i dwa, i... – dobiegło ze słuchawek.

Gansey zerwał je, a Ronan wybuchnął szalonym śmiechem. Piła wtórowała mu, trzepocząc skrzydłami. Oboje byli straszliwi i rozbawieni.

– Ty gnojku – fuknął Gansey. – Ty *gnojku*. Zdradziłeś moje zaufanie.

– To najlepsza piosenka, jaką kiedykolwiek napisano – oznajmił mu Ronan, łapiąc oddech między atakami śmiechu. Zebrał się w sobie. – Chodź, ptaszyno, dajmy mu trochę prywatności przy jedzeniu. – Gdy wychodził, zgasił światło, zostawiając Ganseya w mroku. Gansey słyszał, że w drodze do swego pokoju gwizdał resztę piosenki o morderczych plaskach.

Gansey wstał, podniósł telefon i dziennik, po czym wrócił do łóżka. Wina i troska zelżały już, gdy kładł głowę na poduszce. Pozostało jedynie uczucie szczęścia.

Gansey zapomniał, ile czasu zajmuje szkoła. Być może dlatego, że teraz miał więcej do zrobienia poza nią, a może nie mógł przestać o niej myśleć nawet, gdy w niej nie był.

Greenmantle.

– Dick! Gansey! Gansey, stary! *Richardzie Campbellu Gansey III!*

Gansey szedł po zakończeniu zajęć kolumnadą wraz z Ronanem i Adamem, kierując się do biura. Choć mgliście był świadom okrzyków, w jego umyśle panował zbyt wielki hałas, aby zarejestrował słowa. Część myśli poświęcał Greenmantle'owi, część zniknięciu Maury, część badaniom prowadzonym przez Malory'ego na prostopadłej linii mocy, część jaskini kruków, część wiedzy, że za siedem godzin Blue może do niego zadzwonić. I ostatni, zaniepokojony fragment umysłu – coraz większy – był zajęty barwą jesiennego nieba, liśćmi na ziemi, poczuciem, że czas mijał i nie dało się go zastąpić, że uciekał i rozwijał się do końca.

Był to dzień bez mundurków z okazji zwycięstwa szkoły w regionalnym pucharze konkursowym. Brak uniformów w jakiś sposób zwiększał niepokój Ganseya. Jego koledzy z klasy rozeszli się po historycznym kampusie w ocieplanych kamizelkach, spodniach w kratę i markowych swetrach. Przypomniało mu to, że istniał *teraz* i w żadnym innym czasie. Uczniowie oznaczali się jako niewątpliwi mieszkańcy tego wieku, dekady, roku, sezonu, prognozy podatkowej. Ludzkie zegarki. Dopiero gdy wszyscy wrócą do identycznych granatowych swetrów w serek, Aglionby wyślizgnie się ze strumienia czasu i będzie się wydawało, jakby wszystkie czasy stanowiły w istocie jedność.

Czasami Gansey czuł się tak, jakby spędził ostatnich siedem lat życia na ściganiu miejsc, w których tak się właśnie czuł.

Greenmantle.

Każdy poranek w tym tygodniu zaczynał się od Greenmantle'a stojącego przed salą do łaciny, wiecznie uśmiechniętego. Ronan przestał przychodzić na pierwszą lekcję. Nie było szans, aby ukończył szkołę, jeśli obleje łacinę, ale czy Gansey mógł go winić?

Ściany się rozsypanywały.

Adam spytał, dlaczego Gansey musiał iść do biura. Gansey skłamał.

Miał już dość kłótni z Adamem Parrishem.

– Ganseeeeeey!

Zeszłego wieczoru pan Szary powiedział Ronanowi: „Wyśnij mi Greywarena, abym mógł go dać Greenmantle’owi”.

Ronan odparł: „Chcesz, żebym dał temu gnojkwowi klucz do Cableswater? O to prosisz?”.

Pozostawali więc w impasie.

– Gansey, stary! *DICK!*

Ronan obrócił się i ruszył w stronę krzykacza. Rozłożył szeroko ręce.

– Nie teraz, Cheng. Król jest trochę zajęty.

– Nie mówiłem do ciebie, Lynch. Potrzebuję kogoś, kto ma duszę.

Światło odbijające się od uśmiechu Ronana zwróciło uwagę Ganseya, przywracając go do terażniejszości. Zwolnił i zerknął na zegarek, zanim cofnął się do Henry’ego, który siedział przy stoliku, ustawionym między kolumnami. Jego włosy wyglądały jak smolisty czarny ogień.

Chłopcy wymienili przyjacielski uścisk dłoni nad stolikiem. Łączyło ich parę rzeczy. Zanim Gansey odszedł zeszłej jesieni, był kapitanem szkolnej drużyny, a Henry zapisał się kiedyś do niej przy śniadaniu, by wypisać się w porze obiadu. Gansey odwiedził kiedyś Ekwador, Henry zaś pozował jako model do zdjęć z koniem wyścigowym o imieniu Zakochany Ekwador. Gansey został niegdyś zabity przez szerszenie, a rodzinny biznes Henry’ego polegał na produkcji najnowocześniejszych technicznie mechanicznych pszczoł.

Podchodzili do siebie przyjaźnie, lecz nie byli przyjaciółmi. Henry obracał się w ekipie z Vancouver, a Gansey poszukiwał martwych walijskich królów.

– Co mogę dla pana zrobić, panie Cheng? – spytał Gansey z sympatią.

Henry machnął w jego stronę ręką.

– Widzisz, Ronanie? Tak się rozmawia z ludźmi. Cieszę się, że spytałeś, Gansey. Posłuchaj, potrzebuję twojej pomocy. Podpisz to.

Gansey przyjrzał się pismu. Styl był dość oficjalny, ale całość wyglądała na petycję o ustanowienie wybieranej przez uczniów rady uczniowskiej.

– Chcesz, bym głosował za prawem do głosowania?

– Dostrzegłeś istotę mojego stanowiska znacznie szybciej niż reszta naszych kompanów. Już rozumiem, dlaczego zawsze jesteś wymieniany w biuletynie. – Henry podał mu pióro, a gdy Gansey nie wziął go od razu, cienkopis, a następnie ołówek.

Zamiast przyjąć przyrząd do pisania, Gansey próbował zdecydować,

czy podpisanie petycji coś mu dawało.

*Rex Corvus, parate Regis Corvi.*

– Gansey, zgódź się – prosił Henry. – Posłuchają cię. Twój głos liczy się podwójnie, bo jesteś białym o wspaniałych włosach. Jesteś złotym chłopcem Aglionby. Na więcej punktów miałbyś szansę tylko wówczas, gdyby twoja mama zdobyła stanowisko.

Ronan uśmiechnął się lekko do Adama. Gansey potarł kciukiem dolną wargę, nieprzyjemnie świadom, że Henry nie powiedział nic nieprawdziwego. Nigdy nie będzie miał pewności, w jakim stopniu jego tutejsza pozycja była uczciwie zdobyta, a w jakim zawdzięczał ją swemu wspaniałemu rodowodowi. Kiedyś trochę go to dręczyło.

Teraz bardzo go to dręczyło.

– Podpiszę, ale chcę być wyłączony z nominacji. – Gansey przyjął pióro. – Mam już za dużo na głowie.

Henry zatarł rękę.

– Jasne, stary. Parrish?

Adam jedynie pokręcił głową. Zrobił to w obojętny, chłodny sposób, który nie skłaniał Henry'ego do ponowienia prośby.

– Lynch? – spytał Henry.

Ronan przeniósł wzrok z Adama na Henry'ego.

– Chyba mówiłeś, że nie mam duszy.

W tym momencie zupełnie nie wyglądał na ucznia Aglionby. Miał ogoloną głowę, czarną motocyklową kurtkę i drogie džinsy. Wydawał się zupełnie dojrzały. Gansey miał wrażenie, jakby czas niósł Ronana tego lata trochę szybciej niż resztę z nich.

„Kim są ci dwaj? – zastanawiał się Gansey. – Co my robimy?”.

– Wygląda na to, że polityka podmyła już moje zasady – odparł Henry.

Ronan wybrał gruby flamaster i pochylił się nisko nad petycją. Napisał ogromnymi literami *ANARCHIA*, po czym rzucił narzędzie wojny Henry'emu w pierś.

– Hej! – krzyknął Henry, gdy mazak odbił się od niego. – *Ty bandyto.*

– Demokracja to farsa – oznajmił Ronan, a Adam parsknął leciutko i cicho, wyłącznie na własne potrzeby.

Możliwe zresztą, że nauczył się tego od Ronana.

Gansey oszczędził Henry'emu litościwego spojrzenia.

– Przepraszam, dzisiaj za mało ćwiczył. A może coś jest nie tak z jego dietą. Zabiorę go już.

– Gdy zostanie wybrany na prezydenta – powiedział Henry Ronanowi – zdelegalizuję twoją twarz.

Uśmiech Ronana był wąski i mroczny.

– Postępowanie prawne to farsa.

– Czy rozważasz czasami możliwość, że możesz wyrastać na dupka?

– spytał Gansey, gdy ruszyli wzdłuż ocienionej kolumnady.

Ronan kopnął kamyk. Odbił się od cegieł przed nimi i wpadł na trawiasty dziedziniec.

– Plotki głoszą, że ojciec dał mu na urodziny fiskera i za bardzo się boi, by nim jeździć. Chcę zobaczyć, czy go ma. Plotki głoszą, że przyjechał tu na rowerze.

– Z Vancouver? – spytał Adam.

Gansey zmarszczył brwi, gdy dwóch niemożliwie młodych dziesiątoklasistów biegło przez dziedziniec. Czy był kiedyś tak mały? Zapukał do drzwi dyrektora. „Czy ja to robię?”. Tak, robił.

– Zaczekacie tu na mnie?

– Nie – odparł Ronan. – Parrish i ja jedziemy na przejażdżkę.

– Naprawdę? – zapytał Adam.

– Dobrze – odrzekł Gansey. Poczł ulgę, że będą coś robić, a nie myśleć o dyrektorze ani zastanawiać się, czy Gansey zachowuje się jak Gansey. – Widzimy się później.

I zanim zdążyli coś odpowiedzieć, wszedł do środka i zamknął drzwi.

Ronan zabrał Adama do Stodólek.

Od czasu katastrofalnej imprezy z okazji Czwartego Lipca Ronan nabrał zwyczaju znikania w rodzinnym domu i wracania późno bez wyjaśnienia. Adam nigdy nie zamierzał wścibiać w to nosa – w końcu tajemnice były tajemnicami – ale nie mógł zaprzeczyć, że go to ciekawiło.

Teraz wyglądało na to, że dowie się, o co chodzi.

Stodółki zawsze wzbudzały w nim niepokój. Rodzinna posiadłość Lynchów być może nie miała na sobie patyny wytwornego bogactwa, którą chlubił się dom Ganseya, ale z nawiązką nadrabiała to wrażeniem klaustrofobicznej historii. Usiane stodołami pola były niczym wyspa odizolowana od reszty doliny, zasiana przez wyobraźnię Nialla Lyncha i wykarmiona jego snami..

Był to inny świat.

Ronan jechał wąskim podjazdem. Żwirowa droga przecinała groblę i zagajnik poskręcanych drzew. Między pniami błyskały liście trującego bluszczu, czerwone niczym wiśnie, oraz krwawe kolce malinowych krzaków. Wszystko inne było tu zielone: baldachim liści na tyle gęsty, by nie dopuszczać popołudniowego słońca, trawa falująca na wałach i wilgotny mech trzymający się kory.

Wyjechali z lasu i znaleźli się na rozległych, osłoniętych polach. Tutaj barwy były jeszcze bardziej nasycone: pastwiska zielone i złote, stodoły czerwone i białe, gęste i nieuporządkowane jesienne róże zwisały obficie z krzewów, a fioletowe, ospałe góry na wpół kryły się za linią drzew. Żółte jabłka, jaśniejące niczym masło, spoglądały z drzew na poboczu drogi. Jakieś niebieskie kwiaty, nierzeczywiste, wyśnzione, pleniły się w trawie po drugiej stronie. Wszystko było dzikie i surowe.

Czyli takie jak Lynchowie.

Na końcu podjazdu Ronan wykonał ostentacyjny ślizg – Adam w milczeniu podniósł rękę, by złapać się uchwytu pod sufitem – i bmw, szorując po żwirze, zatrzymało się na parkingu przed białym domem.

– Któregoś dnia rozwalisz oponę – powiedział Adam, wysiadając z samochodu.

– Jasne – zgodził się Ronan.



Opuścił auto i popatrzył po gałęziach śliwy rosnącej przy parkingu. Jak zawsze, Adam przypomniał sobie, w jakim stopniu Ronan *przynależał* do tego miejsca. Coś w pozycji, z jaką szukał dojrzałego owocu, sugerowało, że robił to wiele razy. Łatwo było zrozumieć, że Lynch tu dorastał i tu się zestarzeje. Łatwo było zauważyć, że wygnanie go stąd oznaczało pozbawienie duszy.

Adam pozwolił sobie na chwilę melancholii, podczas której wyobrażał sobie, że wyrósł na tych polach, a nie na zakurzonych terenach pod Henriettą, że wolno mu było pragnąć tego domu dla siebie. Było to jednak równie niepojęte jak wyobrażanie sobie Ronana jako nauczyciela w Aglionby.

Nie mógł pojąć, jak w tak chronionym miejscu Ronan nauczył się być tak zawzięty.

Ronan znalazł dwie czarnofioletowe śliwki, które mu się spodobały. Rzucił jedną Adamowi, po czym wskazał brodą kierunek, by Parrish szedł za nim.

Z jakiegoś powodu Adam doszedł do przekonania, że za każdym razem, gdy Ronan znikał w Stodólkach, szykował dom dla siebie i Matthew. Tak bardzo wierzył w tę koncepcję, że zdziwił się, gdy Lynch poprowadził go wokół domu do jednej z licznych stodół, które stały na terenie posiadłości.

Był to duży, długi budynek, zapewne przeznaczony do trzymania koni lub bydła, lecz zamiast tego mieszczący rupiecie. Po bliższym przyjrzeniu się widać było, że w istocie mieściły się tam wyśnione rupiecie, subtelnie datowane kurzem i stopniem rozpadu.

Ronan z łatwością przemieszczał się po ciemnych rozległych wnętrzach, podnosząc zegar, latarnię, kawałek dziwnej tkaniny, na którą spoglądanie z jakiegoś powodu sprawiało Adamowi ból. Lynch znalazł jakieś widmowe światło na pasku. Zawiesił je na ramieniu, by zabrać ze sobą. Pochłonął już swoją śliwkę.

Adam został przy wejściu, spoglądając do wnętrza przez latające kłębki kurzu i delektując się owocem.

– To nad tym pracowałeś?

– Nie, to taty. – Ronan podniósł mały strunowy instrument. Obrócił go, by Adam zobaczył, że struny są z czystego złota. – Popatrz na to.

Adam podszedł do niego. Choć miał do zrobienia pracę domową i musiał zaopiekować się Cabeswater, nie potrafił czuć pośpiechu. Atmosfera w stodole była senna i ponadczasowa, a w przegłądaniu cudów i wariactw nie było nic nieprzyjemnego. Wśród zgromadzonych przedmiotów znajdowały się maszyny, wciąż działające na tajemniczej

zasadzie. Były tam również istoty, które Niall Lynch musiał wyśnić, ponieważ teraz spały. Znaleźli wśród śmieci śpiące ptaki, śpiącego kota oraz staromodnego wypchanego misia, który kiedyś musiał być żywy, ponieważ jego pierś wznosiła się i opadała. Po śmierci ich twórcy nie dawało się tych istot obudzić, chyba że, jak matka Ronana, trafiłyby do Cableswater.

Gdy szli przez starą stodołę, Adam czuł, jak wzrok Ronana prześlizguje się po nim i odwraca z wystudiowanym, lecz niepełnym brakiem zainteresowania. Adam zastanawiał się, czy ktokolwiek jeszcze to zauważył. Część niego pragnęła, by tak było, ale natychmiast poczuł się źle, ponieważ tak naprawdę była to czysta próżność: „Patrzcie, Adama może ktoś pragnąć, może się w nim zadurzyć, i to nie byle kto, bo Ronan, który mógłby pragnąć Ganseya lub dowolną osobę, a jednak jego wygłodniałe oczy wybrały Adama”.

Być może się mylił. Mógł się mylić.

„Jestem niepoznawalny, Ronanie Lynchu”.

– Chcesz zobaczyć, nad czym pracuję? – spytał Ronan zupełnie niedbale.

– Pewnie – odparł Adam. Też zupełnie niedbale.

Przystanąwszy na chwilę, by zawiesić widmowe światło na słupku, aby je później zabrać, Ronan poprowadził Adama przez wilgotne pole do stodoły, którą już kiedyś odwiedzili. Jeszcze zanim Lynch utworzył wielkie zardzewiałe wrota, Adam wiedział już, co znajdą w środku. I rzeczywiście, było tam wielkie stado różnokolorowych krów. Podobnie jak żywe istoty w tych stodołach, spały. Czekały.

Światło wewnątrz było przyćmione i brązowe, przefiltrowane przez zakurzone świetliki w wysoko położonym dachu. Panował ciepły, znajomy zapach sierści, łajna oraz wilgoci. Kto wyśnił stado bydła? Nic dziwnego, że Cableswater nie mogło się pojawiać aż do śmierci ojca Ronana. Nawet lekkomyślne śnienia Ronana i Kavinsky’ego wysączyły z linii mocy wystarczającą ilość energii, aby las zniknął. To były świece, narkotyki, samochody.

A nie pola pełne żywych stworzeń. Nie wymyślona dolina.

To dlatego Greenmantle nie mógł dostać nawet fałszywego Greywarena. Dzikie Cableswater było tak dziwnie delikatne.

Ronan podszedł do wewnętrznych drzwi, za którymi znajdowało się podniszczone biuro. Wszędzie leżała gruba warstwa kurzu. Na biurku zółciły się zapiski weterynaryjne i rachunki za paszę. W koszu na śmieci leżały stare puszki po coli. Na ścianach zamocowano nieoprawione wydruki: ulotkę jakiegoś irlandzkiego zespołu folkowego grającego

w Nowym Jorku, stare zdjęcia biegnących w oddali dzieci, starego molo w oddali, starego wiejskiego krajobrazu. Tak bardzo różniło się to od tego, co ojciec Adama przyczepiał do ścian swojego warsztatu, że Adam zastanowił się nad podziwem, jaki miał wobec niego Ronan. Ktoś taki jak Ronan uważał kogoś takiego jak Adam za wartościowego...

Ronan zaklął, potykając się. Znalazł włącznik światła i nad ich głowami zaświeciła się jarzeniówka. Klosz był pełen martwych much.

W trochę lepszym świetle Adam ujrzał w kurzu ślady prowadzące od biurka do krzesła pod ścianą. Na krześle leżał koc – niezakurzony – i nie było trudno wyobrazić sobie kontury śpiącego pod nim młodzieńca. W całym tym obrazku było coś niespodziewanie samotnego.

Ronan przyciągnął spod ściany metalową skrzynkę z narzędziami i z okropnym trzaskiem podniósł wieko.

– Próbuję obudzić sny ojca.

– Co?

– Nie są martwe. Śpią. Gdybym przeciągnął je do Cableswater, wstałyby i odeszły. Zacząłem więc się zastanawiać, co by się stało, gdybym sprowadził Cableswater do nich.

Adam nie był pewien, jakiej tajemnicy się spodziewał, ale na pewno nie tego.

– Do krów?

– Niektórzy z nas mają rodziny, Parrish.

Aurora tkwiła w Cableswater. Oczywiście, że Ronan chciałby, aby mogła stamtąd wychodzić.

– Przepraszam – odparł ze wstydem Adam. – Już pojmuję.

– To nie wszystko. Matthew... – przerwał Ronan gwałtownie i Adam zrozumiał.

Istniała kolejna tajemnica i Ronan nie był jeszcze gotów ją zdradzić.

Po chwili poszukiwań w skrzynce Ronan obrócił się ze szklaną kulą w dłoni. Zamknięte w niej powietrze lśniło niczym mgła. Kula była piękna, można by ją powiesić w ogrodzie albo kuchni staruszki. Wydała się Adamowi *bezpieczna*. Nie za bardzo w stylu Ronana.

Lynch uniósł ją do światła. Powietrze wewnątrz przepłynęło z jednej strony na drugą. Może w ogóle nie było to powietrze, tylko płyn? Adam widział, jak odbija się w jego niebieskich oczach.

– To była moja pierwsza próba – oznajmił Ronan.

– Wyśniłeś ją?

– Oczywiście.

– Hmm. A Cableswater?

– Spytałem. – Ronan był urażony.

Spytał. Tak po prostu. Zupełnie jakby czymś normalnym była dla niego komunikacja z tym bytem, który Adamowi ujawniał się jedynie poprzez wielkie i gwałtowne gesty.

– We śnie miała w sobie część Cableswater – ciągnął Ronan. – Jeśli działa we śnie, działa w prawdziwym życiu.

– A działa? Streść się.

– Dupek. Nie. Nie działa. Tak naprawdę gówno robi. – Ronan znów zaczął szperać w skrzynce, wyciągając różne nieudane próbki, wszystkie zastanawiające.

Wyjął migoczącą wstążkę, kłęb trawy wciąż wyrastającej z bryły ziemi i rozwidloną gałązkę. Pozwolił Adamowi potrzymać niektóre z nich, ale wszystkie wydawały się dziwne. Zbyt ciężkie, jakby grawitacja działała na nie bardziej, niż powinna. I pachniały dość znajomo, jak Ronan albo Cableswater.

Jeśli Adam się na tym skupił – a raczej jeśli się na tym *nie* skupiał – czuł w każdej z tych rzeczy pulsowanie linii mocy.

– Miałem też worek piasku – rzekł Ronan. – Ale go rozsypałem.

Godziny snienia. Codziennie jechał przez godzinę, by zaparkować samochód, zwinąć się na tym fotelu i spać samotnie.

– Dlaczego tu? Dlaczego przyjeżdżasz tutaj, by to robić?

– Czasami śnię o osach – odpowiedział Ronan bezbarwnym tonem.

Adam wyobraził to sobie: Ronan budzi się w Monmouth Manufacturing z wyśnionym przedmiotem w dłoniach, po jego prześcieradle pełzają osy, a nieświadomy tego Gansey przebywa w innym pomieszczeniu.

Nie, w Monmouth nie mógł śnić dzikich snów.

*Osamotniony.*

– Nie boisz się, że coś sobie tu zrobisz? – spytał Adam.

Ronan parsknął. Miałby się obawiać o swoje życie? Coś jednak było w jego oczach. Przyjrzał się swoim dłoniom i przyznał:

– Wyśniłem mu pudełko autostrzykawek z adrenaliną. Cały czas śnię o antidotach na ukąszenia. Mam jedno przy sobie, jedno schowałem w Świni, porozkładałem je też w całym Monmouth.

Adam poczuł dziką i okrutną nadzieję.

– Działają?

– Nie wiem. I nie da się tego stwierdzić, zanim nie będą naprawdę potrzebne. Nie będzie drugiej szansy. – Ronan wyjął ze skrzynki narzędzia dwa przedmioty i wstał. – Pora na zajęcia praktyczne. Chodźmy do laboratorium.

Jedną ręką przyciskał do ciała jaskrawoniebieski polarowy koc. Na

drugą, niczym kelnerską serwetę, narzucił kłęb mchu.

– Mam coś wziąć? – spytał Adam.

– Kurwa, nie.

Adam otworzył przed nim drzwi.

W głównym pomieszczeniu stodoły Ronan niespiesznie przeszedł między krowami, zatrzymując się, by popatrzeć im w pyski, lub przekrzywiając głowę, by sprawdzić ich umaszczenia. Wreszcie stanął przy krowie o czekoladowej maści z nierównym paskiem w kształcie błyskawicy na przyjaznym pysku. Czubkiem buta pokazał jej bok.

– Działa lepiej, jeśli wydają się bardziej... Sam nie wiem. Konkretne – wyjaśnił. – Jeśli wyglądają jak coś, co sam mógłbym wyśnić.

Dla Adama zwierzę wyglądało po prostu jak krowa.

– Co w niej jest wyjątkowego?

– Wygląda kurewsko przyjaźnie – odparł Ronan. – Jak mały krowi czarodziej. – Położył niebieski koc na ziemi. Ostrożnie. – Sprawdź jej puls – polecił. – Nie patrz tak na nią. Puls. Na pysku. Tam. Tam, Parrish, Boże. Tam.

Adam delikatnie przesuwając palcami po szczecinie rosnącej na krowim pysku, dopóki nie poczuł powolnego pulsu zwierzęcia.

Ronan nałożył narzutę z mchu na grzbiet krowy.

– A teraz?

Adam nie był pewien, czego się spodziewać. Nie czuł nic, nic, nic... Ach, jednak coś poczuł. Puls krowy minimalnie przyspieszył. Wyobraził tu sobie Ronana, samego, tak bardzo pragnącego zmiany, że zauważyłby tę subtelną różnicę. Nie sądził, że Ronan Lynch jest zdolny do takiego oddania.

*Osamotniony.*

– Nie udało ci się więcej osiągnąć?

Ronan prychnął.

– Myślisz, że zawracałbym sobie głowę, żeby pokazać ci tylko to? Jest tego więcej. Musisz się najpierw odlać?

– Ha.

– Mówię poważnie.

– Nie muszę.

Ronan obrócił się do drugiego przyniesionego przez siebie przedmiotu. Nie był to niebieski koc, jak się Adamowi wydawało, lecz coś, co było nim owinięte. Nie mogło być większe niż pudełko od butów albo duża książka, nie wydawało się też zbyt ciężkie.

I jeśli Adama nie myliły oczy, Ronan Lynch się tego bał.

Ronan wziął głęboki wdech.

– No dobrze, Parrish.

Odwinął zawartość.

I odwrócił wzrok.

I spojrzał ponownie.

„To książka” – pomyślał.

A później nie wiedział, dlaczego uznał to za książkę, bo był to ptak. Nie, planeta. Lustro.

Nie była to żadna z tych rzeczy. To było słowo. Ronan trzymał w dłoni słowo, które chciało być wypowiedziane na głos, lecz nie chciał tego uczynić, choć tak naprawdę chciał...

Adam znów odwrócił wzrok, nie mógł już na to patrzeć. Czuł, że oszaleje, jeśli dalej będzie próbował to nazwać.

– Co to jest? – spytał.

Ronan przyjrzał się temu, lecz z ukosa, kierując głowę w bok. Wyglądał młodziej niż zwykle, rysy twarzy miał złagodzone niepewnością i ostrożnością. Czasami Gansey opowiadał o Ronanie, jakiego znał przed śmiercią Nialla. Teraz, spoglądając na tego omylnego Ronana, Adam uznał, że mógłby uwierzyć w jego opowieści.

– Fragment Cableswater – powiedział Ronan. – Fragment snu. Właśnie o to prosiłem. I to jest... Tak to powinno wyglądać, jak sądzę.

Adam wyczuwał prawdę. Ten ohydny, niemożliwy i cudowny przedmiot to był sen. Wygląda tak, gdy nie ma czego zasiedlić. Kim była osoba, która potrafiła wyśnić sen w rzeczywisty kształt? Nic dziwnego, że Aglionby nudziło Ronana.

Adam popatrzył na to. Odwrócił wzrok.

– Czy to działa? – zapytał.

Rysy Ronana się wyostrzyły. Trzymał wyśnioną *rzecz* przy pysku krowy. Światło albo coś podobnego do światła odbijało mu się w brodzie i policzkach, sprawiając, że wydawał się potężny, przystojny i przerażający. Inny. Nagle dmuchnął na przedmiot. Jego oddech przeszedł przez słowo, lustro, niezapisaną linijkę.

Adam usłyszał w uchu szept. Coś poruszyło się w jego wnętrzu. Rzęsy Ronana zatrzepotały złowieszczo.

„Co my robimy...”.

Krowa się przesunęła.

Niezbyt mocno, jednak przekrzywiła głowę i zastrzygła jednym uchem. Zupełnie jakby przez sen opędzała się od muchy. Przy kręgosłupie drgnął jej mięsień.

Ronan miał otwarte oczy, płonął w nich ogień. Odetchnął znów i po raz kolejny, a krowa ponownie zastrzygła uchem. Napięła wargi.

Nie obudziła się jednak, nie wstała.

Ronan cofnął się, ukrywając sen przed rozemocjonowanym wzrokiem Adama.

– Ciągle jeszcze coś mi umyka – powiedział Ronan. – Powiedz mi, co to.

– Może po prostu nie da się przebudzić czyjegoś snu.

Ronan pokręcił głową. Nie obchodziło go, że to niemożliwe. Zamierzał to zrobić.

Adam poddał się.

– Moc. To wymaga mnóstwa mocy. Większość moich działań przy naprawie linii mocy polega na reperowaniu połączeń, by energia płynęła skuteczniej. Może uda ci się znaleźć sposób, by wyprowadzić stąd odgałęzienie linii.

– Już o tym myślałem. Nie interesuje mnie to. Nie chcę powiększać klatki. Zamierzam otworzyć drzwi.

Popatrzyli po sobie, Adam szczerze i ostrożnie, a Ronan mrocznie i wyzywająco. Taki Ronan był najprawdziwszy.

– Dlaczego? – spytał Adam. – Podaj mi prawdziwy powód.

– Matthew... – zaczął znów Ronan, lecz przerwał.

Adam czekał.

– Matthew jest mój – rzekł Ronan. – Mój.

Adam nie rozumiał.

– Ja go *wyśniłem*, Adamie! – Ronan był zły. Każda z jego emocji, która nie była radością, była złością. – To oznacza, że gdy... jeśli coś mi się stanie, zrobi się taki jak one. Jak mama.

Wszystkie wspomnienia, jakie Adam miał w związku z Ronanem i jego młodszym bratem, pojawiły się w innym świetle. Niemordowane oddanie Ronana. Podobieństwo Matthew do Aurory, która sama była wysnioną istotą. Wieczna pozycja Declana jako outsidera, ani śniącego, ani snu.

Tylko połowa pozostałej Ronanowi rodziny była prawdziwa.

– Declan mi powiedział – wyjaśnił Ronan. – Kilka niedziel temu. – Declan wyjechał na studia do Waszyngtonu, ale wciąż każdej niedzieli jechał cztery godziny samochodem, aby pójść do kościoła z braćmi. Był to tak ekstrawagancki gest, że nawet Ronan wydawał się zmuszony uważać go za uprzejmość.

– Ty nie wiedziałeś?

– Miałem trzy lata. Co mogłem wiedzieć? – Ronan odwrócił wzrok, zasłonił rękami oczy i ukrył wyraz twarzy, przytłoczony tym, że się urodził, a nie został stworzony.

*Osamotniony.*

Adam westchnął i usiadł przy krowie, opierając się o jej ciepłe ciało i pozwalając, by unosiły go jej powolne oddechy. Po chwili Ronan osunął się koło niego i spoglądali na śpiące zwierzęta. Adam poczuł, że Ronan zerka na niego i odwraca wzrok. Ich ramiona były blisko siebie. Na zewnątrz deszcz zaczął znów uderzać w dach i nadeszła kolejna nagła burza. Może to ich wina. Może nie.

– Greenmantle – powiedział nagle Ronan. – Jego sieć. Chcę mu ją owinąć wokół szyi.

– Ale pan Szary ma rację. Nie możesz go zabić.

– Nie chcę go zabijać. Chcę mu zrobić to, co on zamierza zrobić panu Szaremu. Chcę mu pokazać, że mogę zamienić jego życie w piekło. Jeśli potrafię wyśnić *to* – Ronan wskazał brodą przedmiot ze snu owinięty kocem – na pewno wyśnię też coś, czym można go szantażować.

Adam zastanowił się nad tym. Jak trudne może być wrobienie kogoś, jeśli potrafi się stworzyć wszystkie potrzebne dowody? Czy można to zrobić w taki sposób, by Greenmantle nie mógł tego zniweczyć i zemścić się na nich w dwójnasób?

– Jesteś mądrzejszy ode mnie – rzekł Ronan. – Wymyśl coś.

Adam parsknął z niedowierzaniem.

– Czy właśnie poprosiłeś mnie, abym w pozostałym mi wolnym czasie sprawdził Greenmantle'a?

– Tak. I powiem ci, dlaczego cię poprosiłem.

– Dlaczego?

Ronan się roześmiał. Ten dźwięk, równie nieprzyjemny, wesoły i straszliwy jak sen w jego dłoni, powinien obudzić krowy, nawet jeśli nic innego nie dawało im rady.

– Słyszałem, że jeśli chce się osiągnąć coś magicznego – oznajmił – trzeba poprosić maga.



Było już dość późno, gdy zadzwoniła Blue. Malory dawno już wrócił SUV-em, Ronan dawno już wrócił bmw.

Nikt jeszcze nie spał.

– Gansey? – spytała Blue.

Coś zaniepokojonego w jego wnętrzu znieruchomiało.

– Opowiedz mi – poprosiła – o linii mocy.

Przeszedł natychmiast do kuchni/łazienki/pralni, poruszając się jak najciszej i zastanawiając się, co opowiedzieć. Gdy usiadł na podłodze, zaczął cichym głosem:

– Gdy byłem w Polsce, spotkałem gościa, który dzięki śpiewowi przemieszczał się po Europie. Mówił, że dopóki śpiewa, zawsze wie, jak wrócić na „drogę”.

– Zakładam, że chodzi ci o trupią drogę, a nie międzystanową? – Głos Blue również brzmiał cicho przez telefon.

– Mistyczną międzystanową. – Gansey przejechał dłonią po włosach, wspominając. – Jechałem z nim autostopem jakieś trzydzieści kilometrów. Miałem GPS. On miał piosenkę. I miał też rację. Mogłem zakręcić nim dwa miliony razy i poprowadzić na manowce dwa miliony razy, a on wciąż potrafił wrócić do linii mocy. Zupełnie jakby był namagnetyzowany. Dopóki śpiewał.

– Czy to zawsze była ta sama piosenka? O morderczym plaskaniu?

– O Boże. – Deski podłogi pod gołymi piętami wydawały się zimne. Z jakiegoś poziomu wrażenie to było zmysłowe i rozprasające, przypominało skórę Blue. Gansey zamknął oczy. – Były to prostsze czasy, zanim to okropieństwo zostało wypuszczone na świat. Nie mogę pojąć, dlaczego Ronan i Noah mają taką obsesję na punkcie tej piosenki. Ronan mówił, że chce kupić sobie koszulkę. Możesz go sobie wyobrazić w czymś takim?

Blue parsknęła.

– Co się stało z tym gościem z Polski?

– Sądzę, że teraz śpiewa gdzieś w Rosji. Przemieszczał się od lewej do prawej. To znaczy, z zachodu na wschód.

– Jak było w Polsce?

– Ładniej, niż zapewne sądzisz. Bardzo ładnie.

Milczała przez chwilę.

– Chciałabym tam kiedyś pojechać – powiedziała wreszcie.

Nie dał sobie czasu na zwątpienie w mądrość wypowiedzianego na głos, zanim odparł:

– Wiem, jak tam dotrzeć, jeśli potrzebujesz towarzystwa.

Blue znów milczała chwilę, zanim odezwała się zmienionym głosem:

– Pośpiewam sobie do snu. Do zobaczenia jutro. Jeśli potrzebujesz towarzystwa.

Telefon ucichł. Zawsze było to za mało, ale przynajmniej coś. Gansey otworzył oczy.

Noah siedział pod klamką w kuchni/łazience/pralni. Gdy Gansey się zastanowił, doszedł do wniosku, że być może siedział tam od dość dawna.

W zasadzie Gansey nie powinien mieć poczucia winy, a jednak płonął właśnie nim, podekscytowaniem, pożądaniem i niejasnym uczuciem, że się ujawnił. Wszystko to znajdowało się w jego wnętrzu, a przecież tylko na wewnątrz Noah zwracał tak naprawdę uwagę.

I miał porozumiewawczą minę.

– Nie mów nikomu – powiedział Gansey.

– Jestem martwy – odrzekł Noah – a nie głupi.

Jestem na ciebie bardzo zła – powiedziała z bardzo bliska Piper.

Greenmantle leżał na dachu wypożyczonego zastępczego samochodu z rękoma skrzyżowanymi na piersi i ze złączonymi kolanami, rozmyślając o wczesnośredniowiecznych pozycjach grzebalnych.

– Wiem – odparł Greenmantle, otwierając oczy. Niebo nad nimi było szyderczo błękitne. – O co chodzi tym razem?

– Ludzie od pobierania krwi byli tu dzisiaj, a ty nie. *Mówiłam* ci, żebyś był.

– Byłem tu.

Pierwszą godzinę po przyjsciu do domu spędził, leżąc na twarzy. Chowano w taki sposób niewielki procent średniowiecznych ciał. Historycy sądzili, że to groby samobójców lub wiedźm, choć tak naprawdę było to zazwyczaj gdybanie. A on był największym gdybaczem ze wszystkich.

– Nie odbierałeś, gdy dzwoniłam!

– To nie zmienia faktu, że tu byłem.

– Miałam cię szukać na samochodzie? Dlaczego w ogóle tu leżysz?

– Mam blokadę twórczą – odpowiedział Greenmantle.

– W jakiej kwestii?

Obrócił się, by na nią spojrzeć. Stała przy samochodzie w sukience, która wyglądała tak, jakby jej zdjęcie wymagało męczącej liczby czynności. Trzymała małe zwierzę o obroży wysadzonej klejnotami. Nie miało włosów, nie licząc długiej, jedwabistej kępki wyrastającej z głowy, w takim samym odcieniu blond, jaki znajdował się na głowie Piper.

– Co to jest? – spytał Greenmantle.

Podejrzewał, że to fizyczna manifestacja jego paskudnego nastroju.

– Otho.

Usiadł. Wypożyczony samochód głośno westchnął.

– To kot? Gryzoń? Co to za gatunek, zdradz.

– Otho jest grzywaczem chińskim.

– A czym jest grzywacz chiński?

– Nie bądź dupkiem.

Ponieważ Greenmantle dysponował ludźmi, którzy ziajali i chodzili za nim z bezmyślną wiernością, nigdy nic czuł potrzeby, by sprawić

sobie psa. Gdy był jednak młodszy, zwykł wyobrażać sobie czworonoga o frędzlastym ogonie i łapach. Takiego, który przynosi kaczki, bez względu na to, jak nazywałaby się jego rasa. Otho wyglądał tak, jakby to kaczki mogły przynieść jego.

– Zrobi się większy? Urosną mu włosy? Skąd się wzięły?

– Zamówiłam go.

– Przez *internet*?

Piper przewróciła oczyma na jego niewinność.

– Dlaczego znów masz blokadę twórczą?

– Muszę znaleźć jasnowidzącą dziewczynę pana Szarego, ale okazuje się, że nikt nie wie, gdzie ona jest. Zniknęła zaraz po tym, jak mnie wyrolował. – Greenmantle zsunął się z samochodu. Ostrożnie. Był sztywny po napowietrznym pochówku. – Jak mam zniszczyć to, czego pragnie, jeśli już tego nie ma? Zgłosili jej zaginięcie i w ogóle. Ukradłem raport policyjny i według niego podobno powiedziała rodzinie, że jest „pod ziemią”.

Nie ukradł raportu. Zapłacił komuś, by go ukradł. Opowieść brzmiała jednak lepiej, jeśli to on występował w roli bohatera.

– Pod ziemią? – zainteresowała się Piper. – Jasnowidzka? To ma związek z moimi sprawami.

– W jaki sposób?

– Gdy cię nie było, bo szwendałeś się bez sensu, zrobiłam co nieco – powiedziała. – Chodź za mną.

Poprowadziła go przez garaż i drzwi, o których istnieniu nie miał pojęcia, do domu. W korytarzu przy sypialni wyłoniły się schody.

– Nie czytałeś żadnego z raportów pana Szarego?

Wpatrywał się w nią, by dać do zrozumienia, że nie zrozumiał pytania.

– Z okresu, gdy był tutaj, szukając dla ciebie tej głupiej rzeczy – dopowiedziała powoli, jakby był idiotą. – Czy przeczytałeś to, co dla ciebie napisał? O poszukiwaniach?

– Ach, o to chodzi. Oczywiście, że nie.

– To po co mu mówiłeś, żeby przysyłał raporty? Był ich milion.

– Po prostu chciałem, żeby czuł się zajęty i obserwowany. Nie ma nic lepszego niż robota papierkowa, by człowiek czuł się uciskany. A co w nich jest?

Piper otworzyła drzwi do schowka, by pokazać kolekcję pakunków z etykietami wysyłkowymi na jej nazwisko. Zapewne Otho przybył w jednym z nich.

– Czytałam je w wannie. Później przejrzałam raporty od pozostałych

ledwo piśmiennych zbirów, których wynajmujesz. I wreszcie zajrzałam do wiadomości.

Greenmantle'owi nie przeszkadzała wizja czytania przez nią listów Szarego Mężczyzny, gdy była naga. Otworzył jedno z pudełek i zajrzał do środka.

– Co to jest?

– Ochraniacze na kolana – wyjaśniła i założyła je, żeby zademonstrować. Była nieprzyzwoicie zadowolona z siebie. – Ten straszny człowiek pisał o podziemnych liniach energii psychicznej, które zakłócają mu poszukiwania, ponieważ są tak silne. Pomyślałam, że im silniejsze, tym lepiej. I że chciałabym przekonać się, co jest takie silne, bo już wariuję z nudów. I czy odnalezienie ich będzie takie trudne. Zamówiłam więc to.

– Ochraniacze na kolana?

– Nie mam zamiaru pogruchotać sobie rzepek, gdy będę wałęsać się pod ziemią. Nie wydaje ci się, Colinie, że szalona jasnowidząca dziunia Szarego Mężczyzny może znajdować się w tym samym miejscu co te szalone psychiczne linie? Masz szczęście, bo dla ciebie też kupiłam ochraniacze.

Był pod wielkim wrażeniem jej pomysłowości. Tak naprawdę nie powinien, bo Piper od zawsze była bardzo pomysłową istotą. Zwykle nie korzystała ze swych zdolności w dobrych celach, a gdy już tak się zdarzało, zazwyczaj nie chodziło w nich o niego. Nie przypuszczał, że naprawdę go lubiła.

Ponieważ była beczelnie zadowolona z siebie, nie miał serca powiedzieć jej, że wolałby komuś zapłacić za to, żeby zszedł pod ziemię, by poszukać dziewczyny Szarego Mężczyzny. Poza tym okazało się, że sukienka Piper miała ukryty suwak i zjechała z jej ciała dość łatwo. Piper została w ochraniaczach na kolana.

Później Greenmantle uświadomił sobie, że zapomniał o obecności psa, co wydawało mu się z lekka niesmaczne.

– A więc zamierzasz zostać speleolożką – rzekł.

– Nie wiem, co to znaczy.

– Jaskiniową kobietą. W najbardziej podstawowym lingwistycznym znaczeniu zamierzasz być jaskiniową kobietą.

– W porządku. A ty idziesz ze mną.

Blue nie była złym kierowcą, ale po prostu przerażonym. Ponieważ, jak wspomniał jej Jesse Dittley, nie jadła warzyw, musiała przysunąć fotel jak najbliżej pedałów. Ścisnęła kierownicę z wdziękiem cyrkowego niedźwiedzia. Wszystko na desce rozdzielczej domagało się jej uwagi. Światła? Prędkość! Nawiew na twarz? Nawiew na stopy! Paliwo/olej/silnik! Dziwny symbol wyglądający jak bekon?

Jechała bardzo powoli.

Najgorsze w jej strachu było to, jak bardzo ją *złościł*. W samej procedurze prowadzenia nie było nic, co wydawałoby jej się niejasne lub niesprawiedliwe. Celująco zdała egzamin na prawo jazdy. Wiedziała, co oznacza wszystko poza symbolem bekonu. Znaki drogowe nigdy nie wprawiały jej w konsternację, pierwszeństwo przejazdu było dla niej logiczne i mistrzowsko go ustępowała. Dać jej czterdzieści minut, a zaparkowałyby forda z Fox Way równolegle w dowolnym miejscu.

Nigdy nie mogła jednak zapomnieć, że była malutkim pilotem w ważącej wiele setek kilogramów broni.

– To dlatego, że za mało ćwoczyłaś – powiedział uprzejmie Noah, lecz trzymał się uchwytu na drzwiach w sposób, który wydawał się zbędny u kogoś, kto już nie żył.

*Oczywiście*, że za mało ćwoczyła. Na Fox Way 300 był tylko jeden samochód i był na niego ogromny popyt. Blue mogła jeździć rowerem do szkoły, pracy i Monmouth Manufacturing, więc auto zwykle przypadało osobom pracującym poza domem lub załatwiającym jakieś sprawy. W bieżącym tempie nabywania praktyki Blue oceniała, że poczuje się swobodnie za kierownicą jakoś po czterdziestce.

Tego popołudnia zdołała jednak zawłaszczyć samochód. Noah był jedynym towarzyszem jej wyprawy w teren, ponieważ Gansey robił coś w szkole, Adam pracował lub odsypiał pracę, a Ronan, jak zazwyczaj, rozpląnął się w niebycie.

Udawali się do Jessego Dittleya.

– Jedziemy tak wolno – rzekł Noah, obracając głowę, by przyjrzeć się nieuniknionemu ogonkowi za nimi – że chyba właśnie widziałem, jak mijał nas trzykołowy rower.

– To niegrzeczne.

Po nazbyt długiej podróży Blue zajechała na zryty koleinami podjazd Jessego Dittleya. W słońcu farma wydawała się mniej mistyczna, mniej ponura, mniej objęta klątwą, natomiast brudniejsza i bardziej zardzewiała. Zaciągnęła hamulec ręczny („Nawet nie jesteśmy na wzgórzu!” – zaprotestował Noah), wysiadła i ruszyła w stronę ganku. Zastukała do drzwi.

Minęło parę chwil, zanim otworzył. Ponownie zszokował ją jego wzrost. Znów miał na sobie biały podkoszulek, być może nawet ten sam. Przy takiej różnicy wzrostu trudno jej było dostrzec wyraz jego twarzy.

– O, TO TY.

– Aha – przyznała Blue. – Oto moja propozycja: pozwól nam pan zbadać jaskinię, a ja sprzątnę panu podwórko. Mam dobre referencje.

Pochylił się, a ona się wyprostowała. Przyjął wizytówki, jakie sama zaprojektowała i wycięła, aby przekonywać starsze panie z sąsiedztwa do płacenia jej za sadzenie roślin ozdobnych. Gdy czytał treść, przyglądała się jego twarzy i ciału, szukając oznak ukrytej choroby, jakichś widocznych już objawów, które mogłyby go później złożyć do grobu. Czegoś innego niż przekłeta jaskinia. Nie dostrzegła nic poza wzrostem. I jeszcze raz wzrostem.

– CZY PRÓBUJESZ MI POWIEDZIEĆ, ŻE NIE PODOBA CI SIĘ, CO TU ZROBIŁEM? – zapytał wreszcie.

– Na każdym podwórku przydadzą się kwiaty – odrzekła Blue.

– JAK CHOLERA. – Zamknął jej drzwi tuż przed nosem.

– Tak to miało się skończyć? – spytał Noah, który stał obok, nie rzucając się w oczy.

Nie tak, ale zanim Blue zdążyła sformułować kolejny plan, olbrzym otworzył drzwi, tym razem mając na nogach kalosze w maskujący wzór. Wyszedł na ganek.

– ILE CI TO ZAJMIE?

– Dziś.

– DZIŚ?

– Jestem bardzo szybka.

Zszedł po schodach i rozejrzał się po podwórku. Trudno było stwierdzić, czy analizował szansę posprzątania terenu przez Blue w jedno popołudnie, czy też zastanawiał się nad tym, czy będzie tęsknił za tym bałaganem, gdy już zniknie.

– MOŻESZ WRZUCAĆ RZECZY NA TYŁ TAMTEJ CIĘŻARÓWKI.

Blue podążyła za jego wzrokiem ku zardzewiałej brązowej ciężarówce, którą dotąd brała za złom.

– Świetnie – powiedziała i naprawdę tak uważała. Zaoszczędzi czas,

jeśli nie będzie musiała cztery razy jechać powoli swoim samochodem na wysypisko. – A więc umowa stoi?

– JEŚLI WYROBISZ SIĘ DZISIAJ.

Pokazała mu uniesiony kciuk.

– No dobrze. Zabieram się zatem do pracy. Szkoda czasu.

Wydawało się, że Jesse patrzy na Noaha, ale nagle jego wzrok pomknął z powrotem ku Blue. Otworzył usta i przez chwilę sądziła, że *rzeczywiście* zobaczył Noaha, a teraz chce to jakoś skomentować, ale w końcu powiedział:

– POSTAWIĘ NA GANKU WODĘ DLA CIEBIE. UWAŻAJ, ŻEBY PSY JEJ NIE PIŁY.

W okolicy nie było widać żadnych psów, ale całkiem możliwe, że kryły się za jedną z porzuconych sof na podwórku. W każdym razie poczuła się wzruszona tym gestem.

– Dzięki – rzekła. – To bardzo miłe.

Jej wdzięczność najwyraźniej dała mu odwagę powiedzenia tego, o czym wcześniej myślał. Drapiąc się po piersi, popatrzył zmrużonymi oczyma na jej porwaną koszulkę, wybielone dżinsy i glany.

– JESTEŚ TAKA MALUTKA. NA PEWNO SOBIE PORADZISZ?

– To kwestia wymuszonej perspektywy, wywołanej tym, że jadł pan warzywa. Jestem większa, niż się panu wydaje. Ma pan piłę łańcuchową?

Zamrugął.

– BĘDZIESZ CIAĆ DRZEWO?

– Nie. Sofy.

Gdy poszedł poszukać w domu piły, Blue włożyła rękawice i zabrała się do pracy. Najpierw wzięła się za proste rzeczy: zbierała kawałki metalowego złomu wielkości małych pieszków oraz popękane plastikowe wiadra porzerastane chwastami. Następnie zaczęła przesuwać kłody z wystającymi gwoździami i popsute zlewy wypełnione cienką warstwą deszczówki. Gdy Jesse Dittley wyłonił się z piłą łańcuchową, wyciągnęła z samochodu różowe okulary przeciwsłoneczne, by służyły jej za osłonę oczu, i zaczęła ciąć większe rzeczy na kawałki prostsze w obsłudze.

– PAMIĘTAJ O WĘŻACH – ostrzegł ją Jesse z ganku, gdy przerwała, by złapać oddech.

Blue nie rozumiała, o co mu chodziło, dopóki złowróbnym machnięciem ręką nie wskazał na chwasty rosnące wokół ganku.

– Dobrze się dogaduję z wężami – uspokoiła go Blue.

Większość zwierząt nie była niebezpieczna, jeśli wiedziało się, jak zapewnić im margines bezpieczeństwa. Grzbietem dłoni otarła spocone



czoło i wzięła od Jessego szklanę wody.

– Wie pan, nie musi mnie pan niańczyć. Poradzę sobie.

– JESTEŚ DZIWNYM MALEŃSTWEM – uznał Jesse Dittley. – JAK MRÓWKA.

Przekrzywiła głowę do tyłu, by na niego spojrzeć.

– Dlaczego pan tak sądzi?

– JESTEŚ JAK TE MRÓWKI, CO BYŁY W TELEWIZJI. W AMERYCE POŁUDNIOWEJ, AFRYCE CZY INDIACH. NOSZĄ CIĘŻARY DZIESIĘĆ RAZY WIĘKSZE, NIŻ SAME WAŻĄ.

Blue to pochlebiało, lecz rzekła stanowczo:

– Wszystkie mrówki potrafią nosić ciężary dziesięć razy większe, niż same ważą, prawda? Zwykle mrówki?

– TE RADZIŁY SOBIE LEPIEJ NIŻ ZWYKŁE MRÓWKI. SZKODA, ŻE NIE PAMIĘTAM DLACZEGO, BO BYM CI POWIEDZIAŁ.

– Próbuje pan powiedzieć, że jestem taką lepszą mrówką?

Jesse Dittley się zarumienił.

– WYPIJ WODĘ.

Wrócił do środka. Blue uśmiechnęła się i zabrała znów do pracy. Noah grzebał w bagażniku samochodu. Przywiozła w nim kilka worków ściółki oraz parę kwiatów ozdobnych, więcej znajdowało się na tylnym siedzeniu auta. Wyciągnął worek ze ściółką, rozerwał go i rozsypał drewniane drobiny po podjeździe.

– O kurczaczek.

– Noahu – upomniała go Blue.

– No wiem. – Zaczął pracowicie zbierać każdą drobinę, a ona dalej sprzątała śmieci.

Była to praca ciężka, lecz satysfakcjonująca, trochę jak odkurzanie. Miło było móc od razu widzieć efekt. Blue dobrze znosiła pocenie się i ignorowanie piekących mięśni.

Gdy słońce zaczęło zachodzić, na podwórku zrobiło się ciemniej, a nieliczne drzewa wydawały się rosnać bliżej. Nie mogła nic poradzić na to, że w ich obecności czuła się *obserwowana*. Wiedziała, że to w znacznej mierze z powodu Cableswater. Nigdy nie zapomni odgłosów mówiącego drzewa ani dnia, w którym odkryła, że otaczają ją inteligentne, obce istoty. Te drzewa zapewne były całkowicie zwyczajne.

Nie była już jednak pewna, czy istnieje coś takiego jak zwyczajne drzewo. Być może w Cableswater dawało się je usłyszeć dzięki linii mocy. Być może tutaj drzewa były pozbawione głosów.

„Ale ja jestem baterią” – pomyślała.

Zastanawiała się nad tym, jak wcześniej udało jej się wyjąć wtyczkę

Noahowi. Rozważała, czy dałoby się to zrobić w odwrotny sposób.

– Jesteś zmęczona – skomentował Noah.

Nie mylił się. Blue była wyczerpana po kościelnym czuwaniu w maju, gdy czerpały z niej dziesiątki duchów. Może zatem w grę wchodziło jakieś rozwiązanie pośrednie.

A więc czy to drzewa mówiły, czy to tylko wiatr?

Blue przerwała uklepywanie ściółki i zakołysała się na piętach. Podniosła brodę, by rozejrzeć się po drzewach otaczających posiadłość Dittleya. Dęby, akacje, parę judaszowców i dereni.

– Mówicie? – wyszeptała.

Nie dobiegło do niej ani nic więcej, ani mniej w stosunku do tego, co słyszała lub czuła wcześniej: szelest liści i drżenie pod stopami. Zupełnie jakby trawa się przesuwiała. Trudno było precyzyjnie określić, skąd to dochodziło.

Wydawało jej się, że nagle usłyszała coś cichego i cienkiego...

*tua tir e elintes tir e elintes*

...ale może był to tylko wiatr przemykający między gałęziami.

Próbowała znów to usłyszeć, lecz bezskutecznie.

Niedługo stracą światło, a Blue nie podobała się perspektywa powolnej jazdy powrotnej po ciemku. Na szczęście wreszcie dotarli do przyjemnej części pracy: sadzenia kwiatów i dopieszczania całości. Noah miał wystarczająco sił, by w tym pomagać, i klęczał przy niej przyjaźnie, robiąc w ziemi dłonią dołki na korzenie.

W pewnym momencie Blue zerknęła na niego i w zanikającym świetle przyłapała go na wsadzeniu całej roślinki w otwór oraz zasypywania jej ziemią, wraz z kwiatami.

– Noah! – krzyknęła.

Popatrzył na nią i w jego twarzy zobaczyła coś pustego. Prawa dłoń zagarnęła kolejną bryłę ziemi na płatki. Był to automatyczny gest, jakby ręka działała niezależnie od niego.

– Nie tak – rzekła Blue, nie będąc pewna, co mówi, i wiedząc tylko, że próbuje być uprzejma i nie okazywać strachu. – Noahu, uważaj na to, co robisz.

Jego oczy były nieskończenie czarne i skupiły się na twarzy Blue w taki sposób, że włoski na karku stanęły jej dęba. Dłoń Noaha znów się przesunęła, zasypując kwiatki następną porcją ziemi.

Nagle znalazł się bliżej, choć nie widziała, by się przesuwał. Czarne oczy wciąż były w nią wpatrzone, a głowę miał obróconą w nienaturalny sposób. Wydawał się zupełnie obcy.

Nad ich głowami zaszemrały drzewa

Słońce już się niemal schowało i najbardziej widoczne były teraz martwa biel jego skóry i otwór w jego twarzy w miejscu, gdzie został uderzony.

– Blue – zaczął.

Poczuła ogromną ulgę.

– Lilio – dodał jednak po chwili.

– Noahu...

– Lilio. Blue.

Wstała bardzo powoli. Nie znalazła się jednak dalej od niego. W jakiś sposób wstał w tym samym momencie, idealnie odwzorowując jej ruchy i wciąż skupiając na niej wzrok. Czuła, że skóra jej lodowacieje.

„Podnieś osłony” – powiedziała sobie Blue. I uczyniła to, wyobrażając sobie wokół siebie bańkę, nieprzeniknioną ścianę...

Jakby znajdował się w bańce razem z nią, bliżej niż wcześniej. Nos w nos.

Nawet zła wola byłaby łatwiejsza do zniesienia niż te puste oczy, czarne i lustrzane, odbijające tylko jej obraz.

Nagle zapaliło się światło na ganku, zalewając blaskiem całe ciało Noaha. Był jak kłębiący się cień.

Drzwi domu otworzyły się gwałtownie. Jesse Dittley zbiegł z hukiem z ganku i przypadł do nich. Jego ręka wystrzeliła – Blue sądziła, że chce uderzyć ją albo Noaha – lecz ustawił coś płaskiego pomiędzy twarzą jej a Noaha.

Lustro.

Zobaczyła wyłożoną kamyczkami jego tylną stronę. Noah spoglądał w część zwierciadlaną.

Jego oczy jeszcze bardziej ściemniały, stały się jeszcze bardziej puste. Zasłonił dłońmi twarz.

– Nie! – wrzasnął. Brzmiał tak, jakby został obłany wrzątkiem. – *Nie*.

Chwiejnym krokiem odsunął się od Jessego, Blue i lustro, wciąż przyciskając dłonie do oczu. Wydawał z siebie straszliwy skowyt, tym gorszy, że teraz znów brzmiał jak Noah.

Potknął się tyłem o jedną z pustych doniczek, wylądował ciężko i został już tak z dłońmi na twarzy i drżącymi ramionami.

– N i e.

Nie zsunął dłoni z oczu, a Blue z lekkim wstydem uświadomiła sobie, że ją to cieszy. Ona również dygotała. Podniosła (i podniosła, i podniosła) wzrok na Jessego Dittleya. Górował nad nią z lustrem, które w jego dłoni wyglądało jak zabawka.

– NIE MÓWIŁEM CI O KLĄTWIE?

Jesse podgrzewał w małej kuchni dwie miski makaronu z sosem z puszki, a Blue siedziała na starym meblu będącym jednocześnie stołkiem i fotelem. W niewielkiej przestrzeni mężczyzna wydawał się jeszcze bardziej olbrzymi, a wszystkie meble przy nim jak wykonane dla lalek. Za jego plecami złowieszczy mrok napierał na okno nad zlewem. Blue cieszyła się, że siedzi w tej oazie o żółtawej kolorystyce. Nie była gotowa wracać do domu, zwłaszcza że musiałaby to zrobić sama. Noah zniknął, a ona nie była przekonana, czy jest gotowa na to, by wrócił.

Mikrofalówka zapiszczała. Jesse, stawiając przed nią miskę, wyjaśnił, że tak naprawdę to nie jaskinia jest obłożona klątwą, ale coś, co się w niej znajduje.

– I to coś zabija Dittleyów – przypomniała Blue – oraz robi straszne rzeczy z moim przyjacielem.

– TWOIM MARTWYM PRZYJACIELEM – zauważył Dittley, siadając naprzeciwko niej przy malutkim rozkładanym stole. Pomiędzy nimi leżało lustro, zwierciadlaną stroną w dół.

– To nie jego wina. Dlaczego nie powiedział pan, że go widzi?

– NIE MÓWIŁEM TEŻ, ŻE WIDZĘ CIEBIE.

– Ale ja nie jestem martwa – podkreśliła Blue.

– ALE JESTEŚ DOŚĆ MAŁA.

Udała, że nie słyszy. Wzięła kawałek makaronu. Nie był zbyt smaczny, ale grzeczność wymagała, by jadła.

– Co takiego jest w jaskini, że przez to jest przeklęta?

– ŚPIĄCY – odparł.

Pasowało to do zainteresowań Blue.

– POD TYMI GÓRAMI ŚPIĄ PEWNE ISTOTY. NIEKTÓRYCH Z NICH NIE POWINNAŚ BUDZIĆ.

– Na pewno?

Przytaknęła.

– Dlaczego miałabym ich nie budzić?

Jadł makaron.

– Proszę mi nie mówić, że zrozumiem, gdy będę starsza. Już jestem stara.

– NIE WIDZIAŁAŚ SWOJEGO PRZYJACIELA?

Widziała. Dobrze widziała.

Westchnął i przyniósł wielki album z fotografiami, rodzinny album Dittleyów. Blue zawsze wydawało się, że przeglądanie czegoś takiego jest czarujące i intrygujące, bo pozwala na intymny wgląd w przeszłość czyjejs rodziny.

Nie było tak. Okazało się to bardzo nudne. Jednak pomiędzy opowieściami o urodzinach, które przebiegały tak, jak można sobie wyobrazić, i wyprawami na ryby, które przebiegały tak, jak to wyprawy na ryby, trafiła się inna historia: o rodzinie mieszkającej u wylotu jaskini, w której coś spało tak niespokojnie, że wyglądało przez lustro oraz oczy, szumiało w głośnikach i czasami skłaniało dzieci do zrywania tapet ze ścian, a żony do wrywania sobie włosów garściami. Niespokojny śpiący przez całe pokolenie robił się coraz głośniejszy, aż wreszcie jeden z Dittleyów wszedł do jaskini i oddał się mrokowi. Później reszta rodziny wyciągnęła jego kości i cieszyła się kilkoma dziesięcioleciami spokoju i ciszy.

Na kolejnych zdjęciach Dittleyowie budowali zadaszanie dla samochodu.

– Pan ma być następny? – spytała Blue. – A kto po panu?

– ZAPEWNE MÓJ SYN.

Blue nie skomentowała tego, że w domu nie było widać śladów obecności nikogo innego, lecz musiał się tego domyślić, ponieważ dodał:

– ŻONA I DZIECI ODESZLI PIĘĆ LAT TEMU, ALE WRÓCĄ, GDY KLĄTWA SIĘ NASYCI.

Była tak zaskoczona tym wszystkim, że bez zbytniego zastanawiania zjadła resztę makaronu.

– Nigdy nie poznałam nikogo innego z klątwą.

– A JAKA JEST TWOJA?

– Jeśli pocałuję mężczyznę, którego naprawdę kocham, on umrze.

Jesse przytaknął, jakby mówił: „tak, to niezłe”.

– No dobrze, ale dlaczego pan po prostu nie odejdzie? Nie sprzeda domu, by kto inny martwił się tapetami i resztą?

Wzruszył z rozmachem ramionami.

– TO JEST DOM.

– Owszem, ale dom może leżeć po drugiej stronie Henrietty – przekonywała Blue. – Mógłby pan zawsze tędy przejechać i powiedzieć „no cześć, domciu o krwawiących ścianach, na razie!”. Problem rozwiązany.

Wziął jej miskę i włożył do zlewu. Nie wydawał się urażony, ale wyraźnie się z nią nie zgadzał, zatem nie zamierzał tego komentować.

– A poza tym, gdy... – zaczęła Blue, lecz przerwało jej zaciekle dudnienie.

Brzmiało tak, jakby dobiegało zewsząd. Kłątwa? Noah? Pytającym gestem wskazała lustro.

Jesse pokręcił głową.

– DRZWI FRONTOWE – rzekł.

Wytarł ręce ścierką do naczyń, która wyglądała, jakby przydało się ją wytrzeć o coś innego, i ruszył w stronę drzwi. Blue usłyszała ich otwieranie, a później szmer wznoszących się i opadających głosów.

W drzwiach do kuchni pojawiły się dwie osoby, a za nimi Jesse. Co ciekawe, byli to Gansey i Calla. Dziwnie było sobie wyobrazać, że ta dwójka pojechałaby dokądś razem, a jeszcze dziwniej ogarnąć umysłem to, iż stali tu, w kuchni Dittleya. Bacznie przyglądali się Blue.

Jesse wskazał ją demonstracyjnym gestem.

– WIDZICIE?

Przedarłszy się przez próg, Calla wyrzuciła w stronę Blue otwartą dłoń. Pluła kwasem.

– Kluczyki. Już. Kolejny raz wsiądziesz do tego samochodu, gdy skończysz osiemdziesiąt lat i będziesz siwa. No już. Daj mi je.

Blue wpatrywała się w nią.

– Co? Co?

– Wydaje ci się, że możesz sobie tak po prostu *pojechać* i nie dzwonić?

– Mówiłaś mi, że nikt inny nie potrzebuje dziś samochodu!

– A zatem pomyślałaś, że nie musisz dzwonić?

Blue zamierzała zripostować, że jest rozsądną ludzką istotą i że nie mają najmniejszego powodu, by przejmować się miejscem jej pobytu, lecz tuż za Callą dostrzegła twarz Ganseya. Dotykał lekko palcami skroni oraz kości policzkowej, a jego oczy na niczym się nie skupiały. Jeszcze kilka miesięcy temu Blue nie potrafiłaby tego zinterpretować, ale teraz znała go na tyle dobrze, by wiedzieć, że oznaczało to ulgę, rozwinięcie napiętej sprężyny. Wyglądał, jakby naprawdę źle się czuł. Oboje bardzo musieli się o nią martwić.

– ...szuka cię pół tuzina osób, zaczęliśmy zakładać, że możesz leżeć martwa w jakimś rowie – wyrzucała z siebie Calla.

– Zaczekaj, co? *Szukaliście* mnie?

– Jest dziesiąta wieczorem! Odjechałaś sześć godzin temu, a przecież nie szłaś do pracy, prawda? Nie mieliśmy pojęcia, gdzie jesteś! Byłam bardzo blisko tego, by znowu zadzwonić na policję.

Pozwoliła, by słowo *znowu* zawisło znacząco w powietrzu. Blue nie

spoglądała na Ganseya ani na Jesse'ego.

– Zadzwońię do Ronana – oznajmił Gansey cicho – i powiem mu, że może wrócić do Monmouth.

Ronan też jej szukał? Byłoby to miłe, gdyby rzeczywiście groziło jej jakiegokolwiek niebezpieczeństwo.

– Ja... – Jeszcze zanim Blue skończyła zdanie, uświadomiła sobie, że nie ma o czym rozmawiać. Mieli rację, a ona się myliła. Bez przekonania dokończyła: – Nie sądziłam, że ktoś to zauważy.

– Samochód – rzekła Calla. – Kluczyki.

Blue posłusznie je podała.

– A poza tym nie chcę już nigdy jechać straszliwym samochodem tego chłopca – poinformowała Calla. – Możesz sobie z nim wracać, bo jestem zbyt zła, by patrzeć na twoją twarz. Mogłabym powiedzieć rzeczy, których bym żałowała. – Zaczęła wychodzić, lecz zatrzymała się przy Jessem i zmarszczyła nos. Dotykali się ramionami i wyraźnie poczuła jakieś psychometryczne wrażenie.

– Och, a więc to był pan – rzekła.

Pochylił głowę, aby przyjrzeć się jej bez złej woli. Wyszła bez dalszej kurtuazji czy wyjaśnienia.

– Ekhem – chrząknęła Blue, wstając. – Przepraszam za wszystko.

– NIE MA ZA CO.

– I dziękuję za makaron. To jak będzie z jaskinią?

– WCIAŻ CHCESZ TAM WCHODZIĆ PO TAMTYM?

– Jak sama pan powiedział, to zabija jedynie Dittleyów.

– **KLĄTWA ZABIJA JEDYNNIE DITTFLEYÓW. JASKINIA MOŻE ZABIĆ INNYCH.**

– Zaryzykuję, jeśli zgodzi się pan nas wpuścić.

Jesse podrapał się po piersi.

– CÓŻ, MIELIŚMY UMOWĘ.

Przypieczętowali ją uściskiem dłoni, w przypadku Blue miniaturowej.

– DOBRZE SIĘ SPISAŁAŚ, MRÓWKO – rzekł.

W tym momencie do środka wrócił Gansey, chowając starannie telefon do kieszeni i wyciągając kluczyki. Wciąż było w nim coś dziwnego. Wyglądał bardzo podobnie jak w jaskini, twarz miał posmugoną i obcą. Tak dziwnie było widzieć go w obecności ludzi bez maski Richarda Campbella Ganseya III, że Blue nie mogła przestać na niego patrzeć. Nie chodziło zresztą tylko o twarz, raczej o to, jak stał, z opadniętymi ramionami, pochyloną brodą i niepewnym spojrzeniem.

– ONA MIAŁA RACJĘ – zapewnił go Jesse.

– Moja głowa to wiedziała – odparł Gansey. – Ale reszta nie.



Nie mogę uwierzyć, że nie leżysz gdzieś nieżywa – powiedział Ronan do Blue. – Powinnaś.

O stopniu zirytowania Ganseya dobrze świadczyło to, że nie upomniał Ronana.

– Dzięki za troskę – odparła.

Kuchnia na Fox Way 300 roiła się od ludzi. Malory, Gansey, Ronan i Adam siedzieli przy stole. Persefona trzymała się w pobliżu zlewu. Calla opierała się w zadumie o blat. Orla wciąż pojawiała się w drzwiach, by zerkać na Ronana, zanim jej nie odgoniono. Adamowi ta klaustrofobiczna, pełna napięcia noc przypominała noce sprzed paru miesięcy, po tym jak Gansey złamał kciuk i niemal został zastrzelony, gdy odkryli, że Noah nie żyje. Wówczas wszystko dopiero zaczynało się zmieniać.

Adam dyskretnie zerknął na zegarek. Poprosił o możliwość przyjscia do fabryki przyczep dwie godziny później, by zdążyć spotkać się z resztą i mieć pewność, że się nie spóźni.

– Profesorze Malory, czy ma pan ochotę na herbatę? – spytała Blue.

Malory wyglądał, jakby poczuł ulgę.

– Z przyjemnością napiję się herbaty.

– Woli pan owocową czy, hmm, stęchłą? – zapytała. – Jeśli musi pan wybrać jedną z tych dwóch rzeczy w formie herbaty?

Zastanowił się.

– Stęchłą.

– Śmiały wybór – przyznała Blue. – Ktoś jeszcze?

Kilka głów pokręciło się. Adam i Gansey padli już ofiarą napitków z Fox Way 300. Tutejsze herbatki były uprawiane w ogrodzie lub kupowane na targu, ręcznie cięte i mieszane, po czym umieszczane w torebkach z oznaczeniem albo głównego składnika, albo oczekiwanego działania. Niektóre z nich łatwiej było pić rekreacyjnie niż inne.

– Zdecydowałam się od razu na burbona – rzekła Calla.

Stuknęły się szklaneczkami z Persefoną.

Gdy Blue parzyła herbatę i podawała wodę Psu, Gansey powiedział:

– No dobrze, oto jak wygląda sytuacja. Znaleźliśmy kolejną jaskinię

i podobno ktoś w niej śpi. Pora zdecydować, co robić.

– Nie ma o czym zdecydować – odezwał się Ronan. – Wchodzimy.

– Mówisz tak, bo nie widziałeś dzisiaj Noaha – rzekła do niego Blue, stawiając kubek przed Malorym. – Ta nie ma żadnych efektów halucynogennych, ale może pan poczuć lekką euforię.

– Nic, co tu kiedykolwiek wypilem, w najmniejszym nawet stopniu nie wywołało we mnie euforii – powiedział Gansey.

– Nigdy nie piłeś tej herbaty – oznajmiła. – A wracając do zasadniczej kwestii, Noah był naprawdę przerażający. Jesse, człowiek, który jest właścicielem jaskini, mówi, że jest obłożona klątwą. – Blue wytłumaczyła, o co w niej chodzi.

– Dlaczego się po prostu nie wyprowadzi? – spytał Adam.

– Z rodzinnego domu? – zripostował Ronan, brzmiąc równocześnie paskudnie i szczerze.

– *Dom* to mocne określenie – przyznał Gansey. – Widziałem to miejsce.

Blue wskazała na niego.

– Zamknij się, zanim powiesz coś obraźliwego – powiedziała i zmieniła temat: – Powinniście jeszcze coś wiedzieć. Jedna z obecnych tu kobiet jakiś czas temu przepowiedziała śmierć Jessego. Nie znała go, ale znała jego nazwisko.

Adam poderwał głowę. Nie dlatego, że była to szokująca informacja, lecz dlatego, że Blue zmienił się lekko głos, Persefona i Calla nagle zaś zajęły się ponownym stukaniem szklankami i przestały spoglądać na pozostałych. Adam, sam będący tajemniczą istotą, był bardzo wyczulony na tajemnice innych. Nie był wprawdzie pewien, co takiego sekretnego miało być w przepowiedzianej śmierci nieznanego, wiedział jednak, że Blue Sargent nie mówi całej prawdy.

– Moment, moment – wtrącił Gansey. – A więc mówisz, że nie tylko ten cały Jesse Dittley uważa, iż jego jaskinia obłożona jest klątwą, lecz ma w dodatku rację i do tego umrze.

– *Albo* umrze z powodu czegoś, co my zrobimy – upierała się Blue. – To dlatego poruszyłam ten temat. Uważam, że powinniśmy podejmować decyzje w sposób odpowiedzialny.

– Macie listę zmarłych? – wtrącił się Ronan. – To zajebiście mroczne. Jestem na niej?

– Czasami sobie tego życzę – odparła Blue.

– Mogę ją zobaczyć? – spytał Adam.

– Co?

– Czy mogę zobaczyć listę?

Blue obróciła się, by zaparzyć sobie kubek herbaty.

– Nie mam jej. Mama wzięła ją ze sobą. Zapamiętałam tylko jego nazwisko. To znaczy myślałam, że to dziewczyna, z „ie” na końcu imienia, ale samo nazwisko pamiętałam.

Calla uniosła jedną ostrą brew, ale nic nie powiedziała.

„Ach – pomyślał Adam z ponurą i nagłą pewnością. – Wydało się. Czyli jeden z nas tam jest”.

– To nieważne – rzekł Gansey. – Czas ucieka, a Adam musi niedługo wyjść. Musimy ustalić, czy idziemy jutro do tej jaskini.

„Który z nas?”.

– To chyba dobra pora, by wspomnieć – ożywił się Malory – że nie zamierzam iść do żadnej jaskini. Z chęcią użyję wsparcia z miejsca, do którego dochodzi słońce.

– Oczywiście, że idziemy – oznajmił Ronan. – Dlaczego mielibyśmy nie iść?

– Z powodu ryzyka – odparł Gansey. – Nie potrafię dostatecznie silnie wyrazić, jak bardzo nie chcę narażać nikogo obecnego w tym pomieszczeniu na niebezpieczeństwo.

– Poza tym, króliczki, pamiętajcie, że istnieje więcej niż jeden śpiący – wskazała Calla. – Jest ich troje. Jednego macie obudzić, a jednego macie *nie* budzić.

– A trzeciego? – spytał Ronan.

– Takie rzeczy po prostu zawsze lepiej brzmią, gdy występują trójkami – swoim cichym głosem wyjaśniła Persefona.

– Jesse mówił też, że niektórych istot nie powinno się budzić – dodała Blue, starannie unikając wzroku Adama. – A więc owszem, istnieje ryzyko.

„Więcej niż jeden z nas?”.

– Weszliśmy do jaskini w Cabeswater – rzekł Ronan. – Ryzyko było identyczne. Może nawet większe, bo nie mieliśmy pojęcia, w co się pakujemy.

„Być może – pomyślał Adam – to sama Blue znajduje się na liście. Może dlatego ukrywa to przed nami wszystkimi”.

– Zgadzam się z Ronanem – powiedziała Blue – ale nie jestem obiektywna, bo chcę odnaleźć mamę i dlatego jest to dla mnie warte ryzyka.

Adam pomyślał o swoich sesjach z Persefoną. Czy zawracałaby sobie głowę uczeniem go, gdyby wiedziała, że miał umrzeć? Spoglądała na niego teraz czarnymi oczyma, jakby rzucała mu wyzwanie, by zażądał ujawnienia tajemnicy.

– O czymś jeszcze powinniśmy porozmawiać – zaczął z wahaniem Gansey. – I tak uczynimy, jeśli to *jest* Glendower. Jeśli po przebudzeniu go będzie nam się należała przysługa. Nie mam pewności, czy będziemy uprawnieni do jednej, czy też wielu, ale powinniśmy wiedzieć, co powiedzieć w każdym z tych scenariuszy. Nie musicie odpowiadać teraz, ale zastanówcie się nad tym.

Dawniej perspektywa tej przysługi była jedyną rzeczą, o jakiej Adam potrafił myśleć. Teraz miał przed sobą rok szkoły, nie przebywał pod dachem ojca i widział dla siebie dalszą drogę bez pomocy Glendowera. Pozostała mu tylko prośba o uwolnienie od Cableswater.

I nie był pewien, czy tego chce.

Gansey i Ronan pomrukiwali o czymś innym. Malory wtrącał się do rozmowy, lecz Adam nie potrafił się już na niej skupić. Wiedział, że nie myli się w kwestii tajemniczości Blue. Wiedział to w podobny sposób, jak to, że Cableswater przebudziło go ze snu, i dokąd powinien się udać, by naprawić linię mocy. Wiedział, że to prawda.

Popatrzył na zegarek.

– Skoro już zdecydowaliśmy, muszę iść.

Nie musiał. Miał jeszcze trochę czasu. To nie mogło jednak czekać. Narastały w nim domysły.

– Już? – spytał Gansey bez niedowierzania. – Paskudnie. Szkoda.

– Tak – odrzekł Adam. – Ale mam wolny weekend i później kilka dni. Blue, mogłabyś mi pomóc w wyciągnięciu tego z samochodu?

– Czego?

– Tej rzeczy, którą chciałaś – skłamał szybko i biegle. – Nie wierzę, że nie pamiętasz. Ten... materiał.

Persefona wciąż na niego patrzyła.

Blue pokręciła głową, lecz na siebie, nie na niego. Była smutna, że nie pamięta, o co chodzi. Gdy odpychała się od blatu, Adam robił żółwika z Ganseyem i kiwał głową Malory’emu oraz Ronanowi. Przez cały proces żegnania się starał się zachowywać swobodnie, choć czuł, że kipi w nim niewypowiedziany sekret. Wyszli razem przez drzwi frontowe i ruszyli ciemnym chodnikiem do miejsca, gdzie jego samochód stał na krawężniku tuż za wspaniałym camaro.

Na zewnątrz było cicho i chłodno. Suche liście szeleściły, jakby ktoś uciskał tłum.

– Nie pamiętam... – zaczęła Blue, lecz przerwała, gdy Adam złapał ją za rękę i przyciągnął do siebie.

– Który z nas, Blue?

– Hej, przestań!... – Wyrwała rękę, lecz nie cofnęła się.

– Który z nas jest na liście?

Wpatrywała się uważnie w dal, skupiając wzrok na samochodzie w bocznej uliczce. Nie odpowiedziała, lecz nie znieważyla go też twierdzeniem, że się mylił.

– Blue.

Nie patrzyła na niego.

Obszedł ją, by nie mogła na niego *nie* patrzeć.

– Blue, który to z nas?

Miała obcą twarz, zupełnie wyzuta z wesołości. Nie płakała. W jej oczach było jednak coś gorszego od płaczu. Zastanawiał się, od jak dawna chodziła z tym brzemieniem. Dudniło mu serce. Dobrze się domyślił. Jeden z nich miał umrzeć.

„Nie chcę umierać, nie teraz...”.

– Blue.

– Nie będziesz mógł tego zapomnieć – powiedziała.

– Muszę wiedzieć – odrzekł Adam. – Nie rozumiesz? To będzie przysługa. O to proszę. Muszę wiedzieć, aby to stało się naszym życzeniem, jeśli będziemy mieć tylko jedno.

Wytrzymywała jego spojrzenie.

– Gansey – oznajmił Adam.

Zamknęła oczy.

Oczywiście. Oczywiście, że zostanie im zabrany.

Jego umysł natychmiast wyświetlił obraz: Gansey wijący się w konwulsjach na ziemi, pokryty krwią, Ronan skulony koło niego w żalu. Minęły już miesiące, odkąd Cabeswater pokazało mu tę wizję, ale nie zapomniał jej. Nie zapomniał też, że w wizji było to z winy Adama.

Jego serce było grobem.

„Jeśli to twoja wina – pomyślał – możesz to powstrzymać”.

Blue obudziła się zła.

Nie pamiętała, o czym dokładnie śniła, tylko że było to o matce, a gdy się przebudziła, mogła w coś uderzyć. Pamiętała, że gdy latem odwiedziła raz Adama, kopnął pudełko – tak był zły. Tylko że raczej nie było warto niczego kopać, jeśli nikt tego nie widział.

Leżała i powtarzała sobie, że powinna z powrotem zasnąć, lecz tylko bardziej się złościła. Była zmęczona tym, że Persefona, Calla oraz matka ukrywały przed nią informacje, bo nie była jasnowidzką. Że nie mogła marzyć o dobrych uczelniach, bo nie była bogata. Że nie mogła trzymać Ganseya za rękę, bo to zraniłoby uczucia Adama, i nie mogła pocałować Ganseya, bo nie chciała go zabić. Była zmęczona tym, że miał umrzeć, i bała się, że tak samo będzie z jej matką.

Raz za razem słyszała Adama odgadującego prawdę: *Gansey*.

Zrzuciła z siebie koc, ubrała się ze złością i z równą złością wpadła do pokoju telefonicznego.

Siedziała tam Orla, malując paznokcie. O pierwszej w nocy.

Blue zamarła w drzwiach z intencjami wymalowanymi na twarzy.

– Co? – odezwała się Orla. – Nie krępuj się.

Blue nie ruszyła się.

– No daj spokój. Nie będę cię powstrzymywać. Po prostu próbowałam cię powstrzymać przed złamaniem sobie serca, ale proszę bardzo, skoro chcesz – rzekła Orla.

Blue przeszła przez pokój i podniosła słuchawkę, znów zerkając podejrzliwie na Orlę. Kuzynka wróciła do malowania maleńkich mandali na paznokciach. Nie udawała, że nie słucha, ale wyglądała raczej na spokojną.

Blue zadzwoniła do Ganseya.

Odebrał natychmiast.

– Nie spałem.

– Wiem – odparła. – Przyjedź po mnie.

Gdy przyjechał Świnia, było w nim coś nieznanego. Jakaś dzikość w oczach i zjadliwość w lekkim uśmiechu. Ogólna gorączkowość i niepokój. Stała na skraju jego uśmiechu i spojrzała za krawędź.

Nie był to Gansey, którego widziała wcześniej w kuchni, lecz Gansey,

do którego w tajemnicy dzwoniła nocami.

Nie spytał, dokąd chciała jechać. Nie było im wolno o tym rozmawiać, więc nic nie mówili.

Camaro podjechało na cichą, pogrążoną w nocnym mroku ulicę. Wsiadła i zamknęła drzwi.

Gansey – nierozważny i dziki – wrzucił kolejny bieg, gdy opuścili okolicę domu. Ciskał samochodem od jednych czerwonych świateł do następnych, a gdy wjechał na pustą szosę, pozwolił, by camaro szaleńczo nabierało prędkości, on zaś cały czas zaciskał pięść na dźwigni zmiany biegów.

Jechali na wschód, w kierunku gór.

Blue uruchomiła radio i przełączała muzykę, dopóki nie znalazła czegoś wartego głośnego odtworzenia. Następnie z mozołem odkręciła szybę, by uderzał w nią wiatr. Tak naprawdę było na to za zimno, ale Gansey sięgnął za plecy, nie odwracając wzroku od drogi, i przeciągnął swój płaszcz na przód. Nałożyła go, drżąc, gdy jedwabna podszewka ochłodziła jej nagie nogi. Kołnierzyk pachniał nim.

Nie rozmawiali.

Radio trzeszczało i grało. Silnik ryczał. Wiatr wdzierał się do kabiny. Blue przykryła swoją dłońią dłoń Ganseya i trzymała tak mocno, aż zbieleły jej kostki. Na drodze nie było żywej duszy.

Jechali w kierunku gór, wspinając się na przełęcz.

W świetle reflektorów szczyty były czarne i nieprzystępne, a gdy osiągnęli najwyższy punkt przełęczy, Gansey zredukował bieg i wykonał samochodem gwałtowny nawrót, by wrócić, skąd przyjechali.

Pędzili do Henrietty, mijając dziwnie puste parkingi pod sklepami, ciche domy mieszkalne, Aglionby, centrum, resztę Henrietty. Po drugiej stronie miasta skręcił z poślizgiem na nową, nieużywaną obwodnicę: cztery nieskazitelne pasy oświetlonej latarniami drogi znikąd donikąd.

Zatrzymał się tam, zabrał Blue swój płaszcz i zamienili się miejscami. Podsunęła fotel tak blisko, jak tylko pozwalała kierownica, i próbowała ruszyć, lecz samochód zgasł. A później ponownie. Położył jej dłoń na kolanie, dotykając palcami skóry, linią życia ocierając się o kość, i nie pozwalał zbyt szybko zwolnić sprzęgła. Silnik potężnie i pewnie wszedł na wysokie obroty, a auto pomknęło naprzód.

Nie rozmawiali.

Latarnie przemykały przed przednią szybą, gdy kończyła odcinek jedną stroną drogi, zawracała i jechała z powrotem, a później znowu. Samochód był przerażający i – działo się zbyt wiele, zbyt szybko, wszystko naraz. Gałka zmiany biegów ruszała się pod jej dłońią, gdy

stali, a pedał gazu blokował się, po czym ustępował, gdy jechali. Chłodne powietrze spod deski rozdzielczej owiewało nagie nogi Blue, a ciepło z dudniącego silnika paliło grzbiety stóp.

Sam dźwięk był niczym potwór. Wydawał się silniejszy niż w rzeczywistości, gdy czuła, jak wibruje w gałce zmiany biegów, szarpie za kierownicę, ryczy jej w stopy.

Bała się go, dopóki nie wcisnęła gazu, a wtedy serce dudniło już zbyt mocno, by pamiętać o strachu.

Camaro było tej nocy niczym Gansey: przerażające, ekscytujące, chętne robić wszystko, o co mogła poprosić.

Z każdym nawrotem nabierała śmiałości. Pomimo swego hałasu i pretensjonalności Świnia była dobrą nauczycielką. Nie przeszkadzało jej, że Blue była bardzo niska i dotąd nie korzystała z manualnej skrzyni biegów. Pomagała, jak mogła.

Blue nie mogła zapomnieć o dłoni Ganseya na swoim kolanie.

Zatrzymała się.

Gdy była z Adamem, uważała, że powstrzymywanie się od całowania kogoś było proste. Jej ciało nigdy nie wiedziało, co robić. Teraz już wiedziało. Jej ust nie obchodziło, że była przeklęta.

Obróciła się do Ganseya.

– Blue – ostrzegł, lecz nie panował nad głosem.

Z tak bliska pachniał miętą, wełnianym swetrem, winylowym obiciem fotela i Ganseyem, po prostu Ganseyem.

– Chcę tylko udawać – powiedziała. – Chcę udawać, że mogę.

Wypuścił powietrze.

Czym był pocałunek bez pocałunku?

Był jak obrus wyciągnięty gwałtownie spod rzeczy ustawionych na stole na przyjęcie. Wszystko obijało się o siebie przez kilka chaotycznych chwil. Palce we włosach, dłonie pieszczące karki, usta muskające policzki i brody w niebezpiecznej bliskości.

Przerwali z nosami przyciśniętymi do siebie w sposób, jakiego wymagała bliskość.

Czuła w ustach jego oddech.

– Może nic by się nie stało, gdybym to ja ciebie pocałował – wyszeptał. – Może to działa wtedy, jeśli ty mnie pocałujesz.

Oboje w tej samej chwili przełknęli ślinę i magia umknęła. Zaśmiali się, znów jednocześnie. I z drżeniem.

– I teraz już nigdy nie będziemy o tym wspominali – powiedział Gansey, lekko z siebie drwiąc, a Blue to ucieszyło, ponieważ niezliczoną ilość razy odtwarzała w myślach słowa, które padły tamtej nocy,



i chciała wiedzieć, że on również tak czynił.

Delikatnie odsunął jej włosy za uszy, na próżno zresztą, bo i tak nie mogły się tam utrzymać. Zrobił tak jednak jeszcze raz, i kolejny, po czym wyciągnął dwa listki mięty. Włożył jeden do swoich ust, a drugi do jej.

Nie potrafiła stwierdzić, czy było już bardzo późno, czy też zrobiło się bardzo wcześnie.

Tragiczna radość już się ulatniała, zastępowana przez skrzeczącą rzeczywistość. Widziała, że był już niemal tym samym chłopcem, którego widziała na kościelnym dziedzińcu.

„Powiedz mu”.

Przetaczała miętowy listek tam i z powrotem po języku. Drżała z zimna lub zmęczenia.

– Czy myślałeś kiedyś, by przestać, zanim go odnajdziesz? – spytała.

Wyglądał na rozbawionego.

– Nie rób takiej miny – rzekła. – Wiem, że musisz go znaleźć. Nie proszę, byś mi wyjaśniał dlaczego. Skoro jednak robi się coraz bardziej ryzykownie, czy kiedykolwiek myślałeś, by to zakończyć?

Wytrzymał jej spojrzenie, lecz w jego oczach pojawiła się zaduma i wydawały się spoglądać w dal. Być może szacował wszystko, porównywał koszty tej misji z potrzebą ujrzenia swego króla. Nagle znów skupił wzrok na Blue.

Pokręcił głową.

Oparła się z powrotem i westchnęła na tyle głośno, by jej wargi zrobiły „blbbphhbbt”.

– No dobrze.

– Boisz się? Dlatego pytasz?

– Nie wygłupiaj się – odparła.

– Nic w tym złego – stwierdził Gansey. – Ostatecznie to tylko moje poszukiwania i nie spodziewam się, że ktokolwiek...

– Nie. Wygłupiaj. Się. – To było niedorzeczne. Nie wiedziała, czy zabiją go właśnie teraz. Na poszukiwania Glendowera w końcu wystarczyłby dowolny stary szerszeń. Nie mogła mu powiedzieć. Maura miała rację, zniszczyłoby mu to tylko pozostały czas. Adam również miał rację. Musieli odnaleźć Glendowera i poprosić go o życie Ganseya. Jak jednak mogła wiedzieć o nim coś tak ważnego i mu nie *powiedzieć*?

– Powinniśmy wracać.

Teraz to Gansey westchnął, lecz się nie sprzeciwił. Zegar w camaro nie działał, ale musiało być niebezpiecznie blisko poranka. Zamienili się miejscami. Blue znów otuliła się jego płaszczem, kładąc stopy na

siedzeniu. Gdy podniosła kołnierzyk, by zakryć usta i nos, pozwoliła sobie wyobrazić, że to miejsce jej się należy. Że Adam i Ronan jakoś o tym wiedzieli i nie mieli nic przeciwko. Że jej usta nie niosły ze sobą zagrożenia. Że Gansey nie miał umrzeć, że nie miał wyjechać do Yale lub Princeton, że liczyło się tylko to, iż dał jej swój płaszcz, pachnący na kołnierzyku miętą i trawą pszeniczną.

Gdy wracali do centrum, zauważyli zaparkowany na poboczu lśniący samochód, niewątpliwie należący do kruczego chłopca. Błyszczał w świetle latarni i wyglądał kosmicznie.

Blue znów poczuła paskudne dotknięcie rzeczywistości.

– Co to jest?... – spytał Gansey.

– Jeden z twoich – odparła.

Gansey podjechał obok i wskazał Blue, by opuściła okno.

W aucie siedział za kierownicą kosmiczny i błyszczący chłopak o kruczoczarnych włosach.

– Jesteś dziewczyną – powiedział do niej ze zdumieniem.

– Dwadzieścia punktów! – odparła cierpko Blue. – A niech tam, masz trzydzieści, bo już późno, a ja jestem hojna.

– Cheng, o co chodzi? – spytał Gansey, wychylając się obok Blue.

Głos zmienił mu się nagle na pasujący do kruczego chłopca i Blue poczuła irytację, że znajduje się z nim w jednym samochodzie. Zupełnie jakby jej wcześniejszy gniew nie do końca wygasł i wiedza, że siedziała w aucie z księciem z Aglionby, wystarczała, by go na nowo rozpalić.

Henry Cheng wyskoczył z samochodu, by nachylić się do okna pasażera. Blue czuła się nieswojo tak blisko jego wyrazistych kości policzkowych.

– Sam nie wiem. Zatrzymał się – rzekł.

– Jak to zatrzymał się? – spytał Gansey.

– Wydał odgłos – odparł Henry. – Zatrzymałem się. Wydawał się zły. Sam nie wiem. Nie chcę zginąć. Mam przed sobą całą przyszłość. Znasz się na samochodach?

– Nie na elektrycznych. Jaki to był odgłos?

– Taki, którego nie chciałbym znowu usłyszeć. Nie mogę go zepsuć. Zepsułem poprzedni i ojciec się *wkurzył*.

– Chcesz, żeby cię podwieźć?

– Nie, chcę twój telefon. Mój zdechł, a nie mogę iść wzdłuż drogi, żeby nie zgwałcili mnie miejscowi. – Henry przykucnął przy camaro. – Stary, tak to się robi. Porządna amerykańska fura, którą słyhać z odległości kilometra. Nie nadaję się za bardzo do tego całego białego anglosaskiego protestanckiego biznesu. Ty natomiast jesteś mistrzem,

choć uważam, że podchodzisz do tego na odwrót. Powinno się trzymać z laskami za dnia, a z chłopakami nocą. Tak przynajmniej mawiała moja *halmeoni*.

W całej tej wymianie słów było coś okropnego. Blue nie mogła zdecydować, czy to dlatego, że jej nie obejmowała ta rozmowa, że toczyła się pomiędzy dwoma niezwykle bogatymi chłopakami, czy też dlatego, że bardzo brutalnie przypominała jej, że złamała jedną ze swych najważniejszych zasad (trzymać się z dala od chłopców z Aglionby). Poczuli się jak zakurzone i niepotrzebne narzędzie. Albo i gorzej. Po prostu czuła się źle.

Bez słowa podała Henry'emu telefon Ganseya.

Gdy chłopiec wrócił do swego lśniącego pojazdu kosmicznego, by zadzwonić, powiedziała do Ganseya:

– Chcę, byś wiedział, że nie lubię, gdy mówisz takim głosem.

– Jakim?

Wiedziała, że nie było to miłe, ale jej usta i tak to wypowiedziały:

– Fałszywym.

– Słucham?

– Tak mówisz, gdy z nimi jesteś – oznajmiła. – Z innymi gnojkami z Aglionby.

– Henry jest w porządku – rzekł Gansey.

– No jasne. „Żeby nie zgwałcili mnie miejscowi”?

– To był dowcip.

– Cha, cha, cha. Cha. Cha. To dowcip, gdy mówi go ktoś taki jak o n, bo nie musi się tak naprawdę tym martwić. Jakie to typowe.

– Nie rozumiem, dlaczego taka jesteś. Tak naprawdę jest trochę do ciebie podobny...

Blue prychnęła.

–Ho, ho! – Wiedziała, że przegina, ale nie mogła przestać.

Po prostu było coś takiego w ich pięknych twarzach, włosach, samochodach i w łatwym zwierzaniu się sobie nawzajem.

– Tak naprawdę to chyba dobrze, że nie możemy... Że my nigdy...

– Och, czyżby? – spytał Gansey z niebezpieczną uprzejmością. – Dlaczego właściwie?

– Po prostu znajdujemy się w innym miejscu, to wszystko. Mamy bardzo odmienne priorytety. Jesteśmy od siebie za bardzo oddaleni. Nic by z tego nie wyszło.

– Dwie sekundy temu niemal się całowaliśmy – powiedział – a teraz wszystko skończone, bo zatrzymaliśmy się, żeby gość mógł skorzystać z mojego telefonu?

– Nie jest skończone, bo nigdy się nie zaczęło!

Blue czuła się równie wściekła jak zaraz po przebudzeniu. A nawet bardziej.

– Czy to dlatego, że nie potwierdziłem, iż Henry jest gnojkiem? Próbuję spojrzeć na to z twojej perspektywy, ale mam ogromne trudności. I jeszcze coś jest nie tak z moim głosem?

– Nieważne. Zapomnij. Po prostu zawieź mnie do domu – poprosiła Blue. Teraz naprawdę żałowała tego wszystkiego. Nie była nawet pewna, dokąd zawiodła ją kłótnia, wiedziała jedynie, że nie mogła się cofnąć. – Gdy już ci odda telefon.

Gansey przyjrzał się Blue. Spodziewała się, że ujrzy na jego twarzy odzwierciedlenie swojego gniewu, lecz jego oblicze się rozpuściło. Nie był wesoły, lecz nie wyglądał na zmieszanego.

– Kiedy zamierzasz mi powiedzieć, o co naprawdę tu chodzi? – spytał.

Odetchnęła z drzeniem, niemal z płaczem.

– Nigdy.

Gansey obudził się w paskudnym nastroju. Wciąż był zmęczony, bo zamiast spać, spędził wiele godzin na wielokrotnym odtwarzaniu wydarzeń z samochodu, próbując zdecydować, czy miał rację, czy nie, i czy w ogóle miało to znaczenie. Poza tym mżyło, Malory gwizdał, Noah zderzał ze sobą kule bilardowe, Ronan wsypywał sobie płatki śniadaniowe z pudełka prosto do ust, ulubiony żółty sweter Ganseya za bardzo podśmierdywał, by dało się go włożyć jeszcze raz, a Świnia zalała świecę i nie chciała odpalić. Tak więc teraz jechał po Blue i Adama w pozbawionym duszy SUV-ie i w brązowym swetrze, który z zewnątrz wyglądał tak, jak Gansey czuł się w środku.

Jaskinia nie okaże się niczym innym niż jaskinią, jak zawsze, Gansey mógłby więc zostać w Monmouth na kolejne cztery godziny snu i odłożyć to na inny dzień.

– Przy tym deszczu może tam być jak w Walii – powiedział Malory, niezbyt zadowolony z tego powodu.

Siedzący obok niego Adam milczał, na jego twarzy malował się niepokój, jakiego Gansey dawno tam nie widział.

Blue była ponura i milcząca, a worki pod jej oczyma zrobiły się wielkie jak u Ganseya. Zeszłej nocy kołnierzyk jego płaszcza przeniknął zapachem jej włosów. Chłopak wciąż obracał głowę w nadziei, że go wyczuje, lecz jak wszystko w ten paskudny dzień, również ten aromat przygasł i wydawał się niewyraźny.

Gdy dojechali na farmę Dittleya, Malory, Pies i Jesse zainstalowali się w domu (Malory bez nadziei: „Nie przypuszczam, żeby miał pan herbatę?”; Jesse: „CHCE PAN EARL GREYA CZY DARJEELING?”; Malory: „Och, na niebiosa!”), a nastolatki ruszyli przez wilgotne pole w kierunku jaskini.

– Naprawdę zabierasz tego ptaka pod ziemię? – spytał Adam.

– Tak, Parrish – odparł Ronan. – Uważam, że tak – dodał z naciskiem.

Nie było jak spytać Blue o zeszłą noc.

Był zbyt wypluty, aby to dłużej analizować. Chciał po prostu *wiedzieć*. Czy wciąż byli skłóceni?

Gdy zakładali sprzęt wspinaczkowy i starannie sprawdzali latarki,

Ganseya nie opuszczał paskudny nastrój. Blue zdobyła kombinezon i wysiłek, jakiego wymagało niepatrzenie na nią w tym stroju, wymagał całej koncentracji, do jakiej chłopak był teraz zdolny.

„Nie tak to miało wyglądać” – pomyślał.

To wszystko nie miało być wciśnięte pomiędzy szkołę a zadania związane z Kongresem. Nie powinno się to dziać w tak dżdżysty dzień, było zdecydowanie za wilgotno jak na tę porę roku. Nie powinno się też dziać w dniu, w którym nie wyspał się na tyle, by odpowiednio wyczuwać rzeczy. Tego wszystkiego miało nie być, a jednak zdarzyło się wszystko naraz.

Gdy schodzili, uznał, że nawet jaskinia nie powinna tak wyglądać. Oczywiście, że Glendower znajdował się pod ziemią. Oczywiście, że Gansey wiedział, iż jest on gdzieś *pogrzebany*.

Wyobrażał jednak sobie, że nie będzie to tak przytłaczające. Natknęli się na zwykłą dziurę w ziemi, podobną do innych. Ściany jaskini wydawały się na nich napierać, wydrapane i wykute, gdy stało się zbyt wąsko, by zmieściła się między nimi trumna. Królicza nora opadała w dół i w dół.

Nie tak wyglądało to w jego widzeniu, gdy stał w Cableswater w drzewie wizji. Może jednak nie widział wtedy prawdy.

Tu była prawda. Właśnie na nią patrzyli.

– Przestań, Lynch – powiedział Adam.

Znajdował się na końcu szeregu, a Ronan był tuż przed nim.

– Co mam przestać?

– No daj spokój.

Ronan nie odpowiedział, więc szli dalej. Pokonali jedynie kilka metrów, gdy Adam znów się odezwał:

– *Ronan*, przestań.

Cała grupa zatrzymała się powoli i niepewnie. Adam stanął, zmuszając do tego również Ronana, co z kolei zahamowało Blue i Ganseya. Piła poderwała się, ocierając skrzydłami o bliskie ściany jaskini. Wylądowała z powrotem na ramieniu Ronana, trzymając głowę nisko i w gotowości. Nerwowo czyściła sobie dziób o jego koszulkę.

– C o mam przestać? – spytał gwałtownie Ronan, przytkając palcami w kierunku ptaka.

– Śpiewać – rzekł Adam.

– Nic nie robię.

Adam przycisnął palce do ucha.

– Teraz wiem... Wiem, że to nie ty.

– Tak *myślisz*?

– Nie – oznajmił cicho Adam. – Wiem, że to nie ty, bo słyszę to w głuchym uchu.

Po skórze Ganseya przemknął lekki dreszcz.

– Co śpiewa? – zapytała Blue.

Piła rozchyliła dziób. Cichym wibrującym głosem, zupełnie nieprzypominającym jej chrapliwego kruczego krakania, zaśpiewała:

– Wszystkie dziewczki młode i piękne, posłuchajcie ojców swych...

– Przestań! – krzyknął Ronan. Nie do Piły, lecz do jaskini.

Nie znajdowali się jednak w Cableswater i cokolwiek za tym stało, nie posłuchało Ronana Lyncha.

Piła dalej śpiewała. Wydawało się to jeszcze straszniejsze dlatego, że nawet na chwilę nie zamykała dziobu. Zupełnie jakby służyła jedynie za głośnik dla jakiegoś głosu w głębi siebie.

– Ludzie z całej jego krainy słuchali ojców swych...

– Kimkolwiek jesteś, przestań! – wrzasnął znów Ronan. – Ona jest moja!

Piła roześmiała się.

Był to wysoki, chytry śmiech, równie śpiewny jak piosenka.

– Jezu Chryste – jęknął Gansey, świadomy wszystkich swoich włosków stających dęba i obydwu jąder chowających się do jamy brzusznej.

– Piło! – warknął Ronan.

Spojrzała na niego. Mierzyła go wzrokiem, trzymając przekrzywioną głowę. W jej postawie było coś obcego i zacieklego. Stała się większa, smoliste pióra napuszyły się na jej szyi, była dzika i stanowcza. W tym momencie nie udawało się zapomnieć, że była istotą ze snu, a nie prawdziwym krukiem, i że jej umysł działał równie tajemniczo jak u Ronana Lyncha albo Cableswater. Przez przerażającą chwilę, zbyt szybko, by Gansey zdołał cokolwiek powiedzieć, wydawało się, że Piła zamierzała uderzyć Ronana tym swoim straszliwym rozwartym dziobem.

Zatrzasnęła go jednak tylko, a następnie poleciała korytarzem w przód.

– Piła! – zawołał Ronan, lecz zniknęła w mroku. – Niech to *cholera*. Rozwiążcie mnie.

– Nie – powiedzieli jednocześnie Adam i Blue.

– Nie – potwierdził bardziej stanowczym głosem Gansey. – Nawet nie wiem, czy powinniśmy iść dalej. Nie zamierzam nakarmić nami jaskini.

Zdrada Piły wydawała się niewłaściwa. Zupełnie do niej nie pasowała. Wszystko wydawało się *nieprzewidywalne*, co samo w sobie

było dziwne, bo musiałyby oznaczać, że do tej pory było przewidywalne. Więc nie, wydawało się raczej nieuniknione.

Teraz mieli wrażenie, że wszystko może się wydarzyć.

Ronan wciąż wpatrywał się w ciemny korytarz, szukał wzrokiem Piły i jej nie znajdował.

– Możecie zostać, jeśli za bardzo się boicie – parsknął.

Gansey zbyt dobrze znał Ronana, by mogło go to zaboлеć.

– Nie o siebie się boję, Lynch. Wyluzuj.

– Myślę, że to próbuje nas wystraszyć – całkiem rozsądnie wskazała Blue. – Gdyby naprawdę chciało zrobić nam krzywdę, miało już sporo okazji.

Pomyślała o dziobie Piły tak blisko oka Ronana.

– Adam? – zawołał Gansey w stronę końca szeregu. – Jaka decyzja?

Adam milczał, zastanawiając się nad alternatywą. W świetle kaskowej latarki Ganseya jego twarz wydawała się dziwna i delikatna. Szybkim ruchem, bez wyjaśnienia, podniósł rękę, by dotknąć ściany jaskini. Choć *nie* był wysnioną istotą, należał teraz do Cabeswater i trudno było tego nie dostrzec w sposobie, w jaki jego palce pełzły po ścianie, oraz w czerni jego oczu, które spoglądały w nicość.

– Czy on też jest?... – spytała Blue.

*Opętany.*

Nikt nie chciał tego wypowiedzieć.

Ronan uniósł palec do ust.

Adam wydawał się słuchać ścian – „kim jest ta osoba, czy wciąż twoim przyjacielem, co dał Cabeswater, czym się stał, dlaczego groza narasta znacznie bardziej z dala od światła słońca” – po czym ostrożnie rzekł:

– Głosuję za pójściem dalej. Myślę, że strach jest efektem ubocznym, nie intencją. Piła ma nas zapewne skłonić do wejścia dalej.

Poszli zatem dalej.

Schodzili coraz głębiej ścieżką bardziej krętą niż w Cabeswater. Tamten korytarz wyraźnie został wypłukany przez wodę, natomiast ten wydawał się nienaturalny, wydrapany, a nie uformowany. Gdzieś przed nimi zakrakała Piła. Był to dziwny dźwięk, jak promień słońca w rozciągającej się ciemności.

– Piła?! – chrapliwie zawołał Ronan.

– Kerah! – dobiegła odpowiedź z niewielkiej odległości.

Ptaka nazywał tak Ronana.

– Jak dobrze – rzekła Blue.

Idący na czele Gansey zauważył ją pierwszy. Trzymała się półki na



skalnej ścianie, skrobiąc jedną nogą i lekko trzepocząc skrzydłami, by utrzymać pozycję. Nie uciekła, gdy się zbliżył, a kiedy wyciągnął w jej stronę rękę, podleciała, ciężko na niej lądując. Nie wyglądało na to, by coś jej się stało w wyniku opętania. Obrócił się lekko w tył.

– Oto twój ptak, Lynch.

– A oto twój grób, Gansey – odparł Ronan dziwnym głosem.

Patrzył za Ganseya.

Gansey się odwrócił. Stali przy kamiennych wrotach. Mogły prowadzić do wielu miejsc, ale nie prowadziły. Były rzeźbionymi drzwiami do grobowca, przedstawiającymi kamiennego rycerza z dłońmi skrzyżowanymi na piersi. Jego głowa spoczywała na dwóch krukach, a stopy na heraldycznej lilii. Trzymał tarczę – tarczę Glendowera, z wizerunkiem trzech kruków.

Ale coś było nie tak. Nie dlatego, by Gansey inaczej wyobrażał sobie grobowiec Glendowera. Było nie tak, ponieważ to nie miało się stać w ten sposób, nie tego dnia, gdy oczy bolały go z bezsenności, na zewnątrz mżyło i działo się to w jaskini, którą znaleźli zaledwie kilka dni temu.

Najpierw powinni trafić na wskazówkę, później na następną i kolejną.

Nie miało być tak, że będą iść pół godziny, a później po prostu staną przed kamiennymi drzwiami.

Tak jednak się stało.

– To niemożliwe – skomentował wreszcie Adam.

– Czy mamy... po prostu je otworzyć? – spytała Blue.

Ona również miała niepewny głos. Nie tak to działało. Chodziło o szukanie, a nie o znajdowanie.

– Czuję się z tym dziwnie – odezwał się Gansey. – To osobliwe, że nie ma żadnej... ceremonii.

„Ekscytuj się”.

Obrócił się do wrót, a reszta podeszła bliżej. Wyciągnął telefon i zrobił kilka zdjęć. Po chwili wpisał też parę uwag na temat miejsca.

– Boże, Gansey – rzekł Ronan, ale Gansey dzięki temu poczuł się lepiej sam ze sobą.

Ostrożnie dotknął szczeliny wokół podobizny rycerza. Kamień był zimny, twardy i rzeczywisty. Gdy odsunął palce, były zakurzone. To się działo.

– Nie sądzę, by były zapieczętowane. Myślę, że są po prostu zaklinowane. Może dźwignia?

Adam przejechał palcem wzdłuż krawędzi.

– Raczej nie. Nie siedzą zbyt ciasno.

Pomyślał o trojgu śpiących, z których jedno miało zostać obudzone i jedno dalej spać. Czy będą wiedzieć, które zostawić w spokoju? Na pewno – ponieważ to zadaniem Maury było nie obudzić śpiącego; powinny tu być ślady jej pobytu.

Nie wiedział jednak tego. Nie było jak się tego dowiedzieć.

Cały ten dzień stał pod znakiem niezdecydowania i niepewności.

Nagle ściana zapadła się do środka.

Pył zawirował w powietrzu, więc odskoczyli, kaszląc.

– *Ronanie Lynch!* – zawołała Blue.

Ronan odzyskał równowagę pośrodku powoli opadającego obłoku, który podniósł się, gdy wkopał drzwi grobowca do środka.

– To – rzekł słabym głosem, nie zwracając się do nikogo konkretnego – za zabranie mojego ptaka.

– Ronan, powiedz mi już teraz, czy muszę cię wziąć na smycz, bo chętnie to zrobię – oznajmił Gansey. Ronan natychmiast prychnął, lecz Gansey wskazał na niego. – Mówię poważnie. Nie chodzi tylko o ciebie. Jeśli to grobowiec, zatem ktoś został tu pochowany, a ty masz oddać tej osobie szacunek. Nie. Zmuszaj. Mnie. Bym. Jeszcze. Raz. Cię. O. To. Prosił. Zresztą jeśli którekolwiek z nas uważa, że nie zdoła nad sobą zapanować, gdy już wejdziemy dalej, proponuję, abyśmy zawrócili i wrócili innego dnia, ewentualnie niech ta osoba zaczeka w tym miejscu.

Ronan kipiał złością.

– Uspokój się, Lynch – powiedział Gansey. – Siedzę w tym od siedmiu lat i po raz pierwszy będę musiał skądś wyjść, zostawiając miejsce w gorszym stanie niż wtedy, gdy do niego wchodziłem. Nie każ mi żałować, że cię zabrałem.

Wreszcie coś przedarło się do stalowego serca Ronana. Pochylił głowę.

Weszli dalej.

Czuli się, jakby cofnęli się do przeszłości.

Całe pomieszczenie było rzeźbione i malowane. Kolory: królewski błękit, jeżynowy fiolet, rumiana, krwista czerwień, nie wyblakły od słońca. Rzeźbienia miały formę okien lub łuków, okolonych liliami, krukami, kolumnami oraz filarami. Spoglądały na nich czujne i dostojne figury świętych. Męczenników przebijano włóczniami i strzelano do nich, palono ich i przypalano. Wyryte ogary ściagały zające, które z kolei ściagały następne ogary. Na ścianie wisiały para rękawic, hełm i napierśnik.

Było tego zbyt dużo.

– Jezu – wydyszał Gansey.

Wyciągnął palce, by dotknąć napierśnika, i odkrył, że nie potrafi. Cofnął dłoń.

Nie był jeszcze gotów, by to się skończyło.

I był gotów, by się skończyło.

Na środku grobowca stał kamienny sarkofag, sięgający im do pasa, o bogato rzeźbionych bokach. Na wierzchu umieszczono kamienną podobiznę Glendowera. Jego osłonięta hełmem głowa spoczywała na trzech rzeźbionych krukach.

„Czy pamiętasz, że uratowałeś mi życie?”

– Popatrzcie na te ptaki – zwróciła ich uwagę Blue.

Przejechała promieniem latarki po ścianach i sarkofagu. Wszędzie oświetlała pióra. Sarkofag zdobiły skrzydła. Dzioby skubały owoce. Kruki walczyły nad tarczami.

Światło zatrzymało się na twarzy Adama. Miał zmrużone oczy. Był ostrożny. Stojący obok niego Ronan wyglądał dziwnie nieprzyjaźnie. Piła garbiła mu się na ramieniu. Blue wyjęła Ganseyowi telefon z kieszeni i zrobiła zdjęcia ścian, sarkofagu oraz Ganseya.

Gansey przesunął wzrok z powrotem na sarkofag. Na trumnę Glendowera.

„Czy to naprawdę się dzieje?”

Wszystko było jakby wypaczone, odbite w lustrze, nie do końca takie, jak sobie wyobrażał.

– Co robimy? – spytał.

– Myślę, że wszyscy razem zdołamy podważyć wieko – odparł Adam.

Nie o to jednak chodziło Ganseyowi. Chciał powiedzieć: „Co my najlepszego robimy?”

– Dłonie mi się kleją – rzekła Blue z cichym, niewesołym śmiechem.

Stali ramię w ramię. Gansey bez tchu odliczył od trzech i wyteżyli mięśnie. Bez skutku. Zupełnie jakby próbowali przesunąć jaskinię.

– Nawet nie drgnęło – stwierdził Gansey.

– Spróbujmy z drugiej strony.

Gdy przeszli na przeciwną stronę i zaparli się, ledwo znajdując oparcie dla palców, a wieko się nie poruszyło, Gansey wbrew sobie pomyślał o dawnych baśniach. Wyobraził sobie, że to nie rzeczywisty ciężar trzyma wieko, lecz ich bezwartościowość. Nie dowiedli, że są tego godni, więc wciąż nie mieli dostępu do Glendowera.

Poczuł swoistą ulgę. To przynajmniej wydawało się w porządku.

– Nie mieli odpowiedniego sprzętu do podnoszenia ciężarów –

powiedział Gansey.

– Ale mogli mieć liny i bloczki – zauważyła Blue. – Albo więcej ludzi. Przesuń się, nie mogę położyć drugiej dłoni.

– Nie jestem pewien, czy to by coś zmieniło – stwierdził Gansey, lecz mimo to wszyscy naparli na sarkofag. Jej ciało przyciskało się do niego. Po drugiej stronie Ganseya Ronan przyciskał się do Adama.

Nastąpiła cisza, przerywana jedynie dyszeniem.

– Trzy, dwa... – odliczyła Blue i wspólnie zaczęli podnosić wieko.

Uniosło się. Wydawało się nic nie ważyć w porównaniu z wcześniejszymi próbami. Zaczęło się szybko zsuwać.

– Złap je! – sapnęła Blue, lecz gdy Gansey ruszył do przodu, zawołała nagle: – Zaczekaj, nie!

Rozległ się nieprzyjemny zgrzyt, gdy wieko zjeżdżało ukosem po drugiej stronie sarkofagu i spadało na ziemię. Wylądowało z cichszym, lecz bardziej złowieszczym dźwiękiem, jakby pięść uderzyła o kość.

– Pękło – rzekł Adam.

Podeszli bliżej. Gruba tkanina zakrywała wnętrze trumny.

„To nie w porządku”.

Nagle Gansey poczuł całkowity spokój. Ta chwila tak bardzo różniła się od tego, co ujrzał w wizji, że opuścił go cały niepokój. Zerwał tkaninę.

Żadne z nich się nie poruszyło.

Na początku nie rozumiał, na co patrzy. Sylwetka była obca. Nie wiedział, co jest nie tak.

– Leży twarzą w dół? – zasugerowała z wahaniem Blue.

Teraz, gdy to powiedziała, było już oczywiste. Widzieli sylwetkę w ciemnym płaszczu, purpurowym lub czerwonym, z łopatkami sterczącymi w ich stronę. Kłęb ciemnych włosów, bujniejszych i ciemniejszych, niż się spodziewali. Dłonie były związane za plecami.

Związane?

*Związane.*

Wewnątrz Ganseya coś niespokojnie się poruszyło.

„Nie tak. Nie tak. Nie tak. Nie tak”.

Adam przejechał promieniem latarki wzdłuż sarkofagu. Płaszcz Glendowera był zadarty, odsłaniał blade nogi. Związane w kolanach. Twarzą w dół, ze związanymi dłońmi i kolanami. Tak grzebano wiedźmy. Samobójców. Przestępców. Więźniów. Gansey odsunął dłoń i ją zabrał. Odwaga go nie opuściła, ale pewność siebie – na pewno.

Nie tak miało być.

Adam znów przejechał światłem.

– Ach... – zaczęła Blue, lecz zmieniła zdanie i zamilkła.

Włosy poruszyły się.

– Jezus w mordę Maria *kurwa* – stwierdził Ronan.

– Szczury? – zasugerował Adam.

Było to tak odrażające przypuszczenie, że Gansey i Blue odskoczyli. Nagle włosy znów się poruszyły, a z wnętrza trumny dobiegł straszliwy dźwięk. Wrzask?

*Śmiech.*

Ramiona poruszyły się, przesuwając ciało w sarkofagu tak, by głowa mogła obrócić się w ich stronę. Gdy Ganseyowi mignęła twarz, serce przyspieszyło mu nagle, a później zwolniło. Czuł jednocześnie ulgę i przerażenie.

Nie był to Glendower.

– To kobieta – powiedział.

Kobieta nie czekała, aż ją uwolnią.

Rzucili się w tył, gdy zaczęła wić się i szamotać, po czym gruchnęła o podłogę z wciąż związanymi rękoma i nogami. Wylądowała przy stopach Ronana i z szalonym śmiechem kłapnęła zębami w stronę jego palców u nóg.

Odskoczył wraz z Piłą.

Blue wymieniła z Adamem rozgorączkowane spojrzenia.

A kobieta zaczęła śpiewać:

*Królowe i królowie*

*Królowie i królowe*

*Niebieska lilia, niebieska lilia*

*Korony i ptaki*

*Miecze i istoty*

*Niebieska lilia, niebieska lilia*

Przerwała z histerycznym śmiechem, idealnie pasującym do tego, który wcześniej dobiegał z Piły. Przetoczyła się na plecy, by móc patrzeć prosto w zdeglustowaną twarz Ronana, i zagruchała:

– Uwolnij mnie, kruczy książę.

– Boże – oznajmił. – Czym jesteś?

Znów się zaśmiała.

– Och! Mój wybawco, co na mlecznym rumaku mkniesz i mówisz mi: damo, dam ci wszystko, czego chcesz..

Ronan miał minę niemal identyczną jak wtedy, gdy odbierali Malory'ego.

– Ona jest szalona.

– Nie dotykaj jej – powiedział bardzo spokojnie Gansey.

Wcześniej, gdy sądzili, że to Glendower, wydawał się mocno wstrząśnięty, lecz teraz już się pozbierał. Serce Blue waliło od chwili, gdy wieko sarkofagu spadło na podłogę i kobieta wyślizgnęła się ze środka. Nie chciała, by Gansey nią rządził, ale czuła ulgę, że przynajmniej zamierzał panować nad sytuacją, przekonywała więc swój puls, by zwolnił.

Obszedł sarkofag do miejsca, w którym leżała kobieta.

Teraz, gdy znajdowała się twarzą do góry, Blue widziała, że była

młoda, zapewne po dwudziestce. Miała bujne włosy, kruczoczarne i potargane, oraz skórę bladą jak u trupa. Najbardziej niezwykły był w niej chyba płaszcz, ponieważ był *prawdziwy*. Nie wyglądał jak średniowieczny kostium, ale jak prawdziwy strój – ponieważ był prawdziwym strojem.

Gansey pochylił się nad nią i spytał na swój uprzejmy, stanowczy sposób:

– Kim pani jest?

– Jeden nie wystarczy! – wrzasnęła. – Przysyłają kolejnego! Ilu młodzieńców znajduje się w mej komnacie? Powiedz mi, proszę, że trzech, to boska liczba. Zamierzacie mnie rozwiązać? To bardzo niegrzecznie trzymać kobietę związaną przez więcej niż dwa, trzy bądź siedem pokoleń.

– Czy to pani opętała kruka mojego przyjaciela? – Głos Ganseya stał się jeszcze spokojniejszy, a może wcale się nie zmienił, tylko wydawał się taki w porównaniu do jej wznoszącego się tonu.

Uśmiechnęła się do niego i zaśpiewała:

– Wszystkie dziewczyny piękne i młode, posłuchajcie ojców swych...

– Tak też myślałem – rzekł Gansey, prostując się. Zerknął na resztę. – Nie sądzę, by rozwiązanie jej było dobrym pomysłem.

– Ha! *Boisz się?* – szydziła. – Słyszałeś, że jestem *wiedźmą*? Mam trzy piersi! I ogon! I rogi! Pod spodem jestem olbrzymką. Och, sama bym się bała, młody rycerzu. Mogłabym cię zapłodnić! Uciekaj! Uciekaj!

– Zostawmy ją – odezwał się Ronan.

– Gdybyśmy zostawiali ludzi w jaskiniach dlatego, że są szaleni – tłumaczył – wciąż byłbyś w Cableswater. Daj mi swój nóż.

– Zgubiłem go – oznajmił Ronan.

Gansey odparł natychmiast:

– Jak... Nieważne.

– Ja mam nóż – powiedziała Blue, czując się zadowolona z siebie i użyteczna.

Wyciągnęła swój różowy nóż techniczny w tej samej chwili, gdy kobieta przesuwiała na nią spojrzenie swych szarych oczu. Blue obawiała się, że nieznajoma będzie do niej śpiewać, ona jednak uśmiechnęła się tylko, szeroko i porozumiewawczo.

– Myślałem, że są nielegalne – odezwał się Gansey, klękając przy kobiecie.

Wydawał się teraz równie niewzruszony, jak gdyby na spokojnie podchodził do dzikiego związanego zwierzęcia. Przeciął więzy wokół kolan nieznajomej, lecz zostawił splecione dłonie.

– Bo są – odpowiedziała mu Blue, lecz nie odwróciła spojrzenia od oczu kobiety, która wciąż uśmiechała się, jakby czekała, aż Blue złamie się i przerwie kontakt wzrokowy.

Dzięki Ronanowi Blue była w tym jednak dobra, tak więc jedynie spoglądała na nią spod zmrużonych powiek. Chciała spytać nieznajomą, skąd zna angielski, kim jest i czy dobrze się czuje po tym, jak spędziła trochę czasu w trumnie, lecz kobieta nie wyglądała na osobę, która chętnie udziela odpowiedzi.

– Zamierzam pani pomóc wstać – rzekł Gansey do kobiety – lecz jeśli mnie pani ugryzie, wsadzę panią z powrotem do tej trumny. Rozumiemy się?

– Och, ty mały koguciku – odparła kobieta. – Przypominasz mi mojego ojca. Szkoda.

Ronan wpatrywał się w nią z osłupieniem, Blue podbiegła więc, by pomóc Ganseyowi. Kobieta była cieplejsza i bardziej rzeczywista, niż Blue się spodziewała. Okazała się bardzo wysoka, pewnie jadła warzywa. Gdy Blue podniosła ją za łokieć, ogromna stercząca czupryna czarnych włosów połaskotała dziewczynę w nos, pachnąc kurzem i metalem. Nieznajoma śpiewała cicho o podarunkach, królach i organach wewnętrznych.

– No dobrze, Gansey – rzekł ostrożnie Adam. – Jaki masz teraz plan?

– Wyprowadzamy ją na zewnątrz, rzecz jasna – odpowiedział Gansey. Obrócił się do kobiety. – Chyba że woli pani zostać.

Odwróciła głowę tak, że włosy zgmiotły jej się na jego ramieniu, a twarz znalazła się kilkanaście centymetrów od niego.

– Czy słońce wciąż istnieje? – spytała.

Gansey użył jej włosów, by zdjąć jej głowę ze swego ramienia.

– Parę godzin temu tak było.

– A więc wyprowadźcie mnie! Już!

Adam jedynie kręcił głową.

– Nie mogę się doczekać – oznajmił Ronan – by posłuchać, jak będziesz to wyjaśniał Malory’emu.

\*\*\*

Gdy wyszli, chmury już zniknęły, zastąpione błękitnym niebem i wiatrem tak silnym, że musieli pochylić głowy przed niesionym przez niego piachem. Wiało tak potężnie, że włosy Blue uderzały ją boleśnie po policzkach. Stado wron lub kruków latało wysoko nad nimi, ciskane podmuchami. Ronan trzymał Piłę tuż przy piersi, jakby wciąż była pisklęciem, chroniąc ją przed wiatrem.

Gdy szli z powrotem w stronę domu Dittleya, pochylając się przed



podmuchami, z bezchmurnego nieba nieregularnie kropiło. Adam podniósł dłoń, by wytrzeć policzek, a Blue powiedziała:

– Adamie, twoja twarz...

Adam odsunął palec i jego koniuszek był czerwony. Blue nadstawiła rękę, by złapać kolejną kroplę. Czerwoną.

– Krew – rzekł Ronan, raczej stwierdzając fakt, niż się martwiąc.

Blue się wzdrygnęła.

– Czyja?

Gansey przyjrzał się czerwonemu rozbryzgowi na ramieniu kurtki, rozchylając usta ze zdumienia.

– Gansey! – zawołał Adam. – Spójrz.

Zatrzymali się na środku złożonej wiatrem łąki, by przyjrzeć się jasnemu niebu. Na horyzoncie coś silnie połyskiwało, jak słońce odbijające się od odległego samolotu. Blue osłoniła oczy i dostrzegła, że obserwowany obiekt miał ognisty ogon. Nie mogła sobie wyobrazić, co mogło być tak widoczne przy tak jasnym świetle.

– Spadający samolot? – spytała.

– Kometa – oznajmił pewnym tonem Ronan.

– *Kometa?* – powtórzył Adam.

Blue bardziej bała się teraz niż wtedy, gdy w jaskini zagrażało im niebezpieczeństwo. Co oni *robili*?

– Zaczyna się! – krzyknęła kobieta. – Znow się zaczyna! Znowu i znowu, i znowu!

Wirowała na łące z rękoma wciąż związanymi za plecami. W świetle słonecznym jej królewskie piękno było jeszcze wyraźniejsze. Miała dość duży nos o szlachetnym kształcie, wydatne kości policzkowe i czoło, ciemne, uniesione kpiąco brwi oraz oczywiście tę niemożliwie wysoką fryzurę, jeszcze bardziej wysmuklającą sylwetkę. Purpurowo-czerwony strój był niczym maźnięcie farbą na łące.

Gansey obserwował, jak ciało niebieskie powoli wypala ślad w błękicie.

– Zwiastuny i omeny – powiedział. – Kometę widziano w 1402 roku, gdy Glendower zaczynał zyskiwać potęgę.

– Ha! – wrzasnęła nieznajoma. – Potęgę, potęgę, potęgę! Wtedy również popłynęło wiele krwi, wszyscy utoczyli wiele krwi!

Ostatni fragment znow przeszedł w pieśń.

Adam złapał kobietę za ramiona, nie pozwalając jej się kręcić. Wywinęła się z jego dłoni niczym pijana tancerka, po czym zmierzyła go rozszalałym wzrokiem.

– Ty – rzekła – najmniej mi się podobasz. Przypominasz mi zarówno

mężczyznę, jak i psa, których nigdy nie lubiłam.

– Przyjmuję do wiadomości – odparł. – Mamy prawo do przysługi? Za to, że cię obudziliśmy?

„Oczywiście – pomyślała Blue. – Oczywiście, że powinniśmy byli od razu o to zapytać”.

W legendach wszyscy śpiący oddawali przysługi, nie tylko Glendower. Wydawało się niemożliwe, że żadnemu z nich nie przyszło to do głowy, lecz wszystko, co w teorii wydawało się oczywiste, w praktyce okazywało się mętne i przerażające.

Kobieta wrzasnęła jak wrony nad nimi, później jeszcze raz, i dopiero wtedy Blue uświadomiła sobie, że to śmiech.

– Przysługę! Za to, że mnie obudziliście? Mały kundlu, ja wcale nie spałam.

Adam wpatrywał się w nią bez ruchu. Pozwolił, by to słowo – *kundel* – wbiło mu się w kręgosłup.

– Zachowywaliśmy się wobec pani z całą uprzejmością – przerażająco grzecznie wtrącił się Gansey. – On nazywa się Adam Parrish i tak będzie się pani do niego zwracać.

Skłoniła się karykaturalnie przed Ganseyem, padając na kolana z wciąż związanymi dłońmi.

– Wybacz mi – zakpiła – *mój panie*.

Wydał wargi, nie zważając na jej demonstrację.

– Co ma oznaczać to, że nie spałaś?

– Idź spać, moja mała córeczko – powiedziała kobieta słodko. – Śnij o wojnie. Tyle że nie zrobiłam tego. Nie potrafiłam. Zawsze niespokojnie spałam! – Przybrała dramatyczną pozę, rozstawiając nogi, by utrzymać równowagę. Kropla krwi widniała na jej policzku niczym łza. Wysokim głosem zawołała: – Pomocy! Pomocy! Nie śpię! Wróćcie! Wróćcie! – I niższym: – Słyszeliście coś? To tylko odgłos krwi pulsującej w mojej męskości! Chodźcie!

Ronan wykrzywił wargi.

Blue była pewna, że to właśnie ten głos słyszała w korytarzu liceum.

– Czy chce pani przez to powiedzieć, że nie spała przez sześćset lat? – spytała.

– Plus minus dwieście – zaintonowała nieznajoma.

– Nic dziwnego, że jest szalona jak Kapelusznik – oznajmił Ronan.

– Ronanie – zaczął Gansey, lecz najwyraźniej nie zdołał wymyślić dobrej nagany. – Chodźmy.

Gdy dotarli do domu, Jesse Dittley spojrział na kobietę. Niemal dorównywała mu wzrostem.

– CO TO JEST?

– Pana klątwa – odparł Gansey.

Jesse nie wyglądał na przekonanego.

– A TERAZ MI POWIEDZ: CZY TO TY SPRAWIAŁAŚ, ŻE PŁAKAŁY MI ŚCIANY?

– Tylko trzy, może pięć razy – powiedziała. – Czy to krwią twojego ojca się zakrztusiłam i zamilkłam?

– CZY ZABIŁAŚ KOTA MOJEJ ŻONY?

– To – odezwała się śpiewnie – był wypadek. A wcześniej była krew twojego dziadka?

– ZABIERZCIE JĄ Z MOJEGO DOMU – rzekł Jesse. – PROSZĘ.

Gdy chłopcy wyprowadzili kobietę drugimi drzwiami z domu, a Malory i Pies pospieszyli za nimi, Blue została. Stała przy Jessem, gdy odsuwał sfatygowaną zasłonkę i obserwował chłopców przekonujących nieznaną, żeby wsiadła do SUV-a. Blue dobrze widziała, jak ugryzła Psa.

Trochę mniej się teraz bała, skoro już przy niej nie stała, choć nie mogła przestać widzieć dziobu Piły nienaturalnie rozchylonego w fałszywie brzmiącej pieśni albo zapomnieć, jak podskoczyło jej serce, gdy ciało poruszyło się w sarkofagu. To wypaczone zaklęcie było zupełnie niepodobne do organicznej magii Cabeswater.

– NIE TYLKO ONA TAM JEST.

– Nie spała od setek lat – powiedziała Blue. – Gdy kolejny Dittley ginął w jaskini, musiało ją to na trochę uspokajać. Mamy ją już jednak. To ona była klątwa. Nie musi pan już schodzić do jaskini i ginąć.

Jesse puścił zasłonkę, która opadła na miejsce.

– WYDAJE CI SIĘ, ŻE TAK ŁATWO JEST ZLIKWIDOWAĆ KLĄTWĘ?

– Być może. Zapewne! Była tam naprawdę długo – mówiła Blue. – Tak długo, jak byli tu Dittleyowie. Słyszał pan, że przyznała się do robienia tych rzeczy.

– CO CHCECIE Z NIĄ ZROBIĆ?

– Nie wiem. Coś. – Poklepała go po ramieniu. – Powinien pan zadzwonić do żony. Albo do psa.

Jesse podrapał się po piersi.

– NAPRAWDĘ JESTEŚ DOBRĄ MRÓWKĄ.

Uścisnęli sobie dłonie.

Gdy odjeżdżali, Blue widziała, że obserwował ich przez okno.

\*\*\*

Oczywiście zabrali kobietę na Fox Way 300, gdzie zastali zupełnie niewzruszoną Callę, wyglądającą na raczej zaniepokojoną Jimi oraz

zafascynowaną Orle. Persefona spojrzała na nieznaną, stanowczo skinęła głową i zniknęła na górze. Malory pił stęchłą herbatę w czytelniku. Adam i Ronan kręcili się w korytarzu, podsłuchując i za bardzo obawiając się gniewu Calli.

Calla zaś była w naprawdę świetnej formie.

– Czy pamiętacie – warczała – jak mówiłam, że jest troje śpiących, że zadaniem Maury jest nie obudzić jednego z nich, a waszym zadaniem obudzić jedno z pozostałych? Pamiętacie, że nie mówiłam nic o trzecim? *Otóż nie chodziło mi o sprowadzenie jej do mojej kuchni.*

Blue czuła w równym stopniu ulgę i irytację. To pierwsze, ponieważ wcześniej obawiała się, że kobieta może okazać się tym śpiącym, którego nie należało budzić. To drugie, ponieważ wpadli w kłopoty.

– A dokąd mielibyśmy ją zabrać? – spytała. – Mama powiedziała, żeby przywieźć ją tutaj.

– Twoja matka jest pozbawiona zdrowego rozsądku! Nie jesteśmy ośrodkiem przejściowym. – Calla podeszła do kobiety, która rozglądała się po kuchni z miną wyrażającą coś pomiędzy oszołomieniem a arystokratycznym obłędem. – Jak masz na imię?

– Noszę imię wszystkich kobiet – odparła nieznaną. – Smutek.

Jedna z brwi Calli przez chwilę zastanawiała się, czy nie uderzyć kobiety.

– Dlaczego jej po prostu nie zostawiliście? – spytała.

Ronan zmierzył Ganseya spojrzeniem pełnym wyższości.

– Owszem, rozumiem, że nie może tu zostać – rzekł Gansey – ale wyraźnie jest bardziej podobna do was niż...

Twarz Calli zaczęła przypominać wulkan.

– Niż do kogo, szanowny panie? Niż do *ciebie*, Richardzie Gansey? To chciałeś powiedzieć? Uważasz, że będzie wyładowywać swój obłęd na tobie, a my jesteśmy odporne? Cóż, lepiej przemyśl to sobie jeszcze raz.

Gansey zamrugał kilkakrotnie.

Na twarz kobiety powoli wypełził uśmiech.

– On się nie myli, wiédźmo.

Lawa zalała powieki Calli.

– *Jak* mnie nazwałaś?

Kobieta roześmiała się.

– Niebieska lilia, niebieska lilia i ja – zaśpiewała.

Blue i Calla spojrzały gniewnie, słysząc dziwnie znajome słowa. To ta kobieta musiała opętać Noaha, podobnie jak Piłę. Blue miała nadzieję, że jej umiejętność nie rozciągała się poza wyśnione ptaki i martwych chłopców.

– Nie jest jeszcze za późno, by ją odstawić na miejsce – zaproponował Ronan.

– WY DWAJ – zagrzmiała Calla. Adam i Ronan drgnęli. – Idźcie do sklepu i przynieście dla niej jakieś zapasy.

Adam i Ronan popatrzyli po sobie ze zdziwieniem. Mina Adama mówiła: „Co to znaczy?”, a Ronana: „Nie obchodzi mnie to. Spadajmy stąd, zanim zmieni zdanie”. Gansey patrzył za nimi spod zmarszczonych brwi, gdy spieszyli do drzwi.

W tym momencie pojawiła się Persefona, trzymając sweter z niepasującymi do siebie rękawami. Otaksowała kobietę wzrokiem, który wydawałby się niegrzeczny, gdyby nie należał do Penelopy. Nieznajoma odpowiedziała podobnym spojrzeniem, choć w jej oczach widać było znacznie więcej białek.

Wreszcie Penelopa wydała się usatysfakcjonowana. Podała sweter.

– Zrobiłam to dla ciebie. Przymierz... Och! Dlaczego jeszcze cię nie rozwiązali?

– Sądziliśmy, że może być... niebezpieczna – odparł niepewnie Gansey.

Persefona przekrzywiła głowę w jego stronę.

– I myśleliście, że związanie jej rąk coś zmieni?

– Ja... – Gansey obrócił się do Blue w poszukiwaniu pomocy.

– Nie chce współpracować – podsunęła Blue.

– Nie tak zwykłyśmy traktować gości – rzekła tonem lekkiej przygany Persefona.

– J a nie wiedziałam, że jest gościem – zripostowała Calla.

– Cóż, j a się jej spodziewałam – oznajmiła Persefona. – Tak mi się wydaje – dodała po chwili. – Sprawdźmy, czy sweter pasuje.

Gansey rzucił wzrokiem na Blue, która pokręciła głową.

– Powinnaś mnie uwolnić, mała lilio – rzekła kobieta do Blue. – Tym swoim malutkim nożykiem. Byłoby to bardzo odpowiednie i domknęłoby krąg.

– Dlaczego byłoby to bardzo odpowiednie i domknęłoby krąg? – spytała ostrożnie Blue.

– Ponieważ to twój ojciec mnie związał. Ech, *mężczyźni*.

Blue nagle się obudziła. Już *wcześniej* nie spała, ale teraz czuła się tak zupełnie inaczej niż jeszcze przed chwilą, że wydawało jej się, jakby dotąd pogrążona była we śnie.

*Jej ojciec.*

Kobieta padła nagle na twarz z dłońmi wciąż związanymi za plecami.

– O tak. „Odpowiednia kara”, powiedział. Artemusssssss. –

Roześmiała się na widok otaczających ją zszokowanych twarzy. – Och, czegoż to ja nie wiem! Patrzcie tylko, jak błyszczą w pierścieniu wody, w fosie, na jeziorze, wszystko w pierścieniu wody!

Jakiś czas temu, gdy Blue poznawała chłopców, w pewnej chwili uświadomiła sobie, że jest wciągana w ich splątane życie. Teraz zdała sobie sprawę, że nigdy nie była w nie *wciągana*. Znajdowała się tam cały czas, wraz z tą kobietą i wszystkimi innymi kobietami z Fox Way, może nawet z Malorym i jego Psem. Nie tworzyli nieładu, a jedynie powoli ujawniali jego kształt.

Marszcząc brwi, Blue wyciągnęła nóż techniczny. Uważając, by nie zranić bladej skóry kobiety, przecięła wytarte więzy na jej nadgarstkach.

– No dobra, mów.

Kobieta z zachwytem na twarzy rozciągnęła ręce w górę i na boki. Obracała się i obracała, zrzucając szklanki ze stołu i uderzając dłońmi w żyrandol wiszący nad kuchennym stołem. Zrzuciła buty i wirowała dalej, śmiejąc się coraz bardziej histerycznie.

Gdy zatrzymała się, miała roziskrzone i rozszalałe spojrzenie.

– Moje imię – powiedziała – brzmi: Gwenllian.

– Och – bardzo cichym głosem rzekł Gansey.

– Tak, mały rycerzu. Myślałam, że wiesz.

– Co wiesz? – spytała podejrzliwie Calla.

Twarz Ganseya wyrażała zaniepokojenie.

– Jesteś córką Owena Glendowera.

Nawet nie wiem, co kupić. Budę? – spytał Ronan.

Adam nie odpowiedział. Znajdowali się w dużym, rozświetlonym sklepie i przeglądali przybory toaletowe. Podniósł butelkę szamponu i ją odłożył. Ubranie nadal miał poplamione krwią z apokaliptycznej mżawki, a dusza wciąż bolała go po komentarzu o kundlu. Gwenllian – Gansey przeesemesował Ronanowi jej tożsamość – przebywała w jaskini sześćset lat i natychmiast go rozszyfrowała. Jak?

Ronan wziął butelkę szamponu i wrzucił go do pchanego przez Adama wózka.

– Ten kosztuje czternaście dolarów – rzekł Adam.

Nie potrafił wyłączyć tej części mózgu, która podliczała koszt zakupów. Być może Gwenllian właśnie to ujrzała w jego zmarszczonych brwiach.

Drugi chłopiec nawet się nie odwrócił.

– Co jeszcze? Obrozę przeciw pchłom?

– Już powiedziałeś dowcip o psie. Mówiąc o „budzie”.

– Zgadza się, Parrish. – Ronan szedł alejką z wyprostowanymi ramionami i wyniośle uniesionym podbródkiem. Nie wyglądał, jakby robił zakupy, a raczej jakby popełniał kradzież. Zgarnął do wózka pastę do zębów. – Jaka szczoteczka? Ta wygląda na porządną. – Dorzucił ją do sprawunków.

Fakt odkrycia Gwenllian dziwnie działał na umysł Adama. Po wszystkim, co stało się na linii mocy i w Cableswater, nic już nie powinno ich dziwić, ale Adam uświadomił sobie, że wciąż nie do końca wierzył, iż Glendower może spać pod jakąś górą. A jednak pojawiła się Gwenllian, pogrzebana w podobnie legendarny sposób. Odebrano mu resztki sceptycyzmu.

– Co teraz robimy? – spytał.

– Kupujemy kości. Cholera. Masz rację. Nie przychodzi mi do głowy żaden inny dowcip.

– Co teraz robimy, skoro mamy Gwenllian.

Ronan wydał dźwięk wskazujący na to, że nie uważa tego kierunku rozumowania za ciekawy.

– To samo co dotąd. Ona nie ma znaczenia.

– Wszystko ma znaczenie – odparł Adam, przypominając sobie swoje sesje z Persefoną. Zastanawiał się nad dorzuceniem do koszyka dezodorantu, choć nie był pewien, czy przyda się on komuś, kto urodził się przed jego wynalezieniem.

– Gansey chce Glendowera. Ona nie jest Glendowerem. – Ronan zaczął mówić coś jeszcze, lecz przerwał. Wrzucił do wózka opakowanie pianki do golenia, lecz nie uzupełnił go o maszynki. Możliwe, że brał ją dla siebie, nie dla Gwenllian. – Nie jestem pewien, czy nie powinniśmy się w tym momencie zatrzymać, skoro i tak jesteśmy do przodu. Mamy Cabeswater. Po co nam Glendower?

Adam pomyślał o swojej wizji, w której Gansey umierał na ziemi.

– Chcę przysługi – powiedział.

Ronan zatrzymał się tak gwałtownie na środku alejki, że Adam niemal wjechał w niego wózkiem. Sześć leżących na dnie przedmiotów poleciało do przodu.

– Daj spokój, Parrish. Wciąż wydaje ci się, że jej potrzebujesz?

– Nie kwestionuję rzeczy, które moty...

– Bła bła bła. Jasne, wiem. Hej, popatrz tam – rzekł Adam.

Obserwowali piękną kobietę stojącą w dziale ogrodniczym i otoczoną przez trzech pracowników sklepu. Jej wózek wypełniony był brezentem, nożycami do żywopłotu i różnymi rzeczami wyglądającymi tak, jakby łatwo można je było wykorzystać jako broń. Mężczyźni trzymali łopaty i trzonki, które nie mieściły się w wózku. Wydawali się bardzo skorzy do pomocy.

Była to Piper Greenmantle.

– Nie jest w twoim typie – rzekł cierpko Adam.

– To żona Greenmantle’a – syknął Ronan.

– Skąd wiesz, jak ona wygląda?

– Daj spokój. Właśnie nad *ty*m powinniśmy się zastanawiać. Sprawdziłeś go już?

– Nie – odparł Adam, lecz było to kłamstwo. Trudno mu było ignorować pytanie, gdy już zostało zadane, a Greenmantle stanowił naprawdę wielkie pytanie. – Trochę – przyznał.

– Solidnie – przetłumaczył Ronan i miał rację, bo choć mogło się to wydawać dziwne, sporo wiedział o metodach pracy Adama.

Możliwe, że Adam o tym wiedział, ale wolał uważać się za nieprzeniknionego, zwłaszcza jego co szpetniejsze strony.

Zerknąwszy ostatni raz na jasnowłosą Greenmantle, skierowali się do kas. Ronan przesunął kartę przez czytnik, nawet nie spoglądając na wyświetloną sumę – „pewnego dnia, pewnego dnia, pewnego dnia” –



i wyjechali na jasne późnopołudniowe światło. Przy krawężniku Adam uświadomił sobie, że wciąż pcha wózek, w którego rogu spoczywała samotna torba. Zastanawiał się, czy mieli kupić więcej rzeczy, lecz nie przychodziło mu do głowy, co by to mogło być.

Ronan wskazał wózek.

– Wsiadaj.

– Co?

Lynch dalej wskazywał.

– Daj spokój – powiedział Adam. – To parking publiczny.

– Nie pogarszaj sprawy, Parrish.

Gdy minęła ich staruszka, Adam westchnął i wdrapał się do wózka. Podciągnął kolana, by się zmieścić. Był przekonany, że skończy się to paroma strupami.

Ronan złapał rączkę z figlarnym skupieniem kierowcy motoru wyścigowego i przyjrzał się trasie pomiędzy nimi a bmw zaparkowanym na drugim krańcu parkingu.

– Jak myślisz, jakie tu jest nachylenie?

– C + , może B. Sam nie wiem. Dziesięć stopni?

Uśmiechając się dziko, Ronan zepchnął wózek z krawężnika i popędził w kierunku bmw. Gdy nabrali prędkości, zaklął wesoło i paskudnie, po czym wskoczył na tył wózka. Adam zdał sobie sprawę, że Ronan jak zwykle nie zamierza hamować, zanim stanie się coś złego. Zasłonił dłonią nos akurat wtedy, gdy ocierali się o bok bmw. Wytrącony z równowagi wózek zakołysał się raz i drugi, po czym przechylił na bok. Ślizgał się dalej, a chłopcy wraz z nim.

Zatrzymali się wreszcie.

– O Boże – jęknął Adam, dotykając otarcia na łokciu. Nie było zresztą paskudne. – Boże, Boże. Czuję wszystkie zęby.

Ronan leżał na plecach kilka kroków dalej. Na piersi wylądowało mu pudełko z pastą do zębów, a kawałek dalej leżał wózek. Lynch wyglądał na niezwykle szczęśliwego.

– Powinieneś mi powiedzieć, co znalazłeś na temat Greenmantle'a – powiedział Ronan – żebym mógł zacząć śnić.

Adam podniósł się, zanim ktoś go przejechał.

– Kiedy?

Ronan wyszczerzył zęby.

Ten dom jest cudny. Tyle, tyle ścian – zachwycał się Malory, gdy chwilę później Blue weszła do salonu.

Leżące na kanapie poduszki pożarły go z wdziękiem. Pies leżał sztywno na podłodze obok kanapy ze skrzyżowanymi łapami i dość krytycznym wyrazem pyska.

Za zamkniętymi drzwiami czytelnego pomruk głosu Ganseya wzniósł się na krótko, zanim został stłumiony przez Callę. Klócili się z Persefoną albo też rozmawiali w jej obecności. Trudno było stwierdzić różnicę.

– Dziękuję – rzekła Blue.

– Gdzie jest ta obłąkana kobieta?

Blue właśnie skończyła ściągać wszystkie rzeczy Neeve z materaca na strychu, by Gwenllian mogła tam zamieszkać. Jej dłonie wciąż pachniały ziołami używanymi przez Neeve do wieszczenia i tymi, za pomocą których Jimi starała się usunąć zapach ziół wykorzystywanych przez Neeve do wieszczenia.

– Chyba na strychu. Naprawdę pan sądzi, że to córka Glendowera?

– Nie widzę żadnego powodu, by jej nie wierzyć – oznajmił Malory. – Wydaje się ubrana w strój z okresu. Jeszcze nie do końca wiem, co o tym wszystkim myśleć. Szkoda, że nie mogę tego opisać w dzienniku. Cóż, pewnie bym mógł, gdybym chciał definitywnie skończyć karierę.

– Chciałabym, żeby mówiła bez ogródek – rzekła Blue. – Powiedziała już, że to mój ojciec ją związał i położył do snu, a jednocześnie, że przez ten czas nie spała. To niemożliwe, prawda? Jak można żyć i nie spać przez sześćset lat?

Pies rzucił Blue krótkie ironiczne spojrzenie, wskazujące na jego przekonanie, iż dlatego Gwenllian właśnie tak się zachowywała.

– Wydaje się prawdopodobne, że Artemus położył również Glendowera do snu – zauważył Malory. – Nie chcę być niegrzeczny, ale koncepcja, że cię spłodził, wydaje się dość naciągana.

– Dość – powtórzyła Blue.

Nie podchodziła do tej sprawy emocjonalnie. Ojciec zawsze był dla niej obcy i to, czy okaże się sześćsetletnim szaleńcem, nie zmieniało jej podejścia. Było interesujące, że Gwenllian została związana i złożona do snu przez kogoś o imieniu Artemus, że ów Artemus

najwyraźniej przypominał z wyglądu Blue, że jak przyznała kiedyś Maura, ojciec Blue miał na imię Artemus. Choć jednak to wszystko było *interesujące*, nie pomagało odnaleźć Maury.

– Należy jednak pamiętać o gobelinie – oznajmił Malory.

O starym gobelinie z zalanej stodoły. Blue znów go ujrzała – swoje trzy twarze i swoje czerwone dłonie.

– Co trzeba o nim pamiętać?

– Nie wiadomo. Czy ona tu zostaje? – zapytał Malory.

– Chyba tak, przynajmniej na razie. Zapewne zabije nas wszystkie we śnie i będzie nieważne, co mówi Persefona.

– Według mnie to rozsądne, że tu zostanie – powiedział Malory. – Tu jest jej miejsce.

Blue zamrugła w jego stronę. Choć zdążyła już nabrać sympatii do zrzędliwego profesora, na pewno nie uznałaby go za kogoś, kto na tyle mocno myśli o innych, by dzielić się przemyśleniami na temat kontaktów międzyludzkich.

– Czy chciałabyś się dowiedzieć, jakie usługi zapewnia Pies? – spytał.

Nie wydawało się to mieć żadnego związku z poprzednią wypowiedzią, lecz Blue zżerała ciekawość.

– Nie chcę, by czuł się pan niezręcznie – odparła powściągliwie.

– Cały czas czuję się niezręcznie, Jane – rzekł Malory. – Właśnie po to jest Pies. Jest psem psychiatrycznym. Został tak wytresowany, że jeśli wyczuwa u mnie stany lękowe, robi coś, by poprawić sytuację. Na przykład siada przy mnie, kładzie mi się na piersi albo bierze moją dłoń w pysk.

– Często ma pan takie stany?

– *Lęk* jest takim okropnym słowem. Gdy się je słyszy, myśli się o załamywaniu rąk, hysterii i gorsetach. Ja nie przepadam za ludźmi, bo ludzie... Ojej, naprawdę się rozkręcili, prawda?

W drugim pokoju Calla właśnie wrzasnęła: „NIE KIERUJ NA MNIE TEGO PUSTEGO SPOJRZENIA UCZNIĄ PRYWATNEJ SZKOŁY”.

Blue wcześniej cieszyła się, że nie została wplątana w toczącą się w czytelnicy poważną rozmowę, lecz teraz zaczynała tego żałować.

– Zostałem połączony z Psem bezpośrednio przed tą wyprawą – ciągnął Malory – i muszę przyznać, że nie wyobrażałem sobie, iż podróżowanie z czworonogiem stanowi takie wyzwanie. Nie dość, że nie miałym problemem było znajdowanie miejsc, w których Pies mógłby sobie ulżyć, to jeszcze nieustannie próbował kłaść mi się na piersi, gdy stałem w tej okropnej kolejce do kontroli bezpieczeństwa.

Pies nie wyglądał, jakby było mu z tego powodu przykro.

– Nie niepokoi mnie zewnętrzna strona ludzi, lecz wewnętrzna – podjął Malory. – Już jako dziecko potrafiłem dostrzegać aury czy jak to nazywać. A jeśli osoba...

– Chwila, czy powiedział pan: *aury*?

– Jane, po tobie nie spodziewałem się, że będziesz mnie osądzać.

Blue dobrze znała koncepcję aur – pól energetycznych otaczających wszystkie żywe istoty. Gdy Orla była nastolatką, przeszła przez okres opowiadania wszystkim, co mówią o nich ich aury. Blue usłyszała wówczas, że jej aura oznacza, iż jest niska. Orla nie była zbyt miłą nastolatką.

– Nie osądzałam! – zapewniła Malory’ego. – Dopytywałam. I ma to związek z Psem, ponieważ...?

– Ponieważ gdy ludzie są zbyt blisko mnie, ich aury mnie dotykają, a jeśli zbyt wiele z nich mnie dotyka, wprawia mnie to w zmieszanie i wywołuje coś, co lekarze głupio nazywają lękami. Lekarze! Głupcy. Nie wiem, czy Gansey opowiadał ci kiedyś, jak moja matka została zamordowana przez brytyjski system opieki zdrowotnej...

– O tak – skłamała Blue szybko.

Bardzo chciała usłyszeć, jak Malory postrzega aury, bo wreszcie mówił o czymś, co leżało głęboko w sferze jej zainteresowań, natomiast niezbyt interesowała ją śmierć czyjeś matki, leżąca daleko poza sferą jej zainteresowań.

– To szokująca opowieść – rzekł z lekką lubością Malory. Czy sprawiła to mina Blue, czy też jej postawa, lecz opowiedział jej całą historię. Zakończył słowami: – I widziałem, jak jej aura powoli gaśnie. Stąd wiem, że Gwenllian pasuje do takiego miejsca jak to.

Blue przywołała na twarz wyraz zainteresowania.

– Moment. Co takiego? Coś mi umknęło.

– Jej aura jest taka jak twoja: *niebieska* – wyjaśnił. – To aura jasnowidzów!

– Naprawdę? – Bardzo by się zirytowała, gdyby okazało się, że stąd wzięło się jej imię. To zupełnie jakby nazwać szczeniaka „Puszek”.

– Taki kolor mają aury tych, którzy potrafią przebić zasłonę!

Tak naprawdę nie potrafiła przebić zasłony, gdyby mu to jednak powiedziała, przedłużyłaby niepotrzebnie rozmowę..

– Właśnie dlatego Gansey przyciągnął mnie do siebie – ciągnął Malory. – Pomimo swej stochastycznej osobowości ma bardzo przyjemną i neutralną aurę. W jego obecności nie czuję się tak, jakbym przebywał z inną osobą. Nic ode mnie nie bierze. Jest teraz trochę głośniejszy, ale tylko trochę.

Blue miała ograniczone rozumienie tego, co oznacza „stochastyczny”, i trudno było jej odnieść to do Ganseya.

– Jaki był wtedy? – spytała.

– To były wspaniałe czasy – odparł Malory, a po sekundzie dodał: – Poza chwilami, gdy nie były. Był wówczas mniejszy.

Sposób, w jaki powiedział „mniejszy”, sugerował, że nie chodziło mu o wzrost i Blue chyba wiedziała, co chciał powiedzieć.

– Wciąż starał się dowodzić, że nie ma jedynie halucynacji – ciągnął Malory. – Miał sporą obsesję na punkcie zdarzenia. Teraz wydaje się, że na szczęście sobie z tym poradził.

– Zdarzenia... Pokąsania? Czyli śmierci?

– Tak, Jane, śmierci. Cały czas się nad tym zastanawiał. Zawsze przyciągał pszczoły, szerszenie i tym podobne owady. Miał z nimi koszmary senne. Musiał mieszkać oddzielnie, bo jak chyba możesz sobie wyobrazić, nie mogłem spać obok niego. Czasami miewał te ataki za dnia. Wędrowaliśmy akurat jakąś ścieżką w Leicestershire, gdy nagle kładł się na ziemi, drapiąc po twarzy jak obłąkany. Nie interweniowałem jednak, pozwalając, by sam przestał, i później czułem, jakby nic się nie stało.

– To straszne – wyszeptała Blue.

Przywołała swobodny uśmiech, jaki Gansey nauczył się nakładać na swą prawdziwą twarz. Ze wstydem przypomniała sobie, że kiedyś zastanawiała się, co sprawiło, że chłopiec taki jak on, posiadający wszystko, zdobył takie umiejętności. Jakże niesprawiedliwie zakładała, że miłość i pieniądze wykluczają ból i trud. Z pewnym poczuciem winy pomyślała o ich sprzeczce w samochodzie.

Malory wydawał się jej nie słyszeć.

– Ale jaki z niego badacz. Jakiego ma nosa do ukrytych rzeczy. Tego nie da się nauczyć! Trzeba się z tym urodzić.

Usłyszała głos Ganseya w jaskini, obcy i pełen strachu: „Szerszenie”. Wzdrygnęła się.

– I oczywiście pewnego dnia odszedł – rzekł w zadumie Malory.

– Co? – Blue skupiła się nagle.

– Nie powinienem być zaskoczony – powiedział profesor niedbale. – Wiedziałem, że jest świetnym podróżnikiem. Wydawało mi się jednak, że nie skończyliśmy badań. Znaleźliśmy się w martwym punkcie i coś tam kleciliśmy. Lecz pewnego ranka po prostu zniknął.

– Jak to: zniknął?

Pies wspiał się Malory’emu na pierś i lizał go po brodzie. Profesor nie zepchnął go.

– No odszedł. Zostawił wiele swoich rzeczy, które nie były mu potrzebne. I nigdy nie wrócił. Minęły miesiące, zanim znowu do mnie zadzwonił, zupełnie jakby nic się nie stało.

Trudno było wyobrazić sobie Ganseya porzucającego wszystko w taki sposób. Zewsząd otaczały go rzeczy, których kurczowo się trzymał.

– Nie zostawił żadnej wiadomości?

– Po prostu zniknął. Później czasami dzwoniła do mnie jego rodzina, próbując dowiedzieć się, gdzie jest.

– Jego rodzina? – Blue czuła, jakby słuchała opowieści o innej osobie.

– Tak. Powiedziałem im oczywiście wszystko, co mogłem. Tak naprawdę jednak niewiele wiedziałem. Zanim przyjechał do mnie, był w Meksyku. Później chyba na Islandii i wreszcie w Stanach Zjednoczonych. Wątpię, czy wiem choć o połowie jego podróży. Tak łatwo, tak szybko zbierał się i ruszał dalej. Przed przyjazdem do Anglii robił tak wiele razy, nie była to dla niego pierwszozna.

W głowie Blue powoli układały się rozmowy z przeszłości, nabierając nowych znaczeń. Przypomniała sobie jedną intensywną noc na zboczu góry, gdy spoglądał na Henriettę oświetloną niczym bajkowa wioska. „Dom”, powiedział, jakby sprawiało mu to ból. Jakby nie mógł w to uwierzyć.

Zresztą nie było tak, jakby opowieść Malory’ego pozostawała w sprzeczności ze znanym jej Ganseyem. Czuła raczej, jakby postrzegany przez nią Gansey był tylko częścią większej prawdy.

– To było tchórzostwo i głupota – powiedział od progu Gansey. Opierał się o framugę z dłońmi w kieszeniach, jak to miał w zwyczaju. – Nie lubiłem pożegnań, więc po prostu z nich zrezygnowałem, nie myśląc o konsekwencjach.

Blue i Malory popatrzyli na niego. Nie mieli pojęcia, od jak dawna tam stał.

– Bardzo uprzejmie z pana strony – ciągnął – że nie wypomniał mi pan tego. To znacznie więcej, niż zasługiwałem. Proszę jednak wiedzieć, że bardzo tego żałowałem.

– No cóż – powiedział Malory. Wyglądał na zmieszanego. Pies odwrócił wzrok. – Cóż. I co dalej z kobietą z jaskini?

Gansey włożył sobie miętowy listek do ust. Blue nie mogła nie przypomnieć sobie zeszłej nocy, gdy podawał taki listek jej.

– Na razie zostaje tutaj. Nie dzięki mnie, tylko Persefonie. Ja proponowałem wyremontowanie parteru w Monmouth. Być może tak się mimo wszystko stanie.

– Kim ona jest? – spytała Blue. Spróbowała w myślach wypowiedzieć

jej imię: „Gwenllian”. Nie wymawiała go prawidłowo – podwójne „l” brzmiało zupełnie inaczej, niż wyglądało.

– Glendower miał dziesięcioro dzieci ze swoją żoną Margaret. I przynajmniej czworo... nie z nią. – Gansey wypowiedział tę drugą część z niesmakiem. Wyraźnie było widać, że nie sądził, by pasowało to do jego bohatera. – Gwenllian to jedna z tej nieprawej czwórki. To patriotyczne imię. Istniały dwie inne bardzo znane Gwenllian kojarzone z walijskim ruchem wolnościowym.

Wyglądał, jakby chciał powiedzieć coś jeszcze, lecz nie uczynił tego, więc zapewne było to nieprzyjemne lub paskudne.

– No wyrzuć to z siebie, Gansey. O co chodzi? – ponagliła go Blue.

– O sposób jej pochówku – odrzekł. – Na drzwiach grobowca i na wieku sarkofagu był wizerunek Glendowera, a nie jej. Możemy ją spytać, choć wyciągnięcie od niej prawdziwych informacji nie jest łatwym zadaniem. Wydaje się jednak prawdopodobne, że pogrzebano ją w fałszywym grobie.

– Co to takiego?

– Czasami, gdy chodzi o bardzo bogaty grobowiec albo należący do bardzo ważnej osoby, gdzieś w pobliżu umieszcza się drugi, prostszy do odnalezienia, aby odciągnąć uwagę hien cmentarnych.

Blue była zgorzozona.

– Z własną córką?

– Nieślubną – doprecyzował Gansey, lecz zrobił to z niechęcią. – Słyszałaś ją. Była to kara za coś. Wszystko to jest nieprzyjemne. Umieram z głodu. Gdzie są Par... Adam i Ronan?

– Pojechali po zapasy dla Gwenllian.

Spod ogromnych i zmarszczonych brwi Gansey spojrział na swój ogromny elegancki zegarek.

– Dawno temu?

– Raczej. – Zrobiła dziwną minę.

– Co teraz robimy? – spytał Gansey.

– KUP NAM PIZZĘ Z PODWÓJNYM SEREM, BOGATY CHŁOPTASIU – zagrzmiała z drugiego pokoju Calla.

– Chyba zaczyna cię lubić – stwierdziła Blue.

Ronan pojechał do parafii Świętej Agnieszki. Adam sądził, że chce wejść do jego mieszkania nad kancelarią parafii, ale gdy wysiedli z samochodu, Lynch ruszył w stronę głównego wejścia do kościoła.

Choć Adam mieszkał nad kościołem, nie był w nim, odkąd się wprowadził. Parrishowie nigdy nie byli zbyt religijni i choć Adam podejrzewał, że Bóg może istnieć, sądził również, że nie ma to znaczenia.

– Lynch – powiedział, gdy Ronan otworzył drzwi do ciemnego sanktuarium. – Myślałem, że będziemy rozmawiać.

Ronan zamoczył palce w wodzie święconej i dotknął czoła.

– Jest pusto.

Kościół nie wydawał się jednak pusty. Miał klaustrofobiczną atmosferę dzięki zapachowi kadzidła, wazonom z liliami, zwałom białego sukna i smutnemu spojrzeniu zatroskanego Chrystusa. Krwawił opowieściami, których Adam nie znał, rytuałami, w których nigdy nie brał udziału, więziami, których częścią nigdy się nie stanie. Było w nim aż gęsto od szmeru historii, z którego powodu kręciło mu się w głowie.

Ronan uderzył Adama w ramię grzbietem dłoni.

– Chodź.

Przeszedł wzdłuż tylnej ściany ciemnego kościoła i otworzył drzwi na stromą klatkę schodową. Na jej szczycie Adam znalazł ukryty balkon, na którym stały dwie ławki i organy. Rzeźba Maryi – zapewne Maryi? – wyciągała do niego dłonie, ale to dlatego, że go nie znała. Kierowała je jednak również błagalnie do Ronana, a jego zapewne *znała*. U jej stóp płonęło kilka małych świec.

– Tu siedzi chór – rzekł Ronan, siadając przy organach.

Bez ostrzeżenia zagrał straszliwie głośny i zaskakująco dźwięczny fragment.

– Ronan! – syknął Adam.

Popatrzył na Maryję, nie wyglądała jednak na przejętą.

– Mówiłem ci. Nikogo tu nie ma. – Gdy Ronan zobaczył, że Adam wciąż mu nie wierzy, wyjaśnił: – W Woodville jest dzień spowiedzi i jeździ tam nasz ksiądz. Właśnie w takie dni Matthew uczył się kiedyś grać na organach, bo nikt nie słyszał, jaki jest w tym kiepski.



Adam usiadł na jednej z ławek. Oparł policzek o jej gładkie oparcie i spojrział na Ronana. Było to dziwne, ale Ronan wyglądał, jakby jego miejsce było również tu, nie tylko w Stodólkach. Ta hałaśliwa, pełna przepychu religia ukształtowała go w równym stopniu jak świat snów ojca. Wydawało się niemożliwe, że Ronan może pomieścić się w jednej osobie. Adam zaczynał sobie uświadamiać, że wcale go nie znał, czy też raczej znał tylko jego część, a zakładał, że to całość.

Obok Adama przemknęła woń Cableswater, zapach drzew po deszczu, i chłopak zdał sobie sprawę, że w czasie gdy spoglądał na Ronana, ten patrzył na niego.

– A więc Greenmantle – powiedział i Ronan odwrócił wzrok.

– Skurwysyn. Tak.

– Jeszcze pierwszego wieczoru przejrzałem wszystkie dostępne informacje. – Ronan mógłby z łatwością sam to zrobić, lecz zapewne wiedział, że Adam lubił takie wyzwania. – Dwa doktoraty, dom w Bostonie, trzy mandaty za przekroczenie dopuszczalnej prędkości w ostatnich osiemnastu miesiącach, bla bla bla.

– A co z pajęczą siecią?

– Nieistotna – odparł Adam.

Potrzebował tylko trochę czasu, by opracować dostępną historię życia Colina Greenmantle'a. I niewiele więcej, by uświadomić sobie, że tak naprawdę jej nie potrzebował. Nie musiał rozplątywać sieci, bo zapewne *nie zdołałby* jej rozplątać. Musiał za to upleść nową.

– Oczywiście, że istotna. Tylko ona jest istotna.

– Nie, Ronanie. Posłuchaj... Podejdź tutaj.

Adam zaczął pisać w kurzu pokrywającym ławkę. Ronan dołączył do niego, przyklękając, by móc czytać.

– Co to?

– Nasz plan – odrzekł Adam. Opracował to wszystko w głowie. Choć łatwiej byłoby to spisać, wolał mieć wszystko przemyślane. Lepiej nie zostawiać po sobie żadnych zapisków. Do plików w głowie Adama mogło się włamać tylko Cableswater. – To wszystkie dowody, które musisz wyśnić, i sposób, w jaki musimy je zakopać.

Niektóre z rzeczy musiały zostać zakopane. Plan wyglądał schludnie w wersji koncepcyjnej, lecz inaczej było z jego wprowadzeniem w życie. Wrobienie kogoś to paskudna sprawa, a morderstwa wymagają ciała. A przynajmniej ich fragmentów.

– Wiem, sporo tego – przyznał Adam, gdyż rzeczywiście zrobiło się tego dużo. – To jednak głównie drobne rzeczy.

Ronan skończył czytać plan Adama. Lekko obrócił głowę od

odrażających zapisków, podobnie jak odwracał ją od swego wyśnionego obiektu.

– Ale... nie tak się stało. Nie *to* zrobił Greenmantle – powiedział.

Ronan nie musiał dodawać: „To jest kłamstwo”.

Adam powinien się domyślić, że będzie to dla Ronana problem.

– Wiem, że nie – starał się wyjaśnić. – Zbyt trudno go jednak zrobić w zabójstwo twojego ojca. Wymagałoby to delikatności i zbyt wielu elementów, których nie znam. Mógłby obalić jeden z naszych dowodów rzeczywistym przedmiotem albo prawdziwym przebiegiem swoich działań, mógłby zniszczyć coś, co byśmy wymyślili. Jeśli to jednak ja wymyślę zbrodnię, mogę kontrolować wszystkie elementy.

Ronan jedynie się w niego wpatrywał.

– I musi to być coś naprawdę paskudnego. Coś, za co nie chciałby iść do więzienia – powiedział Adam. Czuł się już lekko zbrukany i nie potrafił powiedzieć, czy zdegustowanie Ronana było wywołane samą naturą proponowanej zbrodni, czy też tym, że Adam potrafił w ogóle coś takiego rozważyć. Nalegał jednak, ponieważ było już za późno, by się wycofać. – Chcemy tak mu zagrozić, by nawet nie pomyślał o ujawnieniu tego lub o kontrataku. Gdyby kiedykolwiek został o to oskarżony, byłby zniszczony, i to ma wiedzieć. Gdyby zaś go za to przyskrzynili, to czeka go piekło, bo ludzie popełniający zbrodnie na dzieciach są kiepsko traktowani w więzieniach. To również ma wiedzieć.

Dwie natury Ronana zmagają się ze sobą. Adam widział, choć nie mógł w to uwierzyć, że kłamstwo przegrywało.

– Tylko raz – rzekł szybko Adam. – Wyłącznie raz. Mógłbym przerobić plan, by rzeczywiście chodziło o twojego ojca, ale nie byłby tak niezawodny. I wplątałbyś się w rozprawy sądowe. Podobnie jak Matthew. – Czuł się źle z tą ostatnią częścią planu, choć była prawdziwa. Czuł się z nią źle, bo wiedział, że to właśnie ona przekona Ronana. I tak się stało.

– Dobrze – powiedział Ronan z niezadowoleniem. Przyjrzał się planowi zapisanemu na zakurzurzonej ławce i zmarszczył brwi. – Ganseyowi się to nie spodoba.

Była to najgorsza kloaka, a królowie nie zwykli nurzać rąbków swych szat w czymś takim.

– Właśnie dlatego nic mu nie powiemy.

Spodziewał się, że Ronan tu również będzie się opierać, lecz on jedynie skinął głową. Zgodzili się na dwie rzeczy: ochronę znajdujących się w strzępach nerwów Ganseya i kłamstwo poprzez zatajenie.

– Myślisz, że ci się uda? – spytał Adam. – To sporo szczegółów.

Powinno to być niemożliwe. Nikt nie powinien być zdolny do wyśnienia dowolnej z tych rzeczy, nie mówiąc już o wszystkich z nich. Adam widział jednak, co Ronan potrafi. Przeczytał wyśniony testament, jechał w wyśnionym camaro i czuł przerażenie w obliczu wyśnionego nocnego koszmaru.

Całkiem możliwe, że w tym kościele znajdowało się dwóch bogów.

Ronan znów przykucnął przy ławce, w zadumie przyglądając się liście zadań i machinalnie gładząc palcami zarost. Gdy nie starał się wyglądać jak dupek, jego twarz wydawała się zupełnie inna i przez chwilę Adam poczuł rażącą nierówność ich relacji: Ronan znał Adama, lecz Adam nie był pewien, czy choć trochę znał Ronana.

– Zrobię to teraz – oznajmił w końcu Ronan.

– Teraz? – zapytał z niedowierzaniem Adam. – Tu? *Teraz?*

Ronan uśmiechnął się buńczucznie, zadowolony, że wywołał reakcję.

– Żadna chwila nie będzie lepsza niż obecna, Parrish. Teraz. Wszystko oprócz telefonu. Zanim go wyśnię, muszę zobaczyć, jaki to model.

Adam rozejrzał się po pustym kościele. Nadal wydawał się *zamieszkanym*. Choć w umyśle wciąż wierzył Ronanowi, że świątynia pozostanie pusta, czuł się przytłoczony... ewentualnościami. Twarz Ronana miała jednak niewzruszony wyraz, a Adam nie zamierzał się wycofać.

– Wiem, jaki ma model telefonu – rzekł.

– Sam model mi nie wystarczy. Muszę go *zobaczyć* – odparł Ronan.

Adam zawahał się, po czym spytał:

– A gdybym poprosił Cabeswater, by pokazało ci jego telefon we śnie? Wiem, jaki to model.

Czekał, aż Ronan złamie się lub zacznie zastanawiać nad obcością Adama, lecz on jedynie wyprostował się i zatarł dłonie.

– No dobra. Dobra. Słuchaj, może lepiej wyjdź. Idź do mieszkania i spotkamy się, gdy skończę.

– Dlaczego?

– Nie wszystko, co mam w głowie, jest przyjemne, wierz mi lub nie. Mówiłem ci przecież. I gdy sprowadzam coś ze snu, czasami nie mogę zabrać tylko jednej rzeczy.

– Zaryzykuję.

– Przynajmniej daj mi trochę miejsca.

Adam cofnął się i usiadł przy Maryi, Ronan zaś wyciągnął się na ławce, ścierając ich plan nogawkami dzinsów. W tym jak leżał

nieruchomo na ławce i w pogrzebowej naturze świata było coś, co skojarzyło się Adamowi z nagrobną rzeźbą Glendowera w grobowcu. Śpiący król. Adam nie potrafił sobie jednak wyobrazić dziwnego, dzikiego królestwa, jakim Ronan mógłby władać.

– Przestań na mnie patrzeć – powiedział Ronan, choć miał zamknięte oczy.

– Jak chcesz. Poproszę Cabeswater o telefon.

– Do zobaczenia po drugiej stronie.

Gdy Ronan mościł się nerwowo, Adam przesunął wzrok na świecę u stóp Maryi. Trudniej było spoglądać na płomień niż na powierzchnię czarnej wody, lecz służyło to takiemu samemu celowi. Gdy zrobiło mu się biało przed oczyma, poczuł, jak umysł uwalnia się i oddziela od ciała. Tuż przed tym, zanim opuścił ciało, poprosił Cabeswater, by dało Ronanowi telefon. *Prośba* nie była najwłaściwszym określeniem. Lepszym było *pokazanie*, ponieważ pokazywał lasowi, czego potrzebował: obraz telefonu ukazującego się Ronanowi.

Gdy wieszczył, nie potrafił określać upływu czasu.

W pobliżu – a co właściwie było w pobliżu? – usłyszał ostry dźwięk, jakby krakanie, i nagle uświadomił sobie, że nie jest pewien, czy wpatrywał się w ogień przez minutę, godzinę, czy też cały dzień. Jego ciało wydawało się niemal jak płomień, było migoczące i ulotne, zanurzał się zbyt głęboko.

Pora wracać.

Wycofał się i znalazł na powrót we własnych kościach. Wychwycił chwilę, w której umysł znowu zakotwiczył się w ciele. Mrugając, otworzył oczy.

Przed nim Ronan wił się w konwulsjach.

Adam podciągnął nogi, odsuwając je od rozciągającej się przed nim katastrofy. Ronan miał zakrwawione ręce, a jego dłonie były poznaczone krwiami. Dżinsy były ciemne od wilgoci, od której błyszczał również kościelny chodnik.

Gorszy był jednak widok kręgosłupa wygiętego w pałąk. Gorsza była dłoń przyciśnięta do gardła. Gorszy był oddech – sapnięcie, sapnięcie i wycharczane słowo. Gorsze były palce, drżące, gdy unosił je do ust. Gorsze były również oczy, otwarte zbyt szeroko, zbyt jasne i wpatrzone w strop. Widzące jedynie ból.

Adam nie chciał się ruszyć. Nie mógł się ruszyć. Nie potrafił tego zrobić. To nie mogło się dziać.

Działo się jednak.

Musiał coś zrobić. Podpełzł do przodu.

– *Ronanie...* O Boże.

Teraz, gdy znalazł się bliżej, widział spustoszenia poczynione w ciele Ronana. Nie do naprawy. Chłopak umierał.

„Zrobiłem to... to był mój pomysł... on tego tak naprawdę nie chciał...”.

– Teraz jesteś zadowolony? – spytał Ronan. – Tego chciałeś?

Adam poderwał się gwałtownie. Głos dochodził skądś indziej. Podniósł wzrok i ujrzał Ronana siedzącego po turecku na górnej ławce z uważną miną. Jedna z dłoni tego Ronana była zakrwawiona, lecz nie była to jego krew. Coś mrocznego przemknęło mu po twarzy, gdy zerknął na swego umierającego sobowtóra. Drugi Ronan zaskomlał. Był to okropny dźwięk.

– Co... Co się dzieje? – spytał Adam.

Kręciło mu się w głowie. Był przytomny. Śnił.

– Powiedziałeś, że chcesz zostać i popatrzeć! – warknął Ronan z ławki. – Miłych wrażeń.

Adam zrozumiał. Prawdziwy Ronan nie poruszył się. Obudził się w tym samym miejscu, w którym zasnął. Umierający Ronan był duplikatem.

– Dlaczego to wyśniłeś? – spytał gwałtownie Adam.

Chciał przekonać swój mózg, że ten cierpiący Ronan nie jest prawdziwy, lecz stopień odwzorowania cierpień był idealny. Widział Ronana Lyncha umierającego w agonii i jednocześnie Ronana Lyncha obserwującego to z chłodnym dystansem. Obydwaj byli prawdziwi, choć obydwoj nie powinni istnieć.

– Chciałem zbyt wiele naraz – rzekł Ronan z ławki. Mówił krótkimi, gwałtownie artykułowanymi słowami. Starał się nie wyglądać tak, jakby przejmował się obserwowaniem własnej śmierci. Być może nie przejmował się. Być może tak działo się za każdym razem. Jakim głupcem był Adam, sądząc, że wiedział cokolwiek o Ronanie Lynchu. – To nie była rzecz... to nie były rzeczy, o jakich zwykle śnię, i wszystko nabrało rozmachu. Pojawiły się nocne koszmary. Później osy. Wiedziałem, że zabiorę je ze sobą. Że obudzę się *tak*. Wyśniłem więc kolejnego siebie, by go sobie wzięły, a później obudziłem się. I oto jestem. Oto znowu jestem. Ale fajny trik. Ale cholernie fajny trik.

Drugi Ronan nie żył.

Adam poczuł się jak wtedy, gdy ujrzał świat snów. Rzeczywistość skręcała się wokół siebie. Oto był Ronan, martwy, lecz nie trzeba było po nim rozpaczać, ponieważ był też drugi Ronan, żywy i niewzruszony.

– Trzymaj... – powiedział Ronan. – To twoje rzeczy. Kłamstwa, które

chciałeś.

Podał Adamowi wielką wypchaną kopertę z brązowego papieru, zapewne pełną dowodów służących do wrobienia Greenmantle'a. Adamowi zbyt wiele czasu zajęło uświadomienie sobie, że Ronan chciał, by ją wziął, po czym potrzebował jeszcze sekundy, by przestawić umysł na czynność brania. Adam kazał wyciągnąć się jednej ręce i uczyniła to z wahaniem.

„Ogarnij się, Adamie”.

Na kopercie, a teraz i na dłoni Adama, była krew.

– Zdobyłeś wszystko? – spytał.

– Wszystko jest w środku.

– Nawet...

– *Wszystko jest w środku.*

Jakież to było nieprawdopodobne, a jednocześnie cudowne i odrażające. Paskudny plan wymyślony przez paskudnego chłopca wyśniony teraz do paskudnego istnienia. Ze snu do rzeczywistości. Czyż nie wydawało się to na miejscu, że kiedy Ronanowi pozostawiano swobodę, powoływał do istnienia piękne samochody, piękne ptaki i dobrodusznych braci, gdy zaś Adam otrzymał taką możliwość, stworzył ohydną serię perwersyjnych morderstw.

– Co teraz? – spytał Adam. – Co robimy z...

– Nic! – warknął Ronan. – Ty nic nie robisz. A raczej robisz to, o co prosiłem wcześniej. Idziesz.

– Co?

Ronan dygotał. Nie z powodu działania jadu – jak drugi Ronan, lecz z jakiejś tłumionej emocji.

– Mówiłem, że nie życzę sobie tu twojej obecności, w razie gdyby coś takiego się stało. Stało się i co się teraz z tobą dzieje?

Adamowi wydawało się, że nieźle to wszystko zniósł, zważywszy na okoliczności. A już na pewno nie rozumiał, jak jego obecność mogła pogarszać tę sytuację. Widział jednak, że Ronan Lynch był zły, ponieważ chciał być zły.

– Świetnie ci idzie bycie dupkiem. To nie była moja wina.

– Nie mówiłem, że to twoja wina – stwierdził Ronan. – Mówiłem, żebyś *stąd spadał*.

Obydwaj chłopcy wpatrywali się w siebie. Niezwykłe w tym wszystkim było to, że działo się tak przy każdej ich dotychczasowej kłótni, ale tym razem pomiędzy nimi leżało zakrwawione ciało o kształtach Ronana. Po prostu Ronan chciał krzyczeć w miejscu, w którym ktoś mógł go usłyszeć. Adam czuł, że się uspokaja. Nie

dlatego, że Ronan był zły na *niego*, lecz dlatego, że zmęczyło go przekonywanie Ronana, iż tylko w *taki* sposób mógł pokazać swoje zdenerwowanie.

– Daj spokój. Co teraz? – rzekł.

– Na razie. Oto, co teraz – odparł Ronan.

– Jak chcesz – powiedział Adam, kierując się ku schodom. –  
Następnym razem możesz umrzeć samotnie.

Po powrocie do mieszkania Adam bardzo długo stał pod prysznicem. Milczała ta część jego mózgu, która zwykle obliczała, ile będzie kosztował długi, gorący prysznic. Stał pod wodą, dopóki zrobiła się letnia. Gdy wyszedł z łazienki i się ubrał, uświadomił sobie, że Ronan mógł zdenerwować się samym snem, a nie obserwowaniem własnej śmierci. Zasnął, zamierzając zdobyć dowody morderstwa, i obudził się z krwią na rękach. Adam wiedział, że nocne koszmary przychodziły do Ronana tylko wtedy, gdy miał złe sny. Lynch musiał wiedzieć, co będzie na niego czekać, lecz mimo to zgodził się, gdy Adam go poprosił.

Adam powinien sprawdzić, czy wszystko w porządku. Ronan na pewno wciąż tam był.

Został jednak, myśląc o drugim Ronanie. Tym martwym. Najdziwniejsze było to, że ta chwila pochodziła z wizji Adama w drzewie w Cableswater, lecz została odwrócona. Umarł nie Gansey, lecz Ronan. Czy więc wizja była błędna? Czy zmienił już przyszłość? A może czekało ich coś jeszcze?

Ktoś zapukał do drzwi mieszkania.

Najprawdopodobniej Ronan. Choć zdecydowanie nie w jego stylu byłoby przyznanie, że nieodpowiednio postąpił.

Pukanie stało się bardziej natarczywie.

Adam sprawdził, czy nie ma krwi na dłoniach, po czym otworzył drzwi.

To był jego ojciec.

Otworzył drzwi.

To był jego ojciec.

Otworzył drzwi.

To był jego ojciec.

– Nie poprosisz mnie, bym wszedł? – spytał ojciec.

Adam czuł, jakby nie panował nad własnym ciałem, nie zdziwił się więc zbytnio, widząc, że odsuwa się o krok, by Robert Parrish mógł wejść do jego mieszkania.

Jakże wąskie miał ramiona w porównaniu z synem. Trudno było dojrzeć podobieństwo, nie przyglądając się bacznie ich twarzom. Wtedy bowiem widziało się, że Robert Parrish miał wąskie, delikatne wargi jak



u Adama. Uwagę zwracały też podobnie bujne włosy w kolorze kurzu oraz zmarszczka między brwiami, uformowana przez nieustanną czujność. Tak naprawdę nie było trudno dostrzec, że jeden z nich spółdził drugiego.

Adam nie pamiętał, o czym myślał, zanim otworzył drzwi.

– A więc tu się chowasz – rzekł Robert Parrish.

Rozglądał się i zatrzymywał wzrok na tanim regale, prowizorycznej szafce nocnej oraz materacu na podłodze. Adam był jak przedmiot stojący na drodze.

– Wygląda na to, że jesteśmy niedługo umówieni – dodał ojciec. Podszedł, by stanąć przed synem. – Spojrzysz mi w oczy, gdy do ciebie mówię, czy będziesz patrzył na tamten regał?

Adam zamierzał nadal patrzeć na regał.

– Jak chcesz. Posłuchaj, wiem, że między nami nie było dobrze, ale myślę, że mógłbyś to wszystko odwołać. Twoja matka bardzo się denerwuje i będzie to wyglądać naprawdę śmiesznie.

Adam był pewien, że ojciec nie powinien tu przebywać. Nie pamiętał wszystkiego, co się stało, gdy złożył zeznanie, ale sądził, że w grę wchodził tymczasowy zakaz zbliżania się. Wydawało mu się, że wówczas uważał to za dobry pomysł, lecz teraz to wspomnienie wydawało się głupie. Ojciec bił go przez wiele lat, zanim został złapany, i uderzenie pięścią było czymś poważniejszym niż wtargnięcie na cudzy teren. Mógł oczywiście zadzwonić na policję i donieść o pogwałceniu przez ojca zakazu. Nie był pewien, czy ojciec zostałby za to ukarany, ale część Adama sądziła, że takie coś dobrze wyglądałoby w dokumentach. Wszystko to będzie mogło jednak nastąpić dopiero po minutach, które dopiero musiał przeżyć.

Nie chciał zostać uderzony.

Dziwnie było to sobie teraz uświadomić. Adam nie przywykł do tego, że jest bity. Ból był w związku z tym cudowną rzeczą, zawsze działał. Dopóki mieszkał w domu, przywykł do *idei* takiej intymnej przemocy, teraz jednak minęło dość czasu, by przestał się jej spodziewać, i dlatego nagła jej perspektywa stała się trudniejsza do zniesienia.

Nie chciał zostać uderzony.

Zrobi, co będzie trzeba, aby nie zostać uderzonym.

Dłonie drżały mu w oczekiwaniu.

„Cabeswater nie jest twoim szefem” – powiedział głos Persefony.

– Adam, zachowuję się naprawdę porządnie, ale wystawiasz moją cierpliwość na sporą próbę – odezwał się ojciec. – Przynajmniej udawaj, że usłyszałeś, co powiedziałem.

– Usłyszałem – odparł Adam.

– Pyskujesz. Miło.

„Samo to, że histeryzuje, nie sprawia, że ma więcej racji od ciebie”.

– Myślę, że powinieneś wyjść – rzekł Adam do regału.

Czuł się jak tchórz pozbawiony charakteru.

– A więc to tak będzie?

– Tak będzie.

– Wiedz zatem, Adamie, że w tym sądzie zrobisz z siebie głupka. Ludzie mnie znają i wiedzą, jakim jestem człowiekiem. Obydwaj wiemy, że próbujesz w ten sposób tylko żałośnie zwrócić na siebie uwagę, i inni też to zobaczą. Zbyt dobrze widać, jakie się z ciebie zrobiło gówno. Nie myśl, że nie wiem, skąd ci się to wzięło. Obracasz się z tymi bogatymi lalusiami.

Część Adama wciąż znajdowała się obok ojca, lecz większość się wycofywała. Ta lepsza część. Ten Adam, mag, nie przebywał już w mieszkaniu. Kroczył między drzewami, sunąc dłonią po omszałych kamieniach.

– Sąd to wszystko zobaczy. I wiesz, gdzie wtedy będziesz? W gazetach, jako gówniarz, który próbował wsadzić swego ciężko pracującego ojca do więzienia.

Liście zaszeleściły, były blisko, stanowiły osłonę, przyciskały się do jego uszu, skręcały się w jego pięściach. Nie chciały straszyć. Próbowaly jedynie przemawiać jego językiem i zwrócić jego uwagę. Nie było winą bojaźliwego Cableswater, że Adam w momencie zawierania umowy był bojaźliwym chłopcem.

– Myślisz, że popatrzą na ciebie i naprawdę zobaczą dziecko, nad którym ktoś się znącał? Wiesz w ogóle, czym jest znącanie? Ten sędzia usłyszy wystarczająco dużo, by rozpoznać kłamstwo. Nawet nie mrugnie okiem.

Gałęzie pochyliły się w stronę Adama, owijając wokół niego opiekuńczo, wystawiając ciernie na zewnątrz. Wcześniej próbowały trzymać się jego umysłu, lecz teraz wiedziały, że powinny otulić ciało. Poprosił, by mógł pozostać oddzielnie, a Cableswater posłuchało. „Wiem, że nie jesteś tym samym co on – powiedział Adam. – W mojej głowie wszystko jest jednak zawsze takie poplątane. Jestem taki pokancerowany”.

– Wracamy więc do punktu, w którym byliśmy, gdy tu przyszedłem. Możesz szybko odwołać tę rozprawę i wszystko będzie w porządku.

Deszcz pryskał przez liście, odwracając je spodem do góry i ochlapując Adama.

– No i popatrz tylko na siebie. *Mówiłem* do ciebie. Ćwiczysz na rozprawę? Przynajmniej udawaj, że nie gadałem do ściany. Co, u *diabła*?...

Głośniejsze tony w głosie ojca sprawiły, że Adam pospiesznie wrócił do siebie. Jedną ręką była uniesiona, jakby ojciec chciał go dotknąć, albo już to zrobił i teraz ją cofał.

Z wewnętrznej strony dłoni wystawał cierń. Z rany płynął strumyczek krwi, jasnej niczym cud.

Ojciec wyrwał cierń i przyjrzał się Adamowi, tej istocie, którą stworzył. Milczał przez kilka chwil i nagle coś pojawiło się na jego twarzy. Nie był to wprawdzie strach, lecz niepewność. Stał przed nim jego syn, a on go nie znał.

„Jestem niepoznawalny”.

Robert Parrish zaczął mówić, jednak przerwał. Teraz to on zobaczył coś w twarzy lub oczach Adama, poczuł coś w cierniu, który go ukłuł, albo może, podobnie jak Adam, poczuł w mieszkaniu zapach wilgotnej leśnej ściółki.

– W tym sądzie zrobisz z siebie głupka – powtórzył ojciec. – Zamierzasz coś powiedzieć?

Adam nie zamierzał nic powiedzieć.

Ojciec zatrzaskał za sobą drzwi.

Adam stał przez chwilę. Nasadą dłoni wytarł prawe oko i policzek, po czym wysuszył ją o spodnie.

Położył się do łóżka, zamknął oczy i przyłożył do piersi dłońie pachnące mgłą i mchem.

Gdy zamknął oczy, Cabeswater wciąż na niego czekało.

Zdumiewa mnie – rozmyślał Greenmantle na głos – że niektórzy ludzie naprawdę robią to dla relaksu. Zamieniają dni urlopu na takie doświadczenie. To według mnie naprawdę niebywałe. Nie mam najbledszego pojęcia, gdzie jesteście. Zakładam, że powiedziałybyś coś, gdybyśmy się zgubili i/lub mielibyśmy tu umrzeć.

Państwo Greenmantle znajdowali się w jaskini: żona, mąż, pies, amerykańska jaskiniowa rodzina. Piper odkryła, że gdy Otho zostawał sam, przegryzał się przez drzwi łazienkowe wynajmowanych domów, teraz więc drobił przed nią. Grota była ciemna i pachniała jak pot spod pachy. Zanim wyjechali tego popołudnia, Greenmantle pobieżnie zapoznał się z tematem i dowiedział się, że jaskinie miały być ośrodkami naturalnego, nietkniętego piękna.

Okazały się jedynie dziurami w ziemi. Uznał, że były wyjątkowo przereklamowane.

– Nie umrzemy tu – powiedziała Piper. – We wtorek mam spotkanie klubu książkowego.

– Klubu książkowego! Jesteś tu od dwóch tygodni, a już zapisałaś się do klubu książkowego?

– A co mam innego robić, gdy ty jesteś zajęty odnajdywaniem samego siebie? Może tylko *kręcić się* po domu i tyć? Nie mów: „rozmawiać ze swymi przyjaciółeczkami przez telefon”, bo wbiję ci ten czekan w prawe oko.

– Co to za książka?

Piper wskazała promieniem latarki strop, a później wilgotną podłogę. Zarówno promień, jak i jej wargi wykrzywiły się z niesmakiem.

– Nie pamiętam tytułu. Coś o cytrusach. To fabularyzowany pamiętnik młodej kobiety dorastającej na plantacji pomarańczy, a wszystko to na tle wojny oraz brutalnej walki klasowej z możliwymi podtekstami religijnymi czy coś w tym stylu. Nie mów: „wolałbym umrzeć”.

– Nic nie mówię – odparł Greenmantle, choć istotnie zastanawiał się nad kontynuacją rozmowy za pomocą stwierdzenia „wolałbym umrzeć”.

Wolał thrillery szpiegowskie o śmiałych mężczyznach lekko po trzydziestce, którzy wyskakują ze skomplikowanych pod względem

technologicznym cieni, jeżdżą szybkimi samochodami i wykonują ważne telefony. Podniósł czytnik fal elektromagnetycznych, by sprawdzić, czy można zmienić natężenie błysków z kontroltek. Nie można było.

Otho przystanął, by sobie ulżyć. Piper wyciągnęła foliową torebkę.

– To nie ma sensu. Czy właśnie włożyłaś gówno do torby?

– Widziałam na ABC program o tym, jak turystyka ekologiczna pustoszy jaskinie – poinformowała go. – Co to za mina? Ta, którą właśnie zrobiłeś. Stanowi część problemu. Ty stanowisz część problemu.

Dziury w ziemi były zdaniem Greenmantle'a najlepszym miejscem do wrzucania psich odchodów. Jedną ręką przejechał wzdłuż ściany czytnikiem fal elektromagnetycznych, a drugą geofonem. Dowiedziałyby się równie wiele, gdyby trzymał flarę i ukulele.

– Mam zamiar wynająć miliard milionów fagasów, którzy zjedzą do jaskiń w poszukiwaniu tej kobiety, a jeśli to nie zadziała, po prostu wypatroszę jej córkę przy Szarym Mężczyźnie.

– Fagasów! Nie chcę, by szwendał się tu milion fagasów. Chcę badać moje psychiczne więzi bez tego całego stękania.

– Twoje psychiczne więzi! – Poczul, że patrzyła na niego, bo skóra na karku zaczynała go parzyć. – Dobrze, powiem im, aby byli subtelni.

– Wiesz co? Powinieneś dać mi dwóch z nich, aby pomogli w realizacji moich celów życiowych.

– C o?

– Mogłabym do nich dzwonić i udawać ciebie. *Cześć, zbirze, tu Colin, mógłbyś coś dla mnie zrobić?* – Całkiem udanie naśladowała jego głos, choć brzmiał on zbyt nosowo, a ona wydawała się zbyt zakochana w sobie.

Zatrzymała się, stając na rozstawionych nogach, z blond włosami rozwianymi niczym podczas podziemnej sesji zdjęciowej. Przez ulotną chwilę Greenmantle'owi wydawało się, że znalazł ją w jaskini i teraz prowadził w stronę światła, lecz przypomniał sobie psie gówno i drogę do tego miejsca. Pomyślał, że w tej jaskini najprawdopodobniej zalega mnóstwo czadu. Zapewne umierał.

– Słyszałeś to? – spytała Piper.

– Jak ze mnie kpisz?

Nie odpowiedziała. Spoglądała w głąb tunelu ze zmarszczonymi brwiami i uniesionym podbródkiem, jakby czegoś nasłuchiwała. Pomyślał o kimś śpiącym. O obudzeniu go.

– To dźwięk naszej miłości? – spróbował.

Wciąż się nie odzywała. Wciąż słuchała.

– Dźwięk tego, jak straszysz mnie śmiercią?

Tak naprawdę sam się straszył.

Obróciła się do niego. Nie wyglądała tak, jakby usłyszała odgłos ich miłości.

– Zdecydowanie potrzebuję dwóch twoich fagasów – rzekła. –  
Wracamy na górę, by złapać sygnał komórki.

Z chęcią się podporządkował. Nie chciał już więcej oglądać żadnej jaskini.

Gansey znalazł Gwenllian, ale to Blue musiała z nią mieszkać. Tak naprawdę musiały wszystkie kobiety z Fox Way 300. Czuły się, jakby żyły z katastrofą naturalną, dzikim dzieckiem albo dziką, naturalną, dziecięcą katastrofą.

Przed wszystkim nie spała. Krzyczała do Calli, że naspała się już wystarczająco na tysiąc żywotów i resztę życia zamierzała spędzić na jawie, po czym jak powiedziała, tak robiła. Gdy Blue budziła się wczesnym rankiem, słyszała, jak stuka drewniakami po strychu nad jej pokojem.

Problemem był również jej ubiór. Ponadnaturalna świadomość dała jej w grobowcu wystarczającą wiedzę na temat zmieniającego się na zewnątrz świata, by nie szokowało ją istnienie samochodów albo współczesny język angielski. Niewiele jednak wiedziała o zwyczajach społecznych. Nosila zatem to, co chciała (nawet jeśli Blue nie mogła docenić rezultatów, ceniła przynajmniej jej motywację), a więc zawsze sukienkę, czasami dwie lub trzy naraz, czasami tył na przód. Często dochodziło przy tej okazji do kradzieży ubrań z czyichś szaf. Blue się przed tym ustrzegła tylko dlatego, że była od niej znacznie niższa.

Kolejnym problemem były pory posiłków. Dla Gwenllian każda chwila była dobra na jedzenie. Wydawała się nie odczuwać ani sytości, ani smaku potraw i często łączyła różne produkty w sposób, który Blue (a zapewne nie tylko ona) uważała za niestandardowy. Wierzyła w to, że nie można mówić innym, jak powinni żyć (no, może troszkę), ale trudno było stać z boku i obserwować spokojnie, jak Gwenllian rozsmarowywała masło orzechowe na zimnej parówce.

I jeszcze był obłąd. Czterdzieści procent tego, co wydobywało się z jej ust, miało postać pieśni, reszta zaś w różnych proporcjach składała się z zaśpiewów, wrzasków, kpin i mrozącego krew w żyłach szeptu. Wspinała się na dach, rozmawiała z drzewem na tylnym podwórku i stawała na meblach. Często chowała sobie coś we włosach, a później o tym zapominała. Bardzo szybko jej ogromna czupryna stała się składowiskiem ołówków, liści, chusteczek i zapalek.

- Mogłybyśmy je obciąć – zaproponowała w pewnej chwili Orla.
- Nie sądzę, abyśmy mogły decydować w takiej sprawie za kogoś –

stwierdziła Persefona.

– Nawet jeśli ten ktoś wygląda jak bezdomny? – spytała Orla.

W tym punkcie Blue zgadzała się z Orlą.

Najgorsze w tym wszystkim było to, że Gansey zaoferował się, iż ją zabierze – *wciąż* się oferował – lecz Persefona nalegała, by Gwenllian została z nimi.

– Trzeba więcej niż jednego weekendu, by naprawić stulecia szkód – mówiła.

– W jeden weekend mogą zostać wyrządzone całe stulecia szkód – odrzekła Calla.

– Jest bardzo utalentowaną jasnowidzką – przypomniała łagodnie Persefona. – W końcu zaczniesz zarabiać na swój chleb.

– I na moją terapię – dodała Blue.

– To było dobre – przyznała Orla.

Aby nagrodzić Blue za doskonałą ripostę, pomalowała jej paznokcie tak, by pasowały do Świni. Poinformowała Blue, że ten kolor lakieru nazywa się „Wojowniczy Cukierek”.

Gansey wciąż próbował rozmawiać z Gwenllian, lecz gdy przyjeżdżał, zawsze zachowywała się względem niego z beczelną uległością.

Poza tym Gansey miał jakieś zobowiązania względem szkoły, o których nie chciał mówić, Ronan i Adam znikali gdzieś razem, a Noah nie mógł albo nie chciał zjawiać się na Fox Way 300.

Blue czuła się trochę tak, jakby zamknięto ją w domu wariatów.

„Mamo, już czas, żebyś wróciła do domu”.

\*\*\*

W połowie tygodnia, ku jej sporej wdzięczności, przyszedł Szary Mężczyzna.

– To ja! – zawołał, gdy znalazł się w przedpokoju.

Blue widziała go znad pracy domowej, z którą rozstawiła się przy kuchennym stole. Wyglądał schludnie, ale niebezpiecznie w szarej koszuli i spodniach. Poza tym wydawał się pogodniejszy, niż gdy go ostatnim razem widziała.

Gwenllian, która przyglądała się ryczącemu odkurzacowi, lecz nim nie odkurzała, również go zauważyła.

– Witaj, przystojny mieczu! Zabiłeś kogoś dzisiaj?

– Miecz pozna miecz – powiedział jej łagodnie, chowając kluczyki samochodu do kieszeni. – A czy ty kogoś zabiłaś?

Była tak uradowana, że wyłączyła odkurzac, aby jej obłąkańczy śmiech stał się najgłośniejszym dźwiękiem w korytarzu.



– Panie Szary, proszę ją zostawić i przyjść na filiżankę herbaty! – zawołała z kuchni Blue. – Inaczej znowu zacnie śpiewać.

Wchodząc do kuchni, Szary Mężczyzna oglądał się przez ramię na Gwenllian. Postąpił zgodnie z poleceniem Blue i poświęcił kilka chwil na odnalezienie herbaty, która poprawiałaby nastrój, a nie leczyła zatwardzenie.

– Zostałem zatrudniony przez twoich przyjaciół, pana Parrisha i pana Lyncha – powiedział, siadając naprzeciwko Blue. „A więc to tam jeździli!”. Stukał palcem w jedno z jej zadań z algebry, dopóki nie przysunęła go z powrotem do siebie i nie poprawiła obliczeń. – Mają plan dotyczący Greenmantle’a i wydaje się obiecujący.

– Na czym polega?

– Wolałbym ci nie mówić, bo lepiej, aby jak najmniej osób o nim wiedziało. Poza tym nie jest to temat na uprzejmą rozmowę przy stole – oznajmił pan Szary. – Mam do ciebie pytanie. O waszą przeklętą jaskinię. Myślisz, że dałoby się tam ukryć ciało? A przynajmniej jego część?

Blue zmrużyła oczy.

– W tej jaskini jest mnóstwo miejsca na wiele rzeczy. Czyje ciało? Jaką część?

Gwenllian natychmiast zjawiała się w kuchni, ciągnąc za sobą odkurzacz niczym psa, który opiera się przed wyjściem na spacer.

– A co z klątwą, lilio?

– Myślałam, że to *ty* jesteś klątwą – odparła Blue.

– Zapewne – rzekła beztrąsko Gwenllian. – Cóż innego tam jest poza mną? Znają mnie wolni Walijczycy: urocą Gwen, urocą Gwen, od Gower do Anglesey, urocą Gwen, och, martwą Gwen!

– Ostrzegałam, że zacnie śpiewać – oznajmiła Blue.

Szary Mężczyzna uniósł tylko brwi.

– Broń i poezja pasują do siebie.

Gwenllian podeszła bliżej.

– Ależ ty jesteś *przebiegłą* bronią. To przez poetę skończyłam w tamtej jaskini.

– Czy to dobra opowieść? – spytał Szary Mężczyzna.

– Och, wspaniała.

Blue obserwowała ich rozmowę z odrobiną podziwu. Gdzieś w tym wszystkim krył się morał.

Szary Mężczyzna upił łyk herbaty.

– Powinnaś nam ją zaśpiewać.

O dziwo, tak też zrobiła.

Zaśpiewała gniewną piosenkę o poecie Glendowera, Iolo Gochu, i o tym, jak szeptał jej ojcu do ucha o wojnie (wyszeptała ten fragment Blue do ucha), tak więc gdy ziemie Walii zalały się krwią, Gwenllian zrobiła, co w jej mocy, by zadźgać go na śmierć.

– Spał? – zapytał z zawodową ciekawością Szary Mężczyzna.

Gwenllian śmiała się przez około minutę, po czym powiedziała:

– To było przy kolacji. Ależ byłby wspnianym posiłkiem!

Następnie napluła Szaremu Mężczyźnie do herbaty, lecz miało to raczej więcej wspólnego z Iolo Gochem niż z Szarym Mężczyzną.

Westchnął i odsunął filiżankę.

– A więc zamknęli cię w tej jaskini.

– Albo to, albo powieszenie! I wybrałam powieszenie, więc zamiast tego wrzucili mnie do fałszywego grobu.

Blue popatrzyła na Gwenllian spod zmrużonych powiek, próbując sobie wyobrazić, jak wyglądała przed sześcioma wiekami. Młoda kobieta, w wieku Orli, córka szlachcica, wiedźma w epoce, w której wiedźmy nie zawsze były mile widziane. Otoczona wojną i robiąca co w jej mocy, by ją powstrzymać.

Blue zastanawiała się, czy miałyby odwagę, by pchnąć kogoś nożem, gdyby mogło to komuś uratować życie.

Gwenllian bez pożegnania zaciągnęła odkurzacz z powrotem do korytarza.

– Gwenllian i odkurzacz opuszczają scenę – powiedziała Blue.

Szary Mężczyzna jeszcze dalej odsunął herbatę.

– Myślisz, że miałybyś czas, by pokazać mi tę jaskinię, z której ją wyciągnęliście? Tak na wszelki wypadek, po prostu żebym wiedział, gdzie jest?

Koncepcja opuszczenia domu niezwykle do niej przemawiała. Nie byłoby też źle zobaczyć się z Jessem. I choć była zirytowana, że Adam i Ronan nie zaufali jej ze swoim tajemniczym planem dotyczącym Greenmantle'a, chciała być pomocna.

– Możliwe. Nakarmi mnie pan?

– Nawet w to nie napluję.

Blue ostrzegła Callę, że opuszcza dom z płatnym zabójcą, po czym pan Szary zabrał ją do sklepu spożywczego w centrum na kanapkę z tuńczykiem („NAJLEPSZY TUŃCZYK W MIEŚCIE”), a później wyjechali z Henrietty. Samochód jechał w mroku lekkimi zakosami, jakby pozostawał poza kontrolą Szarego Mężczyzny.

– Ten samochód jest naprawdę okropny – stwierdziła Blue.

Mogła tak powiedzieć, ponieważ auto nie należało tak naprawdę do

pana Szarego. Było to mitsubishi z odzysku, z rodzaju takich, którymi zwykle jeżdżą młodzi mężczyźni o wielkich marzeniach i ego. Na indywidualnej tablicy rejestracyjnej widniał napis ZLDZJ.

– Można do niego przywyknąć – powiedział pan Szary. Po chwili milczenia dodał: – Jak do raka.

– Badum tss.

Blue i pan Szary roześmiali się, po czym zamilkli na chwilę, uświadamiając sobie, że już dawno nie przebywali w towarzystwie kogoś o ich poczuciu humoru. Czyli Maury Sargent. W tle Kinski cicho odgrywali dźwięki duszy pana Szarego.

– Wciąż czekam, aż wszystko wróci do normy – przyznała Blue. – Wiem jednak, że tak się nie stanie, nawet gdy mama wróci. – Chodziło jej o *jeśli*, lecz mimo to powiedziała *gdy*.

– Nie pomyślałbym, że tak przepadasz za normalnością – rzekł Szary Mężczyzna.

Zwolnił lekko, gdy reflektory podświetliły oczy trzech jeleni stojących na poboczu.

Przyjemnie było usłyszeć, że ktoś tak dobrze ją *znał*.

– Bo tak naprawdę nie przepadam – powiedziała. – Po prostu chyba do niej przywykłam. Jest nudna, ale przynajmniej nie przerażająca. A pan czasami bywa przerażony? Czy jest pan zbyt wielkim twardzielem?

Wyglądał na rozbawionego, lecz również na twardziela, gdy siedział cicho, bez zbędnych ruchów, za kierownicą.

– Z mojego doświadczenia wynika – zaczął Szary Mężczyzna – że twardziele są najbardziej przerażeni. Po prostu unikam bycia *nieodpowiednio* przerażonym.

Blue uznała, że wydaje się to rozsądnym celem.

– Wie pan co? Lubię pana – rzekła po chwili.

Zerknął na nią.

– Ja też.

– Lubi pan mnie? Czy siebie? Pańska gramatyka jest myląca.

Znów się roześmiali, ciesząc się towarzystwem kogoś o identycznym poczuciu humoru.

– To tutaj – oznajmiła. – Proszę nie przegapić skrętu.

Gdy stawali na podjeździe, na farmie Dittleya było niemal ciemno, świeciło się tylko okno w kuchni. Przez chwilę Blue sądziła, że być może Jesse pojechał, by odzyskać względy żony, syna oraz psa. Zaraz ujrziała jednak jego wielką sylwetkę, odsuwającą zasłonę i obserwującą reflektory pojazdu zbliżającego się do domu.

Natychmiast podszedł do drzwi.

– Uszanowanko – powiedziała Blue. – Przyjechałam się panu ponarzucić i być może pokazać panu Szaremu pańską jaskinię, jeśli można.

Wpuścił ich.

– TWÓJ ODDECH PACHNIE TUŃCZYKIEM.

– Powinnam była panu go przywieźć? – spytała.

– Jem tylko makaron z puszki. – Ucisnął dłoń Szaremu Mężczyźnie, który przedstawił się jako pan Szary. Następnie Jesse pochylił się, Blue stanęła na palcach i przytulili się, bo wydawało się to słuszne.

– WŁAŚNIE WYCIĄGNAŁEM Z ZAMRAŻARKI CIASTECZKA OD HARCEREK.

– Och, nie trzeba – rzekła Blue. – Jak pan wyczuł, dopiero co jedliśmy.

– Ja się poczęstuję – wtrącił się Szary Mężczyzna. – Jeśli ma pan miętowe.

Jesse przyniósł.

– DLA CIEBIE NIC, MRÓWKO?

– Poproszę szklankę wody i ekscytującą relację o tym, jak wspaniale zmieniło się pańskie życie, odkąd zabraliśmy z jaskini tę wariatkę.

– ŻYCIE JEST WSPANIAŁE – przyznał Jesse – ALE TA JASKINIA... MACIE WYSOKIE BUTY? JEST BŁOTO.

Blue i pan Szary zapewnili go, że poradzą sobie w posiadanym obuwiu. Jesse wziął latarkę dla Blue oraz silny reflektor i strzelbę dla siebie, po czym poprowadził ich przez ciemne pole do budowli mieszczącej wejście do jaskini. Gdy podeszli bliżej, Blue wydawało się, że poczuła coś znajomego. Nie był to ziemisty aromat mokrego pola ani dymna woń jesiennej nocy. Zapach był metaliczny, bliski, wilgotny i zastały. Uświadomiła sobie, że tak samo pachniała jaskinia kruków.

– UWAŻAJCIE POD NOGI.

– Na co mam uważać? – spytał pan Szary.

– TO DOBRE PYTANIE.

Jesse przydreptał do drzwi, oczywiście na tyle, na ile był w stanie przydreptać. Podał Blue reflektor i otworzył kłódkę.

– ODSUŃCIE SIĘ.

Odsunęła się.

– DALEJ.

Odsunęła się jeszcze dalej. Szary Mężczyzna stanął przed nią. Na tyle, by obronić ją przed atakiem, a nie by zasłonić widok.

Jesse Dittley kopnął w drzwi. Ponieważ miał długą nogę, kopniak

odbył się w zwolnionym tempie – można było zaobserwować spory odstęp pomiędzy wzięciem zamachu a zetknięciem się buta z drzwiami. Blue zastanawiała się, jak coś takiego się nazywa.

Kopnięcie okrężne czy jakoś tak.

Drzwi się otworzyły.

– OJ – jęknął Jesse, gdy coś wystrzeliło w jego stronę.

Było to coś straszliwego.

Blue uważała się za osobę względnie wolną od uprzedzeń, gotową akceptować, że spora część świata pozostaje poza jej zrozumieniem i wiedzą. Teoretycznie miała świadomość, że tylko dlatego, iż coś wygląda przerażająco, nie oznacza, że chce ci zrobić krzywdę.

Jednak to coś chciało im zrobić krzywdę.

Nie chodziło tu o złą wolę. Po prostu czasami coś było po twojej stronie, a czasami nie. To coś nie było. Za to zdecydowanie było przeciwne ludziom. Zalało ich wrażenie *nicości* i nagle coś wypadło przez drzwi.

Szary Mężczyzna wyciągnął spod marynarki ogromny czarny pistolet i strzelił istocie trzy razy w każdą z głów. Padła na ziemię. Z głów niewiele zostało.

– TO CHYBA PRZESADA – stwierdził Jesse.

– Tak – zgodził się Szary Mężczyzna.

Blue ucieszyła się, że stwór nie żyje, po czym poczuła się źle, że ją to cieszy. Łatwej było podchodzić do niego wspaniałomyślnie teraz, gdy nie próbował rozplątać sedna jej istnienia.

Jesse zamknął drzwi i na powrót założył na nich kłódkę.

– ALE TO BYŁ TYDZIEŃ.

Popatrzyła na dziwne, pozbawione stawów ciało, trochę przypominające robaka, połyskujące w promieniu jej latarki tęczowymi łuskami. Nie mogła się zdecydować, czy było ohydne, piękne, czy też po prostu niepodobne do niczego, co dotąd widziała.

– Dużo ich było?

– WYSTARCZAJĄCO.

– A widział pan już kiedyś coś takiego? – spytał pan Szary.

– DO TEJ PORY NIE. I NIE ZAWSZE TAK TO WYGLĄDA. NIEKTÓRE Z NICH NIE CHCĄ ZABIĆ. NIEKTÓRE SĄ PO PROSTU STARE. ALE WŁAŻĄ DO DOMU.

– Dlaczego stamtąd wychodzą? – zapytała Blue.

– MÓWIŁEM CI, ŻE JASKINIA JEST PRZEKLĘTA.

– Ale zabraliśmy tę kobietę!

– PEWNIENIE TO ONA JE POWSTRZYMYWAŁA. JASKINIA LUBI

OFIARY.

Przez kilka długich minut wpatrywali się w ciało.

– Mamy się go pozbyć? – chciał wiedzieć pan Szary.

– NIE. WRONY ZJEDZĄ TO, CO ZOSTAŁO.

– Kiepsko to wszystko brzmi – stwierdziła Blue.

Chciała zaproponować pomoc, ale co mogli zrobić? Zamknąć Gwenllian z powrotem?

Szary Mężczyzna schował broń. Wyglądał na niezadowolonego z przebiegu wypadków. Blue zastanawiała się, czy rozważał ukrycie części ciała w miejscu, które już teraz wydawało się pełne ciała, a później, czy wyobrażał sobie Maurę w jaskini razem z tymi istotami. Gdy tylko o tym pomyślała, zrobiła podobną minę jak Szary Mężczyzna.

– NIE PRZEJMUIJ SIĘ, MAŁA MRÓWKO – rzekł Jesse. – JUŻ DŁUGO PILNOWAŁA JASKINI. TERAZ MOJA KOLEJ.

W nocy śmiech Gwenllian oznajmił jej obecność przy drzwiach do pokoju Blue. Wybrała kiepską chwilę: Blue była w paskudnym nastroju, ponieważ nadszedł czas, by Maura wróciła albo by ona poszła poszukać Maury czy *cokolwiek* innego. Sama uda się do jaskini kruków. Będzie walczyć z potworami w jaskini Dittleya i popędzi do środka ziemi, aby ją znaleźć. Formułowała plany, porzucała i przerabiała, co sekundę miała nowy.

Gwenllian znów się roześmiała – znacząco. Była to jej wersja chrząknięcia. Blue westchnęła i przetoczyła się na plecy. Zobaczyła, że kobieta ostrożnie trzyma łyżkę czegoś, co niepokojąco przypominało majonez.

– Uciekasz stąd, mała niebieska lilio?

– Jeszcze nie – odparła Blue, mrużąc oczy w kierunku Gwenllian, by sprawdzić, czy jej słowa miały głębsze znaczenie. W tle słyszała Callę i Persefonę kłócące się w pokoju Persefony. No dobrze, tak naprawdę to Calla się kłóciła, a Persefona nic nie mówiła. – Posłuchaj – podjęła – nie da się o to poprosić w grzeczny sposób, więc po prostu wyłożę kawę na ławę. Myślisz, że jest szansa, byś jakoś niedługo wyrosła z szaleństwa? Bo mam mnóstwo pytań o ojca i zaginięcie matki, a próby przeprowadzania wizji lokalnej przy akompaniamencie śpiewu zaczynają mnie męczyć.

– Zaczynasz mówić jak twoje książątko, mała lilio – powiedziała Gwenllian. – I nie sądzę, by to do ciebie pasowało. Ale nie krępuj się. W pełni popieram roszczeniowe kobiety.

Blue nie skomentowała tego. Gwenllian dowiodła, że posiada niezwykle dar wynajdywania słabości, a następnie eksploataowania ich od niechcienia.

– Chcę, by moja matka wróciła. I proszę, przestań mnie tak nazywać. Mam na imię Blue.

– Lilia – uzupełniła Gwenllian.

– Proszę...

– Lilia.

– ...przestań.

– Blue – dokończyła Gwenllian z lekkim poczuciem zwycięstwa.

Dojadła to, co zostało na łyżce. Być może była to odżywka do włosów. – Chodź do mojego pokoju. Pokażę ci, że jesteśmy takie same. Ty i ja, ja i ty.

Blue, westchnąwszy, zwlokła się z łóżka i poszła za Gwenllian na ciemny strych. Nawet teraz, po zachodzie słońca, było tu kilka stopni cieplej niż w reszcie domu, dzięki czemu pomieszczenie wydawało się małe i ciasne jak kurtka.

Blue posprzątała niemal wszystkie rzeczy pozostawione przez Neeve, a Persefona i Calla zebrały resztę. Z większych rzeczy zostały się jedynie dwa duże lustra stojące naprzeciwko siebie w mansardzie.

Gwenllian zaprowadziła Blue właśnie do nich, pilnując, by nie stanąć między nimi. Pogłaskała oburącz włosy dziewczyny, jakby wygładzała perukę, po czym, również oburącz, obróciła głowę Blue do zwierciadła po lewej.

– To ja – rzekła. Obróciła głowę Blue do lustra po prawej. – To ty.

– Wyjaśnij.

– Byłam mieczem, byłam uderzeniem pioruna, byłam wypaloną kometa, byłam słowem i byłam lustrem!

Blue zaczekała do końca pieśni.

– A więc mówisz, że jesteś lustrem.

– W najciemniejszym odcieniu niebieskiego – Gwenllian wyszeptała to Blue do ucha. Odskokzyła, by móc wyrysować w powietrzu palcami kontur dziewczyny. – Blue. Blue. Blue. Blue. Wszędzie wokół. I ja. Takie jesteśmy.

– Aha. Nasze aury? Pewnie. Ale Persefona mówi, że jesteś jasnowidzką, a ja na pewno nią nie jestem.

Bardzo znudzona Gwenllian rozłożyła dramatycznym gestem rękę. Jej dłonie znów były skierowane ku lustrum.

– *Lustra!* Mówię ci, właśnie takie jesteśmy.

Coś nieprzyjemnie zakłuło Blue w środku. Przyjrzała się zwierciadłom. Calla mówiła, że Neeve używała ich do wieszczania. Stawała pomiędzy nimi i w obu widziała dla siebie nieskończone możliwości.

Maura zawsze wyciągała ze swej talii tarota pazia kielichów i pokazywała go Blue: „Spójrz, to ty! Popatrz na cały ten potencjał, jaki ona w sobie ma!”

– Tak – powiedziała piskliwie Gwenllian. – Zaczynasz rozumieć. Czy cię *wykorzystują*, niebieska lilio? Czy proszą, byś trzymała je za ręce, aby mogły lepiej widzieć przyszłość? Czy dzięki tobie widzą zmarłych? Czy wypraszają cię z pokoju, gdy robi się dla nich zbyt głośno?



Blue skinęła bezmyślnie głową.

– Lustra – zagruchała Gwenllian. – Właśnie nimi jesteśmy. Gdy trzymasz świecę przed lustrem, czy pokój nie robi się dwakroć jaśniejszy? My też tak robimy, niebieska lilio, lilio niebieska.

Wskoczyła na swój materac.

– Jakież to przydatne! Jakże wspaniale wzbogaca stajnię. Niczym ogiery *Gwythura*, *Gwarddura*, *Cunina* i *Lieu*. – Przerwała pieśń, by pokręcić głową i dodać zwyczajniejszym głosem: – Nie, nie *Lieu*. Ale pozostałych tak.

Blue nie była w stanie uwierzyć, że wreszcie spotkała kogoś, kto był do niej podobny. Nie wiedziała, że to możliwe.

– Czym więc jest niebieska lilia? Skąd się wzięła ta nazwa?

Gwenllian skoczyła w stronę luster i zatrzymała się tuż przed nimi. Przebiegła dookoła, aby stanąć kilka centymetrów od Blue.

– *Wiedźmy*, moja mała kwiecista poduszeczko. Właśnie nimi jesteśmy.

Gdy Blue usłyszała to słowo, poczuła przyjemną i szelmowską ekscytację. Nie chodziło o to, że kiedykolwiek pragnęła być wiedźmą, lecz że od tak dawna była niemym narzędziem, a okazała się wspaniałą.

Tyle że fałszywa.

– Może ty – rzekła Blue. – Najlepsze, co mogę zrobić, to *nie* pomagać ludziom. Czasami. – Pomyślała, jak wyciągnęła wtyczkę Noahowi w Monmouth, lecz nie udało jej się to u Jessego Dittleya. Tam, jak sobie uświadomiła, działała Gwenllian.

– Ludziom! – Gwenllian roześmiała się donośnie. – *Ludziom! Mężczyznom?* Dlaczego uważasz, że jesteś przyjaciółką *mężczyzn*?

Blue pomyślała, że można by się kłócić, czy była przyjaciółką *wyłącznie* mężczyzn, ale uznała, że nie warto o tym wspominać.

– Któż chce rozmawiać z ludźmi! – Gwenllian wytwornym gestem wskazała oba lustra. – Idź! Stań tam! Stań!

Calla wcześniej wyraźnie powiedziała, że nie powinno się stawać pomiędzy zwierciadłami Neeve. Zasugerowała również, że stawanie pomiędzy nimi może mieć coś wspólnego ze zniknięciem Neeve.

Blue nie chciała tam stawać.

Gwenllian popchnęła ją.

Blue poleciała w ich stronę, wymachując rękoma. Widziała światło odbijające się od ich powierzchni. Zachwiała się. Zatrzymała gwałtownie.

– No dobrze, ja... – zaczęła.

Gwenllian znów ją pchnęła.

Wystarczająco, by dziewczyna znalazła się dokładnie pomiędzy obydwoma zwierciadłami.

Czekała, aż zostanie obrócona w pył.

Czekała, aż pojawią się potwory.

Nic takiego się nie stało.

Rozejrzała się powoli w lewo i prawo, po czym spojrzała na swoje dłonie. Wciąż były widoczne, co było istotne, ponieważ w żadnym z luster nie odbijała się jej podobizna. Pokazywały jedynie siebie nawzajem, w nieskończonym ciągu. W odbitych obrazach było coś lekko mrocznego i niepokojącego, lecz nic więcej.

– Gdzie jestem? – spytała Blue.

Gwenllian roześmiała się i obróciła się w podskokach, klaszcząc radośnie.

– Nie opłakuj swojej głupoty! Magia luster nie działa na lustra.

Blue skorzystała z okazji, by szybko się cofnąć na środek pokoju.

– Nie rozumiem.

– Ja też nie – oznajmiła beztrąsko Gwenllian. – I umieram z głodu od tych czczych gadek.

Ruszyła w stronę schodów na dół.

– Zaczekaj! – zawołała Blue. – Opowiesz mi o moim ojcu?

– Nie – odparła Gwenllian. – Pójdę po majonez.

Pierwszym zdobytym przez Greenmantle'a ponadnaturalnym artefaktem była nawiedzona lalka. Kupił ją na eBayu za 500 dolarów (z przesyłką priorytetową w cenie). Opis aukcji przekonywał, że lalka spędziła ostatnie dwa tygodnie w piwnicy sprzedającego, warcząc i wywracając oczami w głąb głowy. Czasami, jak zauważano w opisie, z uszu wychodził jej skorpion. Ostrzegano również, że nie jest to zabawka dla dzieci i jest sprzedawana jedynie na potrzeby rytuałów satanistycznych bądź czarnej magii.

Greenmantle dokonał zakupu, czując w równej mierze sceptycyzm oraz nadzieję. Ku jego irytacji, lecz nie zaskoczeniu, po dostarczeniu lalka niczym się nie wyróżniała. Nie warczała. Miała oczy zamknięte – otwierały się wyłącznie po jej przechyleniu. Nie było widać śladów aktywności pajęczaków.

Wraz z Piper – wówczas jego dziewczyną – spędzili wieczór na jedzeniu kupionego na wynos sushi i rzucaniu w lalkę nasionkami soi, starając się skłonić ją do jakiejś demonicznej aktywności.

Później Piper powiedziała:

– Gdybyśmy mieli szczeniaczka, pozbierałby te ziarenka za nas.

– A później moglibyśmy złożyć go w ofierze i użyć jego krwi do ożywienia lalki – odparł Greenmantle.

– Ożenisz się ze mną? – spytała.

Zastanowił się nad tym.

– Ale najbardziej kocham siebie. Pasuje ci, że zawsze będziesz na drugim miejscu?

– Nawzajem – odrzekła. A później nacięła sobie skórę i rozsmarowała krew na głowie lalki w geście osobistego zaangażowania, którego poziomu Greenmantle jeszcze nie osiągnął.

Lalka wciąż nie warczała ani nikogo nie gryzła, lecz tego wieczoru Greenmantle położył ją w pudełku w sypialni gościnnej, rankiem zaś leżała na twarzy przy drzwiach wejściowych. W odpowiednim stopniu poczuł wówczas ekscytację, strach i radość.

– Kiepsko – powiedziała Piper, przechodząc nad nią w drodze na swoje zajęcia z kobiecego fechtunku lub do klubu pieczenia nago. – Znajdź mi coś lepszego.

Tak też zrobił.

A raczej wynajął ludzi, by znaleźli coś lepszego. Teraz, po latach, miał mnóstwo ponadnaturalnych artefaktów, z których niemal wszystkie były ciekawsze od poruszającej się czasami lalki. Wciąż wołał, by artefakty były klimatyczne. Piper preferowała mroczne.

Coś działo się z nią tu, w Henriecie, i nie chodziło o zajęcia z jogi. Nie powinien był jej tu zabierać.

Greenmantle wszedł do wynajętego domu.

– Piper! – zawołał. Nie było odpowiedzi. Zatrzymał się w kuchni, by wziąć kawałek sera i winogrono. – Piper, jeśli jesteś więziona przez pana Szarego, zaszczekaj raz.

Nie więził jej nikt poza lustrem. Stała w łazience, wpatrując się w siebie, i nie odpowiadała, gdy wołał ją po imieniu. Nie było to szczególnie niezwykle, ponieważ Piper łatwo ulegała zauroczeniu własnym odbiciem. Wrócił do kuchni, by nalać sobie wina. Piper zużyła wszystkie kieliszki i nie umyła ich, nalał więc sobie pugnietello do kubka z logo Akademii Aglionby.

Następnie wrócił do łazienki. Wciąż wpatrywała się w siebie.

– Odcinam cię – powiedział, odsuwając ją. Zauważył, że na skraju umywalki leżała karta tarota: trójka mieczy. – Teraz pora, żebyś popatrzyła na mnie.

Wciąż spoglądała w nicość, przez kilka chwil pstrykał jej więc palcami przed oczyma, a gdy zaczął się lekko niepokoić, włożył jej palce do kubka, po czym umieścił pokryte winem opuszki w jej ustach.

Piper oprzytomniała.

– Czego chcesz? Dlaczego mam palce w ustach? Ale z ciebie zbok.

– Chciałem się tylko przywitać. Kochanie, wróciłem do domku.

– Wspaniale. Wróciłeś. Jestem zajęta. – I zatrasnęła mu drzwi łazienki przed nosem. W środku zabrzmiało nucenie. Nie brzmiało jak Piper, choć musiało dobiegać od niej.

Greenmantle uznał, że chyba pora skończyć to zadanie i wynosić się stąd w cholere.

A może wyłącznie wynosić się stąd w cholere.

Czasami Gansey zapominał, jak bardzo lubił szkołę i jak *dobrze* mu w niej szło. Nie mógł jednak o tym zapomnieć w taki poranek jak ten – gdy jesienna mgła podnosiła się z pól na tle gór, Świnia jechała gładko i głośno, Ronan podnosił się z fotela pasażera, stukał knykciami o dach i błyskał zębami; gdy wilgotna trawa moczyła czarne czubki jego butów i torbę narzuconą na sweter; gdy Adam mrużył oczy i robił z nim żółwika podczas spotkania na chodniku, a wokół nich chłopcy śmiali się i nawoływali, ustępując im miejsca. Takie poranki były stworzone do wspomnień.

Nic nie mogłoby zniszczyć rzeźkiej perfekcji tego poranka, gdyby nie obecność gdzieś Greenmantle'a i nieobecność Maury. Gdyby nie Gwenllian, dłonie Blue i jaskinie pełne obietnic oraz zagrożeń. Gdyby nie to wszystko. Współistnienie dwóch światów było takie trudne.

Poranne wrony i robotnicy na rusztowaniu nawoływali się nad terenem szkoły, gdy chłopcy szli razem przez trawnik. Odgłos młotków odbijał się echem od budynków. Wymieniano część dachu. Na rusztowaniach piętrzyły się stosy dachówek.

– Spójrz – powiedział Ronan.

Podbródkiem wskazał Henry'ego Chenga stojącego z tablicą na rogu szkolnego trawnika.

– Zmień coś. Ale dopiero *po* ukończeniu szkoły – przeczytał Gansey, gdy podeszli. – Jezu, stałeś tu całą noc?

Buty Henry'ego były wilgotne od rosy, ramiona skulone z zimna, a nos wyjątkowo różowy. Jego włosy, zazwyczaj bujne i nastroszone, takie pozostały, najwyraźniej miał priorytety. W donicy za sobą zatknął kolejną tablicę z napisem „POMYŚL DOBRZE... ale nie o Aglonby”.

– Bez jaj. Stoję dopiero od szóstej. Chciałem, by oni *myśleli*, że sterczę tu całą noc.

Adam uniósł niedowierzająco brew.

– Jacy oni?

– Kadra, oczywiście – odparł Henry.

Gansey wyjął pióro z torby i starannie dorobił „i” w „Aglonby”.

– Wciąż chodzi o radę studentów?

– Zupełnie zignorowali moją petycję – oznajmił Henry. – Faszyści.

Musiałem coś zrobić. Będę tu stać, dopóki nie zgodzą się jej powołać.

– Wygląda na to, że jesteś na dobrej drodze do wywalenia – zauważył Ronan.

– I *kto* to mówi?

Adam zmrużył oczy. Coś się w nim zmieniło. A może bardzo różnił się od Henry'ego. Henry był chłopcem, a Adam...

Gansey nie wiedział kim.

– Na jakiej podstawie zignorowali petycję? – spytał Adam.

Henry odwrócił się na chwilę, by krzyknąć przez trawnik:

– Cheng Dwa, jeśli ta kawa nie jest dla mnie, przynieś mi inną! Proszę! Dziękuję! Proszę!

Drugi Cheng w oddali zasalutował mu kawą i krzyknął: „Przepraszam! Przepraszam”, zanim zniknął w jednym z budynków szkoły.

– Ani krzty honoru – mruknął Henry. Spojrzał na Adama, by mu odpowiedzieć. – Podobno powołanie i monitorowanie rady byłoby zbyt dużym obciążeniem finansowym.

– Taki powód brzmi rozsądnie – odparł Adam, spoglądając na budynki lekcyjne. – Czym w ogóle miałyby się zajmować taka rada? Ustalać menu na obiad?

Ronan parsknął nieprzyjemnie.

Cheng wzdrygnął się.

– To ty, Parrish, stanowisz część problemu – powiedział.

– Przyniosę ci kawę. – Gansey zerknął na zegarek. – Mam czas.

– Gansey... – poskarżył się Ronan.

– Spotkamy się na miejscu.

– Jesteś księciem pośród ludzi, Dicku Gansey – oznajmił Cheng.

– Raczej człowiekiem pośród książąt – mruknął Adam. – Gansey, masz siedem minut.

Gansey zostawił ich z Chengiem i skierował się do pokoju nauczycielskiego. Uczniowie raczej nie mogli swobodnie tam wchodzić, ale Gansey stanowił wyjątek z racji tego, że był rażąco faworyzowany. Wytarł buty o wycieraczkę z kawałków wilgotnej trawy i zamknął drzwi za sobą. Stara podłoga przy wejściu była wypaczona pod ciężarem tradycji i drzwi wymagały porządnego pchnięcia, by dało się je zamknąć. Gansey zrobił to odruchowo.

Pomieszczenie było oszczędnie urządzone, czuć w nim było przeciąg oraz zapach dymu z kominka i bajgli. Posiadało wszelkie wygody osobliwego więzienia: drewniane ławki przy ścianach, historyczne malowidło na gipsie, pająkowaty kandelabr pod sufitem, niewielki

wybór produktów śniadaniowych na wypaczonym starym stole. Gansey stanął przed dzbankiem z kawą. Miał to dziwne wrażenie wymykającego się czasu, jakie często dawał mu kampus, jakby zawsze stał w tej sali w starym budynku, albo *ktoś* stał, a wszystkie czasy i wszyscy ludzie byli tym samym. W tym bezkształtnym miejscu czuł szczególną wdzięczność dla Ronana i Adama, że czekają na niego na zewnątrz, dla Blue i jej rodziny, dla Noaha i Malory'ego. Był wdzięczny, że ich wszystkich znalazł.

Pomyślał o rozpadlinie w jaskini kruków.

Przez ułamek sekundy wydawało mu się, że wiedział... coś. Że znał odpowiedź.

Nie zadał jednak pytania i wrażenie się ulotniło. Nagle uświadomił sobie, że coś słyszy. Krzyk, trzask. Imię Adama...

Nie pamiętał, by podejmował decyzję, że musi się ruszyć. Jego stopy już biegły ku drzwiom.

Dziedziniec wyglądał jak scena przygotowana do wystawienia sztuki. Dwa tuziny uczniów stały na trawie, lecz nikt się nie poruszał. Powolna, błada chmura sunęła między nimi, niemrawo osiadając. Uwaga wszystkich skierowana była na zakątek trawnika, gdzie wcześniej stał Henry.

Gansey słyszał teraz imię Adama.

Ujrzał, że najwyższa kondygnacja rusztowania zwisa krzywo, a robotnicy spoglądają z dachu w dół. Na pył. To z niego składała się chmura. Z tego, co spadło z rusztowania. Z dachówek.

*Adam.*

Gansey przepchnął się przez uczniów. Najpierw zobaczył Henry'ego, później Ronana, nietkniętego, lecz obsypanego pyłem niczym ciała z Pompejów. Nawiązał kontakt wzrokowy z Ronanem – „Wszystko w porządku?” – i nie rozpoznał jego wyrazu twarzy.

Dalej był Adam.

Stał nieruchomo z rękoma przy bokach. Brodę miał wykrzywioną i spoglądał zmrużonymi oczyma w nicość. W przeciwieństwie do Ronana i Henry'ego nie był zakurzony. Gansey widział, jak jego pierś gwałtownie wznosi się i opada.

Wokół niego leżały setki roztrzaskanych dachówek. Ich fragmenty poleciały na dziesiątki metrów, wbijając się w trawę jak pociski.

Adam stał w idealnym, pustym kręgu.

Właśnie w ten krąg, w ten nieprawdopodobny krąg, wpatrywali się uczniowie. Niektórzy robili zdjęcia telefonami.

Nikt nic nie mówił do Adama. Nietrudno było to zrozumieć, bo nie

wyglądał jak ktoś, z kim można porozmawiać. Było coś bardziej przerażającego w nim niż w kręgu. Podobnie jak w samej trawie, w jego wyglądzie nie było nic nietypowego. Jednak patrząc na niego w szerszym kontekście, na tle ceglanych budynków, to... *niepasował tam*.

– Parrish – powiedział Gansey, gdy podszedł bliżej. – Adamie. Co się stało?

Adam przesunął po nim wzrokiem, lecz nie obrócił głowy. Właśnie ten bezruch sprawiał, że wydawał się tak *inny*.

Za sobą usłyszał głos Ronana:

– To zajebicie, że dla was, dupki, Instagram jest ważniejszy niż udzielenie pierwszej pomocy. Spierdalajcie.

– Nie, nie spierdalajcie – sprostował Henry. – Poinformujcie nauczyciela, że na dachu są ludzie, których trzeba pozwać.

– Rusztowanie nie wytrzymało – Adam odezwał się niskim głosem. Jego twarz zaczynała nabierać wyrazu, lecz on również był obcy, chodziło bowiem o zdumienie. – Wszystko spadło.

– Jesteś największym szczęściarzem w tej szkole – powiedział Henry. – Jak to możliwe, że nie zginąłeś, Parrish?

– To zasługa tych twoich głównianych tablic – zaczął Ronan, zdecydowanie mniej przejęty niż Gansey. – Wytworzyły główniane pole siłowe.

Gansey nachylił się, a Adam przyciągnął go bliżej, łapiąc mocno za ramię.

– Ja nie... – zaczął szeptać Ganseyowi do ucha głosem, w którym rozbrzmiewało niedowierzanie. – Ja tylko poprosiłem... Tylko *myślałem*...

– O czym myślałeś? – spytał Gansey.

Adam puścił go. Spojrzał na otaczający go krąg.

– O *tym*. I stało się.

Krąg był absolutnie idealny. Pył na zewnątrz, bez pyłu w środku.

– Ty niezwykła istota – rzekł Gansey, ponieważ nie było już nic innego do powiedzenia.

Dopiero co sądził, że te dwa światy nie mogą współistnieć, a jednak tu był Adam, należący do obydwu. Żywy, ponieważ należał do obydwu.

Serce Ganseya było niczym ziejąca rozpadlina pełna możliwości. Pełne strachu i zachwytu, zdyszane.

Ronan uśmiechnął się cierpko. Gansey rozpoznał wreszcie to, co malowało się na jego twarzy: arogancję. Przez cały czas nie bał się o Adama. Wiedział, że Cableswater go ocali. Był tego pewien.

Gansey pomyślał, że dziwnie było znać tak dobrze tych dwóch



młodych mężczyzn, a jednak nie znać ich w ogóle. Obydwaj byli znacznie trudniejsi i znacznie lepsi, niż gdy ich poznał. Czy życie ich tak zmieniło? Ukształtowało w twardsze i prawdziwsze wersje ich samych?

– Mówiłem ci – przypomniał Ronan. – Mag.

Wreszcie.

Po tylu odroczeniach, po miesiącach oczekiwania, nadszedł dzień rozprawy sądowej.

Adam wstał o takiej porze jak do szkoły, lecz zamiast włożyć mundurek, ubrał się w porządny garnitur, który za namową Ganseya kupił w zeszłym roku. Nie pozwolił wówczas, by Gansey dołożył się choćby dolarem, jednak krawat, który teraz wiązał, był prezentem gwiazdkowym od niego. Adam mógł go przyjąć, ponieważ w momencie otrzymywania daru miał już jeden krawat, nie była to więc jałmużna.

Ta zasada wydawała się z lekka głupia i pozbawiona sensu. Zastanawiał się, czy w każdym roku życia będzie się zastanawiał, jak głupi był rok wcześniej.

Zastanawiał, czy nie ubrać się dopiero po śniadaniu, by nie pobrudzić niczym garnitur, lecz to też było głupie. I tak nie zdołałby niczego zjeść.

Rozprawa zaczynała się o dziesiątej rano, długo po rozpoczęciu lekcji, lecz Adam poprosił o cały wolny dzień. Wiedział, że nie udałoby mu się ukryć powodu nieobecności przed Ganseyem i Ronanem, gdyby wyszedł po pierwszych zajęciach, a jeszcze trudniejsze by to było, gdyby wrócił zaraz po wizycie w sądzie.

Część niego żałowała, że nie idzie tam z nimi. Było to dość szokujące w świetle faktu, że kilka tygodni temu niepokoiła go sama myśl, iż Gansey mógłby cokolwiek wiedzieć o rozprawie.

Zdecydował jednak, że nie poprosi kolegów. Nie chciał, by pamiętali tę jego część. Chciał, żeby widzieli tylko nowego Adama. Persefona powiedziała mu, że nikt nie musi znać jego przeszłości, jeśli nie będzie chciał jej zdradzać.

Nie chciał.

Czekał więc, gdy Gansey, Ronan i Blue poszli do szkoły, by zwyczajnie spędzić dzień. W trakcie pierwszej lekcji siedział na skraju materaca i rozmyślał nad planem zaszantażowania Greenmantle'a. Podczas drugiej lekcji wpatrywał się w tekst do przeczytania na biologię i rozmyślał nad pustym kręgiem wokół stóp. Później pojechał do sądu.

Cabeswater go wzywało, lecz nie mógł się wycofać. Musiał tam

pójść.

Każdy krok wykonany przed rozprawą był wydarzeniem zapominanym zaraz, gdy tylko nastąpiło. Parking, wykrywacz metalu, urzędnik, tylna klatka schodowa zamiast windy, kolejny urzędnik, przelotne spojrzenie na niskie pomieszczenie z ławkami po obu stronach przejścia jak w świątyni, kościół dla spraw doczesnych, posługa dla tych, którzy twierdzą, że są niewinni.

Adam próbował się uspokoić, mówiąc sobie, że ludzie pracują tu codziennie, że nie jest to dla nich nic nadzwyczajnego, że w tym budynku nie ma nic wyjątkowego. Jednak zapach starości, pleśni, kleju, faktura wytartej wykładziny pod stopami, nierówne światło jarzeniówek na suficie – wszystko to było obce. Wszystko napierało na jego zmysły, dając do zrozumienia, że nie jest to dzień jak każdy inny. Chciał wymiotować. Albo zemdleć.

Czy ojciec był już w budynku?

Rozprawa miała odbyć się w zamkniętej sali dla spraw osób nieletnich, więc na razie przebywał w niej tylko personel: protokolanci, prawnicy i urzędnicy.

Adam analizował w głowie możliwe scenariusze. Wiedział, że gdyby przegrał, sąd nie mógłby go zmusić do powrotu do domu. Miał skończone osiemnaście lat i jakkolwiek by mu się nie wiodło, mógł żyć w oderwaniu od rodziny. Czy spoczywałoby wtedy na nim piętno chłopca, który pod fałszywym oskarżeniem zaciągnął ojca do sądu? Jakże paskudnie by to wyglądało. Jakże nikczemnie. Wyobrażał sobie ojca Ganseya interpretującego to jako rodzinne sprzeczki klas niższych. Powiedziałyby, że to dlatego ci z dołu pozostają na dole. Kłócą się między sobą i piją, siedzą cały czas przed telewizorem i polują na przeceny w Walmarcie.

Niełatwo myślało mu się też o wygranej, bo nie był pewien, co by się wtedy stało. Możliwe, że ojciec poszedłby do więzienia. Jeśli tak, to czy matka zdołałaby opłacać rachunki?

Nie powinno go to obchodzić. Nie mógł jednak przestać o tym myśleć.

Adam czuł się tak, jakby w tym dobrym garniturze kogoś udawał.

„Jesteś tylko jednym z nich, białym śmieciem między diamentami”.

Zjawił się jego ojciec.

Był w kurtce z logo jakiegoś miejscowego przedsiębiorstwa i koszulce polo swojej firmy. Adam modlił się o jakąś klarowność, o możliwość spoglądania na ojca tak, jak widzieli go inni, zamiast: „Tato? Tu Adam...”.

– Wciąż jeszcze jest czas, żebyś powiedział prawdę – zwrócił się do niego Robert Parrish.

Matka Adama nie przyszła.

Adam stracił czucie w palcach.

„Nawet jeśli przegram – pomyślał – nie będzie mógł mnie odzyskać, więc nie będzie to miało znaczenia. Muszę wytrzymać tylko tę godzinę upokorzenia i wszystko się skończy”.

Żałował, że się na to zdecydował.

– Otwieram rozprawę – rzekł sędziego.

Jego twarz była wspomnieniem, które rozmyło się w chwili, gdy Adam mrugnął.

Cabeswater skradło go na błogą sekundę, liście owiły mu się wokół gardła, po czym go puściły. Jakże rozpaczliwie Adam pragnął ucześcić się Cabeswater. Choć las był dziwny, znał go i wiedział, że jest po jego stronie.

Źle zrobił, przychodząc tu sam. Dlaczego przejmował się tym, czy Gansey i Ronan to zobaczą? Już to wiedzieli. Wiedzieli o nim wszystko. Jakim kłamstwem była ta jego *niepoznawalność*. Jediną osobą, która nie znała Adama, był on sam.

„Ależ ty byłeś dumnym idiotą, Adamie Parrish”.

– Czy są w tej sprawie jacyś świadkowie? – spytał sędziego.

Nie było.

Adam nie spojrzał na ojca.

– A więc możemy rozpocząć.

Od strony urzędnika obok sędziego dobiegło syknięcie: głos z jego interkomu. Urzędnik nachylił głowę, by posłuchać, po czym odmruknął coś do głośnika w odpowiedzi. Podszedł do sędziego i powiedział:

– Wysoki sędzio, urzędnik Myley mówi, że przed salą znajdują się jacyś świadkowie w tej sprawie, jeśli nie jest za późno, by weszli.

– Drzwi są już zamknięte, czy tak?

– Zgadza się.

Sędzio zerknął na zegarek.

– Na pewno przyszli w sprawie Parrisha?

– Urzędnik Myley wydaje się tak sądzić.

Sędzio uśmiechnął się do własnych myśli. Był to stary dowcip, który rozumieli tylko nieliczni.

– Daleki jestem od tego, by mu nie wierzyć. Niech wejdą, a ja zdecyduję, czy ich dopuścić.

Adam ponuro zastanawiał się, którzy z sąsiadów przyszli ojcu z pomocą.

„Za godzinę to wszystko się skończy. Nigdy już nie będziesz musiał tego robić. Musisz jedynie wytrwać”.

Drzwi się otworzyły. Adam nie chciał spoglądać, ale mimo wszystko to zrobił.

W korytarzu stał Richard Campbell Gansey III w swoim szkolnym mundurku, płaszczu, szaliku i rękawiczkach, wyglądając jak przybysz z innego świata. Za nim widać było Ronana Lyncha, który choć raz zawiązał prawidłowo krawat i wsunął koszulę w spodnie.

We wnętrzu Adama upokorzenie ścierało się z radością.

Gansey kroczył między rzędami, obserwowany przez ojca Adama. Podszedł prosto do stołu i zatrzymał się przed sędzią. Adam widział teraz, że trochę brakowało mu tchu. Podobnie jak Ronanowi, który stanął obok. Musieli biec.

Dla niego.

Gansey zdjął prawą rękawiczkę i uścisnął dłoń sędziemu.

– Panie sędzio Harris – powiedział ciepło.

– Panie Gansey – odrzekł sędzia Harris. – Czy znalazł już pan tego swojego króla?

– Jeszcze nie. Czy skończył już pan ten taras? – zapytał w odpowiedzi.

– Jeszcze nie – odparł Harris. – Jaki ma pan interes w tej sprawie?

– Obecny tutaj Ronan Lynch był świadkiem zdarzenia – wyjaśnił Gansey. – Pomyślałem, że jego relacja może okazać się wartościowa. Ja zaś przyjaźnię się z Adamem, odkąd znalazłem się w Henriecie, i cieszę się, że ta nieszczęsna sprawa wreszcie znajdzie finał. Chciałbym być świadkiem moralności, jeśli to możliwe.

– To brzmi rozsądnie – powiedział Harris.

– Sprzeciw! – zawołał Robert Parrish.

Gansey obrócił się do Adama. Wciąż miał na twarzy tę królewską minę Richarda Campbella III, białego rycerza, lecz jego wzrok wyrażał niepewność. „Czy to w porządku?”.

Czy to było w porządku? Adam odrzucił już tak wiele propozycji pomocy ze strony Ganseya. Pieniądze na szkołę, pieniądze na żywność, pieniądze na czynsz. „Litość i jałmużna” – myślał Adam. Tak długo pragnął, by Gansey postrzegał go jako równego sobie, lecz możliwe, że przez cały czas jedyną osobą, która musiała to dostrzec, był sam Adam.

Teraz widział, że Gansey nie daje jałmużny. Oferował jedynie *prawdę*.

I coś więcej: niewzruszoną przyjaźń. Taką, na którą można przysięgać. Która może zostać naciągnięta niemal do punktu zerwania,

a następnie stać się jeszcze silniejsza niż wcześniej.

Adam wyciągnął prawą dłoń i Gansey uchwycił ją w uścisku, jakby byli mężczyznami, ponieważ *byli* mężczyznami.

– W porządku – stwierdził Harris. – Rozpocznijmy rozprawę.

Adam zwykle nie brał ze sobą nikogo, gdy wykonywał zadania dla Cabeswater. Ufał swoim umiejętnościom. Ufał swoim *emocjom*. W pustym pomieszczeniu nie mógł nikogo skrzywdzić. Nikt nie mógł skrzywdzić jego.

Był niepoznawalny.

Rzecz w tym, że nie.

Gdy więc w końcu zdecydował się zrobić to, co Cabeswater zleciło mu przed kilkoma tygodniami, poprosił Blue Sargent, by z nim pojechała. Nie powiedział jej tego, w razie gdyby miało z tego nic nie wyjść, ale wydawało mu się, że jeśli weźmie ją ze sobą, Cabeswater pomoże im odnaleźć Maurę.

Teraz czekał w samochodzie na poszarzałej stacji benzynowej za Henriettą. Nie potrafił stwierdzić, czy pulsowanie w dłoniach to rytm jego serca, czy linii mocy.

– Wiem, o co ci chodzi – powiedział Noah z tylnego siedzenia.

Wisiał na zagłówku fotela pasażera niczym sweter, w którym wciąż znajdowało się ciało. Adam niemal zapomniał o jego obecności, ponieważ go nie zapraszał. Nie dlatego, że sobie nie życzył, lecz Noah był martwy i trudno było liczyć na to, że martwi pojawią się o ustalonej porze.

– Czy właśnie odpowiedziałeś na moje myśli?

– Nie sędzę.

Adam nie pamiętał, czy mówił na głos. Chyba nie.

Samochodem zakołysało, gdy szosą obok przetoczyła się ciężarówka. Wszystko w tej okolicy sprawiało wrażenie zużytego. Stacja benzynowa była reliktem sprzed paru dekad – z cynowymi szyldami w oknach i kurczakami na sprzedaż z tyłu. Budynki gospodarstwa po drugiej stronie drogi były wyblakłe, lecz czarujące, jak przyzółcona gazeta.

Przejrzał w myślach szczegóły szantażu Greenmantle'a. Musiał być niezawodny. Nie powiedział Ganseyowi, nie powiedział Blue. Przekonał do niego Ronana i wtajemniczył Szarego Mężczyznę, lecz w ostatecznym rozrachunku wszystko spadnie na niego, jeśli Greenmantle wybuchnie im w twarz.

– Myślę, że to już gotowe – rzekł Noah.

– Przestań. Aż mam ciarki.

Zerknął na Noaha w lusterku wstecznym i pożałował tego, bo martwy chłopiec był straszniejszy jako odbicie. Wyglądał znacznie mniej żywo.

Noah wiedział o tym i odsunął się poza pole widzenia lusterka.

Z zewnątrz samochodu dobiegł głos Blue:

– Jak by się pan poczuł, gdybym *pana* zredukowała do nóg?

Adam i Noah wykrzywili szyje, by spojrzeć przez tylną szybę.

– Nie – odezwała się znów Blue. – Nie. Może spojrzysz pan na to z *mojej* strony? Może nie będzie pan redukował mnie do towaru, a gdy poproszę, by pan tego nie robił, nie będzie mi pan mówił, że to komplement i że powinnam się z tego *cieszyć*?

Usta Noaha wykrzywiły się w kształt „Oooo”.

– Jasne – zgodził się Adam, wysiadając.

Blue stała kilka kroków dalej. Miała na sobie obszerny T-shirt, turkusowe szorty, wojskowe buty i skarpetki za kolana. Widoczne było jedynie dziesięć centymetrów skóry, lecz naprawdę ładne dziesięć centymetrów.

– Młoda damo – odezwał się starszy mężczyzna w czapce z daszkiem – pewnego dnia będziesz dobrze wspominać chwile, gdy ludzie mówili ci, że masz ładne nogi.

Adam przygotował się na eksplozję.

Dynamit wybuchł, siekając wokoło gwoździemi.

– Dobrze wspominać? Och, *chciałabym* być taką ignorantką jak pan! Jakież to szczęście! Wiele dziewczyn *zabija* się z powodu krytycznej opinii o swoim ciele, a *pan*...

– Jakiś problem? – wtrącił się Adam.

Mężczyzna wyglądał, jakby poczuł ulgę. Ludzie zawsze cieszyli się na widok czystego, łagodnego Adama i jego uprzejmego południowego głosu rozsądka.

– Twoja dziewczyna to niezła petarda.

Adam wpatrywał się w mężczyznę. Blue wpatrywała się w Adama.

Chciał powiedzieć jej, że to nie było tego warte, że dorastał w otoczeniu takich ludzi i że byli niereformowalni, lecz wtedy zapewne rzuciłaby Adamowi termosem w głowę i uderzyła tamtego faceta w twarz. Było dziwne, że nie dogadywała się lepiej z Ronanem, ponieważ choć byli różni, to ulepieni z tej samej gliny.

– Proszę pana – zaczął Adam. Blue nastroszyła brwi. – Wydaje mi się, że mamusia nie nauczyła pana, jak rozmawiać z kobietami.

Starszy mężczyzna pokręcił głową w stronę Adama, jakby z litością.



– A, i ona nie jest moją dziewczyną – dodał chłopak.

Blue spojrzała na niego z wyraźnym uznaniem, po czym wsiadła do samochodu, z takim dramatyzmem trzaskając drzwiami, że nawet Ronan by to docenił.

– Posłuchaj, dzieciaku... – zaczął mężczyzna.

– Ma pan otwartą klapkę wlewu – przerwał mu Adam.

Wsiadł do swego małego, gównianego samochodu, który Ronan nazywał Hondayotą. Czuł się bezpodstawnie bohaterski. Blue słusznie gotowała się, gdy wyjeżdżali ze stacji. Przez kilka chwil nie było słyhać nic poza znojnymi odgłosami małego samochodu.

– Naprawdę masz ładne nogi – powiedział nagle Noah.

Blue zamierzyła się na niego. Adam roześmiał się bezradnie i również oberwał w ramię.

– Kupiłaś chociaż wodę? – spytał.

Zachlupotała termosem, by zademonstrować zwycięstwo.

– Wzięłam też kawałek gagatu. Podobno stanowi ochronę podczas wieszczenia.

– Będziemy wieszczyć? – Noah aż usiadł prosto.

– Cabeswater mówi jednym językiem, a ja innym – wyjaśnił Adam. – Odczyt kart daje mi ogólne pojęcie, o co chodzi. Trudniej jest jednak uzyskać konkretne szczegóły, jak naprawić przepływ. Właśnie dlatego wieszczę. Ciągle tak robię. Kwestia skuteczności, Noahu.

– Skuteczny sposób na to, by siły *czystego zła* skradły ci obnażoną duszę, owszem – stwierdził Noah.

Blue wymieniła spojrzenia z Adamem.

– Nie wierzę w czyste zło.

– Nie obchodzi go, czy w nie wierzysz – stwierdził Noah.

Obróciła się w jego stronę.

– Nie lubię ci wypominać, gdy przyprawiasz mnie o ciarki, ale teraz to robisz.

Martwy chłopiec zapadł się jeszcze bardziej w siedzenie. Powietrze ogrzało się nieznacznie.

– On już mnie dzisiaj oskarżał o ciarki.

– Powiedz mi coś więcej o tym naprawianiu przepływu – odezwała się Blue do Adama. – Powiedz, *dlaczego* masz to robić.

– Nie rozumiem, jakie to ma znaczenie.

Wydała z siebie odgłos świadczący o silnym rozdrażnieniu.

– Nawet abstrahując od wszelkich rozważań natury duchowej albo mitologicznej, czy też czegokolwiek, co cokolwiek oznacza, manipulujesz tym ogromnym źródłem energii, które wydaje się

komunikować z tobą bezpośrednio w twojej głowie za pośrednictwem innego języka. Dla mnie to coś, na temat czego – na twoim miejscu – miałabym mnóstwo pytań!

– Nie chcę o tym rozmawiać.

– Ale ja chcę. Jedziesz taki kawał drogi, a nawet nie pytasz po co?

Adam nie odpowiedział, ponieważ odpowiedź nie byłaby uprzejma. Jego milczenie miało chyba gorszy efekt.

– Jeśli nie chcesz rozmawiać – warknęła – to nie wiem, po co spytałeś, czy chcę z tobą pojechać.

– Może nie trzeba było.

– Jasne, po co brać ze sobą kogoś, kto *myśli!*

Powstrzymał się z ripostą, choć z wysiłkiem. Z odrobiną drutu kolczastego w głosie powiedział:

– Po prostu chcę mieć to *zrobione*.

– To mnie tu wysadź. Wrócę na *piechotę*.

Nadepnął hamulec.

– Nie myśl sobie, że tego nie zrobię.

– No to zrób! – Trzymała już dłoń na klamce.

– E j – wyjęczał Noah.

Najgorszą i najlepszą cechą Blue Sargent była szczerość. Gdyby teraz się zatrzymał, naprawdę wróciłaby do Henrietty na *piechotę*. Spojrzał na nią krzywo. Ona odpowiedziała podobnym spojrzeniem.

„Nie kłóć się z Blue. Nie kłóć się z Ganseyem”.

Westchnął i znów przyspieszył.

Blue uspokoiła się i włączyła radio.

Adam nie zdawał sobie sprawy, że jego starożytny kaseciak w ogóle działał, ale po kilku sekundach szmerów ze znajdującej się w środku taśmy rozbrzmiała melodia. Noah natychmiast zaczął śpiewać.

– I raz, i plask, i dwa, i plask...

Adam sięgnął do radia w tej samej chwili co Blue. Kasetka wyskoczyła z taką siłą, że Noah wyciągnął dłoń, by ją złapać.

– Ta *piosenka*. Skąd *ona* się wzięła w twoim odtwarzaczu? – dopytywała Blue. – Słuchasz jej, by się zrelaksować? Jak wyciekła z internetu?

Noah zarechotał i pokazał im kasetę. Miała na sobie ręcznie wykonaną etykietę zapisaną ręką Ronana: PARRISH SAM W HONDAYOCIE. Na drugiej stronie widniało: ŚPIEWAJ W SZAMBOWOZIE.

– Włącz to! Włącz to! – wołał wesoło Noah, wymachując taśmą.

– Zabierz to od niego – polecił Adam Blue.

Przed nimi pojawił się wjazd na Skyline Drive. Tym razem Adam był gotowy i gdy podjechali bliżej, otworzył portfel. W środku miał piętnaście dolarów.

– Mój wkład – rzekła Blue, podając piątkę.

Przez chwilę panowało milczenie.

Wziął.

Przy okienku wymienił ich połączone fundusze na mapę, którą podał Blue. Gdy podjechał na parking tuż za wjazdem, sprawdził, czy jego duma nie uznała uszczerbku, i z zaskoczeniem stwierdził, że nie.

– To odpowiednie miejsce? – spytała. – Potrzebna ci była mapa za piętnaście dolarów?

– Zaraz będę wiedział – odparł Adam. – Możemy wyjechać.

Przed nimi teren opadał gwałtownie do bezdennego parowu, z tyłu zaś wznosiły się ciemne góry. W powietrzu krążyły miłe i niebezpieczne aromaty dymu z płonącego drewna. Gdzieś w tych jesiennych górach musiało się coś palić. Adam mrużył oczy, dopóki nie odnalazł źródła dymu, który otulał odległy szczyt. Z tej odległości wydawał się bardziej magiczny niż groźny.

Blue i Noah nudzili się, gdy Adam wyciągał karty tarota. Ustawił stopy tak, by lepiej czuć puls linii, po czym położył przypadkową kartę na ciepłej masce samochodu. Jego spojrzenie przemknęło po obrazku – czarnym, rozmytym rycerzu na końskim grzbiecie, trzymającym laskę oplecioną winoroślami – i zaczęło przekształcać go w coś sennego, pozbawionego słów. Wzrok został zastąpiony wrażeniem. Przyprawiającym o zawroty głowy wrażeniem podróży, wspinaczki i celowości tej wyprawy.

Zakrywał obrazek dłonią, dopóki nie odzyskał władzy nad oczyma, a następnie odłożył kartę.

– Rycerz buław? – spytała go Blue.

Adam już nie pamiętał, jaka to była karta.

– Naprawdę?

– I kto teraz przyprawia nas o ciarki? – zapytał Noah.

Adam zarzucił sobie plecak i ruszył w stronę początku szlaku.

– Chodźcie. To tędy.

Kamienisty, wąski szlak był zasypany rozkładającymi się liśćmi. Teren opadał gwałtownie po jednej stronie i równie stromo wznosił się po drugiej. Adam niezwykle silnie odczuwał obecność wielkich głazów wyrastających ze ścieżki. Pod osłoną z porostów koloru mięty kamienie wydawały się chłodne i żywe – jak dzicy przewodnicy linii mocy. Chłopak prowadził Noaha i Blue pod górę, dopóki nie dotarli do

rumowiska. Wtedy zszedł ze szlaku i wspinał się wzdłuż gładów, odnajdując podpory na wystających kamieniach i odsłoniętych gałęziach. Wielkie niebieskie głązy były rozrzucone po sobie, jakby olbrzym zostawił tam swoje figurki.

„Tak, to tutaj”.

Zajrzał do szczeliny wielkości człowieka.

– Węże? Gniazdo? Niedźwiedzie? – dopytywała się Blue.

– Park narodowy pod ochroną – oznajmił z mroczną wesołością Noah, po czym dodał z niespodziewanym męstwem: – Wejść pierwszy. Nic mi nie zrobią.

Gdy wślizgiwał się do środka, był smugowaty i niematerialny. Zapadła cisza.

Blue zmrużyła oczy, zaglądając do wnętrza.

– Noahu?

Ze szczeliny dobiegł donośny szelest. Nagle z wyjścia wypadł wielki kłęb dębowych liści, strasząc Blue i Adama.

Po chwili pojawił się Noah. Wyciągnął cztery i pół liścia z nastroszonych włosów Blue i zdmuchnął parę drobinek z nosa Adama.

– Jest bezpiecznie.

Adam cieszył się, że ma ich ze sobą.

Wewnątrz było ciemniej, lecz jedynie trochę, ponieważ światło dobiegało nie tylko z zewnątrz, lecz także z dołu, gdzie głązy nie przylegały ściśle do siebie. Na środku niewielkiej przestrzeni znajdował się duży kamień wielkości biurka albo ołtarza. Powierzchnię miał wytartą i był wklęsły.

Przypomniał go sobie lub rozpoznał z wizji w garażu.

Poczuł lekkie drżenie nerwów, oczekiwanie. Dziwnie było działać w czyjejs obecności. Nie do końca wiedział, jak cała procedura wygląda z zewnątrz.

– Nalej tam wody, Blue.

Blue przejechała dłonią po gładzie, by zgarnąć żwir. Wyciągnęła z kieszeni czarny kamień i położyła go we wgłębieniu, po czym powoli wypełniła je wodą.

Powierzchnia płytkiego zbiornika odbijała ciemny strop.

Noah odsunął się daleko, pilnując, czy nie widać jego odbicia. Jego strach wysysał ciepło z otoczenia. Blue wyciągnęła ku niemu dłoń, lecz pokręcił głową.

Została więc przy Adamie, dotykając jego ramienia swoim, i Adam uznał, że to również go cieszy. Nie pamiętał, kiedy ostatnio ktoś go dotykał, lecz świadomość bliskości dziewczyny w dziwny sposób go

uspokajała. Po chwili uświadomił sobie, że może być to częściowo podyktowane zdolnościami Blue, która wzmacniała jego więź z Cableswater.

Spojrzeli w wodę. Adam robił to już wcześniej, lecz nigdy w taki sposób, w otoczeniu głązów. Czuł się, jakby towarzyszył im ktoś jeszcze. Nie chciał przyznać, że strach wywoływał w nim już sam ciemny zbiornik, zanim jeszcze wydarzyło się cokolwiek nadnaturalnego. Milczeli przez kilka minut.

– Odebrałam to tak, jakby ktoś ci powiedział: „Fajny sweter, stary!”, a ty byłbyś w mundurku Aglionby – wyszeptała w końcu Blue.

– C o takiego?

– Chciałam, byś wiedział, dlaczego tak się wściekłam na tamtego starszego gościa na stacji. Próbowałam wymyślić, jak to wyjaśnić. Wiem, że nie rozumiesz. Jednak dlatego to zrobiłam.

To prawda, nie rozumiał zamieszania na stacji benzynowej, poza faktem, że Blue to poruszyło. Nie lubił, gdy coś ją tak irytowało. Miała jednak rację co do swetra. Ludzie cały czas zakładali różne rzeczy na podstawie swetra Aglionby. Sam też tak robił.

– Rozumiem – odszepnął. Nie był pewien, dlaczego szeptali, ale czuł się lepiej. Zwyczajnie. To oni kontrolowali tu sytuację. – To uproszczenie.

– Właśnie. – Odetchnęła głęboko. – No dobrze. Co teraz?

– Zjrzę do środka i się skoncentruję – wyjaśnił Adam. – Mogę odpłynąć.

Noah jęknął.

Blue była jednak praktyczna:

– Co mamy zrobić, jeśli odpłyniesz?

– Nie sądzę, byście powinni cokolwiek robić. Nie mam pojęcia, jak to będzie wyglądać z zewnątrz. Działajcie po prostu wedle własnego rozeznania, jeśli coś pójdzie nie tak.

Noah otulił się rękoma.

Nachyliwszy się nad powierzchnią, Adam zobaczył swą twarz. Dopóki nie poszedł do liceum, nie dostrzegął, że wygląda inaczej niż inni. Nie wiedział, czy wygląda dobrze, czy źle, a tylko że inaczej. Pozostawało kwestią interpretacji, czy jego nietypowa twarz jest piękna, czy brzydka.

Zaczekał, aż jego rysy znikną, rozmyją się we wrażenie. Widział tylko twarz pokrytą pyłem z Henrietty, z wąskimi ustami o opuszczonych kącikach. Żałował, że nie wygląda jak mieszanka genów rodziców.

– Chyba nie działa – rzekł.

Blue nie odpowiedziała i po zaledwie chwili Adam uświadomił sobie, że jego usta nie poruszają się w odbiciu, gdy mówi. Widział jedynie wpatrującą się w niego własną twarz o brwiach uniesionych w wyrazie podejrzliwości i zatroskania.

Myśli kłębiły się w nim, a powierzchnia wody się zamgliła. Ludzie byli tacy powtarzalni: raz za razem przeżywali te same powolne cykle radości i smutku, nigdy nie wyciągając z tego nauczki. Każda lekcja we wszechświecie musi być powtórzona miliardy razy, a i tak nie trafia na podatny grunt.

„Jakże jesteśmy zarozumiali – pomyślał Adam – powołując na świat dzieci, które nie potrafią chodzić, mówić ani jeść. Jakże jesteśmy pewni, że nic ich nie zniszczy, zanim same będą potrafiły o siebie zadbać”. Jakże były delikatne, jak łatwo było je porzucić, zaniedbać, bić i nienawidzić. Drapieżniki rodziły się wystraszone.

Nie był świadom, że urodził się wystraszony, szybko się jednak tego dowiedział.

Może to dobrze, że świat zapominał każdą lekcję, każde dobre i złe wydarzenie, każdy triumf i porażkę, wszystko to umierało wraz z kolejnymi pokoleniami. Być może ta kulturowa amnezja pozwalała im wszystkich oszczędzić. Może gdyby wszystko pamiętali, umierałaby nadzieja.

„Poza tobą” – przypomniał mu głos Persefony.

Trudno było się od tego oderwać. Pozostawanie w obrzeżach własnego wnętrza dawało wrażenie dziwnej i ohydnej wygody.

Z wysiłkiem przywołał Cabeswater. Zaczął badać w umyśle pole energii. Gdzieś musiało być jakieś rozdarcie, rozejście, nieprawidłowość, którą mógł naprawić.

I było. Daleko wzdłuż linii mocy strumień energii był rozerwany. Gdy się skupił, zobaczył nawet dlaczego: w zboczach górskim wycięto drogę, usuwając skałę i zakłócając naturalny bieg linii mocy. Teraz energia rozkładała się nierówno, przeskakując nad i pod drogą. Gdyby Adamowi udało się zmienić układ kilku naładowanych gładów na szczycie tej góry, doprowadziłoby to do reakcji łańcuchowej, dzięki której linia w końcu skierowałaby się pod ziemię, pod szosę, a poszarpane końce znów by się połączyły.

– Dlaczego chcesz, abym to zrobił? – spytał. – *Rogo aliquem aliquid.*

Nie spodziewał się tak naprawdę odpowiedzi, usłyszał jednak wypowiedziany bełkot, niezrozumiały, z wyjątkiem jednego słowa: Greywaren.

Ronan bez wysiłku posługiwał się językiem Cabeswater. Adamowi przychodziło to z ogromnym trudem.

Jednak nie na dziedzińcu Aglionby. Wówczas nie musiał się trudzić. *Nie istniał* wtedy język. Byli tylko on i Cabeswater.

– Nie Ronan – powiedział Adam. – Ja. To ja to robię dla ciebie. Powiedz *mi*. Pokaż *mi*.

Zalały go obrazy. Połączenia błyskające elektrycznością. Żyły. Korzenie. Rozdzielające się błyskawice. Dopływy. Odgałęzienia. Pnącza wijące się wokół drzew, stada zwierząt, zlewające się ze sobą krople wody.

„Nie rozumiem”.

Palce splotły się ze sobą. Ramię dotknęło ramienia. Pięść uderzyła o pięść. Dłoń podniosła Adama z ziemi.

Cabeswater szaleńczo przetrząsało wspomnienia Adama i wyświetlało je w jego umyśle. Bombardowało go obrazami Ganseya, Ronana, Noaha i Blue tak szybko, że Adam nie był w stanie wszystkich ujrzeć.

Nagle po świetle rozlała się siatka błyskawic, podświetlona sieć energii.

Dotąd Adam nie rozumiał, lecz nagle wszystko pojał.

Istniało więcej niż jedno Cabeswater.

Ile? Nie wiedział. W jakim stopniu było żywe? Czy *myślało*, umierało, było obce, dobre, słuszne? Nie wiedział. Był jednak pewien, że istniało więcej niż jedno i wyciągało palce, jak tylko mogło, by dotrzeć drugiego.

Adam coraz bardziej uświadamiał sobie wielkość świata i nie był pewien, czy zdoła ją ogarnąć. Był tylko chłopcem. Czy powinien to wszystko wiedzieć?

Już zmienili Henriette, budząc linię mocy i wzmacniając Cabeswater. Jak będzie wyglądał świat, jeśli przebudzi się na nim więcej lasów? Czy rozpadnie się na skutek trzeszczącej elektryczności i magii, czy też było to jedynie wychylenia wahadła, wynik setek lat snu?

Ilu królów spało?

„Nie potrafię tego zrobić. To zbyt wiele. Nie zostałem do tego stworzony”.

Nagle zalały go wątpliwości. Były niczym istota, miały ciężar, ciało, nogi...

„Co?” – Adamowi wydawało się, że wypowiedział to na głos, lecz nie do końca pamiętał, w jaki sposób *robienie* tego różniło się od *wyobrażania*. Odszedł zbyt daleko od swego ciała.

Znów poczuł, jak ta wąpiąca istota do niego sięga, jak do niego mówi. Nie wierzyła, by dysponował tu mocą. Wiedziała, że tylko udawał.

Adam wolno wydobywał z siebie słowa. „Czy jesteś Cableswater? Jesteś Glendowerem?”. Słowa nie wydawały się jednak odpowiednim środkiem wyrazu w tym miejscu. Były przeznaczone dla ust, a on ich już nie posiadał. Rozciągał się na cały świat i nie mógł znaleźć drogi powrotnej do jaskini. Znajdował się w oceanie, tonął, pogrążał w ciemności. Był sam, nie licząc tej istoty, i czuł, że go nienawidziła, ale i go pragnęła, bądź jedno i drugie naraz. Chciał ją ujrzeć, choć było to najgorsze, co mogło się stać.

Adam miotał się w czerni. Wszystkie kierunki wyglądały tak samo. Coś pełzło mu po skórze.

Był w jaskini. Klęczał. Strop znajdował się nisko i stalaktyty dotykały jego pleców. Gdy wyciągnął rękę, by dotknąć ściany, wydawała się rzeczywista pod palcami. A może to ona była rzeczywista, a on nie.

„Adam”.

Obrócił się w stronę głosu. Dobiegał od kobiety, którą rozpoznawał, lecz nie potrafił jej nazwać. Był zbyt daleko od swoich myśli.

Choć miał pewność, że to jej głos, nie spoglądała na niego. Klęczała w jaskini obok niego. Zauważył brwi zmarszczone w wyrazie skupienia i pięść przyłożoną do warg. Obok niej klęczał mężczyzna, lecz wszystko w jego patykowatym, zgiętym ciele sugerowało, że nie porozumiewał się z kobietą. Oboje pozostawali w bezruchu naprzeciwko drzwi wprawionych w skałę.

„Adamie, idź”.

Drzwi powiedziały mu, by ich dotknął. Opisały zadowolenie płynące z przekręcenia klamki dłonią. Obiecały zrozumienie wypełniającej go czerni, jeśli je otworzy. Pulsowały w nim głodem, coraz silniejszym pożądaniem.

Nigdy niczego tak bardzo nie pragnął.

Znajdował się przed nimi. Nie pamiętał, by pokonał dzielącą go od nich odległość, lecz w jakiś sposób musiał to zrobić. Drzwi były ciemnoczerwone i rzeźbione w korzenie, węzły oraz korony. Klamka była błyszcząco czarna.

Tak bardzo oddalił się od swego ciała, że nie potrafił sobie wyobrazić, jak w ogóle zacząć powrót.

„Drzwi potrzebują trojga, by się otworzyć”.

„Idź”.

Adam przykucnął bez ruchu, opierając palce o kamień, czując strach



i pożądanie.

Czuł, że gdzieś w oddali jego ciało się starzeje.

„Adamie, idź”.

„Nie mogę – pomyślał. – Zgubiłem się”.

– Adamie! „Adamie. Adamie Parrish”.

Przebudził się w ogromnym bólu. Twarz wydawała mu się mokra, dłoń mokra, żyły nabrzmiące od krwi.

– Dlaczego zraniłaś go tak głęboko?! – zawołał Noah.

– Nie *mierzylałam*! – odparła Blue. – Adam, ty gnojku, powiedz coś!

Z powodu bólu każda możliwa odpowiedź stawała się paskudniejsza, niż okazałaby się bez niego. Zamiast coś powiedzieć, syknął i szarpnięciem poderwał do pozycji siedzącej, ściskając jedną dłońią drugą. Powoli zaczynał orientować się w otoczeniu, bo zdążył już zapomnieć, że zeszli między te głazy. Noah przycupnął tuż obok, spoglądając na Adama. Blue stała kawałek za nim.

Elementy zaczynały wracać na swoje miejsca. Był bardzo świadom swoich palców, ust, skóry, oczu i siebie. Nie pamiętał, by kiedykolwiek tak się cieszył, że jest Adamem Parrishem.

Skupił wzrok na różowym nożu technicznym w dłoni Blue.

– Zraniłaś mnie? – spytał.

Noah opuścił z ulgą ramiona, słysząc jego głos.

Adam przyjrzał się swojej dłoni. Na jej grzbiecie widniało ostre cięcie. Krwawiło obficie, lecz nie bolało zbyt, jeśli nie ruszał ręką. Nóż musiał być bardzo ostry.

Noah dotknął krawędzi rany lodowatymi palcami i Adam go odtrącił. Starał się przypomnieć sobie wszystko, co mówił głos, lecz słowa wymykały mu się niczym sen.

Czy to w ogóle były słowa? Dlaczego wydawało mu się, że to były słowa?

– Nie wiedziałam, co innego zrobić, by ściągnąć cię z powrotem – przyznała Blue. – Noah powiedział, by cię zranić.

Nie wiedział, co myśleć o tym nożu. Wydawał się odzwierciedlać inną część Blue, część, o której istnieniu nie wiedział. Zmęczonym umysłem starał się dopasować to do reszty niej.

– Dlaczego mi *przerwałaś*? Co takiego robiłem?

Powiedziała: „Nic” w tym samym momencie, w której Noah rzekł: „Umierałeś”.

– Twoja twarz zrobiła się jakby pusta – ciągnęła. – A potem oczy po prostu... zamarły. Nie mrugały. Nie poruszały się. Próbowałam ściągnąć cię z powrotem.

– A później przestałeś oddychać – dodał Noah. Odsunął się w stronę jego nóg. – *Mówiłem* ci. Mówiłem, że to zły pomysł, ale nikt mnie nie słucha. „Och, będzie dobrze, Noahu, jesteś takim czarnowidzem”, a potem odkrywasz, że jesteś o włos od śmierci. Nikt nigdy nie mówi: „Noahu, wiesz co, miałaś rację, dzięki za uratowanie życia, bo to niefajnie być martwym”. Wszyscy zawsze...

– Wystarczy – przerwał Adam. – Próbuję sobie przypomnieć wszystko, co się stało.

Był tam ktoś ważny... troje... drzwi... kobieta, którą rozpoznał...

Wszystko mu się wymykało. Wszystko poza grozą.

– Następnym razem pozwolę ci umrzeć – powiedziała Blue. – Adamie, kiedy pozujesz na takiego wyjątkowego, zapominasz, gdzie się wychowywałam. Czy wiesz, co się mówi, gdy ktoś pomaga ci podczas rytuału lub odczytywania? Mówi się: dziękuję. Nie powinieneś być nas zabierać, jeśli chciałeś to zrobić sam.

Przypomniał sobie: zgubił się.

Co oznaczało, że gdyby przyszedł tu sam, byłby teraz martwy.

– Przepraszam – rzekł. – Byłem trochę fiutem.

– Nie chcieliśmy tego mówić – odparł Noah.

– Ja chciałam – stwierdziła Blue.

\*\*\*

Wspięli się na szczyt góry i pod prażącym słońcem odnaleźli głazy, które Adam widział w misie wróżebnej. Musieli połączyć siły, by przesunąć kamienie choćby o kilkanaście centymetrów. Adam nie wiedział, jak i tutaj poradziłyby sobie bez pomocy. Być może robił to źle i istniał inny, bardziej odpowiedni dla maga sposób.

Zostawił na głazie krwawe odciski palców, lecz mimo to odczuwał satysfakcję.

„Byłem tu. Istnieję. Żyję, bo krwawię”.

Nie przestał odczuwać wdzięczności za swoje ciało.

„Witajcie, dawniej spierzchnięte dłonie Adama Parrisha. Cieszę się, że was mam”.

Wiedzieli, w którym momencie naprawili ustawienie, ponieważ Noah powiedział: „Ach!” i wyciągnął palce w górę. Stał na tle jasnego nieba i choć przez kilka minut nie było różnicy pomiędzy nim a Blue i Adamem. Niczym nie różnił się od w pełni żywej osoby.

W podmuchach wiatru Noah kumpelsko objął jednym ramieniem Blue, drugim Adama i przyciągnął ich do siebie. Zachwiali się w kierunku szlaku. Ręka Blue otaczała plecy Noaha, a jej palce chwyciły koszulkę Adama, stali więc niczym jedna istota, upojony sześciopali.

stwór. Dłoń Adama pulsowała zgodnie z rytmem jego serca. Być może miał wykrwawić się na śmierć w drodze powrotnej na dół, lecz to mu nie przeszkadzało.

Nagle, z Noahem u boku i Blue kawałek dalej, dzięki sile trójki osób, Adam przypomniał sobie kobietę, którą widział w misie.

Wiedział już, kim była.

– Blue – powiedział. – Widziałem twoją matkę.

To jedno z moich ulubionych miejsc – wyznała Persefona, bujając fotelem na biegunach za pomocą bosych stóp. Włosy opadały jej na ramiona. – Tak tu przytulnie.

Adam przysiadł na poręczy bujanego fotela obok niej. Nie za bardzo mu się tu podobało, lecz nie mówił tego na głos. Poprosiła go o spotkanie tutaj, a dotąd niemal nigdy nie decydowała, gdzie mają się spotykać. Pozostawiała to jemu i zawsze traktował to jak sprawdzian.

Był to dziwny stary sklep wielobranżowy z rodzaju takich, które zniknęły wszędzie indziej, lecz wciąż zdarzały się w Henriecie i okolicach. Od zewnątrz zwykle wyglądały jak ten: szeroki niski ganek pełen bujanych foteli ustawionych w stronę drogi, oznaczony koleinami żwirowy parking, w oknach szyldy zachęcające do zakupów i reklamujące papierosy. W środku zwykle można było kupić gotowe produkty spożywcze nieznanymi markami, T-shirty, których Adam nigdy by nie włożył, artykuły wędkarskie, zabawki z poprzedniej dekady, a czasami i wypchaną głowę jelenia. Takie miejsca były według wieśniaka Adama pełne ludzi, których uważał za jeszcze bardziej wieśniackich od siebie.

Gansejowi by się tu chyba jednak spodobało. W takich przybytkach czas wydawał się nie mieć znaczenia, zwłaszcza w takie wieczory jak ten, gdy światło przesącza się przez liście, szpaki nawołują się z ciasno zawieszonych kabli telefonicznych, a starzy mężczyźni mijają się powoli w starych ciężarówkach. Wszystko wyglądało, jakby nie zmieniło się od dwudziestu lat.

– Trzy – rzekła Persefona – to bardzo silna liczba.

Lekcje z Persefoną były nieprzewidywalne. Gdy je zaczynali, nigdy nie wiedział, czego się dziś nauczy. Czasami nie wiedział również, kiedy kończyli.

Tego wieczoru chciał ją spytać o Maurę, lecz trudno było zadać Persefonie pytanie i uzyskać odpowiedź, nawet gdy się tego chciało. Zwykle najlepiej to działało, jeśli spytać ją, zanim i tak zamierzała podać odpowiedź.

– Jak w przypadku trojga śpiących?

– Pewnie – odparła Persefona. – Albo trzech rycerzy.

– Istnieją rycerze?

Wskazała gestem dużą wronę lub kruka podskakującego powoli po drugiej stronie drogi. Trudno było stwierdzić, czy uznała ptaka za ważnego, czy jedynie zabawnego.

– Kiedyś istnieli. Poza tym trzech Jezusów.

Adam potrzebował chwili, by to przetrawić.

– Och, Boże. Chodzi pani o Boga, Jezusa i Ducha Świętego?

Persefona zakręciła małą dłonią.

– Zawsze zapominam imiona. Jest też bóg złożony z trzech kobiet. Jedna ma chyba na imię Wojna, a druga jest dzieckiem... Nie pamiętam. Trójka jest ważna.

Lepiej mu już szło w tych gierkach z nią niż kiedyś. Lepiej odgadywał powiązania.

– Pani, Maura i Calla.

Być może nadeszła chwila, by o tym wspomnieć...

Skinęła głową, zakołysała się lub jedno i drugie naraz.

– Trzy to stabilna liczba. Piątki i siódemki też są dobre, lecz trójka jest najlepsza. Różne rzeczy zawsze rosną do trójki lub zmniejszają się do niej. Najlepiej od niej zaczynać. Dwa to okropna liczba. Wiąże się z rywalizacją, walkami i morderstwami.

– Albo małżeństwem – rzekł Adam, zastanawiając się nad tym.

– Jedno i to samo – odparła Persefona. – Oto trzy dolary. Wejdz do środka i kup mi wiśniową colę.

Tak zrobił, przez cały czas zastanawiając się, jak spytać o możliwość wykorzystania jego wizji, by odnaleźć Maurę. Przy Persefonie było zresztą całkiem możliwe, że właśnie o tym przez cały czas rozmawiali.

Gdy wrócił, spytał nagle:

– To ostatni raz, prawda?

Dalej się bujała, lecz skinęła głową.

– Z początku myślałam, że gdyby coś się stało, mógłbyś zastąpić jedną z nas.

Potrzebował czasu, by ta wypowiedź nabrała dla niego sensu, a gdy wreszcie tak się stało, jeszcze przez minutę zaskoczenie nie pozwalało mu odpowiedzieć.

– Ja?

– Jesteś bardzo dobrym słuchaczem.

– Ale ja... Chcę... – Nie wiedział, jak zakończyć zdanie. Wreszcie powiedział: – Wyjeżdżam.

Już wypowiadając te słowa, wiedział, że nie o to mu chodziło.

– Teraz widzę, że to nie byłoby możliwe – odrzekła swym cieniutkim

głosikiem. – Jesteś taki jak ja. Nie jesteśmy tacy jak inni.

Inni, czyli kto? Ludzie?

„Jesteś niepoznawalny”.

Pomyślał o tamtej chwili na górskim szczycie z Blue i Noahem. Albo o sali sądowej z Ronanem i Ganseyem.

Nie miał już pewności.

– Tak naprawdę lepiej czujemy się we własnym towarzystwie – powiedziała Persefona. – Czasami jest przez to trudniej innym, gdy nas nie rozumieją.

Próbowała skłonić go, by coś powiedział, by dokonał powiązania, lecz nie był pewien, o co jej chodziło.

– Nie chcę słyszeć, że Maura nie żyje – rzekł.

Jeszcze długo się bujała, po czym przestała i spojrzała na niego swymi czarnymi oczyma. Słońce chowało się za linią drzew, sprawiając, że liście wyglądały jak czarna koronka, a jej włosy – jak biała.

Adam zrobił głęboki wdech.

– Czy da się zobaczyć własną śmierć? – spytał niskim głosem.

– Wszyscy ją widzą – rzekła łagodnie Persefona. – Większość osób zmusza się jednak do odwrócenia wzroku.

– Ja nie widzę swojej śmierci – oznajmił Adam.

Gdy to jednak wypowiedział, poczuł, jak wgryza się w niego skrawek wiedzy. To było teraz, nadciągało, już się stało. Gdzieś, *kiedyś* umierał.

– Ach, no i widzisz – rzekła.

– To nie to samo, co wiedzieć *jak*.

– Nie powiedziałaś *jak*.

Chciał powiedzieć, choć nie mógł tego zrobić, ponieważ Persefona by nie zrozumiała, że się bał. Nie dlatego, że zobaczy coś takiego, lecz że pewnego dnia nie będzie już potrafił widzieć niczego innego. Niczego rzeczywistego. Doczesnego. *Ludzkiego*.

„Nie jesteśmy tacy jak inni”.

Pomyślał, że może on jednak jest. Że musi być, ponieważ przejmował się zniknięciem Maury, a jeszcze bardziej śmiercią Ganseya, i teraz, gdy wiedział już o jednym i drugim, chciał coś z tym zrobić. Musiał coś zrobić. Był Cabeswater wyciągającym się do innych.

Odetchnął nierówno.

– Czy wie pani, jak umrze Gansey?

Persefona wysunęła leciutko język. Nie wydawała się tego zauważać.

– Masz tu następne trzy dolary – powiedziała w końcu. – Kup sobie wiśniową colę.

Nie wziął pieniędzy.

– Chcę wiedzieć, od jak dawna wiecie o Ganseyu. Od początku? Od początku. Wiedziałyście, gdy przyszedł na odczytanie! Zamierzałyście nam kiedyś powiedzieć?

– Nie wiem, dlaczego miałabym zrobić coś tak niedorzecznego. Idź po colę.

Adam wciąż nie wziął banknotów. Oparł dłonie na poręczach fotela bujanego i powiedział:

– Gdy odnajdę Glendowera, poproszę go o życie Ganseya, i tyle.

Persefona jedynie na niego spoglądała.

W jego głowie Gansey trząsł się i wierzgał, pokryty krwią. Tyle że teraz miał twarz Ronana. Ronan już zmarł. Gansey miał umrzeć – gdzieś, *kiedyś*, czy to się działo?

Nie chciał wiedzieć. I chciał wiedzieć.

– Niech mi pani powie! – rzekł. – Powie, co mam robić!

– Co mam według ciebie powiedzieć?

Adam zeskoczył z fotela tak szybko, że zakołysał się gwałtownie.

– Jak go ocalić!

– Na jak długo? – spytała Persefona.

– Niech pani *przestanie!* – wykrzyknął. – Niech pani nie będzie taka... taka... odległa! Nie potrafię cały czas spoglądać na większy obraz, zresztą nie widzę w tym sensu. Chcę po prostu wiedzieć, co mam zrobić, by go nie zabić!

Persefona przekrzywiła głowę.

– Dlaczego sądzisz, że to ty go zabijesz?

Popatrzył na nią, po czym wrócił do środka po kolejną wiśniową colę.

– Spragniony? – spytała sprzedawczyni, gdy Adam podawał jej pieniądze.

– Poprzednia była dla przyjaciółki – wyjaśnił Adam, choć nie był pewien, czy Persefona ma w ogóle jakichś przyjaciół.

– Przyjaciółki? – zapytała ekspedientka.

– Zapewne.

Wrócił na zewnątrz i stwierdził, że ganek jest pusty. Jego fotel wciąż się lekko bujał. Obok niego stała druga wiśniowa cola.

– Persefono?

Czując nagły niepokój, podskoczył do fotela, na którym wcześniej siedziała. Położył dłoń na siedzeniu. Chłodne. Dotknął nią własnego siedzenia. Ciepłe.

Wykrzywił szyję, próbując zobaczyć, czy wróciła do samochodu. Parking był pusty, nawet ptak zniknął.

– Nie – rzekł, choć nikt nie mógł go usłyszeć.

Jego umysł, tak dziwnie przekształcony przez Cableswater, szaleńczo przerzucał wszystko, co znał i czuł, wszystko, co Persefona kiedykolwiek powiedziała, każdą chwilę, odkąd przyjechał.

Słońce zniknęło za drzewami.

– Nie – powtórzył.

Sprzedawczyni stała przy drzwiach, zamykając je na noc.

– Proszę zaczekać – odezwał się Adam. – Widziała pani moją przyjaciółkę? Czy byłem tu sam?

Uniosła brew.

– Przepraszam – powiedział. – Wiem, jak to brzmi. Proszę. Byłem sam?

Ekspedientka zawahała się, spodziewając się dowcipu. Po chwili jednak skinęła głową.

Adam poczuł, że serce zapada mu się w bezdenną otchłań.

– Muszę skorzystać z pani telefonu. Proszę. Tylko na chwilę.

– Dlaczego?

– Stało się coś strasznego.



Jestem – powiedziała Blue, wpadając przez drzwi Fox Way 300.

Była spocona, zirytowana i zdenerwowana, rozdarta pomiędzy wiarą, że to fałszywy alarm, a nadzieją, że sprawa jest na tyle ważna, by usprawiedliwiła wyrwanie się z pracy U Nina w połowie zmiany.

Gdy kładła torbę przy drzwiach, spotkała się tam z Callą.

– Chodź pomóc Adamowi.

– Co się stało z Adamem?!

– Nic! – warknęła Calla. – Poza tym, co zwykle. Szuka Persefony!

Dotarły do drzwi czytelnicy. Adam siedział u szczytu stolika. Był nieruchomy i miał zamknięte oczy. Przed nim stała czarna wróżebna misa z pokoju Maury. Jedynym źródłem światła były trzy migoczące świece. Żołądek Blue zrobił coś nieprzyjemnego.

– Nie sądzę, by to był dobry pomysł – rzekła. – Ostatnim razem...

– Wiem. Opowiedział mi – odparła Calla. – Jest jednak gotów zaryzykować. I lepiej, jeśli będziemy we troje.

– Dlaczego szuka Persefony?

– Uważa, że coś jej się stało.

– Gdzie ona jest? Powiedziała ci, dokąd idzie?

Calla zmierzyła Blue miążdżącym spojrzeniem. To oczywiste. Persefona nigdy nikomu nic nie mówiła.

– Dobrze – oznajmiła Blue.

Calla zamknęła za sobą drzwi czytelnicy i gestem wskazała Blue, by usiadła obok Adama.

Adam otworzył oczy. Nie była pewna, o co go spytać, a on jedynie pokręcił lekko głową, jakby był zły na siebie, na Persefonę lub na cały świat.

Calla usiadła naprzeciwko i złapała Adama za rękę.

– Chwyć drugą! – rozkazała Blue. – Ja go uziemię, a ty wzmocnij.

Blue i Adam wymienili spojrzenia. Nie trzymali się za ręce od czasu zerwania. Przesunęła dłoń po stole i splótł z nią palce. Delikatnie. Bez nacisku. Blue zacisnęła palce na jego dłoni.

– Mam... – zaczął Adam.

Przerwał. Spoglądał na wróżebną misę nie bezpośrednio, lecz kątem oka.

– Co masz? – spytała Calla.

– Mam do was zaufanie – dokończył.

Blue trochę mocniej ścisnęła jego dłoń.

– Nie pozwolimy ci odejść – zapewniła go Calla.

Woda w misie załśniła ciemno. Spojrzał w nią.

Spoglądał i spoglądał, świece migotały, a Blue wyczuła konkretną chwilę, w której jego dusza opuściła ciało, ponieważ płomienie świec zaczęły się dziwnie odbijać, a jego palce zwiótczały.

Blue popatrzyła gwałtownie na Callę, ta jednak pozostała w bezruchu, ściskając jego jasną dłoń w swojej ciemnej, trzymając uniesiony podbródek i zerkając czujnie na Adama.

Jej wargi poruszały się, jakby mruzczała coś do siebie, lecz nie wydawały dźwięków.

Blue zastanawiała się nad tym, jak wzmacniała jego zdolności wieszczące, jak zmuszała go do zagłębiania się jeszcze dalej w eter. Adam błąkał się teraz, oddzielony od ciała, rozplątując nić, która go z nim wiązała. Calla trzymała tę nić, a Blue popychała go dalej.

Adam zmrużył brwi. Rozchylił wargi. Jego oczy były zupełnie czarne – jak czerń lustrzanej misy wróżebnej. Co jakiś czas trzy powykęcane płomyki odbijające się w misie pojawiały się na jego tęczęwkach. Jedynie czasami były dwa w jednym oku i tylko jeden w drugim, albo też trzy w jednym i żadnego w drugim, bądź też trzy w obu i potem czerń.

– Nie – wyszeptał Adam głosem brzmiącym jak nie jego.

Blue ze strachem przypomniała sobie noc, podczas której natknęła się na Neeve wieszczącą między korzeniami buku.

Blue znów popatrzyła na Callę.

Calla wciąż pozostawała nieruchoma i czujna.

– Mauro?! – zawołał Adam. – Mauro?!

Tylko że teraz z jego ust dobiegał głos Persefony.

„Nie potrafię tego zrobić” – pomyślała nagle Blue.

Jej serce nie było zdolne znieść takiego strachu.

Calla przesunęła drugą dłoń po blacie, by chwycić Blue za rękę. Połączyli się w kręgu wokół misy wróżebnej.

Adam oddychał powoli, w urywanym rytmie.

„Tylko nie znowu”.

Blue poczuła, że Calla przesuwa się, ściskając mocniej Adama.

– Nie – powtórzył, tym razem własnym głosem.

W jego oczach odbijały się wielkie płomienie.

Nagle zgasły i została czerń.

Nie oddychał.

Zapanowała cisza na jedno uderzenie serca. Dwa. Trzy.

Świece zgasły w misie wróżebnej.

– *PERSEFONO!* – wrzasnął.

– Teraz – powiedziała Calla, puszczając dłoń Blue. – Puść go!

Blue zwolniła uchwyt, lecz nic się nie stało.

– Odetnij go! – warknęła Calla. – Wiem, że potrafisz. Ściągnę go z powrotem!

Calla wcisnęła kciuk wolnej dłoni w środek czoła Adama, a Blue w tym czasie szaleńczo przypominała sobie, co zrobiła, by wyjąć wtyczkę Noahowi w Monmouth. Inaczej jednak do tego podchodziła, gdy Noah rozrzucał rzeczy, a inaczej teraz, gdy widziała nieruchomą pierś Adama i jego puste oczy. Jego opadnięte ramiona i twarz wpadającą w nadstawione dłonie Calli, by nie osunął się do misy wróżebnej.

„On ma do nas zaufanie. Nigdy nikomu nie ufał, ale nam ufa”.

„On ma zaufanie do ciebie, Blue”.

Zeskoczyła z krzesła i postawiła swoje ściany. Próbowała wyobrazić sobie sączące się białe światło, by je wzmocnić, było to jednak trudne, gdy patrzyła na ciało Adama rozciągnięte bezwładnie na drugim końcu stołu. Calla uderzyła go w twarz.

– No szybciej, draniu! Przypomnij sobie swoje ciało!

Blue odwróciła od tego wzrok.

Zamknęła oczy.

I zrobiła to.

Zapadła cisza.

Nagle zapaliło się górne światło.

– Ona jest tutaj – odezwał się głos Adama.

Blue się obróciła.

– Co to znaczy: *tutaj*? – spytała ostro Calla.

– Tutaj – rzekł Adam. Podniósł się z trudem z krzesła. – Na górze.

– Ale sprawdzałyśmy jej pokój – odparła Calla.

– Nie w jej pokoju. – Adam machnął niecierpliwie ręką. – Najwyżej...

Co tu jest najwyżej?

– Strych – podsunęła Blue. – Dlaczego miałyby tam być? A Gwenllian?...

– Gwenllian siedzi na drzewie z tyłu – rzekła Calla. – Śpiewa do ptaków, które jej nienawidzą.

– Są tam lustra? – zapytał Adam. – Jakies miejsce, w którym mogłaby szukać Maury?

Calla zakłęła.

Otworzyła gwałtownie drzwi strychu i wpadła tam pierwsza, z Blue i Adamem następującymi jej na pięty.

– Nie – powiedziała.

Blue przeskoczyła obok niej.

Pomiędzy dwoma lustrami Neeve widać było stertę koronek, płótna i...

Persefonę.

Adam skoczył naprzód, lecz Calla złapała go za rękę.

– Nie, idioto. Nie możesz wchodzić pomiędzy nie! Blue, stój!

– Ja mogę – odparła Blue.

Przypadła na klęczkach do Persefony. Białowłosa kobieta upadła w sposób, który wyraźnie nie był celowy. Znajdowała się na kolanach, z ramionami założonymi na plecach i uniesionym podbródkiem, spoczywającym na nóżce jednego ze zwierciadeł. Jej czarne oczy wpatrywały się w nicość.

– Ściągniemy ją z powrotem – powiedział Adam.

Jednak Calla już płakała.

Nie przejmując się jej godnością, Blue odciągnęła Persefonę, łapiąc ją pod pachami. Była lekka i nie opierała się.

Ściągną ją z powrotem, jak mówił Adam.

Calla upadła na kolana i zakryła twarz.

– Przestań! – warknęła łamiącym się głosem Blue. – Chodź tu i pomóż.

Chwyciła Persefonę za dłoń. Była zimna jak ściany jaskini.

Adam stał otulony ramionami i z pytającym wzrokiem.

Blue znała już odpowiedź, ale nie potrafiła jej wymówić.

– Nie żyje – zrobiła to zamiast niej Calla.

Aż do tej chwili Blue nigdy nie wierzyła w śmierć.

Nie w tradycyjny sposób.

Przydarzała się innym osobom, rodzinom, w innych miejscach. Przydarzała się w szpitalach, wypadkach samochodowych lub strefach działań wojennych. Przydarzała się – teraz przypomniła sobie słowa wypowiedziane przez Ganseya przy grobowcu Gwenllian – z ceremonią. W jakiś sposób zapowiadała swoje nadejście.

Nie przydarzała się po prostu na strychu w słoneczny dzień, gdy inni siedzieli w czytelni. W ogóle nie przydarzała się *po prostu*, momentalnie, nieodwracalnie.

Nie przydarzała się osobom, które znała od zawsze.

A jednak.

Odtąd zawsze już będą istnieć dwie Blue: ta, która była wcześniej, i ta, która pojawiła się później. Ta, która nie wierzyła, i ta, która wierzyła.

Gansey pojawił się na Fox Way 300 po odjeździe karetki. Nie dlatego, że się nie spieszył, lecz z powodu problemów komunikacyjnych. Adam musiał zadzwonić dwadzieścia cztery razy na komórkę Ronana, zanim ten dał się przekonać, by odebrać, po czym Ronan potrzebował paru chwil, by wysłedzić Ganseya na kampusie. Malory wciąż błąkał się gdzieś z Psem, przemierzając Wirginię w SUV-ie, ale nic mu się nie stanie, jeśli jeszcze przez jakiś czas się nie dowie.

Persefona nie żyła.

Gansey nie mógł w to uwierzyć, nie dlatego, że nie wierzył w bliskość śmierci – bo nie mógł *przestać* wierzyć w bliskość śmierci – lecz dlatego, że po *Persefonie* nie spodziewał się czegoś tak przyziemnego jak śmierć. Było coś niezmiennego w trzech kobietach z Fox Way 300 – Maura, Persefona i Calla były jak pień, z którego wyrastały wszystkie gałęzie.

„Musimy odnaleźć Maurę” – pomyślał, wysiadając z camaro i ruszając chodnikiem. Ronan szedł z tyłu z rękoma wciśniętymi w kieszenie, a Piła przelatowała ponuro z gałęzi na gałąź, podążając za nimi. „Bo jeśli Persefona może umrzeć, nic nie powstrzymuje przed śmiercią również Maury”.

Adam siedział na ocienionym pierwszym stopniu z pustym spojrzeniem i zmarszczką pomiędzy brwiami. Matka Ganseya miała zwyczaj wciskania kciuka w to miejsce na czole Richarda Ganseya III i rozcierania zmarszczki, wciąż robiła tak Ganseyowi II. Poczł potrzebę wykonania tego gestu, gdy Adam uniósł twarz w jego stronę.

– Znalazłem ją – powiedział Adam – i nic dobrego z tego nie wyszło.

Chciał, by Gansey powiedział, że wszystko w porządku, i choć nie było w porządku, Gansey zapanował nad głosem i rzekł:

– Zrobiłeś, co tylko mogłeś. Calla mówiła mi przez telefon. Jest z ciebie dumna. Nie robi ci się teraz lepiej, Parrish. Nie oczekuj tego.

Uwolniony ze swych myśli Adam skinął żałośnie głową i skupił wzrok na swoich stopach.

– Gdzie jest Blue?

Adam zamrugał. Wyraźnie nie miał pojęcia.

– Wchodzę – powiedział Gansey, gdy Ronan siadał na stopniu obok

Adama. Kiedy Gansey zamykał za sobą drzwi, usłyszał głos Adama: „Nie chcę rozmawiać”. I odpowiedź Ronana: „A o czym, kurwa, miałbym z tobą rozmawiać?”.

W kuchni znalazł Callę, Jimi, Orłę i dwie inne młode kobiety, których nie rozpoznawał. Zamierzał zacząć od: „Bardzo mi przykro z powodu waszej straty” lub jakiegoś innego uprzejmego stwierdzenia, czegoś, co miałoby sens poza tą kuchnią, lecz w tym kontekście wszystko wydawało się bardziej fałszywe niż zwykle.

Zamiast tego oznajmił:

– Idę do jaskini. Idziemy.

Było to niemożliwe, ale nie miało zbyt dużego znaczenia. Wszystko było niemożliwe. Czekał, aż Calla skomentuje, że to zły pomysł, lecz nie zrobiła tego.

Drobna jego część wciąż na to czekała. Ta sama część, która wyczuwała małe nóżki pełzające mu po karku.

„Tchórz”.

Długo uczył się, jak chować to w głębi umysłu, uczynił to więc i teraz.

– Idę z wami – rzekła Calla, zaciskając mocno palce wokół szklanki. – Już dość tego idiotycznego łążenia w pojedynkę. Jestem tak zła, że mogłabym...

Rzuciła szklanką o podłogę tak mocno, że rozbiła się u stóp Orli. Dziewczyna spojrzała na okruchy, a następnie przeniosła przeproszający wzrok na Ganseya, lecz Gansey wystarczająco długo mieszkał z żalobą Ronana, by ją rozpoznać.

– I proszę! – krzyknęła Calla. – Tak to jest. Po prostu zniszczona bez powodu!

– Pójdę po odkurzacz – powiedziała Jimi.

– Pójdę po coś na uspokojenie – oznajmiła Orla.

Calla wypadła na tylne podwórko.

Gansey opuścił kuchnię i wdrapał się po schodach do pokoju telefonicznego/krawieckiego/kocięgo. Było to jedyne pomieszczenie na pierwszym piętrze, w którym dotąd był, i jedyne, w którym mógł szukać Blue. Nie było jej jednak ani tam, ani w przyległym pokoju, który był najwyraźniej jej sypialnią. Znalazł ją na końcu korytarza, w pokoju, który wydawał się należeć do Persefony: pachniał nią, a cała zawartość była dziwna i wyjątkowa.

Blue siedziała obok łóżka, gwałtownie skubiąc lakier na paznokciach. Podniosła na niego wzrok. Popołudniowe słońce wpadało przez okno, łądując na bocznej ścianie materaca tuż przy dziewczynie i zmuszając ją

do zmruczenia oczu.

– Zajęło ci to wieczność – rzekła.

– Miałem wyłączony telefon. Przepraszam.

Oderwała kolejny skrawek lakieru i upuściła go na włochaty chodnik.

– Chyba i tak nie było po co się spieszyć.

„Ach, Blue”.

– Jest tu pan Szary? – spytała.

– Nie widziałem go. Posłuchaj, powiedziałem Calli, że idziemy do jaskini. Żeby odnaleźć Maurę. – Po chwili poprawił się: – Twoją matkę.

– Och, przestań! Nie bądź przy mnie takim Richardem Ganseyem III!

– warknęła Blue i natychmiast zaczęła płakać.

Było to wbrew zasadom, lecz Gansey przykucnął przy niej z jednym kolaniem przy jej plecach oraz drugim przy jej kolanach i ją uściśnął. Wtuliła się w niego, przykładając zwinięte w pięści dłonie do jego piersi. Poczuł, jak gorąca łza spływa mu na obojczyk. Zamknął oczy przed światłem wpadającym przez okno. Gotował się w swetrze, drętwiała mu stopa, łokieć miażdżył mu się na metalowej ramie łóżka, Blue Sargent była wtulona w niego, on zaś się nie ruszał.

„Pomocy” – pomyślał.

Przypomniał sobie słowa Gwenllian, że się zaczęło, i czuł, że to wszystko rozwija się coraz szybciej i szybciej, niczym motek wełny rzucony na wiatr.

„Zaczęło się, zaczęło”...

Nie potrafił stwierdzić, kto kogo pociesza.

– Jestem częścią bezużytecznego nowego pokolenia – powiedziała w końcu Blue, wydychając te słowa prosto w jego skórę. W sercu obojga pożądanie i przerażenie spoczywały tuż obok siebie, wyostrzając się nawzajem. – Pokolenia komputerów. Wciąż myślę, że mogę nacisnąć reset i uruchomić wszystko od nowa.

Odsunął się, krzywiąc, gdy krew ruszyła do zdrtwiałych części ciała, i podał jej listek mięty, zanim oparł się plecami o ramę łóżka tuż obok Blue. Gdy podniósł wzrok, uświadomił sobie, że w drzwiach stoi Gwenllian. Nie potrafił powiedzieć, od jak dawna tam była. Trzymała się framugi nad głową, jakby opierała się przed wypchnięciem z pokoju.

Zaczekała, by upewnić się, że Gansey patrzy, po czym zaśpiewała:

*Królowe i królowie*

*Królowie i królowe*

*Niebieska lilia, niebieska lilia*

*Korony i ptaki*



*Miecze i istoty*

*Niebieska lilia, niebieska lilia*

– Próbujesz mnie rozzłościć? – spytał.

– A *jesteś* zły, rycerzyku? – odparła Gwenllian słodko. Oparła policzek na rękę, kołysząc się tam i z powrotem. – Kiedyś śniłam o śmierci. Leżąc w tej skrzynce na brzuchu, zaśpiewałam wiele razy każdą pieśń, którą znałam. Każde oko! Każde oko, do którego mogłam dotrzeć, prosiłam, by mnie szukało. I co dostałam poza głupotą oraz ślepotą?!

– W jaki sposób korzystałaś z oczu innych osób, skoro *jesteś* taka jak ja? – spytała Blue. – Skoro nie posiadasz żadnych własnych mocy psychicznych?

Usta Gwenllian wyduły się w wyrazie największej pogardy, do jakiej była zdolna.

– Co za pytanie! To jakby pytać, jak wbić gwóźdź, jeśli nie *jesteś* młotkiem.

– Nieważne – powiedziała Blue. – To nieistotne. Nie obchodzi mnie to.

– Artemus mnie nauczył – oznajmiła Gwenllian. – Gdy nie pracował nad moim ojcem. Oto zagadka, moje kochanie, moje kochanie, moje kochanie, co wyrasta, moje kochanie, moje kochanie, moje kochanie, z mroku, moje kochanie, moje kochanie, moje kochanie, w mrok, moje kochanie, moje kochanie, moje kochanie.

Blue zerwała się gniewnie na nogi.

– Dość gierk.

– Drzewo nocą – rzekł Gansey.

Gwenllian przestała kołysać się na rękach i przyglądała mu się, siedzącemu wciąż na podłodze.

– Wiele z mojego ojca – odparła. – Wiele z mojego ojca jest w tobie. To Artemus, drzewo nocą. Twoja matka go szuka, niebieska lilio? Zatem wy powinniście poszukać mojego ojca. Artemus będzie tak blisko niego, jak tylko może, chyba że coś mu przeszkadza. Lepiej szeptać.

Splunęła na podłogę obok Gansey.

– *Zamierzam* go szukać – oznajmił Gansey. – Schodzimy pod ziemię.

– Rozkaż mi, bym coś dla ciebie zrobiła, małe książątko – powiedziała Ganseyowi. – Okaż swego królewskiego ducha.

– W taki sposób twój ojciec przekonywał ludzi, by robili dla niego różne rzeczy? – zapytał.

– Nie – rzekła Gwenllian, wyglądając na zirytowaną pytaniem. – Prosił ich.

Gansey doznał otuchy. Była to prawda: Glendower powinien rządzić za pośrednictwem próśb, nie rozkazów. Właśnie takiego króla szukał.  
– Pójdiesz z nami? – poprosił.

Gdy Colin Greenmantle wyszedł na taras historycznego domu i spojrział na rozciągające się poniżej pole, zauważył stado krów stojących w oddali i dwóch młodych ludzi stojących bardzo blisko.

Byli to Adam Parrish i Ronan Lynch we własnych osobach.

Popatrzył na nich z góry.

Popatrzyli na niego z dołu.

Żadna ze stron nic nie powiedziała. Obydwaj chłopcy byli niepokojący. Zwłaszcza Adam Parrish miał ciekawą twarz. Nie w sensie, że był ciekawą osobą, lecz raczej, że w jego rysach było coś wyjątkowego. Był obcym, przystojnym okazem tego zachodniowirginijskiego gatunku: miał lekkie kości, zapadnięte policzki, brwi jasne i ledwo widoczne. Był dziki i surowy jak na portretach z okresu wojny secesyjnej. „Brat walczył z bratem, a ich gospodarstwa obracały się w ruinę”...

Ronan Lynch wyglądał zaś jak Niall Lynch, czyli po prostu jak dupek. O, młodości.

Greenmantle postanowił przełamać lody.

– Przyszliście oddać prace domowe?! – zawołał.

Wciąż tam stali, wyglądając jak bliźniaki z filmu grozy: jeden ciemny, drugi jasny.

Adam Parrish uśmiechnął się lekko i w sekundę odjęło mu to dwa lata z wieku.

Miał zęby i w szczęce, i w zuchwie.

– Wiem, kim jesteś.

Robiło się interesująco.

– A czym jestem?

– Nie wiesz? – spytał z chłodną niefrasobliwością Adam Parrish.

Greenmantle zmarszczył brwi.

– To jakaś gra, panie Parrish?

– Być może.

Gry były jedną ze specjalizacji Greenmantle’a. Oparł się o balustradę.

– W takim razie ja również wiem, czym jesteście.

Ronan Lynch podał Adamowi Parrishowi wielką wypchaną kopertę z brązowego papieru.

– Och, nie sądzę, żebyś wiedział – odparł Adam.

Greenmantle'owi nie podobał się brak strachu w jego głosie. Nie był to zresztą nawet brak strachu, a zupełny brak emocji. Zastanawiał się, co było w kopercie. Wspomnienia młodego socjopaty?

– Czy wie pan, co ogranicza biednych ludzi, panie Parrish? – spytał.

– Nie chodzi o brak dochodów – tłumaczył. – Przyczyną jest uboga wyobraźnia. Mieszkańcy przyczep marzą o przedmieściach. Mieszkańcy przedmieść marzą o centrum. Mieszkańcy centrum marzą o gwiazdach, i tak dalej. Biedni mogą wyobrażać sobie tron, lecz nie to, że są królami. Uboga wyobraźnia. Jest pan Adamem Parrishem z Antietam Lane 22 w Henriecie w stanie Wirginia i ma pan dobrą wyobraźnię, ale mimo to jest pan oszustem.

Dzieciak był dobry. Skóra wokół jego oczu napięła się tylko odrobinę, gdy Greenmantle wyrecytował adres parkingu z przyczepami.

– Bardzo łatwo byłoby strącić pana z tego drzewa na ziemię – powiedział Greenmantle na wypadek, gdyby chłopak się jeszcze nie denerwował. – Tęskniłby pan za tymi czasami w przyczepie.

Adam Parrish popatrzył na niego. Greenmantle natychmiast sobie uświadomił, że był niepokojący w taki sam sposób jak Piper, gdy przyłapał ją na spoglądaniu w lustro.

Adam obrócił wypchaną kopertę, by Greenmantle zobaczył, iż sączy się z niej coś czerwonobrazowego. Takie rzeczy nigdy nie były dobrym znakiem.

– Jeśli nie opuścisz Henrietty do piątku, wszystko, co jest w tej kopercie, wyjdzie na jaw – powiedział.

Wówczas Ronan Lynch również się uśmiechnął. Ten uśmiech był jak broń.

Zostawili kopertę.

– Piper! – zawołał Greenmantle, gdy odeszli.

Nie odpowiedziała jednak. Nie miał pojęcia, czy była w domu, pogrążona w transie, czy też zniknęła, szukając czegoś, co brzęczało jej w lustrach.

To miejsce. To cholerne miejsce. A mogło być tak pięknie.

Zszedł po schodach i zdołał odnaleźć drzwi prowadzące na zewnątrz. Otworzył kopertę. Źródłem sączenia była gnijąca, odcięta dłoń. Mała. Należała do dziecka. Pod nią znajdowała się zamknięta plastikowa teczka, ubrudzona krwią i zawierająca dokumenty oraz fotografie.

Każda z osobna była ohydna.

Razem stanowiły obciążające dowody.

Zawartość koperty przekazywała historię Colina Greenmantle'a,

inteligentnego seryjnego mordercy i skończonego zboczeńca. Informowała, gdzie można znaleźć zwłoki i części zwłok. Były tam zrzuty ekranowe obciążających SMS-ów i zdjęć z telefonu komórkowego, a gdy Greenmantle wyciągnął swą prawdziwą komórkę, odkrył, że w jakiś sposób znalazły się również w niej w całej swej ohydnej chwale. Znajdowały się tam listy, amatorskie DVD, fotografie, całe składowisko dowodów.

Nic z tego nie było prawdą.

Wszystko zostało wyśnione.

Ale to nie miało znaczenia. *Wyglądały* na prawdziwe. Prawdziwsze od prawdy.

Greywaren istniał i ci dwaj chłopcy go mieli, lecz to było nieistotne, ponieważ byli nietykalni, a on to wiedział.

Cholerna młodość.

Na samym dnie teczki z brudami leżał skrawek papieru zapisany pismem tak podobnym do charakteru Nialla Lyncha, iż mogło należeć tylko do jego syna.

Napis głosił: *Qui facit per alium facit per se.*

Greenmantle znał to przysłowie.

*Kto działa przez inną osobę, to tak samo jak gdyby działał osobiście.*

No dobrze, zbieramy się – powiedział Greenmantle. – Ważna sprawa rodzinna. Wracamy do Bostonu. Pakuj swoje rzeczy. Zadzwoń do przyjaciółek. Nie będziesz już musiała chodzić do tego klubu książkowego.

Piper brała właśnie torebkę.

– Nie, wychodzę z mężczyznami.

– *Mężczyznami!*

– Tak – rzekła Piper. – Czy ten okropny Szary Mężczyzna jeździ białym samochodem? Jedną z tych chłopięcych wyścigówek? No wiesz, z wielkim skrzydłem z tyłu. To ma pokazywać, jak duże przyrodzenie ma kierowca? Bo czuję się tak, jakby ktoś taki za mną jeździł. To znaczy, ha, częściej niż zwykle, no bo przecież. – Strząsnęła włosy z twarzy.

– Nie chcę rozmawiać o Szarym Mężczyźnie – powiedział Greenmantle. – Chcę porozmawiać o twoim bagażu.

– Nie będę się pakować. Myślę, że coś znalazłam.

Greenmantle pokazał jej kopertę.

Nie zrobiła na niej takiego wrażenia jak na nim.

– No przestań – rzekła. – Jeśli znajdę to, co myślę, że znajdę, zlikwidowanie tego będzie tak proste, że nawet dziecko by sobie poradziło. Oj, nie chciałam, żeby wyszło dwuznacznie. Fuj, obrzydlistwo. – Roześmiała się. – No dobra, spadam.

*Z mężczyznami.* Greenmantle wstał.

– Pojadę z tobą. Po drodze przekonam cię, żebyś ze mną wróciła.

Nie było szans, by Piper znalazła coś, co przebije tę kopertę. Potrafiła znaleźć jedynie kursy uczące dziwnych rzeczy i łyse psy.

– Jak chcesz. Włóż porządne buty.

Marszruta Piper na ten wieczór obejmowała spotkanie z dwoma zbirami wynajętymi przez Greenmantle'a. Nie byli zresztą tak zbirowaci, jak Greenmantle się spodziewał. Jeden z nich nazywał się Morris i problemy ze spłacaniem alimentów popchnęły go na drogę zbrodni. Drugi miał chyba na nazwisko Bestia i... cóż, był dokładnie tak zbirowaty, jak Greenmantle oczekiwał.

Obydwaj traktowali Piper tak, jakby wiedziała, o czym mówi.

– Pokażcie mi, co macie – powiedziała do nich.

Morris i Bestia zaprowadzili ich na zapuszczoną farmę akurat, gdy zaszło słońce. Nawet w świetle samochodowych reflektorów łatwo było dostrzec, że gospodarstwo miało za sobą lepsze czasy. Ganek był zapadnięty. Ktoś próbował poprawić sytuację, sadząc z przodu rabatkę wesołych kwiatów.

Bestia i Morris poprowadzili ich za dom i przez pole. Mieli dużo sprzętu. Piper też miała dużo sprzętu. Greenmantle włożył porządne buty. Czuł się jak czwarte koło u wozu, który nie powinien mieć czterech kół.

Obejrzał się przez ramię, by upewnić się, że Szary Mężczyzna, wiecznie stojący mu nad głową, nie stał mu akurat nad głową.

– Nie mam doświadczeń z praktyczną stroną przestępczości – powiedział Greenmantle, gdy szli przez pole – ale czy nie powinniśmy byli zaparkować samochodów gdzieś bardziej konfidencjonalnie? Mniej na widoku? – dodał specjalnie dla Bestii.

– Nikt tam nie mieszka – mruknął Bestia.

Greenmantle poczuł strach i podziw dla poddźwiękowych rejestrów jego głosu.

– Byliśmy tu wcześniej, sprawdzaliśmy teren – dodał znacznie kulturalniejszym tonem Morris.

Dwóch mężczyzn – zbirów – zbir i Morris – zaprowadziło ich do kamiennego budynku. Greenmantle pomyślał, że nie ma dachu, ale po chwili, gdy wzrok mu się dostosował, ujrzał, że to kamienna wieża sięgająca w mrok. Nie był pewien, dlaczego wcześniej wziął ją za ruinę. Nie był też pewien, dlaczego taka wieża stała pośrodku burackiej Wiginii, ale przynajmniej była interesująca, a on lubił interesujące rzeczy.

– Jaskinia jest w środku – powiedział Morris.

Na skoblu wisiała kłódka, ale została już rozerwana, najprawdopodobniej zębami trzonowymi Bestii.

– I ta jaskinia wydaje się pasować do opisu, który wam podałam? – spytała Piper.

– Skąd masz opis jaskini? – zaciekawiał się Greenmantle.

– Zamknij się, zanim zrobisz sobie krzywdę – poradziła mu uprzejmie.

– Tak – rzekł Morris. – Nie widziałem żadnych opisywanych przez panią drzwi, ale nie zaszliśmy daleko. – Otworzył drzwi, a Bestia włączył ogromną latarkę.

Oświetliła gigantycznego mężczyznę siedzącego u wejścia do jaskini. W poprzek jego nóg leżała strzelba.

– MÓWIĘ WAM OD RAZU, ŻE TA JASKINIA JEST PRZEKŁĘTA – odezwał się do nich mężczyzna. – I MYŚLĘ, ŻE LEPIEJ JUŻ PÓJDŹCIE. NAJKRÓCEJ JEST PRZEZ POLE.

Piper popatrzyła na Morrisa i Bestię.

– Czy ten facet był tu poprzednim razem?

– Nie, proszę pani – odparł Morris. – Wie pan, i tak tam wejdziemy, czy nam pan ustąpi, czy nie. Racja?

Przy tym ostatnim zerknął na Piper.

– Racja – odrzekła. – Ale dzięki za ostrzeżenie.

Mężczyzna zmarszczył ogromne brwi.

– TAM SĄ ISTOTY, KTÓRYM NIE POWINNO SIĘ PRZESZKADZAĆ.

Greenmantle, nie chcąc, by ten człowiek go później zidentyfikował, ostrożnie cofnął się o krok w cień, by ukryć twarz.

Wpadł prosto na czyjaś klatkę piersiową.

– Colinie – powiedział Szary Mężczyzna. – Jestem rozczarowany. Nie zajrzałeś do koperty?

– Och, na miłość wszystkich świętych – zajęczał Greenmantle. – To nie był mój pomysł.

– T y – powiedziała Piper.

– Tak – zgodził się Szary Mężczyzna. Co dziwne, był równie dobrze wyposażony jak Piper, zupełnie jakby także chciał schodzić do jaskini. – Panie Dittley, jak się pan miewa?

– CAŁKIEM NIEŹLE.

– Pora, żeby reszta z was już poszła – rzekł Szary Mężczyzna.

– Nie. I wiesz co? – odezwała się Piper. – Męczy mnie to, że ciągle się pojawiaasz i szarogęsisz. Byłam tu pierwsza i miałam plany. Mężczyźni, róbcie męskie rzeczy.

Greenmantle nie miał pojęcia, co to oznaczało, ale Morris i Bestia ruszyli na Szarego Mężczyznę, a Dittley wstał.

Szary Mężczyzna wyekspediował Bestię do grobu lub co najmniej na izbę przyjęć najwyżej w dwie sekundy. Morris okazał się lepiej do niego pasować. Walczyli cicho, jedynie przy akompaniamencie sapnięć i westchnień, Jesse Dittley odłożył zaś broń i trzymał Greenmantle'a za nadgarstki jak rozkapryszzonego dzieciaka.

– Niech wszyscy wszystko rzucą – rzekła Piper.

Celowwała pistoletem w głowę Szarego Mężczyzny. Srebrnym. Greenmantle wciąż uważał, że srebrne nie wyglądają tak niebezpiecznie jak czarne, ale pozostali mieli wyraźnie inne zdanie. Szary Mężczyzna zmrużył oczy, lecz puścił Morrisa.

Wyglądała na zadowoloną z siebie.



– No i jakie to uczucie? – zwróciła się do Szarego Mężczyzny. – Pamiętasz, jak celowałeś mi w skroń? Tak. To było głupie.

Szary Mężczyzna nie zmienił wyrazu twarzy. Możliwe, że nie potrafił okazywać na niej strachu.

– Skąd to masz? – spytał Greenmantle żonę. – Dla mnie też kupiłaś? Piper popatrzyła na niego miazdząco i wskazała podbródkiem.

– Weź tamto.

Chodziło jej o strzelbę Jessego Dittleya, którą ten odłożył, by przytrzymać Greenmantle'a. Greenmantle pomyślał, że litość była zupełnie bezużyteczną cnotą. Gdyby Dittley wcześniej po prostu go zastrzelił, nie mógłby teraz wziąć jego strzelby.

Greenmantle wycelował strzelbą w pierś Jessego Dittleya. Bardzo mu się to wszystko nie podobało. Nie lubił robić takich rzeczy. Wolał wynajmować do tego ludzi. Lubiał trzymać swoje odciski palców przy sobie. Nie lubił więzień.

Obwiniął Piper o wszystko.

– Z drogi – powiedział i pożałował, że nie wymyślił czegoś bardziej chwytliwego.

– NIE MOGĘ NA TO POZWOLIĆ.

Greenmantle popatrzył na Jessego Dittleya. Nie mógł uwierzyć, że ludziom pozwala się dorastać do takiej wielkości.

– Naprawdę robisz z tego większy problem, niż trzeba.

Jesse Dittley jedynie bardzo powoli pokręcił głową.

– Cofnąć się! – spróbował Greenmantle.

W filmach to działało od razu. Celowało się w ludzi, a oni umykali z drogi. Nie patrzyli w bezruchu prosto w oczy.

– TO NIE JEST WASZA JASKINIA – rzekł Jesse Dittley.

Piper do niego strzeliła.

Trzy razy, szybko. Na jego koszuli i głowie pojawiły się czarne plamy.

Gdy znów na nią spojrzeli, celowała z powrotem do Szarego Mężczyzny.

Greenmantle nie mógł uwierzyć, jak niezaprzeczalnie martwy był ten wielki mężczyzna. Martwy i podziurawiony. Miał w sobie dziury. Greenmantle nie mógł przestać na nie patrzeć. Zapewne sięgały na wylot.

– Piper – odezwał się. – Właśnie zastrzeliłaś tego faceta.

– Nikt inny tego nie zrobił. I tyle wam wychodzi z tego machania fiutami! – powiedziała Piper. – Zaciągnij go do jaskini – dodała do Szarego Mężczyzny.

– Nie – odparł.

– Nie? – Znów zrobiła minę, z którą strzelała do ludzi. Czyli minę, którą miała cały czas.

– Och, nie strzelaj do niego – rzekł Greenmantle.

Miał dość nierówny puls. Mógł myśleć tylko o tym, na ile bardziej prawdopodobne staną się dokumenty z koperty, gdy zestawie się je z wydarzeniami tego wieczoru. Czy Piper nie wiedziała, że zbrodnia powinna wiązać się ze starannym planowaniem i sprzątaniami ciał po robocie? Strzelić było łatwo, ale znacznie trudniej było się z tego wywinąć.

– Nie zamierzam przesuwając żadnych ciał bez rękawiczek – powiedział Szary Mężczyzna lodowatym głosem, wyraźnie demonstrując, jak dobry był w swoim fachu. – I nie strzeliłbym do niego bez rękawiczek. Odciski i ślady prochu to kiepski powód do wyładowania w więzieniu.

– Dzięki za radę – odparła Piper. – Morris? Ty masz rękawiczki. Zaciągnij tego gościa i chodźmy.

– A co z *nim*? – spytał Morris, spoglądając na Szarego Mężczyznę.

– Zwiąż go. Weźmiemy go ze sobą. Colinie, co tak stoisz?

– Tak naprawdę – powiedział Greenmantle – to chyba sobie usiądę.

– Jaja sobie robisz.

Nie tylko nie robił sobie jaj, ale zastanawiał się, czy nie zwymiotować. Powinien był zostać kawalerem. Powinien był zostać kawalerem w Bostonie. Był już blisko drzwi i wolał mieć pewność, że znajduje się pod choćby lekką osłoną, gdyby się wkurzyła i postanowiła jego również zastrzelić.

– Ja sobie po prostu... wróć. Nie zrozum mnie źle. Uważam, że świetnie wyglądasz z bronią, ale...

– To. Po. Prostu. Takie. Typowe. Zawsze mówisz: „Zrobimy to razem, ty i ja”, a później kto wszystko robi? Ja. A ty zaczynasz jakiś nowy projekt. Dobrze. Wracaj. Ale nie spodziewaj się, że pobiegnę za tobą.

Napotkał wzrok Szarego Mężczyzny. Morris właśnie wiązał mu rękę. Skutecznie, trytytką.

Szary Mężczyzna popatrzył na ciało Jessego Dittleya i zamknął na sekundę oczy. Co niezwykle, wyglądał na złego, a więc jednak posiadał jakieś emocje.

Greenmantle się zawahał.

– Sikaj albo spadaj od tego nocnika! – warknęła Piper.

– Idź już, Colinie – rzekł Szary Mężczyzna. – Oszczędziłbyś nam obu wielu kłopotów, gdybyś w ogóle tu nie przyszedł.

Greenmantle wykorzystał okazję i odszedł. Zgubił się w drodze powrotnej przez pole – miał fatalną orientację w terenie – lecz gdy znalazł się w samochodzie, ustalił sobie dalszą drogę. Byle daleko. W dowolnym kierunku.

Blue Sargent była wystraszona.

Istnieje sporo dobrych przeciwieństw słowa „wystraszona”. Nieulekła, niebojaźliwa, niepłochliwa.

Niektórzy mogliby sugerować również: odważna albo dzielna.

Blue Sargent była jednak dzielna, *ponieważ* była wystraszona.

Jeśli Persefona mogła umrzeć, to każdy mógł. Maura mogła umrzeć. Gansey mógł umrzeć. Mogło się to odbyć bez ceremonii czy jakiegoś zwiastunu.

Mogło to nastąpić w każdej chwili.

Pojechali znów do Cabeswater. Z Callą, lecz bez Malory’ego, który wciąż był nieosiągalny, bez pana Szarego, który zniknął bez słowa wyjaśnienia, i bez Noaha, który tego ranka pojawił się tylko jako krótki szept w uchu Blue.

Ponownie zabrali ze sobą osprzęt zabezpieczający i kaski, lecz tym razem to Adam i Ronan mieli iść na przedzie w drodze do rozpadliny. Był to pomysł Adama, szybko poparty przez Ronana. Cabeswater nie pozwoli Adamowi umrzeć z powodu umowy, z nieznanych zaś powodów będzie bronić Ronana.

Było ciemno. Reflektory bmw Ronana i camaro Ganseya jedynie na kilka kroków rozświetlały mgłę podnoszącą się z wilgotnego pola w pobliżu Cabeswater. Wydawało się niemożliwe, że to wciąż ten sam dzień, w którym odeszła Persefona. Jak to możliwe, że niektóre dni liczyły tak wiele godzin?

Przy samochodach Blue błagała Callę:

– Proszę, zostań tu i pilnuj czasu wraz z Matthew.

– Nie ma mowy, tchórze. Idę z wami – rzekła Calla. – Nie pozwolę ci tego zrobić samej.

– Proszę – powtórzyła Blue. – Nie będę sama. I nie zniosę tego, jeśli...

Nie skończyła. Nie potrafiła powiedzieć: „jeśli ty też zginiesz”.

Calla ujęła dłońmi głowę dziewczyny, wygładzając jej niedające się wygładzić włosy. Blue wiedziała, że kobieta wyczuwała to wszystko, czego ona nie potrafiła powiedzieć, lecz nie przeszkadzało jej to. Słowa były niemożliwe do wypowiedzenia.

Calla wpatrywała się Blue w oczy. Jej palce wpatrywały się w duszę

dziewczyny.

„Proszę zaufaj mi proszę zostań tu proszę zaufaj mi proszę zostań tu proszę nie umieraj”.

– Uziemianie – powiedziała w końcu Calla. – Jestem dobra w uziemianiu. Zostanę tu i będę cię uziemiać.

– Dziękuję – wyszeptała Blue.

Wewnątrz Cableswater była mgła i jeszcze więcej mgły. Ronan witał drzewa, idąc w obłoku rozmytego blasku rzucanego przez wysnzione światło, które przywiózł ze Stodółek. Adam nazwał je widmowym światłem i to określenie wydawało się pasować.

Ronan z szacunkiem prosił o bezpieczne przejście.

Kojarzyło się to Blue z modlitwą.

Drzewa zaszeleściły w odpowiedzi, niewidoczne liście poruszyły się w mroku.

– Co powiedziały? – spytał nagle Gansey. – Czy nie mówiły jedynie, żebyśmy byli ostrożni?

– Trzeci śpiący – odparł Ronan. – Ostrzegły nas, byśmy go nie budzili.

Weszli do jaskini.

W drodze tunelem w kierunku rozpadliny Gwenllian śpiewała o tym, jak dowieść, że jest się godnym zostać królem.

Schodzili niżej.

Gwenllian wciąż śpiewała, tym razem o zadaniach i próbach dla kandydatów na rycerzy. Adam zaciskał i zwalniał pięści w świetle podrygujących latarek na kaskach.

– Zamknij się, proszę – poprosiła Blue.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił Ronan.

Gwenllian zamknęła się.

Adam podszedł do Ronana na skraju szczeliny. Spoglądali w nią, jakby potrafili dostrzec dno. Otaczał ich tajemniczy złoty blask, pochodzący nie tylko z latarek i reflektorów na kaskach, lecz także z widmowego światła.

Adam mruknął coś do Ronana. Ronan pokręcił głową.

– Wciąż bez dna? – dobiegł z tyłu głos Ganseya.

Ronan zdjął widmowe światło z ramienia, gdzie wisiało jak torba kurierska, i przywiązał do jednej z lin zabezpieczających.

Blue była bardziej wystraszona niż wcześniej. Łatwiej było się nie bać, gdy to samemu wykonywało się rzeczy przyprawiające o strach.

– Opuść je – polecił Ronan Adamowi. – Rozejrzyjmy się tu, dobrze?

Obydwaj chłopcy stali przez chwilę, machając widmowym światłem

w jamie, rysując nim szalone, jaśniejące zygzaki. Nie wydawali się jednak zadowoleni z rezultatów. Adam nachylił się – Ronan mocno ścisnął go wtedy za ramię – po czym obrócili się z powrotem do pozostałych.

– Nic nie widać – powiedział Adam. – Nie ma wyjścia, trzeba zejść.

– Proszę... – zaczął Gansey, lecz przerwał i rzekł jedynie: – Bądźcie ostrożni.

Adam i Ronan popatrzyli najpierw na siebie, a później na rozpadlinę. Wyglądali czarująco i dzielnie, ufali Cableswater lub sobie nawzajem. Nie wyglądali na wystraszonych, więc Blue bała się w ich imieniu.

– Powiedz to – odezwał się do Ganseya Ronan.

– Co?

– *Excelsior*.

– To znaczy naprzód i w górę – rzekł Gansey. – Czyli chodzi o wznoszenie. To przeciwieństwo.

– No dobra – odezwał się Ronan. – I raz, i plask, i dwa, i plask, i *trzy*, i plask, i dalej, dalej...

Zniknął w otworze, z którego wciąż dobiegał jego głos.

– Nie będę śpiewał – oznajmił Adam, lecz ruszył za Ronanem.

Głos Ronana rozbrzmiewał i rozbrzmiewał, lecz nagle się urwał.

Zapadła cisza.

Zupełna cisza, jaka jest możliwa wyłącznie w dziurze w ziemi.

Rozległ się szmer niczym kamyczków uderzających o skałę.

I znów cisza.

– Jezu – jęknął Gansey. – Nie zniosę tego.

– Zmartwienie jest słabością, królu – wtrąciła się Gwenllian.

Cisza.

I nagle pojawił się chrapliwy urwany okrzyk nierozpoznanego głosu. Może Adama, może Ronana, a może kogoś zupełnie innego.

Gansey jęknął straszliwie i oparł głowę o ścianę. Blue wyciągnęła szybko rękę, by go mocno chwycić za dłoń. Ona również nie mogła tego znieść, ale nie mogła zrobić nic poza *znoszeniem* tego. W jej wnętrzu rósł ten nowy, czarny strach, świadomość, że śmierć może przydarzyć się każdemu i w każdej chwili. Ronan oraz Adam mogli już nie żyć i nie będzie trzęsienia ziemi. Nie będzie też bicia dzwonów.

Przerażenie wypełniało jej żołądek niczym ciężkostrawny pokarm.

Czy zaufali Cableswater?

Oto było pytanie.

Czy ta jama rozciągała się poza Cableswater?

Oto było drugie pytanie.

– Nie potrafię z tym żyć – powiedział Gansey. – Jeśli cokolwiek się stało...

– Nigdy nie będziesz królem – rzekła Gwenllian. – Czy nie wiesz, jak działa wojna?

Jej rozgoryczenie nie było jednak skierowane do Ganseya. Było drwiną z kogoś, kto ją pogrzebał lub został z nią pogrzebany dawno temu.

Nagle z dołu dobiegł głos.

– Gansey?

– Adam! – krzyknął Gansey. – Adam?!

Znów odezwał się głos:

– Wracamy, żeby pokazać wam drogę na dół!

Odnaleźli dolinę szkieletów.

Rozpadlina nie była bez dna, choć okazała się rozległa i głęboka. Dolna część była nachylona i zwężona, zasłaniała ich przed wzrokiem Ganseya i pozostałych. W rozproszonym blasku widmowego światła Adam niewyraźnie dostrzegł dziwne gniazda przyklejone do ściany. Zamachał rękoma, próbując spowolnić zjazd. W otworach gniazd migotało coś czarnego i niespokojnego, lecz Adam nie widział co. Mogły to być insekty, lecz słyszał jak zjeżdżający przed nim Ronan mówi coś szybko po łacinie i Adam ujrzał nagle, jak dziwne obiekty przekształcają się w wykonane z gałązek ptasie gniazda.

Adam uświadomił sobie, że na tym właśnie polegało ich zadanie. Mieli sprawić, by droga była bezpieczna dla reszty. Właśnie to obiecali: że będą magami Ganseya.

Zjeżdżali więc, szeptali, prosili i wspólnie przekonali Cableswater, by zmieniło gniazda w coś nieszkodliwego. Przynajmniej na jakiś czas.

Wreszcie dotarli do dna rozpadliny i znaleźli się w grocie.

Dołączyli już do nich pozostali i wszyscy wpatrywali się w podziemną dolinę.

Pomiędzy nimi a odległą przeciwległą ścianą znajdowało się stado kościotrupów, armia kościotrupów, tragedia kościotrupów. Były tu kości koni i jeleni, małe szkieleciki kotów i kręte łasic. Wszystkie zostały uchwycone w ruchu, wszystkie kierowały się ku nastolatkom stojącym u wlotu doliny.

Co dziwne, widok ten nie wywoływał przerażenia, lecz zachwyt.

Samo pomieszczenie również wyglądało wspaniale. Grota była rozległą niecką, dwa razy dłuższą niż szerszą. Nici światła docierały z otworów w stropie kilkadziesiąt metrów nad nimi. W przeciwieństwie do jaskini, którą właśnie zostawili za sobą, tu istniały kolory: paprocie i mchy sięgały do nieosiągalnego słońca.

– Chmury – wyszeptała Blue.

Była to prawda. Strop wisiał tak wysoko, że kłębiła się pod nim mgła poprzecinana stalaktytami.

Adam czuł się, jakby trafił do jednego ze snów Ronana.

Gwenllian zaczęła śmiać się i klaskać w dłonie. Śmiech ten, sam



w sobie będący pieśnią, odbijał się echem od stropu.

– Niech ktoś ją zaknebluje – poprosił Ronan. – Zanim ja to zrobię.

– Co to za miejsce? – spytała Blue.

Adam pierwszy ruszył w dół.

– Uważaj... – ostrzegł go Gansey.

Gwenllian ruszyła tanecznym krokiem naprzód.

– Czego się boicie? Jakichś kości?

Kopnęła jeden z kocich szkieletów. Poleciały kości. Adam się skrzywił.

– Nie rób tego! – odezwała się Blue.

– Martwi pozostaną martwymi – odparła Gwenllian i udem roztrzaskała kolejny kościec.

– Nie zawsze – ostrzegł Gansey. – Lepiej się pilnuj.

– Tak, tato! – powiedziała, lecz ustawiła się do następnego solidnego kopnięcia.

– Ronanie! – zawołał ostro Gansey i Ronan ruszył, by ją zatrzymać. Trzymał jej ręce za plecami bez złej woli ani przesadnej delikatności.

Adam stanął przy jednym z kościców na przedzie. Zwierzę miało w barkach więcej niż Adam wzrostu, wielka czaszka sięgała powyżej, ponad nią zaś rozpościerały się potężne rogi, robiące wrażenie nawet w porównaniu z resztą masywnego szkieletu. Zwierzę było piękne.

– To jeleń olbrzymi – z bardzo bliska dobiegł głos Blue.

Obrócił się i zobaczył, że stoi obok niego, dotykając jednej z wielkich białych kości. Musnęła ją palcem tak delikatnie, jakby wciąż znajdowała się w żywym zwierzęciu.

– Wyginęły – dodała. – Zawsze żałowałam, że nigdy ich nie zobaczę. Spójrz, jak ich tu wiele.

Adam spojrzał. Było ich wiele. Widział jednak nie tylko je i ponownie poczuł oszołomienie liczbą otaczających ich kości. Tysiąc zwierząt zawieszonych w ruchu. Przypominało mu to coś, choć nie pamiętał co.

Wyciągnął szyję, by popatrzeć na wejście, a później na Ronana i Gwenllian. Gansey szedł między szkieletami, jakby znajdował się we śnie, a na jego twarzy malowały się zachwyt i ostrożność. Z szacunkiem dotknął wygiętej w łuk szyi szkieletowego zwierzęcia, a Adam przypomniał sobie jego skierowane do Ronana słowa, że nigdy nie zostawiał miejsca w gorszym stanie niż wtedy, gdy do niego wszedł. W tym momencie Adam zrozumiał, że to podziw Ganseya i Blue zmieniły tę grotę. Ronan i Adam mogli ją uważać za magiczne miejsce, ale dzięki Ganseyowi i Blue była ona *święta*. Stała się katedrą kości.

Kroczyli powoli doliną, szukając odpowiedzi i wskazówek. Nie było widać innego wyjścia. Była tylko ta rozległa przestrzeń i strumień biegnący po dnie, znikający pod skalną ścianą.

– Czemu to ma służyć?

– Sztuczki, wciąż nowe sztuczki! – warknęła Gwenllian. – Wszyscy odważni, młodzi i przystojni... Wszyscy szlachetni i prawi...

– Kto wyciągnie miecz z kamienia... – mruknął Gansey.

Blue skinęła głową.

– To próba – powiedziała.

– Mamy je obudzić – odezwał się nagle Ronan. Puścił Gwenllian. – O to chodzi, prawda?

– To nie moja próba, śmiały panie rycerzu – odrzekła Gwenllian. – Wasz wybór. – Strzeliła do niego z palców po kowbojsku.

Blue zatrzymała wzrok na jeleniu olbrzymim, była nim mocno oczarowana.

– Jak się budzi kości?

– Tak samo jak śniącego – zagruchała Gwenllian, kierując swe słowa do Ronana. – Jeśli nie potrafisz obudzić tych kości, jak chcesz ożywić mojego ojca? Cóż jednak widzę na twoich ramionach? Och, obciąża je brzemie porażki. Dostrzegam je również w twoich oczach. Próbowaleś już tego, mój ułomny śniący, ale masz w sobie więcej entuzjizmu niż precyzji, czyż nie?

– Przestań – zażądał Gansey.

Powiedział to w taki sposób, że wszyscy znieruchomieli i spojrzeli na niego.

W jego głosie nie było złości i nie było niesprawiedliwości. Stał obok pary ogromnych szkieletowych jeleni, wyprostowany i z poważnym wzrokiem. Przez chwilę Adam dostrzegał teraźniejszość, lecz również przeszłość i przyszłość, rozciągnięte jak wtedy, gdy Persefona skłoniła go, by spojrzeć na własną śmierć. Widział Ganseya w tym momencie, lecz w jakiś sposób widział go również na zawsze, jakby zamierzał właśnie opuścić tę chwilę, wejść w nią lub żyć w niej.

Nagle myśli mu zaskoczyły i czas znów zaczął płynąć.

– Przestań ich podjudzać, Gwenllian – powiedział Gansey. – Myślisz, że tylko ty masz tutaj prawo do rozgoryczenia? Dlaczego nie użyjesz swych zdolności postrzegania tego, co pod spodem, aby zachęcać, zamiast zniechęcać?

– Bardzo bym chciała popatrzeć na to, co mają pod spodem wszyscy obecni tu młodzi mężczyźni – oznajmiła Gwenllian. – Jeśli chcesz, możesz zgłosić się pierwszy na ochotnika.

Gansey wywrócił oczyma i westchnął w bardzo niekrólewski sposób.

– Nie zwracajcie na nią uwagi. Adamie, podsuń mi pomysł.

Adam był zawsze wzywany do tablicy, nawet gdy nie podnosił ręki. Pomyślał o tym, czego nie udało się osiągnąć Ronanowi, później o chwilach na górskim szczycie z Lynchem i wreszcie przypomniał sobie, co Persefona mówiła o mocy trójki.

– Ronanie, czy zabrałeś swoją wyśnioną rzecz? – spytał.

Ronan wskazał gestem torbę wiszącą pod wyśnionym światłem.

– Co? – zapytała Blue.

Adam machnął dłonią, nie była to pora na wyjaśnienia.

– Pamiętasz Stodółki? Ronanie, spróbuj je obudzić tak jak krowy. Ja sprawdzę, czy uda mi się skierować linię mocy tak, byś miał do dyspozycji więcej energii. Blue będzie cię wzmacniać. Gansey może... przesuwając kamienie?

Gansey potwierdził skinieniem głowy. Nie rozumiał planu, ale nie musiał. Ufał Adamowi.

Ronan zdjął torbę z ramienia i ostrożnie odpakował wyśnioną rzecz z dość już złachanego polarowego koca. Starał się osłaniać ją przed wzrokiem pozostałych, gdy Adam kucnął i przyciskał palce do skały. Gdy tylko jej dotknął, wiedział, że nie znajdowali się już we właściwym Cableswater, że zeszli pod nie. Linia mocy wciąż tam jednak była i gdyby przesunął część kamieni, mógłby skierować ją na szkielety.

– Blue, Gansey, pomóżcie mi – poprosił, kierując nimi.

Gwenllian obserwowała ich z wydętą wargą.

– Ty też mogłabyś się przydać – powiedział jej.

– Nie – odparła. – Nie mogłabym.

Nie powiedziała, że nie mogłaby pomóc *jemu*, ale było to oczywiste. Tym razem Gansey nawet nie tracił czasu na jej łajanie. Pracował po prostu z Blue, przesuwając wskazywane przez Adama kamienie. Później wrócili do zwierzęcia na samym przedzie stada.

Ronan czekał z wyśnioną rzeczą, odwracając od niej wzrok. Następnie, gdy stanęli dookoła, chuchnął na wyśnione słowo, tak samo jak w Stodółkach.

Jego oddech przeniknął przez słowo i ruszył dalej, do szkieletu.

Nastąpiła cisza.

Jednak Adam *czuł*. Rozległa podziemna dolina była naładowana energią, pulsowała życiem. Szemrało pod ścianami. Przeskakiwało od kości do kości w każdym szkielecie, a później do następnego kośćca. Chciały skakać, pamiętały życie. Pamiętały swe ciała.

Wciąż jednak panowała cisza.

Adam, wzmocniony przez Blue, czuł, jak linia mocy drży i mu się opiera. Nie niszczyła go, lecz się rozpraszała. Nie był jej prawdziwym przekaźnikiem i nie zdoła skupiać jej już długo.

Blue zaciskała wargi i Adam wiedział, że też to czuła.

Dlaczego to nie działało?

Może było po prostu podobnie jak w Stodółkach. Znajdowali się blisko, lecz nie dość blisko. Może Gwenllian miała rację i nie byli godni.

Gwenllian odsuwała się od nich, trzymając ręce wyprostowane u boków i przemykając wzrokiem od zwierzęcia do zwierzęcia, jakby oceniała, które pierwsze się zerwie i będzie chciało być obserwowane.

Gansey ściągnął brwi, przyglądając się stadom i gromadom, Gwenllian i sączącemu się światłu, oraz przyjaciołom znieruchomiałym w niewidocznej walce.

Adam nie mógł przestać widzieć swego omylnego króla wiszącego nad jamą kruków.

Gansey bardzo delikatnie dotknął dolnej wargi. Opuścił dłoń i rzekł:

– Przebudźcie się.

Wypowiedział to takim samym tonem, jakim wcześniej mówił „przezań”. Wypowiedział to głosem, który Adam słyszał już niezliczoną ilość razy, którego *nie* można było nie posłuchać.

Zwierzęta się przebudziły.

Jelenie, konie, lwy, jastrzębie, kozy, jednorożce oraz stworzenia, których Adam nie potrafił nazwać.

W jednej chwili były kośćcami, a w następnej już pełnymi istotami. Adam przegapił moment transformacji. Wyglądało to podobnie, jak gdy Noah zmieniał się ze smugowatej zjawy w chłopca – z niemożliwego w możliwe. Każde zwierzę żyło, lśniło i było piękniejsze niż wszystko, co Adam mógłby sobie wyobrazić.

Stawały na tylnych łapach, nawoływały się, rżały i skakały.

Adam widział, że pierś Ganseya unosi się ciężko w niedowierzaniu.

Zrobili to. Wciąż to robili.

– Musimy iść! – krzyknęła Blue. – Spójrzcie!

Stworzenia zrywały się do galopu. Nie oddzielnie, lecz jako setka osobnych umysłów połączonych wspólnym celem. Było nim wyjście, które pojawiło się po drugiej stronie doliny. Wyglądało jak rozwarta paszcza, która jednak zamykała się powoli. Jeśli szybko przez nią nie przejdą, zniknie.

Ludzie nie potrafili tak szybko biegać.

– Tak! – zawołała Blue i wskoczyła na jelenia olbrzymiego.

Zwierzę zarzuciło ogromnym porożem i wierzgnęło, lecz trzymała się

go.

Adam nie mógł w to uwierzyć.

– Tak... – rzekł Ronan i spróbował złapać jelenia, a później innego.

Wreszcie udało mu się uczepić zadu pierwotnego stworzenia i podciągnąć się na jego grzbiet.

Łatwiej było jednak powiedzieć niż zrobić. Zwierzęta były szybkie i płochliwe, więc Adam został z kilkoma garściami sierści. Kilka metrów dalej zobaczył sfrustrowanego Ganseya, który również pokazywał mu dłoń pełną kłaków. Gwenllian roześmiała się i pobiegła za stworzeniami, klaszcząc w dłonie i zaganiając je.

– Biegnijcie, małe istotki! Biegnijcie! Biegnijcie!

Adam nagle poleciał naprzód. Poczł ból w barku, gdy jakieś zwierzę zawadziło go podczas skoku. Przeturlał się, osłaniając głowę. Uderzyło go kolejne kopyto i pomyślał o dawnym nauczycielu łaciny, stratowanym na śmierć w Cabeswater.

Różnica polegała na tym, że Cabeswater nie pozwoli Adamowi umrzeć.

Pozwoli go jednak zranić. Odkoczył z drogi zwierząt i się podniósł.

– Adamie – powiedział Gansey, wskazując dłonią.

Oczy Adama odnalazły to, co pokazywał: wierzchowce Ronana i Blue przeskakujące przez coraz mniejsze wyjście z jaskini, które po chwili się zamknęło.

Blue znalazła się w dziwnej, niskiej grocie o nieokreślonej wielkości. Blask z tyłu oświetlał podłogę opadającą od jej strony i kończącą się jamą o poszarpanym dnie.

Nie. To nie była podłoga. Było to odbicie stropu.

Spoglądała na rozległe nieruchome jezioro. Woda doskonale odbijała kolczasty strop, ukrywając prawdziwą głębokość martwego akwenu, który wydawał się bardzo niepokojący. Na przeciwległym brzegu widniał wylot kolejnego tunelu, ledwo widoczny w słabym świetle.

Blue się wzdrygnęła. Bark bolał ją w miejscu, w którym się uderzyła, podobnie jak pośladki.

Odwróciła wzrok od jeziora – niechętnie, bo kto wiedział, co mogło się w nim skrywać – i zaczęła rozglądać się za resztą. Ujrzała, że jej wielkie białe zwierzę stoi nieruchomo z boku, jakby było częścią jaskini. Zobaczyła też ścieżkę prowadzącą z powrotem do miejsca, z którego została wyrzucona.

– Jesteś tu – powiedziała to z ulgą, bo nie była sama.

Dojrzała Ronana. Widziała jego widmowe światło, wciąż zawieszone na ramieniu i rzucające blask na grocie.

Trzymał się na uboczu jak jeleni, rozglądając się ostrożnym, ciemnym i obcym wzrokiem. Nigdzie nie było zwierzęcia, na którym musiał jechać, by się tu dostać.

Poczuła nagle obawę i wyciągnęła nóż techniczny.

– Jesteś prawdziwym Ronanem?

Prychnął.

– Mówię poważnie.

– Tak, larwo – rzekł.

Rozejrzał się równie niepewnie jak wcześniej ona, dzięki czemu trochę sobie poprawiła opinię na jego temat. Jezioro albo coś pod jego powierzchnią wzbudzało jej niepokój.

– Dlaczego nie musiałeś na niczym jechać?

– Musiałem. Uciekło.

– *Uciekło?* Dokąd?

Podszedł bliżej, po czym pochylił się, by podnieść kamień z ziemi. Rzucił nim do jeziora. Rozległ się dźwięk, jakby powietrze dmuchnęło

im w uszy i kamień zniknął. Blue obserwowała miejsce, w którym uderzył w powierzchnię i zginął z oczu – nie w wodzie, ale w nicości.

Nie było widać zmarszczek na powierzchni.

– Wiesz co? – spytał Ronan Blue. – Pierdolić magię. Pierdolić to.

Blue szła powoli w kierunku brzegu jeziora.

– Hej! Nie słyszysz mnie? Nie rób nic głupiego. To zjadło mojego jelenia.

– Tylko patrzę – rzekła Blue.

Podeszła tak blisko, jak się odważyła, po czym spróbowała dojrzeć dno.

Znów ujrzała złote odbicie stropu, później czerń wody, a następnie własną twarz z dziwnymi i pustymi oczyma.

Odbita w tafli twarz wydawała się wznosić w wodzie ku niej, była coraz bliżej i bliżej, skóra stawała się coraz bledsza i bardziej matowa, dopóki Blue nie ujrzała, że to nie jej twarz.

Tylko jej matki.

Miała martwe oczy, zwiotczałe usta, zapadnięte i spuchnięte policzki. Unosiła się tuż pod powierzchnią. Twarz była najbliżej, korpus zanikał, nogi kryły się w czerni.

Blue poczuła, że zaczyna się trząść. Czowała wszystko to, co po śmierci Persefony. Dojmujący i palący smutek.

– Nie – powiedziała głośno. – *Nie. Nie.*

Twarz matki wciąż jednak unosiła się pod powierzchnią, coraz bardziej martwa, i Blue usłyszała, jak z jej ust dobiega okropny, wysoki dźwięk.

„Bądź rozsądna... – Blue nie mogła się zmusić do rozsądku. – Wyciągnij ją”.

Nagle poczuła ręce obejmujące ją, odciągające od brzegu. Drżały, lecz były zaciśnięte jak imadła, pachniały potem i mchem.

– To nie jest prawdziwe – powiedział jej Ronan. – To nie jest prawdziwe, Blue.

– *Widziałam ją* – rzekła Blue i usłyszała łkanie w swoim głosie. – Moją matkę.

– Wiem – odparł. – Ja widziałem swojego ojca.

– Ale ona *tam* była...

– Mój ojciec leży martwy w ziemi. A Adam widział twoją matkę w głębi tej zapomnianej przez Boga kaplicy. To jezioro jest *kłamstwem*.

W jej sercu wydawało się jednak prawdziwe, nawet jeśli umysł mówił co innego.

Stali tak przez chwilę. Ronan ścisnął ją tak mocno, jak ścisnąłby

swego brata Matthew, opierając policzek na jej ramieniu. Za każdym razem, gdy sądziła, że może już się od tego uwolniła, znów widziała zwłoki matki.

Wreszcie odsunęła się, a Ronan wyprostował. Odwrócił wzrok, ale wcześniej dostrzegła łzę, którą strącił z brody.

– Pierdolić to – powtórzył.

– Dlaczego nam to pokazuje? – Blue zmusiła się, by jej głos zabrzmiał normalnie. – Jeśli to nie jest prawdziwe, dlaczego Cableswater pokazuje nam coś tak okropnego?

– To już nie jest Cableswater – odparł Ronan. – To leży niżej. Jezioro należy do czegoś innego.

Rozejrzeli się w lewo i prawo, szukając jakiejś drogi, dzięki której mogliby obejść akwen. W tej nagiej, apokaliptycznej przestrzeni nie było jednak nic poza nimi i wielkim zwierzęciem, wciąż równie nieruchomym jak formacja skalna.

– Zamierzam znów na nią spojrzeć – rzekła wreszcie Blue. – Chcę sprawdzić, czy uda mi się zobaczyć, jak jest głęboko.

Ronan nie odwoził jej od tego, lecz też nie poszedł za nią. Podeszła do brzegu, starając się nie trząść na myśl, że ujrzy martwą matkę lub jakiś gorszy obraz. Pochyliła się, podniosła kolejny kamień i wpuściła go do jeziora, nie czekając, aż podniesie się odbicie.

Kamień zniknął w chwili, gdy dotknął powierzchni wody.

I znów nie podniosła się najmniejsza fala.

Niezmacona woda znów zaczęła tworzyć dla niej wizję.

Gdy koszar się podnosił, Blue przypomniała sobie lekcję Gwenllian na temat luster.

„Magia luster nie działa na lustra”.

Jeśli martwe jezioro pokazywało jej Maurę, a Ronanowi jego ojca, to tak naprawdę nic nie tworzyło – wykorzystywało ich myśli i je odbijało.

Było jedynie ogromną wróżebną misą.

Zaczęła stawiać w swoim wnętrzu elementy, podobnie jak wtedy, gdy odcinała Noaha i Adama. Trupia twarz powoli wznosiła się ku niej, lecz ignorowała ją i kontynuowała pracę.

Była lustrem.

Znów skupiła wzrok na wodzie. Nie było ciała. Nie było twarzy. Nie było żadnego odbicia, podobnie jak nie było jej w zwierciadłach Neeve. Istniała jedynie nieruchoma, szklista powierzchnia wody, a pod nią, gdy przeniknąć wzrokiem odbicie stropu, mulista, nierówna powierzchnia dna.

Jezioro miało tylko parę centymetrów głębokości. Może trzy, może



pięć. Było doskonałą iluzją.

Dotknęła wargi – przypomniało jej to Ganseya, więc przestała.

– Idę na drugą stronę – powiedziała.

Ronan roześmiał się nieprzyjemnie.

– No jasne. A poważnie?

– Poważnie – rzekła mu Blue, po czym dodała pospiesznie: – Ale ty lepiej nie idź. Nie sądzę, byś mógł dotknąć wody. Rozpłynąłbyś się jak ten kamień.

– *A ty się nie rozpłyniesz?*

Popatrzyła na wodę. Było naprawdę niewiarygodne, że ufała wiedzy obłąkanej osoby.

– Nie sądzę. To dlatego, że jestem tym, kim jestem.

– Nawet zakładając, że to prawda – powiedział Ronan – dalej pójdziesz sama?

– Nie opuszczaj tego brzegu – odparła Blue. – No, nie na zawsze. Ale... Obiecuj mi, że zostaniesz tu rozsądną ilość czasu. Zobaczę tylko, jak to wygląda po drugiej stronie.

– Oczywiście zakładając, że nie znikniesz.

Nie wpływał pozytywnie na jej już wystawioną na próbę odwagę.

– Ronanie, *przestań*.

Zmierzył ją ciężkim spojrzeniem, takim, którego używał zwykle, by nagiąć Noaha do swojej woli.

– Jeśli ona tam jest... – zaczęła Blue.

– Tak, wiem – warknął. – Dobrze. Zaczekam.

Pochylił głowę, zdjął widmowe światło i zawiesił jej na ramieniu.

Nie zawracała sobie głowy mówieniem: „Ale przecież będziesz czekał po ciemku”. Nie powiedziała też: „Jeśli natychmiast rozplynie się w jeziorze, będziesz musiał się stąd wydostać po omacku”. To dlatego, że wiedział już obie te rzeczy, gdy dawał jej światło.

Zamiast tego rzekła:

– Wiesz, wcale nie jesteś takim dupkiem.

– Nie – zaprzeczył Ronan. – Tak naprawdę jestem.

Odwróciła się do wody i dała sobie mały upominek: zamknęła oczy i pokręciła lekko głową ze strachu i obrzydzenia tym, co zamierzała zrobić.

A następnie weszła do jeziora.

Woda była mokra, co ją zszokowało.

W jakiś sposób uwierzyła, że ciało jest fałszywe, a więc może woda również. Okazało się jednak, że przynajmniej pięć jej centymetrów było prawdziwe i zachlupotało chłodno o jej buty.

Nie zniknęła.

Obróciła się i zobaczyła, że Ronan przykucnął kilka kroków od brzegu, otulając rękoma kolana i już czekając, aż pochłonie go ciemność. Gdy napotkał jej wzrok, zasalutował bez uśmiechu, zanim się odwróciła.

Ostrożnie szła przez jezioro, skupiając wzrok na jego prawdziwym dnie, stropie i ścianach – nie ufała niczemu w tym miejscu, zwłaszcza gdy zaczęło w niej coraz bardziej rozkwitać przerażenie.

Nie chciała myśleć o tym, że zostawiła Ronana w mroku.

Szła dalej sama, a gdy pomyślała, że nie zniesie już więcej czerni w sercu, dotarła do drugiego brzegu jeziora i znajdującego się tam tunelu.

Weszła na skałę i stała tam przez chwilę, próbując zrzucić z siebie strach.

„Dlaczego muszę być do tego wszystkiego sama?”

Dostrzegając, jakie to niesprawiedliwe. Poprawiła jednak widmowe światło i szła dalej.

Blue wiedziała, że idzie w dobrą stronę, ponieważ zaczęła wyczuwać subtelne impulsy ze strony trzeciego śpiącego. Było tak, jak mówił Adam – jeśli nie zachowywało się czujności, słyszało się w głowie głos brzmiały bardzo podobnie do twojego.

Blue *zachowywała* jednak czujność.

\*\*\*

Do opisaną przez niego groty nie było daleko. Przedostała się przez ciemny otwór, słysząc w sobie głos mówiący: „Chodź bliżej, bliżej, bliżej”, podczas gdy prawdziwy głos w jej wnętrzu mówił: „Chciałabym móc stąd uciec”.

Było tak, jak opisał. Mała wydrążona grotka, tak niska, że musiała się skulić, by wejść. Poruszając się w takiej pozycji, czuła się niebezpiecznie odsłonięta.

„Zupełnie jakby iść na klęczkach”.

Nie były to jednak jej prawdziwe myśli, lecz naśladowający je głos trzeciego śpiącego.

Tak bardzo tęskniła za chłopcami, Callą, matką albo... Od tak dawna obecność tylu osób brała za pewnik. Nigdy wcześniej nie musiała tak naprawdę czuć strachu. Zawsze jakaś dłoń mogła ją złapać albo przynajmniej uścisnąć, gdy spadali razem.

Blue znalazła się w grocie. Widmowe światło Ronana rozjaśniło przestrzeń. Wzdrygnęła się, uświadamiając sobie, jak blisko zobaczyła klęczącego mężczyznę. Był zaledwie parę centymetrów od niej, miał długie kończyny i był z jakiegoś powodu znajomy. Pozostawał w zupełnym bezruchu.

Nie spał jak wyśniona istota, nie był też martwy, jak w dolinie kości. Skupiał czujnie wzrok na matowoczerwonych drzwiach o błyszczącej czarnej klamce.

„Otwórz”.

Blue odciągnęła od niej wzrok.

„Jestem lustrem – pomyślała. – Przyjrzyj się sobie, a ja się tu rozejrzę”.

Obeszła nieruchomego mężczyznę, próbując wzmocnić serce na to, co miała zobaczyć. Próbowwała ochronić się przed tą najgorszą z rzeczy, tą podstępną nadzieją, gorszą niż szept trzeciego śpiącego w jej głowie.

Nic to jednak nie dało. Ponieważ po drugiej stronie mężczyzny znajdowała się Maura Sargent.

Była nieruchoma, miała dłonie wsunięte pod pachy, lecz żyła.

Żyła, żyła, żyła, była matką Blue, Blue ją kochała i odnalazła ją.

Dziewczyny nie obchodziło, czy Maura może to wyczuć, czy nie, ale rzuciła się do niej i szaleńczo zarzuciła ręce na szyję matki. Poczowała się tak spokojna, jak w objęciach matki, ponieważ to była jej matka.

Ku jej wielkiemu zaskoczeniu Maura poruszyła się lekko pod nią i wyszeptała:

– Nie pozwól mi się ruszyć!

– C o?

– Skoro już jesteśmy we trójkę, nie będę mogła powstrzymać się przed ich otwarciem!

Blue zerknęła na mężczyznę. Miał zmarszczone brwi.

– Powinniśmy po prostu iść – powiedziała Blue. – Jak przedostałaś się przez jezioro?

– Obeszłam je – wyszeptała Maura. – Górą.

– Jest inna droga?

Teraz, gdy Blue wiedziała już, że Maura żyje, w jej sercu pojawiło się miejsce na inne emocje, na przykład wkurzenie.

Rozejrzała się po jaskini i u szczytu jednej z niskich ścian ujrzała mały otwór. W tym samym czasie mężczyzna zaczął pełznąć do drzwi.

Nie zastanawiając się, wciąż zgięta w pół doskoczyła do niego i otworzyła nóż techniczny.

– O nie. Idziesz ze mną, kolego.

Wyglądało na to, że poważnie uważał nabicie się na ostrze za lepsze rozwiązanie niż odsunięcie się od drzwi. Wreszcie cofnął się kilkanaście centymetrów. A później jeszcze kilkanaście. Blue rozglądała się za czymś, by związać mu ręce, ale miała tylko widmowe światło. Ściągnęła je przez głowę i powiedziała:

– Kimkolwiek jesteś, nie bierz tego do siebie, ale nie ufam komuś, kto ma tak zaczarowany wyraz twarzy.

Wsunęła rączkę noża technicznego między zęby, czując się jak bohaterka, i użyła miękkiego uchwytu światła, by związać mu ręce za plecami. Nie zaprotestował, a jego rysy trochę złagodziły ostry wyraz, jakby z wdzięczności. Teraz, gdy nie mógł otworzyć drzwi, opadł na kolana, pochylił ramiona i wydał z siebie drżące westchnienie.

Od jak dawna Maura i ten mężczyzna przebywali tu, opierając się wezwaniu tego, który spał za drzwiami?

– Jesteś Artemusem? – spytała go Blue.

Podniósł na nią wzrok i słabo potwierdził.

A więc dlatego wydawał jej się znajomy. Nie miała tak podłużnej twarzy ani tak głębokich zmarszczek przy oczach, lecz jego usta i oczy widziała przez całe życie w lustrze.

„Hmm. Cześć, tato”. Po chwili pomyślała: „Przy takich genach naprawdę powinnam być wyższa”.

Popatrzyła znów na drugi otwór, ten u szczytu ściany. Nie wyglądał zbyt zachęcająco, lecz z tego, co wiedziała, matka nie miała doświadczenia wspinaczkowego, wdrapanie się tam nie powinno być więc szczególnie trudniejsze niż zejście tutaj.

Nie było czasu na dalsze rozważania. Wciąż zgięta w pół przekradła się w kierunku otworu, którym tu weszła. Zawołała w mrok:

– Ronan?

Jej głos rozniósł się i wygasł w przestrzeni, pożarty przez mrok.

Milczenie. Gdzieś kapąca woda. I nagle:

– Sargent?

– Znalazłam ją! Jest tu drugie wyjście! Uda ci się wrócić tamtędy, skąd przyszliśmy?

Kolejna chwila milczenia.

– Tak.

– To idź!

– Naprawdę?

– Tak, to nie ma sensu, skoro nie możesz przejść przez jezioro. – Bardziej niebezpieczne było dla niego siedzenie w mroku i nieznanym miejscu, ona zaś nie zdoła poprowadzić przez wodę matki i Artemusa.

„Moich rodziców – pomyślała. – Nie zdołam poprowadzić tamtędy *moich rodziców*”.

Zmarszczyła brwi na tę myśl.

Wróciła do Maury.

– Chodź. Możesz się ruszyć bez otwierania drzwi. Idziemy stąd.

Maura wydawała się jednak nie słyszeć. Znów wpatrywała się ze skupioną miną w drzwi.

W mroku rozległ się głos Artemusa, zaskakując ją:

– Jak udaje ci się to znosić?

Mówił... z obcym akcentem. Nie była pewna, dlaczego ją to zaskoczyło. Brzmiał jak brytyjska odmiana angielskiego, ale z urywanymi końcówkami, zupełnie jakby angielski nie był jego ojczystym językiem.

Blue zastanawiała się nad innymi możliwościami związania matce dłoni i nad tym, czy będzie musiała ją zmusić do odejścia. Czułaby się okropnie, gdyby musiała z nią walczyć.

– To chyba dlatego, że jestem lustrem. Właśnie odbiłam go w jego stronę.

– Ale to nie jest możliwe – powiedział Artemus.

– Jasne – odparła. – Zapewne robię więc coś zupełnie innego i ty wiesz to lepiej. A teraz wybacź, ale próbuję wymyślić, jak wydostać moją matkę z tej jaskini.

– Ale ona nie może być twoją matką.

Ojciec mniej podobał się Blue, niż się spodziewała po tylu latach.

– Drogi panie, masz wiele uprzedzeń, które uważasz za fakty, i sędzę, że w innej chwili powinieneś poważnie zastanowić się, czy wszystko, czego jesteś pewien, stanowi prawdę. Na razie jednak powiedz mi, czy mogę ją stąd wyciągnąć tamtą dziurą. To wyjście, prawda?

Obrócił ręce, by światło ją lepiej ukazywało.

– Rzeczywiście wyglądasz na trochę podobną do niej.

– Dobry *Boże*, człowieku – jęknęła Blue. – Ty wciąż o tym samym? Wiesz, do kogo jeszcze jestem podobna? Do ciebie. Teraz zastanów się nad tym, a ja sama coś wymyślę.

Artemus zamilkł, siedząc z rękoma związanymi za plecami i z zamyśloną miną. Blue nie była pewna, czy naprawdę rozważał, kogo przypomina jej twarz, czy też znów wpadał pod urok trzeciego śpiącego.

Blue chwyciła matkę za rękę i pociągnęła na próbę.

– Chodźmy.

Ręka matki zeszywniała, opierając się nie Blue, lecz w ogóle koncepcji ruchu. Gdy Blue ją puściła, Maura natychmiast sięgnęła dłonią do drzwi.

Blue trzepnęła ją po palcach. Obróciła się do drzwi.

– *Puść ją!*

Głos próbował przekraść się wokół osłon Blue:

„Otwórz drzwi, a wszyscy będziecie mogli odejść, na dodatek z przysługą. Na pewno chcesz ocalić życie temu chłopcu”.

Trzeci śpiący był dobry w tym, co robił.

Choć Blue wiedziała, że nie ma szans, aby otworzyła drzwi lub przyjęła ofertę pomocy, czuła, że propozycja próbuje wedrzeć się do jej serca.

Zastanawiała się, co śpiący szeptał jej matce.

Blue ściągnęła sweter. Chwyciła Maurę za dłonie – matka opierała się – po czym związała je, jak tylko mogła, owijając rękawami. Próbowwała nie myśleć o tym, że sweter będzie teraz zniszczony i rozciągnięty, a zrobiła go dla niej Persefona. Czuła się z tym okropnie. Wszystkie troski i radości stały się równe, przerażenie zapanowało nad priorytetami.

Blue wzięła Artemusa oraz Maurę pod ramiona i podniosła ich na tyle, na ile było to możliwe w tak niskim pomieszczeniu. Pchając ich na siebie i zatrzymując się często, by unieść ich z kolan, zaczęła odsuwać ich od drzwi i kierować w stronę otworu. Nie obchodziło jej, czy w momencie wychodzenia stąd będą posiniaczeni i pokrwawieni, mieli opuścić to miejsce.

Wtedy jednak przez ich wyjście wpadła płatanina ciał.

Grota była niewielka, ale gdy Blue upadła na pośladki, wydała się jej jeszcze mniejsza. Lokalna populacja zwiększyła się gwałtownie o trzy osoby. Ta na przedzie miała wspaniałe blond włosy i pistolet, za nią był mężczyzna z zaciśniętym nosem i pistoletem, a na samym końcu znajdował się...

– Pan Szary! – zawołała Blue z radością.

Tak ucieszyła się na jego widok, że nie mogła uwierzyć w jego realność.

– Blue? – spytał Szary Mężczyzna. – O nie.

„O nie”?

Sekundę później zauważyła, że miał dłonie związane za plecami.

– Co? – zapytała blondynka z bronią. Skierowała promień latarki na twarz Blue, natychmiast ją oślepiając. – Jesteś prawdziwa?

– Tak, jestem prawdziwa! – odparła Blue z oburzeniem.

Kobieta wycelowała w nią pistolet.

– Piper, *nie!* – krzyknął Szary Mężczyzna i tak mocno ją potracił, że wypuściła latarkę, która uderzyła w skałę i natychmiast zgasła.

Jedyny blask dochodził teraz z widmowego światła pętającego dłonie Artemusa.

– Jaki pan szarmancki, panie Szary – rzekła Piper, zerkając w stronę widmowego światła, a następnie wracając wzrokiem ku niemu. – Nie zamierzałam do niej strzelać, ale być może teraz zechcę strzelić do *ciebie*. Jak myślisz, Morris? Poddaję się twojemu zawodowemu osądowi.

– Proszę, nie – powiedziała Blue. – Naprawdę, nie.

– Ją też moglibyśmy zastrzelić – odparł Morris. – Nikt nigdy nie zejdzie aż tak daleko, by ich znaleźć.

Za jej plecami ze stropu albo gdzieś wysoko ze ściany spadło kilka kamyczków. Blue zastanawiała się z lekkim niepokojem, czy nie zakłócili struktury jaskiń, gdy pozwolili, by przegalopowało przez nie stado zwierząt.

Piper wskazała Maurę i Artemusa, wreszcie poświęcając im uwagę.

– Oni też są prawdziwi? Dlaczego tak wyglądają?

– Mauro – rzekł Szary Mężczyzna, dopiero teraz przenosząc spojrzenie z Piper i Blue. W jego energicznym zwykle głosie pojawił się

lekki bezdech. – Blue... Jak ci się... – Zmarszczył w dość znajomy sposób brwi i Blue wiedziała już, że usłyszał trzeciego śpiącego szepczącego mu w głowie wątpliwości oraz obietnice.

Na podłogę jaskini spadł kolejny kamyk.

– No dobrze, nieważne – oznajmiła Piper. Skupiła swój wyraźny, celowy i pewny wzrok na drzwiach. Blue nie miała wątpliwości, że przyszła tu, by przebudzić śpiącego. – Dajcie mi pomyśleć. Tu jest tak cholernie klaustrofobicznie. Wiesz co, dziwna dziewczyno? Możesz sobie po prostu iść. Tak będzie dobrze. Udawaj, że nigdy nas nie widziałas.

– Nie zostawię tu pana Szarego – rzekła Blue.

Gdy te słowa opuściły jej usta, uznała, że były odważne, ale wypowiedziała je, ponieważ były prawdą, nawet jeśli przerażającą.

– To bardzo wzruszające, ale nie – odparła Piper. – On nie może odejść. I nie zmuszaj mnie, żebym cię poprosiła nieuprzejmie.

Szary Mężczyzna zgarbił się, by wpaasować w grocie, i trzymał dłonie za plecami. Kamyki i pył złowieszczo osypywały się za nim ze ścian.

– Posłuchaj mnie – powiedział do Blue. – Zabierz ich i idź. Zapracowałem sobie na to. Skończę tak, jak żyłem. Nie zrobiłaś nic, by sobie na to zasłużyć, twoja matka też nie. Nadszedł czas, by zostać bohaterem.

– Posłuchaj tego człowieka – poradziła Piper. – Gdy mówi, że „zapracował sobie na to”, chodzi mu o to, że trzymał mnie pod bronią w mojej własnej kuchni.

„Myśl, Blue, myśl”. W głowie jej brzęczało i czuła, jakby miała w niej watę.

Zapewne to trzeci śpiący zaglądał za węgł jej świadomości. Może chodziło o strach przed jeziorem i tunelem. A może po prostu o coraz silniejsze podejrzenie, że stanie się tu coś straszliwego. Większy kamień wytoczył się z tunelu, z którego wyłonili się tamci. Niewielka grota i tak była już mała. Wyglądało na to, że nie będzie zbyt trudno całkowicie ją zawalić.

– Przepraszam, ale moglibyście się pospieszyć? – spytała Piper. – Wiem, że nikt nie chce powiedzieć: „Och, popatrzcie, ta gówniana jaskinia się wali”, ale sama o tym wspomnę, aby trochę was ponaglić.

– Zaczynasz brzmieć jak Colin – rzekł Szary Mężczyzna.

– Powtórz to, a strzelę ci w jajka. – Piper wskazała na Blue. – Idziesz czy co?

Blue przygryzła wargę.

– Czy... Czy mogłabym przytulić go na pożegnanie? Proszę?

Opuściła ramiona i otuliła się rękami, wyglądała naprawdę żałośnie.



To ostatnie nie było trudne.

– Chcesz go przytulić? Co za cyrk – powiedziała Piper. – Dobrze.

Znudzonym gestem trzymała pistolet w ich kierunku, gdy Blue pochyłona przesuwała się do Szarego Mężczyzny.

– Och, Blue – rzekł.

Otuliła go ramionami i przytuliła mocno w uścisku, którego nie mógł odwzajemnić. Oparłszy policzek o jego szczecinę, wyszeptała:

– Szkoda, że nie pamiętam, jak brzmiał po staroangielsku ten fragment o bohaterze.

Szary Mężczyzna wyrecytował.

– Brzmi, jakby kot rzygał – zauważyła Piper. – Co to znaczy?

– „Serce tchórze nie jest żadną nagrodą, lecz dzielny człowiek zasługuje na swój lśniący hełm”.

– Pracuję nad tym – odparła Blue, używając noża technicznego, który ukryła w dłoni, by bezszelestnie przeciąć trytytki pętające jego nadgarstki.

Odsunęła się. Pozostał skulony i z rękoma za plecami, lecz uniósł w jej stronę jedną bezbarwną brew.

– No dobra, spadaj stąd. Spływaj. Żegnaj – powiedziała Piper, gdy fragment ściany poruszył się niepewnie, a jej górna powierzchnia zsunęła się w obłoku pyłu na ziemię. – Bądź niska gdzie indziej.

Blue miała ogromną nadzieję, że Szary Mężczyzna coś teraz zrobi.

Nawet gdyby Blue zgodziła się teraz zostawić Szarego Mężczyznę w grocie, Maura i Artemus nie byli bardziej mobilni niż wcześniej. Mogła jedynie wrócić do popychania ich w kierunku wyjścia. Czowała się jak podczas gorączkowych majaków, tylko że zamiast własnych nóg zamienionych w ołów miała do czynienia z okropnie powolnymi Maurą i Artemusem.

Piper tolerowała to przez około trzydzieści sekund, zanim oznajmiła:

– To jest niedorzeczne – i zwolniła bezpiecznik broni.

– Blue, padnij! – wrzasnął Szary Mężczyzna.

Zerwał się już z klęczek.

Musiał uderzyć w Piper lub Morrisa, ponieważ ktoś wpadł gwałtownie na Artemusa, a później na Blue. Jeśli znajdowała się już na kolanach, to czy liczyło się to jako upadnięcie?

W pobliżu wystrzeliła broń i przez pół sekundy panowała cisza. Każdy dźwięk został w tym niewielkim pomieszczeniu ciśnięty o ściany i wrócił zwielokrotniony. Pył sypał się z miejsca, w które kula wbija się lub od którego się odbiła. Zsuwały się kolejne kamienie. Odbijały się od ramion Blue – pochodziły ze *stropu*.

Blue nie potrafiła stwierdzić, które ramiona należały do kogo ani też czy powinna się pochylić, uderzyć kogoś albo dźgnąć. Była pewna tylko tego, że ktoś może tu za chwilę zginąć. Zagrożenie wisiało w pylistym powietrzu.

Morris dusił Szarego Mężczyznę. Blue chciała pomóc. Czy mogła? Zobaczyła jednak, że między wierzgającymi nogami Piper szuka po omacku swojej broni, którą musiała upuścić. Blue, przepatrując podłogę, zauważyła czyjąś broń. Rzuciła się po nią, ale nie zdążyła, ponieważ Szary Mężczyzna i Morris zachwiali się wspólnie. Jeden z nich kopnął pistolet, który potoczył się po kamieniach i wpadł w mrok tunelu.

Druga broń wystrzeliła w czyjejs dłoni. Huk sprawił, że nie dawało się myśleć. Czy ktoś został postrzelony? Kto strzelał? Czy znów strzeli?

W tej chwili bezruchu Blue dostrzegła, że Morris wciąż dusił Szarego Mężczyznę. Dźgnęła go w rękę, akurat w umięśnioną część. Poczowała się z tym znacznie mniej źle niż wtedy, gdy cięła Adama.

Morris natychmiast puścił pana Szarego, który podniósł go i zaczął nim grzmocić o strop.

– No dobra, dość – powiedziała Piper. – Albo ją zabiję.

Wszyscy obrócili się w jej stronę. Piper trzymała broń wycelowaną w głowę Maury. Zarzuciła głową, by odrzucić blond kosmyki z oczu, po czym dmuchnęła, by pozbyć się ich z ust.

– Czego chcesz, Piper? – spytał Szary Mężczyzna.

Odłożył Morrisa na ziemię. Morris został tam.

– *Chcę* tego, o co prosiłam wcześniej – odparła Piper. – Pamiętasz, że chciałam wypuścić kobiety i dzieci, aby poczuć się lepiej sama ze sobą? *Tego* chciałam. Myślę, że teraz żadne z nas *tego* nie otrzyma.

Artemus zamrugał, co było godne uwagi, ponieważ wcześniej tak naprawdę nie mrugał. Bark krwawił mu tak, jakby został postrzelony. Za każdym razem, gdy krew kapała z niego na podłogę, krople zbierały się i płynęły między leżącymi kamieniami w kierunku czerwonych drzwi.

Pod górę.

Wszyscy znieruchomieli, by się temu przyjrzeć.

Wzrok Piper podążył za strumyczkiem aż do drzwi i klamki, a jej wargi koloru różowej gumy balonowej rozchyliły się.

W tym momencie Artemus użył związanych rąk, by zamachnąć się widmowym światłem w stronę jej dłoni.

Uderzył w jej pistolet z cichym trzaskiem. Światło zgasło i wszyscy stali w idealnej ciemności. Nie słychać było, by ktoś się poruszał, a jeśli już, to robił to bezdźwięcznie. Nikt poza Piper nie wiedział, czy wciąż trzymała broń przy głowie Maury.

Panowała cisza, nie licząc grzechotu kamieni spadających ze stropu. Najgorsze odgłosy dobiegały z góry lub z boku. Bliżej rozlegało się stękanie, które Blue przypisywała Morrisowi.

Poczuła się, jakby nie mogła złapać tchu, jakby w grocie kończyło się powietrze. Wiedziała, co to tak naprawdę było: panika.

Nagle wszyscy zaczęli się ruszać.

Zaczął się od szmeru ze strony Piper, Artemusa lub Maury, później być może Szarego Mężczyzny, a następnie wszystko tak się zlało, że nie dało już się odróżnić, kto jest kim. Blue zamknęła nóż techniczny, istniało bowiem zagrożenie, że zrani kogoś, kogo nie chciałyby zranić, a następnie zaczęła macać podłogę w poszukiwaniu upuszczonej latarki. Może wystarczyło dokręcić z powrotem wieczko pojemnika na baterie i znów zaczęłyby działać.

– Nie otwieraj tych drzwi! – rozległ się nagle głos Maury. – Nie otwieraj ich!

Blue nie wiedziała, w którą stronę są drzwi. Z każdego kierunku dochodziły szmery.

Słyszała jednak teraz trzeciego śpiącego. Zupełnie jakby jego połączone szepty rozbrzmiewające w głowie kogoś *innego* stały się tak głośne, że wlewały się do samej groty. Nie działały na Blue, lecz sączyły się przez mrok i osiadały na jej rękach. Spływały jej po palcach.

Blue pomyślała, że wie już, jak powstało zwierciadlane jezioro.

– *Powstrzymajcie ją!*

Nie dało się stwierdzić, czyj to głos. Gdzieś blisko słyszała czyjś coraz szybszy oddech.

Zacisnęła palce na latarce.

„No dalej, dalej”...

Nagle rozległo się łupnięcie i urwany krzyk.

Latarka zapaliła się akurat po to, by oświetlić Piper zwiniętą pod czerwonymi drzwiami i trzymającą się za potylicę.

– Szybko! – krzyknął pan Szary. Upuścił na ziemię bardzo zakrwawiony kamień. – Natychmiast.

Spadały kolejne kamienie, większe niż wcześniej.

– Wychodzimy stąd. Już – polecił energicznie i sprawnie Szary Mężczyzna. Obrócił głowę do Artemusa. – Ty. Krwawisz. Pokażesz mi ranę? Wyjdiesz z tego. Blue? Dobrze się czujesz?

Blue przytaknęła.

– A Maura? – Szary Mężczyzna obrócił się do niej.

Miała paskudne zadrapanie na żuchwie i ze związanymi z tyłu rękoma wpatrywała się uważnie w ziemię. Delikatnie odsunęła jej z czoła

brudne kosmyki, by zbadać jej twarz.

– Musimy zabrać ją od drzwi – powiedziała Blue. – Co z... resztą?

Miała na myśli Piper i Morrisa. Oboje leżeli na ziemi. Blue nie chciała się nad tym zbytnio zastanawiać.

Na twarzy pana Szarego nie widać było ani grama życzliwości.

– Jeśli nie dysponujesz ukrytymi rezerwami siły, której nie okazałeś w drodze na dół, nie możemy nieść i jej, i Maury, a wiem, którą z nich wybieram. Musimy iść.

Jakby na potwierdzenie tych słów tunel, przez który Blue przyszła, zawalił się w lawinie kamieni i pyłu.

Złapali się za ręce. Z Blue oraz latarką na czele wspięli się przez mały otwór w górnej części groty. Blue przeczołgała się kilka metrów i czekała, licząc wdrapujące się ciała.

Jedno (Artemus), dwa (Maura) i trzy (Szary Mężczyzna), cztery...

*Cztery?*

Piper, niemal nie do rozpoznania pod pokrywającym ją pyłem, pojawiła się u wylotu tunelu. Nie wspięła się jeszcze do środka, lecz było ją widać w wejściu. W drżącej dłoni trzymała pistolet.

– T y... – rzekła i urwała, jakby nie wiedziała, co powiedzieć dalej.

– Idźcie już! – wrzasnął Szary Mężczyzna. – Idź, Blue, szybko, zabierz światło!

Blue popędziła w głąb tunelu.

Za nią znów rozległ się strzał, jednak nie ucierpiał od tego tunel.

– Idź dalej! – nawoływał głos Szarego Mężczyzny. – Poradzę sobie!

Rozbrzmiał jednak wysoki krzyk, zbyt gardłowy na wrzask, a później eksplozja dźwięku, gdy grota się zawaliła.

Blue chciała przestać słyszeć ten krzyk. Nie obchodziło jej, że wydał go z siebie ktoś, kto dopiero co próbował zabić jej matkę. Nie potrafiła zmusić się do tego, by poczuć się z tego powodu lepiej.

Nie potrafiła, wspinała się więc dalej, wyprowadzając ich z jaskini.

Gdy wyszli, na zewnątrz było już ciemno, lecz nic nie mogło być ciemniejsze niż tamta grota przy czerwonych drzwiach. Nic nie mogło pachnieć piękniej niż trawa, drzewa, a nawet asfalt na pobliskiej szosie.

Tutejsze wejście było jedynie nierównym otworem w zboczu wzgórza. Nie można było stwierdzić, gdzie są, poza tym, że *na zewnątrz*. Artemus chwiejnie oparł się o stok, dotykając delikatnie rany.

Blue rozwiązała ręce matki. Maura zarzuciła jej ramiona na szyję i mocno przytuliła.

– Tak bardzo przepraszam – powiedziała po kilku minutach. – Tak bardzo, bardzo, bardzo przepraszam. Kupię ci samochód, powiększę

pokój i zawsze będziemy jeść tylko jogurt, i...

Przerwała i w końcu się puścili.

Szary Mężczyzna stał przy jej łokciu. Gdy się obróciła, zrobiła dziwną minę, po czym dotknęła jego szczeciniastego policzka.

– Pan Szary – rzekła.

Skinął jedynie głową. Musnął palcem jedną z jej brwi konkretnym gestem zakochanego, po czym przeniósł wzrok na Blue.

– Znajdźmy pozostałych – powiedziała.

Adam Parrish był przebudzony.

Przeciwieństwem przebudzonego jest śpiący, lecz Adam spędzał większą część ostatnich dwóch lat życia w obu stanach naraz lub w żadnym. Z perspektywy czasu nie był pewien, czy aż do tej chwili wiedział, co tak naprawdę oznacza bycie przebudzonym.

Siedział na tylnej kanapie camaro wraz z Ronanem i Blue, obserwując mijane latarnie Waszyngtonu i wyczuwając słabnięcie pulsu linii mocy w miarę, jak oddalali się od Henrietty. Minął tydzień, odkąd wyszli z doliny kości i sytuacja wracała do normalności.

Nie, nie do normalności.

Sytuacja nie była normalna.

Maura wróciła na Fox Way 300, lecz nie było tam Persefony. Chłopcy wrócili do szkoły, lecz Greenmantle nie. Gazety rozpisywały się o śmierci Jessego Dittleya. Jeden z dziennikarzy zauważał, że dolina zaczyna wydawać się niebezpiecznym miejscem do życia: odeszli Niall Lynch, Joseph Kavinsky, Jesse Dittley, Persefona Poldma.

Wszyscy byli zaskoczeni odkryciem, że Persefona miała nazwisko.

– Czy zobaczył pan wszystko, czego się spodziewał? – spytał Gansey Malory’ego.

Malory i Pies podnieśli wzrok znad swoich kart pokładowych.

– Więcej. Znacznie więcej. Za dużo. Bez urazy wobec ciebie i twojej ferajny, Gansey, ale poczuję ogromną ulgę, gdy na jakiś czas wrócę do mojej sennej linii mocy.

Adam zdrapywał strup z dłoni, z najmniejszego z zadrapań, których nabawił się podczas zjazdu do jamy kruków i podczas wspinaczki powrotnej. Najgorsza rana była niewidzialna, lecz dokuczliwa: świadomość śmierci Persefony wibrowała wciąż w Adamie niczym puls linii mocy.

Powiedziała mu, że było troje śpiących. Jednego należało obudzić, jednego nie. A ostatni – był pośrodku. Pozostali sądzili, że to Gwenllian była środkowym śpiącym, lecz nie miało to sensu, ponieważ nie spała.

Nie wiedział zatem, czy to prawda, podobała mu się jednak idea, że trzecim śpiącym był on.

– Musisz mnie odwiedzić – powiedział Malory. – Mógłbyś zobaczyć

gobelin. Połazilibyśmy po starych szlakach – ze względów nostalgicznych. Pies chciałby, żeby Jane też przyjechała.

– Chętnie – odrzekł uprzejmie Gansey.

Chciałby, ale tak się nie stanie. Malory zapewne nie dosłyszał podtekstu, ale Adam go wychwytał. Wiedział, że Gansey zostanie tutaj, szukając Glendowera i oferowanej przez niego przysługi.

Zeszłej nocy Adam zaczął nerwowo jedną ze swoich starych sztuczek ułatwiających mu zasypianie: ćwiczył różne sformułowania przysługi, starał się trafić na właściwe, dzięki któremu nie zmarnowałby okazji i naprawił wszystko, co było nie w porządku. Odkrył jednak, że nie może się w pełni zaangażować w tę grę. Nie musiał już prosić o własne sukcesy, ponieważ był przekonany, że uda mu się skończyć Aglionby. Uważał też za dość prawdopodobne, że otrzyma stypendium w przynajmniej jednej z uczelni, na którą się wybierał. Wcześniej zastanawiał się, czy nie użyć przysługi, by poprosić o uwolnienie od Cableswater, ale teraz wydawało się to dziwnym życzeniem. Zupełnie jakby chciał się uwolnić od Ganseya lub Ronana.

Uświadomił sobie, że tak naprawdę pragnął tylko jednego: ocalić życie Ganseyowi.

– No i jesteśmy – powiedział Malory, spoglądając na budynek terminalu lotniczego. Pies po raz pierwszy zamerdał ogonem. – Życz swojej matce powodzenia w wyborach. Ta amerykańska polityka! Bardziej niebezpieczna niż linia mocy.

– Przekażę jej – odparł Gansey.

– Nie idź w politykę – rzekł poważnie Malory, gdy podjeżdżali do krawężnika.

– To mało prawdopodobne.

Wciąż wydawał się Adamowi zaniepokojony, choć w rozmowie nie było tak naprawdę nic niepokojącego. Nadszedł czas, by odnaleźć Glendowera. Wszyscy to wiedzieli.

Gansey zaciągnął hamulec ręczny.

– Gdy pożegnam profesora – rzekł – jedno z was może przejść na przód. Adam? Chyba że śpisz?

– Nie – oznajmił Adam. – Jestem przebudzony.

# Epilog

Piper nie była nieprzytomna przez wiele godzin. W filmach akcji, takich, których Colin zawsze nienawidził, a ona uwielbiała, bohaterowie pozbawiali łajdaków przytomności, zamiast ich zastrzelić. Po tym odróżniało się bohaterów. Złoczyńcy strzelali do postaci siódmoplanowych, a bohaterowie ogłuszali ich ciosem w głowę. Po kilku godzinach wracali do przytomności i do dalszego życia. Piper przeczytała wpis na blogu wskazujący, że tak naprawdę nie było to możliwe, ponieważ jeśli było się nieprzytomnym dłużej niż minutę albo dwie, działo się tak dlatego, że miało się uszkodzony mózg. Autorem wpisu był lekarz, ktoś, kto nim kiedyś był, albo też ktoś pozostający w związku małżeńskim z kimś z branży medycznej, więc Piper uznała, że to zapewne prawda. A przynajmniej większa prawda niż w filmach akcji.

Leżąc w jaskini, rozmyślała o wszystkich tych hollywoodzkich łajdakach z uszkodzonymi mózgami, ocalonych przez pełnych fantazji bohaterów, którzy uznali, że uprzejmie będzie ich nie zabijać.

Nie była nieprzytomna przez wiele godzin, lecz przez wiele godzin lub nawet dni leżała na ziemi. Wpadała w objęcia snu i z nich wypadała. Co jakiś czas słyszała w grocie inny jęk. Może był to głos Morrisa, a może jej własny. Czasami uchylała oczy i uznawała, że pora wstawać, ale wydawało się to zbyt pracochłonne, więc zostawała na ziemi.

Wreszcie jednak przestała naciskać przycisk drzemki na jaskiniowym budziku i zebrała się w sobie. To było niedorzeczne. Usiadła z dudnieniem w głowie i pozwoliła, by oczy dostosowały jej się do otoczenia. Nie była pewna, skąd dobiegało światło. Wszędzie wokół były gruzy i woda. Przypomniła sobie, że Colin dał nogę, zostawił ją w tej jaskini, która przecież była jego pomysłem. Typowe. Zawsze robił wszystko dla siebie, udając, że robi to dla nich obojga.

Nagle uświadomiła sobie, co świeci: staromodna latarnia przypominająca latarkę górniczą. A po drugiej stronie dostrzegła złożone dłonie. Pulchne piękne dłonie. Przymocowane do rąk. Przymocowane do ciała. Należącego do kobiety. Spoglądała na Piper niewzruszonym wzrokiem, nie mrugając.

– Jesteś prawdziwa? – spytała Piper.



Kobieta skinęła poważnie głową. Piper nie wzięła jednak tego skinienia za gwarancję jej realności. W takim miejscu raczej nie pojawiały się przypadkowe kobiety.

– Jesteś sparaliżowana? – zapytała uprzejmie kobieta.

– Nie – odparła Piper. Milczała przez chwilę. – Tak. Nie.

Jedna z nóg nie była jej posłuszna, ale to nie był paraliż. Noga mogła być złamana. Piper zaczęła niezbyt optymistycznie myśleć o całej tej sytuacji.

– Możemy coś na to poradzić – rzekła kobieta. – Jeśli go obudzimy.

Obie spojrzały na drzwi grobowca.

– Jeśli go obudzimy, odda nam przysługę – dodała kobieta. – Jest nas troje, ale to już nie potrwa długo.

Wskazała kierunek, z którego dobiegało jęczenie Morrisa.

Piper, którą ponad wszystko interesowało własne dobro, natychmiast stała się podejrziwa.

– To dlaczego go nie obudziłaś?

– Smutno być samotną królową – powiedziała kobieta. – Lepiej by wyszło nam z trójką, lecz będzie musiała wystarczyć dwójka. Jest mniej stabilna niż trójka, lecz lepsza od jedności.

Piper była wyjątkowo niezainteresowana matematyką magii. Gdy zaczęła się nad tym zastanawiać, stwierdziła, że noga naprawdę ją boli. I coś z niej cieknie. Zaczynało ją tu wszystko złościć.

– Jasne, dobrze. Dobrze.

Kobieta podniosła lampę i pomogła Piper się podnieść. Piper wypowiedziała słowo, po którym zwykle czuła się lepiej, lecz nie tym razem. Wierzyła już w realność tej kobiety, gdyż miażdżyła klatkę piersiową Piper, próbując pomóc jej wstać.

– Kim w ogóle jesteś?

– Mam na imię Neeve.

Gdy kuśtykały do drzwi, Piper zauważyła:

– To dość głupie imię.

– Podobnie jak Piper – odparła łagodnie Neeve.

Ostatecznie obyło się bez szczególnej ceremonii. Po prostu położyły dłonie na drzwiach i je pchnęły. Wrota nie wydawały się magiczne, były jedynie kawałkiem drewna.

W grobowcu znajdowało się światło. Świeciło z podobną mocą jak latarnia u stóp Neeve. Miało wręcz identyczną moc, odbijaną w ich stronę.

Weszły chwiejnie do środka. Znajdowała się tam na podwyższeniu trumna z uchylonym wiekiem.

Śpiący nie był człowiekiem. Piper nie była pewna, dlaczego spodziewała się, że będzie. Był natomiast mały, czarny i lśniący, o większej liczbie nóg, niż się spodziewała. I potężny.

– Musimy zrobić to w tej samej chwili, by otrzymać przys... – zaczęła Neeve.

Piper wyciągnęła rękę i dotknęła śpiącego, zanim Neeve zdążyła zareagować.

– Obudź się.

# SPIS TREŚCI

Strona tytułowa

Dedykacja

Motto

Prolog

1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12  
13 14 15 16 17 18 19 20 21 22  
23 24 25 26 27 28 29 30 31 32  
33 34 35 36 37 38 39 40 41 42  
43 44 45 46 47 48 49 50 51

Epilog